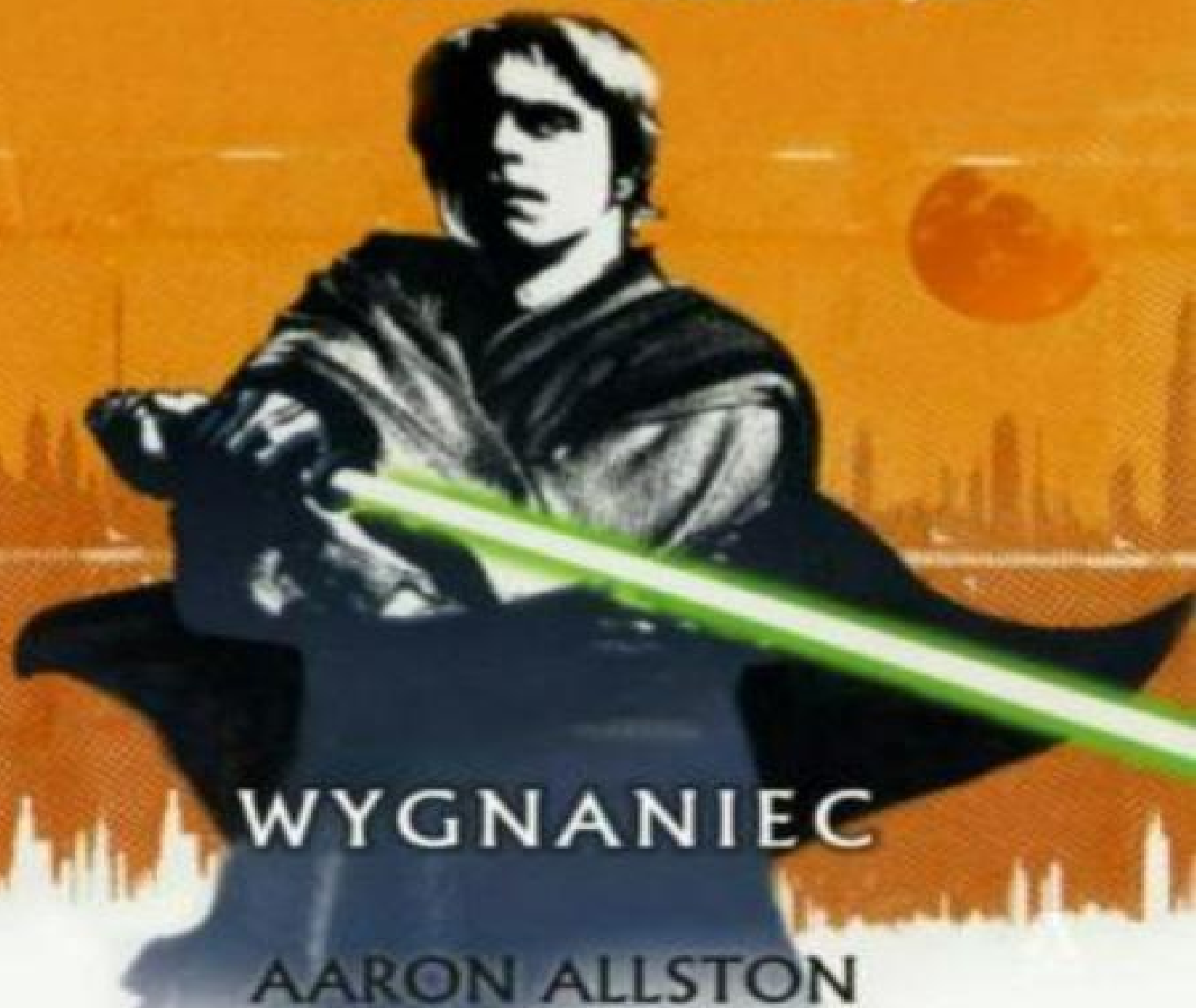


STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



WYGNANIEC

AARON ALLSTON

PRZEZNACZENIE JEDI 1

WYGNANIEC

AARON ALLSTON

Przekład

Błażej Niedziński

Redakcja stylistyczna

Magdalena Stachowicz

Korekta

Hanna Lachowska

Elżbieta Steglińska

Ilustracja na okładce

Ian Keltie

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Fate of Jedi #1: Outcast

Copyright © 2009 by Lucasfilm Ltd. & ® or ™ where indicated.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2011 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4029-9

Warszawa 2011. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 22620 40 13, 22620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Ben Skywalker - Rycerz Jedi (mężczyzna)

Corran Horn - Rycerz Jedi (mężczyzna)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Jagged Fel - przywódca Szczętków Imperium (mężczyzna)

Jaina Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Kent Hamner - Mistrz Jedi (mężczyzna)

Leia Organa Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Luke Skywalker - Wielki Mistrz Jedi (mężczyzna)

Mirax Horn - bizneswoman (kobieta)

Natasi Daala - przywódczyni Galaktycznego Sojuszu (kobieta)

Valin Horn - Rycerz Jedi (mężczyzna)

Mrok był wieczny, wszechpotężny, niezmienny.

Wpatrywała się weń bez zmrużenia oka i bez lęku.

Była zdeterminowana, żeby mu nie ulec.

Opierała mu się przez tyle lat. Wiedziała, że nadal będzie się opierała zawsze, nigdy nie tracąc nadziei.

Był niezmienny, ale zmiana miała nadejść.

Przepowiedziała to Moc.

ROZDZIAŁ 1

Prom dyplomatyczny Galaktycznego Sojuszu, wysoka orbita Coruscant

Jedna po drugiej gwiazdy nad głowami zaczęły znikać, pochłaniane przez ogromną ciemność, która nadciągała nad prom z góry i z tyłu. Spiczasto zakończona w najbardziej wysuniętym punkcie i stopniowo rozszerzająca się powódź czerni przesuwała się, przesłaniając stopniowo rozgwieżdżone niebo, aż w końcu widać było wyłącznie ciemność.

Nagle na całej długości i szerokości złowieszczonego cienia zapaliły się światła - niebieskie i białe światła pozycyjne, drobne czerwone światełka włazów i systemów bezpieczeństwa, mżący blask zza transpastalowych iluminatorów, prostokąt bieli rozjaśniony przez tarcze atmosferyczne. Światła udowodniły, że ' : ten olbrzymi, ciemny trójkąt to spód imperialnego gwiazdowego i; niszczyciela. Statek pomalowany na czarno przed chwilą jeszcze wyglądał złowrogo, a teraz, przy swojej właściwej konfiguracji, przedstawiał widok całkiem pogodny. Był to „Gilad Pellaeon”, świeżo przybyły ze Szczątków Imperium; jego oficerowie niewątpliwie potrafili urządzić przedstawienia.

Jaina Solo, która siedziała razem z innymi w słabo oświetlonym przedziale pasażerskim rządowego promu dla VIP-ów i oglądała cały pokaz przez transpastalowy sufit, roześmiała się głośno.

Bothanin w komfortowo wyściełanym fotelu obok popatrzył na nią z zaciekawieniem. Jego cętkowane rudobrazowe futro zadrgało ze skrywanej irytacji albo może zażenowania, wywołanego reakcją JAINY.

- Co cię tak rozbawiło?

- Sam widzisz, fakt, jakie to było przewidywalne, a jednocześnie jak umiejętnie przeprowadzone. Jakby chcieli powiedzieć: „Kiedyś uważaliście nas za mrocznych i przerażających, a teraz jesteśmy po prostu waszymi ekscentrycznymi sojusznikami”. - Jaina zniżyła głos, żeby jej następna uwaga nie doszła do uszu pasażerów siedzących za nimi. - Prasa będzie zachwycona. Ten obrazek będzie pokazywany w holowiadomościach na okrągło. Zobaczysz.

- To przedstawienie to sprawa Jaggeda Fela?

Jaina przechyliła głowę, zastanawiając się.

- Nie wiem. Mógł to wymyślić, ale zwykle nie poświęca czasu na planowanie rozmaitych pokazów. Chociaż kiedy już coś robi, to zazwyczaj dosyć... efektownie.

Prom wzniósł się ku głównemu hangarowi „Gilada Pellaeona”. Po chwili pokonał barierę atmosferyczną i skierował się w bok, żeby wylądować na pobliskim pokładzie. Lądowisko było wyraźnie oznaczone - setki istot, przeważnie w szarych imperialnych mundurach lub charakterystycznych białych zbrojach imperialnych szturmowców, czekały w hangarze, a okrągłe,

puste miejsce oczekiwało na prom Galaktycznego Sojuszu.

Gdy prom osiadł na wyznaczonym miejscu, pasażerowie zaczęli wstawać. Bothanin wygładził swoją tunikę w kolorze wesołego błękitu, ozdobioną złotymi i srebrnymi zygzakami.

- Pora iść do pracy. Nie dasz mi zginąć, prawda?

Jaina otworzyła szeroko oczy.

- A więc po to tu jestem? - spytała żartobliwym tonem. - Powinnam była wziąć miecz świetlny.

Bothanin wydał długie, zbolące westchnienie i odwrócił się w stronę wyjścia.

Zeszli po rampie promu. Nie mając specjalnych zadań -musiała tylko zachowywać czujność i być na tym wstępnym spotkaniu - Jaina mogła stać z boku i obserwować. Uderzyła ją nierealność tego wszystkiego. Siostrzenica i córka trójki najsłynniejszych wrogów Imperium z czasów pierwszej galaktycznej wojny domowej sprzed paru dekad miała teraz być świadkiem wydarzeń, które mogły na trwałe włączyć Imperium Galaktyczne - czy też Szczątki Imperium, jak nazywano je wszędzie poza jego granicami - do Galaktycznego Sojuszu.

W centrum uwagi zaś znalazł się człowiek, który teraz w otoczeniu imperialnych oficerów zbliżał się do Bothanina. Był mniej niż przeciętnego wzrostu, chociaż wyraźnie górował nad drobną sylwetką Jaina; miał ciemne włosy, krótko przyciętą bródkę i wąsy, które nadawały mu zawadiacki wygląd. Był przystojny na swój dość ponury sposób. Blizna na jego czole biegła do linii włosów, kończąc się na siwym kosmyku. Nosił drogie, lecz niezbyt ostentacyjne czarne cywilne ubranie, które na Coruscant nie zwracałoby niczyjej uwagi, tu jednak wyraźnie kontrastowało z otaczającymi go szarymi i białymi mundurami, a także barwnymi strojami przedstawicieli Sojuszu.

Tylko przez chwilę jego wzrok zatrzymał się Jainie. Postronnym obserwatorom spojrzenie wydawało się zapewne neutralne, jednak ona dostrzegła w nim błysk humoru i cień gniewu, z którym oboje wciąż musieli się zmagać. Funkcjonariusz Sojuszu, wyjątkowo bezbarwny osobnik, dokonał prezentacji:

- Wielce szanowny przywódco Imperium, przedstawiam panu senatora Tiurrga Drey'lye z Bothawui, przewodniczącego Senackiej Komisji Przygotowawczej do spraw Zjednoczenia.

Jagged Fel uściśnął dłoń senatora.

- Cieszę się, że będę z panem współpracować.

- A ja jestem zaszczycony, mogąc pana poznać. Przywódczyni Sojuszu Daala przesyła pozdrowienia i z radością oczekuje spotkania, kiedy wyląduje pan już na planecie.

Jag skinął głową.

- A teraz, jak sędzę, protokół wymaga, żebyśmy otworzyli tuzin butelek wina i przeprowadzili wstępne rozmowy na temat bezpieczeństwa, protokołów prezentacji i innych rzeczy.

- Na szczęście, jeśli chodzi o wino, i niestety, z uwagi na całą resztę, ma pan rację.

Po dwóch standardowych godzinach - Jaina wiedziała, ile minęło czasu, bo często zerkała ukradkiem na swój chronometr - Jag zdołał namówić senatora i jego świtę na wycieczkę po pokładzie „Gilada Pellaeona”. Sam zaś zażądał poufnego spotkania z jedyną obecną tu przedstawicielką Zakonu Jedi. Parę chwil później w sali konferencyjnej o szarych ścianach pozostali tylko Jag i Jaina.

Jag spojrział w stronę drzwi.

- Zabezpieczenia: dostęp ograniczony do Jaggeda Fela i Jedi Jainya Solo, identyfikacja głosowa, aktywuj - odezwał się. -W odpowiedzi drzwi zamknęły się z sykiem. Jag skierował całą uwagę na Jainę.

Miała gniewną i oskarżającą minę.

- Nikogo nie oszukasz, Fel. Chcesz przeprowadzić imperialną inwazję przestrzeni Sojuszu, tak?

Jag pokiwał głową.

- Planowałem ją już od dłuższego czasu. Chodź do mnie.

Podeszła, usiadła mu na kolanach i zaraz znalazła się w jego objęciach. Ich pocałunek był mocny i żarliwy.

Wreszcie Jaina odchyliła się i uśmiechnęła do niego.

- Czy to stały element twoich konsultacji ze wszystkimi Jedi?

- Eee, nie. To spowodowałoby pewne problemy. Właściwie to mam pewną sprawę do Jedi. Nie wiąże się to z Galaktycznym Sojuszem, przynajmniej na razie.

- Jaką sprawę?

- Niezależnie od tego, czy Imperium Galaktyczne przyłączy się do Galaktycznego Sojuszu, czy nie, myślę, że powinna istnieć oficjalna reprezentacja Jedi w Imperium. Druga Świątynia, oddział, filia... nieważne. Służyliby głowie państwa radą i wiedzą.

- I ochroną?

Wzruszył ramionami.

- To mniej istotne. Radzę sobie. Już dwa lata na tym stanowisku i jakoś ciągle żyję.

- Imperator Palpatine przetrwał prawie dwadzieścia pięć.

- To chyba czyni go moim bohaterem.

- Nie mów tak nawet w żartach - prychnęła Jaina. - Jag, jeśli Szczątki nie przyłączą się do Sojuszu, to nie wiem, czy Jedi będą mogli zorganizować swoją reprezentację bez zgody Sojuszu.

- Zakon cały czas prowadzi placówkę szkoleniową dla młodzików w przestrzeni Hapan. A Hapanie się nie przyłączyli.

- Wydajesz się zdenerwowany. Hapanie wciąż sprawiają ci kłopoty?

- Nie mówmy o tym.

- Cóż, przeniesienie szkoły z powrotem do przestrzeni Sojuszu to tylko kwestia czasu, logistyki i finansów; nie ma wątpliwości, że kiedyś to nastąpi. Z drugiej strony możliwe, że jeśli Szczątki się nie przyłączą, rząd nie wyda zgody na założenie placówki Jedi z czystej złośliwości.

- Wiesz, jest jeszcze coś takiego jak nieoficjalna reprezentacja. A także konkurencyjne szkoły, dysydenckie odłamy czy miejsca przeznaczone dla byłych Jedi, którzy nie mogą pozostać w Świątyni.

Jaina znów się uśmiechnęła, ale w jej wzroku pojawiła się podejrzliwość.

- Chodzi ci tylko o to, żebym to ja została oddelegowana do Szczątków.

- To jeden z powodów, ale niejedyny. Pamiętaj, że dla moffów i znacznej części imperialnej populacji Jedi są postrachem od czasów śmierci Palpatine'a. Chcę, żeby przynajmniej nie bali się niepotrzebnie kobiety, którą kocham.

Jaina milczała przez chwilę.

- Może wystarczy już tych rozmów o polityce? - odezwał się wreszcie.

- Chyba tak.

- To dobrze.

Apartament rodziny Hornów, hotel Wymarzone Wakacje u Kallada, Coruscant

Ubrany w niebieski szlafrok Valin Horn, ziewający i rozczochrany, wiedział, że nie przypomina doświadczonego Rycerza Jedi. Wyglądał jak zaniedbany kawaler, którym zresztą był. Jednak tutaj, w wynajętym apartamencie, mogli go oglądać tylko członkowie rodziny. Ale kiedy zje śniadanie, ogoli się i porządnie ubierze.

Oczywiście Hornowie tu nie mieszkali. Matka Valina, Mirax, była ostoją dla najbliższej rodziny. Jako właścicielka wielu powiązanych ze sobą przedsiębiorstw, zajmujących się handlem, międzyplanetarnymi finansami, hazardem i rekreacją, a jeśli wierzyć pogłoskom - czasem także

drobnym przemytem, prowadziła dom i swoje interesy na Korelii. Corran, jej mąż i ojciec Valina, był Mistrzem Jedi i kawał życia spędzał na różnych misjach, z dala od rodziny, jednak jego prawdziwy dom znajdował się w miejscu, gdzie było jego serce, czyli zawsze tam, gdzie mieszkała Mirax. Valin i jego siostra Jysella, również Jedi, mieszkali wszędzie, gdzie rzuciła ich misja, lecz także traktowali Mirax jako serce rodziny.

Mirax wynajęła to tymczasowe lokum na Coruscant, żeby rodzina mogła się spotkać, wykorzystując jedną z rzadkich okazji. Tym razem był nią szczyt zjednoczeniowy, na którym ona i Corran mieli wygłosić mowy na temat stosunków między państwami Konfederacji, Szczałkami Imperium oraz Galaktycznym Sojuszem pod kątem handlu i działalności Jedi. Mirax nalegała, żeby Valin i Jysella zostawili na ten czas swoje kwatery w Świątyni i zamieszkali z rodzicami, a niewiele osób w galaktyce mogłoby się jej przeciwstawić - Luke Skywalker w każdym razie wiedział, że lepiej nie próbować.

Przechodząc z odświeżacza do kuchni i wnęki jadalnej, Valin odgarnął z oczu kosmyk brązowych włosów i uśmiechnął się szeroko. Mimo że okazywał niezadowolenie - przecież niezależny młody człowiek, który nie potrzebuje rodziców, żeby mówili mu, co ma robić albo gdzie spać - w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu. Miło było spotkać się z rodziną. A Corran i Mirax byli lepszymi kucharzami niż ci ze Świątyni.

Z kuchni nie dochodziły żadne głosy, ale słyhać było brzęk patelni i garnków, więc przynajmniej jedno z jego rodziców musiało być w domu. Przechodząc z korytarza do wnęki jadalnej, Valin przekonał się, że to matka. Stała przy kuchence, odwrócona do niego plecami. Odsunął krzesło i usiadł przy stole.

- Dzień dobry.

- Nie za wcześnie na żarty? - Mirax nie obejrzała się w jego stronę, ale głos miała pogodny. - Nie ma dobrych dni. Pokonuję lata świetlne, lecąc tu z Korelii, żeby pobyć ze swoją rodziną, i co? Muszę się dostosowywać do harmonogramu Jedi, żeby się z nimi zobaczyć. Nie wiesz, że jestem dyrektorem? I do tego leniwym?

- Zapomniałem. - Valin wciągnął głęboko powietrze, wdychając zapachy jedzenia. Jego matka przyrządzała naleśniki po koreliańsku z kielbaskami nerfowymi i parzyła kaf. Valin przypomniał sobie czasy dzieciństwa i rodzinnych śniadań, które były czymś normalnym przed inwazją Yuuzhan Vongów, zanim jeszcze Valin i Jysella zostali Jedi. - Gdzie tata i Sella?

- Twój ojciec gromadzi zakulisowe informacje od innych Mistrzów Jedi do swojego przemówienia. - Mirax wyjęła z szafki talerz i zaczęła nakładać na niego naleśniki i kielbaski. - Twoja siostra wyszła wcześniej rano. Nie chciała powiedzieć, jakie ma plany, co pewnie oznacza jakieś sprawy Jedi, o których nie mogę się dowiedzieć... chyba że umówiła się z jakimś mężczyzną i nie chce, żebym się dowiedziała.

- Albo jedno i drugie.

- Albo jedno i drugie. - Mirax postawiła przed nim talerz, a obok położyła sztucce.

Na widok tej góry Valin odsunął się z udawanym przerażeniem.

- *Stang*, mam, masz nakarmić swojego syna, a nie oddział Gamorrean. - Nagle zobaczył twarz kobiety i przeszła mu ochota na żarty.

To nie była jego matka.

Owszem, kobieta miała rysy *Mirax*: okrągłą twarz, którą adoratorzy - ku rozgoryczeniu *Mirax* - określali raczej słowem „urocza” niż „piękna”. Miała jej wydatne usta, które tak chętnie i wyraziście się uśmiechały, i bystre brązowe oczy. Miała też włosy *Mirax* - lśniące czarne, przyprószone siwizną, sięgające do ramion, tak żeby mieściły się pod hełmem pilota, chociaż nie pilotowała już tak często jak dawniej. Wyglądała kropka w kropkę jak *Mirax*.

Ale to nie była *Mirax*.

Kobieta, kimkolwiek była, dostrzegła konsternację Valina.

- Coś nie tak?

- Eee... nie. - Oszołomiony Valin utkwiał wzrok w talerzu.

Musiał myśleć logicznie, prawidłowo i szybko. Wiedział, że może mu grozić ogromne niebezpieczeństwo, chociaż na razie nie wyczuwał w *Mocy* niczego groźnego. Prawdziwa *Mirax*, gdziekolwiek przebywała, być w poważnych opałach albo... Valin na próżno starał się uspokoić bicie serca i myśleć logicznie.

Fakt: *Mirax* zastąpił jej sobowtór. Najprawdopodobniej prawdziwej *Mirax* już tu nie było; Valin nie wyczuwał w najbliższej okolicy nikogo poza sobą i sobowtórem. Powód tej całej akcji musiał mieć związek z Valinem, *Jysellą* lub *Corranem*. Chyba nie chodziło o pojmanie Valina, ponieważ kobieta mogła to zrobić, kiedy spał, używając narkotyków lub innych metod. Jedzenie też raczej nie było zatrute.

Czując na sobie zaniepokojone spojrzenie fałszywej *Mirax*, nadgryzł ostrożnie kiełbaskę i posłał jej wymuszony uśmiech.

Pomyślał, że stworzenie tak doskonałego sobowtóra kosztowałoby fortunę i wymagało wielu zabiegów oraz ochotnika, który zgodziłby się, żeby przerobić mu twarz. A może to był klon, wyhodowany i wyszkolony, żeby udawać *Mirax*? Albo robot, jeden z tych bardzo drogich i bardzo rzadkich androidów wyglądających jak ludzie? Albo istota zmiennokształtna? Tak czy inaczej kopia była niemal doskonała i Valin niczego nie podejrzewał, dopóki...

Dopóki co? Jak się właściwie zorientował? Odgryzł kolejny kęs, nie zwracając uwagi na smak kiełbaski. Utrzymując na twarzy sztuczny uśmiech, próbował sobie przypomnieć szczegół, który podpowiedział mu, że to nie jest jego matka.

Nie potrafił tego rozgryźć. To było nagłe olśnienie, zbyt ulotne, by je uchwycić, ale też zbyt przemożne, by je zignorować.

Czy Corran zdołałby przejrzeć podstęp? A Jysella? Pewnie też. A jeśli nie? Co będzie, jeśli Valin oskarży tę kobietę i zostanie uznany za wariata.

Czy Corran i Jysella byli na wolności? Czy jeszcze żyli? Może współnicy tej kobiety uciekali właśnie z nimi i prawdziwą Mirax. A co, jeśli Corran i Jysella leżeli zakrwawieni na dnie szybu serwisowego i ulatuje z nich życie.

Valin nie mógł pozbierać myśli. Sytuacja była zbyt przytłaczająca, tajemnica zbyt nieprzenikniona, a jedyną osobą tutaj, która wiedziała, co się dzieje, była ta kobieta o twarzy jego matki.

Wstał, wywracając krzesło i zmierzył fałszywą Mirax twardym spojrzeniem.

- Chwileczkę - burknął, popędził do swojego pokoju.

Jego miecz świetlny był tam, gdzie go zostawił, na szafce przy łóżku. Chwycił go i błyskawicznie sprawdził. Zasilanie było cały czas optymalne; nie znalazł żadnych śladów wskazujących, że ktoś przy nim majstrował.

Z bronią w ręku wrócił do jadalni. Fałszywa Mirax, wyraźnie zakłopotana i chyba trochę zaniepokojona, stała przy kuchence i wpatrywała się w niego.

Valin włączył miecz, który zapalił się z dziwnie głośnym sykiem, po czym przyłożył świecące energetyczne ostrze do jedzenia na talerzu. Naleśniki zmarszczyły się i szerniały od kontaktu z plazmą. Valin skinął głową w kierunku kobiety.

- Skóra zachowuje się tak samo, wiesz?

- Valinie, co się stało?

- Możesz do mnie mówić „Jedi Horn”. Nie masz prawa zwracać się do mnie po imieniu. - Valin wykonał mieczem świetlnym sekwencję treningową, zbliżając klingę na parę centymetrów do umocowanego na suficie pręta jarzeniowego, potem do ściany, stołu i kobiety o twarzy jego matki.

- Pewnie wiesz, że Jedi nie przejmują się zbytnio amputacjami.

Fałszywa Mirax odchyliła się do tyłu z obiema rękami zaciśniętymi na brzegu kuchenki.

- O co ci chodzi?

- Wiemy, że odciętą kończynę można łatwo zastąpić protezą, która wygląda zupełnie jak pierwowzór. Protezy zachowują czucie i robią wszystko to, co prawdziwe kończyny. Są idealnym substytutem pod każdym względem, tyle że wymagają konserwacji. Dlatego nie mamy specjalnych skrupułów, kiedy musimy odciąć rękę albo nogę bardzo złej osobie. Ale zapewniam cię, że ta bardzo zła osoba zapamiętuje ból na całe życie.

- Valin, muszę wezwać twojego ojca. - Mirax ruszyła w kierunku niebieskiej torebki ze skóry banthy, którą zostawiła na stoliku.

Valin dotknął końcem miecza świetlnego jej podbródka. Pole siłowe klingi sprawiało, że nie czuła jej żaru, jednak najdrobniejszy ruch Valina mógł ją okaleczyć lub zabić na miejscu. Kobieta zastygła w bezruchu.

- Nie, nie wezwiesz go. Wiesz, co zamiast tego zrobisz?

- Co? - spytała drżącym głosem.

- Powiesz mi, co zrobiłaś z moją matką! - Ostatnie słowa wykrzyczał, przepełniony lękiem i gniewem. Valin wiedział, że minę ma równie wściekłą jak ton głosu; czuł, jak czerwienieje mu twarz, wzburzona krew zalewała mu obraz przed oczami.

- Chłopcze, odłóż miecz. - Te słowa dobiegły zza jego pleców. Valin odwrócił się, unosząc klingę w pozycji obronnej.

W drzwiach stał niewysoki, gładko ogolony mężczyzna w średnim wieku. Miał siwiejące brązowe włosy i zadziwiająco zielone oczy. Był ubrany w brązowe szaty Jedi. Ręce trzymał na pasie, z którego zwisał miecz świetlny.

To był ojciec Valina, Mistrz Jedi Corran Horn. Tyle że był tak samo fałszywy jak kobieta za plecami Valina.

Valina zalała fala rozpacz. Oboje rodzice podmienieni! Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że prawdziwi Corran i Mirax już nie żyją.

A jednak, kiedy przemówił, głos miał spokojny.

- Zrobili z ciebie sobowtóra mojego ojca, ale nie mogli dać ci jego wprawy w posługiwaniu się mieczem świetlnym.

- Lepiej nie rób tego, o czym myślisz, synu.

- Kiedy przetnę cię na pół, zdobędę wystarczający dowód, że nie jesteś prawdziwym Corranem Hornem.

Valin skoczył do przodu.

ROZDZIAŁ 2

Valin zakreślił klingą koło i wykonał błyskawiczny ruch, który powinien przeciąć sobowtóra pionowo.

Jednak natychmiast włączony i uniesiony poziomo miecz świetlny niesobowtóra Corrana zablokował cios. Podobnie jak broń prawdziwego Corrana świecił srebrnym blaskiem. Może ten mężczyzna zabrał go Corranowi; niewątpliwie wyglądał identycznie. Valinowi zamarło serce.

Zaatakował serią krótkich cięć wymierzonych w głowę, lewe ramię i lewy bok sobowtóra, ale *przeciwnik* zablokował każdy sztych minimalnym ruchem ręki i przy niewielkim wysiłku. Teraz brązowy but przeciwnika dosięgnął piersi Valina, odrzucając go do tyłu. Valin upadł boleśnie na wypełniony wodą zlew, obijając sobie żebra o kran i tłukąc moczące się brudne naczynia. Zdezorientowany, zakreślił klingą obronne koło. Jednak fałszywy Corran nie poszedł za ciosem; krzyknął tylko: „Mirax, uciekaj”. Kobieta udająca matkę Valina wybiegła z pokoju ze łzami w oczach, oszołomiona i przerażona.

Valin wydostał się ze zlewu z mokrym tyłkiem i zeskoczył na podłogę. Wymierzył klingę w sobowtóra Corrana gestem zdradzającym szacunek.

- Szkoliłeś się. Gdzie?

- Odłóż miecz, chłopcze. Nie wiem, co widzisz ani co czujesz, ale chętnie sprowadzimy tu kogoś, komu ufasz. Możemy nawet ściągnąć Luke'a Skywalkera.

- Mam ci dać czas na wezwanie posiłków? Z taktycznego punktu widzenia to kiepskie rozwiązanie.

- Decyzja należy do ciebie.

Valin znieruchomiał, udając, że się waha; wykorzystał tę chwilę na ocenę sytuacji.

Sobowtór Corrana był co najmniej równie dobrym fechtmistrzem jak Valin, a fałszywa Mirax z pewnością poszła wezwać pomoc. Wkrótce Valin będzie miał przeciwko sobie przeważające siły wroga.

Po prawej stronie Valin miał zlew i kuchenkę, nad nimi były szafki, a dalej ściana. Po lewej, przy ścianie oddzielającej kuchnię od salonu; stał kredens i stolik, na którym leżała torebka Mirax. Przed sobą miał jedyne wyjście z pomieszczenia, ale na drodze stał mu fałszywy Corran.

No cóż, nie szkodzi. W takich mieszkaniach do wynajęcia, które miały lekką konstrukcję z uwagi na koszty i łatwość modyfikowania, Valin nie potrzebował drzwi.

Rzucił się w lewo, celując w pustą przestrzeń między stolikiem a kredensem. Zwiększył impet skoku, posługując się Mocą, i nagle ściana w tym miejscu zamieniła się w gruzy, wypełniając powietrze białym pyłem. Valin prawie nie odczuł zderzenia; ściana ustąpiła przed nim z taką

łatwością, jakby zrobiono ją z flimsiplastu.

Znajdował się teraz w głównym pokoju. Na wprost stała sofa; w ścianie za nią umieszczono duży, panoramiczny iluminator, a parę metrów dalej widać było prawdziwy wodospad. Po prawej stronie zobaczył drzwi wejściowe, a obok nich kolejne okno...

Po tej samej stronie dostrzegł rozmytą sylwetkę sobowtóra Corrana, który poruszał się ze wspomaganą przez Moc prędkością, równoległe do niego. Zagradzał mu drogę do drzwi.

Valin nie zmienił kierunku biegu. Rzucił się na iluminator, licząc na to, że transpastał jest tu cienka, a rama utrzymująca ją w ścianie nie jest zbyt solidna...

W obu przypadkach miał rację. Ledwie poczuł uderzenie, przebijając się przez iluminator. Cienka transpastał owinęła się wokół niego i razem przelecieli przez wodospad na zalaną słońcem otwartą przestrzeń, jaka się za nim rozciągała.

Valin z trudem odrzucił przezroczystą płachtę i runął w głąb miejskiego kanionu, który zdawał się nie mieć dna. Po obu jego stronach wznosiły się rzędy strzelistych, bogato zdobionych wieżowców.

Była to dzielnica turystyczna, zabudowana głównie hotelami, restauracjami, centrami odnowy biologicznej i innymi obiektami świadczącymi usługi dla podróżnych z Coruscant i całego Sojuszu. Przepaść oddzielająca dwa rzędy wieżowców była szeroka na jakieś trzydzieści metrów, więcej niż Valin mógł pokonać skokiem, jednak powyżej i poniżej przesuwwały się sznury śmigaczy. Spadając, zauważył pod sobą nadlatujący śmigacz w żółto-niebieskie pasy; przekreślił się w powietrzu, celując w pojazd, i wylądował na jego masce w głębokim przysiadzie.

Przód śmigacza przechylił się mocno pod jego ciężarem. Za sterami siedział pulchny Ortolanin o niebieskiej skórze; nagły podmuch wiatru odrzucił do tyłu jego wielkie uszy i ryjek. Valin zobaczył szeroko otwarte oczy pilota. Repulsor śmigacza, obciążony nagłym lądowaniem Valina, zatrzeszczał, próbując podnieść z powrotem dziób pojazdu.

Valin wybrał odpowiednią chwilę, wybił się w górę i skoczył aż na przeciwległy pas ruchu. Spadł na dach długiego autobusu, który nie ugiął się pod nim. Valin jeszcze raz rzucił się naprzód, zrobił salto i tym razem wylądował na pokładzie odkrytego pojazdu turystycznego, który stopniowo wypełnił się urlopowiczami przechodzącymi po krótkiej rampie z hotelowego tarasu. Pasażerowie ze zdumieniem gapili się na przemoczonego i nie całkiem ubranego Jedi z włączonym mieczem świetlnym w dłoni.

Valin nie potrafił ukryć odrobiny paniki w głosie.

- Potrzebuję komunikatora, szybko. - Wyciągnął rękę.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, co dało Valinowi czas na zastanowienie. Urlopowicze i turyści wchodzący na pokład pojazdu sprawiali wrażenie zwyczajnych istot z klasy średniej. Większość z nich miała na sobie stroje znacznie bardziej kolorowe i skąpe, niż kiedykolwiek włożyliby w domu. Wyglądali normalnie, ale czy mogli być także sobowtórami? Nie miał pojęcia,

jaka może być skala tego spisku.

Jedna z pasażerek, piękna czerwonoskóra Twi'lekanka, mocowała się chwilę z przedmiotem przypiętym do bluzki, zanim podała go Valinowi. Okazało się, że to komunikator. Sięgnął po niego.

Fałszywy Corran spadł na pokład rękami do przodu, przetoczył się i stanął w odległości czterech metrów od Valina. W rękę trzymał wyłączony miecz świetlny. Odezwał się głośno, tak żeby wszyscy w pojeździe słyszeli, ale głos miał smutny.

- Proszę się cofnąć. Ten człowiek... źle się czuje. Ja się nim zajmę.

Valin wymierzył palec w sobowtóra Corrana.

- To ty się źle czujesz. Spiskujesz przeciw Zakonowi Jedi, a powinieneś wiedzieć, że to poważny błąd... i może mieć fatalne skutki.

Przywołał teraz wspomnienia niezliczonych bitew, które przeżył i wygrał. Pozwolił, żeby te wspomnienia go wypełniły, wypierając panikę i cierpienie, jakie odczuwał.

- W porządku - powiedział cicho i wyraźnie, odzyskując spokój. - To twoje życie. Twój wybór. Po prostu usunę cię z drogi, a potem dowiem się, kto za tym stoi. - I rzucił się na człowieka, który nie był jego ojcem.

Tym razem nie kierował się instynktem samozachowawczym. Ruszył do zdecydowanego ataku, myśląc tylko o tym, żeby zabić fałszywego Corrana. Wyprowadzał ciosy jeden po drugim z prędkością laserowej serii. Przyparł przeciwnika do barierki pojazdu i zagonił go po rampie do restauracji na tarasie. Goście restauracji rozpięchli się, zostawiając stoły pełne jedzenia, a przy okazji swoje rzeczy osobiste.

Sobowtór nie wykorzystał kilku okazji do kontrataku, więc Valin poczuł przypływ optymizmu. Najwyraźniej wierne odtworzenie postaci prawdziwego Corrana nie pozwalało mu zabić syna. Valin nie miał zamiaru okazywać wrogowi podobnych względów.

Odczuwał zmęczenie, ale starszy mężczyzna zaczynał się mocno pocić.

Fałszywy Corran wykonał salto w tył i wylądował za okrągłym białym stołem z lekkiej durastali. Kopnął stół w kierunku Valina, który zignorował lecące na niego naczynia i rozłupał mebel na pół. Gdyby dysponował pełnią umiejętności Jedi, mógłby odepchnąć go od siebie za pomocą telekinezy, jednak podobnie jak jego ojciec pozbawiony był tego talentu.

Przeciwnik stał teraz pięć metrów od niego, ciężko dysząc, z klingą skierowaną w dół w pozycji obronnej.

Valin popatrzył na niego z niechętnym podziwem.

- Wiesz, powstrzymanie się od użycia telekinezy dla zachowania pozorów świadczy o dużym poświęceniu. Szkoda, że nic ci to nie da. Tak czy owak, musisz zginąć.

- Chłopcze, to się musi skończyć. - Fałszywy Corran uniósł wolną rękę, jakby jednak postanowił przeprowadzić atak przy użyciu telekinezy. Valin zawahał się, nie wiedząc, w którą stronę skoczyć. Zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego.

Sobowtór ojca nie wykorzystał przeciw niemu Mocy, ale swoim gestem sprawił, że Valin zastygł na krótką chwilę w bezruchu. Młody Jedi wyczuł nadciągające zagrożenie.

I wtedy dostał cios w plecy, który poczuł każdą częścią ciała. Pociemniało mu w oczach, ugięły się pod nim kolana i poleciał do przodu.

Zanim stracił przytomność, zobaczył śmigacz wiszący przy barierce tarasu - śmigacz jego matki, a w nim stojącą fałszywą Mirax z wycelowanym w niego wojskowym pistoletem blasterowym. Z jej oczu płynęły łzy, jakby naśladując widoczny w tle sztuczny wodospad.

Budynek senatu, Coruscant

Luke nie mógł się nadziwić, odkrywszy w gmachu senatu dużą salę, której dotąd nie widział. Była wysoka na sześć kondygnacji i mogła pomieścić dwa tysiące widzów. Widownia była wypełniona prawie całkowicie, a spóźnialscy chodzili między rzędami, nerwowo wypatrując wolnych miejsc. Na końcu sali widniało masywne podium; stały na nim dwa stoły udrapowane sukniem, za nimi obrotowe fotele, a na środku mównica. Na pokrytej wykładziną podłodze przed podium stały okrągłe stoliki z krzesłami zwróconymi tyłem do sali. Przypominało to salę rozpraw, przygotowaną dla zespołu sędziów, tyle że mniej oficjalną i ponurą - wykładziny i obicia krzesel były utrzymane w kojących błękitach i fioletach, ściany miały kolor złamanej bieli, przerywanej symbolami Galaktycznego Sojuszu; stały z przodu sali miały przyjemną brązowożłocistą barwę.

Luke nigdy wcześniej nie widział tego miejsca. Jak wiele było jeszcze takich pomieszczeń w tym gargantuicznym gmachu?

Wszystkie miejsca za stołami na podium były zajęte. Siedzący pośrodku Bothanin o rudobrazowym futrze, które falowało wobec doniosłości chwili, wysłuchał słów wyszeptanych mu do ucha przez asystenta, pokiwał głową, wstał i podszedł do mównicy.

- Mamy tylko czterdzieści pięć minut spóźnienia - zadudnił w sali jego wzmocniony głos. - Nie najgorzej jak na wydarzenie organizowane przez Galaktyczny Sojusz, prawda?

Jego uwaga wywołała lekką wesołość na widowni. Zachęcony tym Bothanin ciągnął dalej:

- Jestem senator Tiurrg Drey'lye, przewodniczący komisji przygotowawczej do spraw zjednoczenia. To ja zorganizowałem tę imprezę. W ciągu najbliższych paru dni, na zamkniętych i otwartych posiedzeniach, będziemy się zajmować stosunkami między Galaktycznym Sojuszem a państwami Konfederacji, Imperium Galaktycznym oraz indywidualnymi państwami-planetami. Zamierzamy przywrócić wielką unię planetarną i zapewnić jej siłę i bezpieczeństwo na poziomie przewyższającym nawet ten, jakim cieszyła się przed niedawną wojną.

Ben, szesnastoletni syn Luke'a, siedział po jego lewej stronie. Rudowłosy, atletycznie zbudowany chłopiec nosił czarną tunikę i spodnie; ubierał się tak zawsze, kiedy strój Jedi nie był bezwzględnie wymagany. Teraz marszczył brwi z zaciekawieniem.

- A co z Hapanami? Nie zostali zaproszeni? - zainteresował się.

Luke dał mu znak, żeby zniżył głos, chociaż Ben nie mówił na tyle głośno, żeby było go słychać poza stołem Jedi.

- Zostali, ale w niewłaściwy sposób, więc nie przylecieli.

- Co takiego?

Kolejny fragment przemowy Bothanina powstrzymał na chwilę odpowiedź Luke'a.

- Dzisiaj wysłuchamy wstępnych uwag kilku organizatorów tej sesji, a także prelegentów, którzy opowiedzą o celach, jakie mamy nadzieję osiągnąć...

Luke przestał go słuchać i odwrócił się w stronę Bena.

- Hapanie dostali zaproszenie, ale wynikało z niego, że ich obecność nie jest tak niezbędna jak Szcątków czy Konfederacji. Gdyby je przyjęli, wyglądałoby na to, że godzą się na niższy status.

Wiedząc, że będą kolejne szczyty zjednoczeniowe, na których odegrają ważną rolę, oświadczyli, że mają inne zobowiązania, co uniemożliwi im udział.

Ben zmarszczył brwi.

- Dlaczego zaproszenie tak sformułowano? Przez przypadek?

Leia Organa Solo, siostra Luke'a, siedząca po jego prawej stronie, spojrzała na brata i jego syna. Drobną kobietą o ciemnych, lekko siwiejących włosach, ubrała się w brązowe szaty Jedi, podobnie jak jej towarzysze, chociaż jako była przywódczyni Nowej Republiki mogłaby się wystroić podobnie jak najbardziej ekstrawaganccy z obecnych na szczycie polityków i nikt nie miałby jej tego za złe.

Rzuciła Benowi znaczący uśmiech.

- W zaproszeniach wysyłanych do ważnych przywódców nie ma takich przypadków. Oczywiście korpus dyplomatyczny Sojuszu twierdzi, że afront był niezamierzony, i wspomina o „godnym ubolewania nieporozumieniu wynikającym z niewłaściwej interpretacji”, zrzucając w ten sposób odpowiedzialność na przewrażliwionych Hapan.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego Sojusz ich tutaj nie chciał - dociekał Ben.

Luke wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Leia ruchem głowy wskazała na podium i stół po lewej stronie Bothanina.

- Nie chcieli zakłócać współpracy z Imperialnymi.

Zaskoczony Luke jeszcze raz popatrzył w stronę stołu.

Na jego końcu siedziała przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, Natasi Daala. Była to starsza już kobieta, o miedzianych włosach i pięknych rysach, odznaczała się surowym, wojskowym sposobem bycia. Miała na sobie biały admiralski mundur z szerokimi pasami odznaczeń na kurtce. Ta dawna protegowana wielkiego moffa Wilhuffa Tarkina - często posądzana o to, że osiągnęła swoją pozycję, będąc jego kochanką - stała na czele Galaktycznego Sojuszu od dwóch lat. Umiejętnie odbudowywała jego gospodarkę oraz sieć politycznych sojuszy, nadszarpniętą przez niedawną wojnę.

Po jej prawej stronie siedział Jagged Fel, młody przywódca Szczątków Imperium. Wychowany wśród Chissów, zasłużył się jako pilot w czasie wojny z Yuuzhan Vongami. Został przywódcą trochę wbrew sobie, jednak znakomicie potrafił utrzymywać w ryzach imperialnych moffów i pielęgnować trudne relacje między Imperium a Hapanami.

Na prawo od Jaga, najbliżej wciąż gładzącego Bothanina, siedział Turr Phennir, głównodowodzący armii Konfederacji. Był teraz najbliżej faktycznego zwierzchnictwa nad tym luźnym sojuszem planet spośród wszystkich jego liderów. Miał jasną cerę, wygląd arystokraty i bliznę biegnącą od środka lewego policzka do lewego kącika ust. Podobnie jak Fel był w przeszłości pilotem wojskowym. Na początku swojej kariery zasłynął ze stosowania typowo imperialnej zdradzieckiej polityki i okrucieństwa w walce, jednak z biegiem lat zyskał reputację człowieka pragmatycznego i honorowego.

W gruncie rzeczy aż do tej chwili Luke nie zastanawiał się nad faktem, że wszyscy trzej czołowi politycy, jacy znajdowali się obecnie na Coruscant, to Imperialni. Uświadomienie sobie tego było jak kubeł lodowatej wody. Walczył z Imperialnymi przez dziesięciolecia, przyczynił się do niepowodzenia każdej z ich najważniejszych operacji, a teraz oni sterowali... wszystkim.

Leia zerknęła z rozbawieniem na Luke'a.

- Wyczułam cię.

- Dopiero teraz to do mnie dotarło. Wcześniej nie myślałem o nich w ten sposób. A tymczasem los galaktyki znalazł się nagle w rękach Imperialnych.

- Właśnie.

- Kiedy się zorientowałaś?

- Dwa lata temu, kiedy Daala i Fel objęli tak szybko swoje stanowiska.

- Nie wspominałaś mi o tym.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mogłam nic zrobić w tej kwestii. A także nie powinnam. Fakt, że każde z nich jest w taki czy inny sposób Imperialnym, nie znaczy wobec tego, kim są naprawdę. W końcu Rebelia w dużej części składała się z byłych Imperialnych. Crix Madine, Mon Mothma, Jan Dodonna... Ja sama byłam imperialnym senatorem.

- To prawda. A ci troje siedzący przy tym stole przywódcy są ludźmi honoru.

- Ale to nie znaczy, że chcą tego samego co my. Ani że oceniają konsekwencje swoich decyzji tak, jak my je widzimy. -Uśmiech Leii stał się lekko ironiczny. - Pewnie duch Palpatine'a się z nas teraz śmieje.

Luke spróbował się odprężyć. Przez te lata nabrał przekonania, że kiedy zabrakło Palpatine'a i jego bezpośrednich następców, takich jak Ysanna Isard i Sate Pestage, znaczenie słowa „imperialny” mocno się zmieniło. Moffowie, czyli gubernatorzy sektorów, byli często tak samo wyrachowani i skłonni do intryg jak czterdzieści lat wcześniej, za to wojsko, zwłaszcza w Szczętkach, składało się w dużej mierze z ludzi, którzy po prostu woleli bardziej uporządkowane i zdyscyplinowane społeczeństwo niż to żyjące w Sojuszu. Imperium nie było już symbolem tyranii ani planetarnego ludobójstwa.

Jednak osobliwość tej sytuacji nie dawała Luke'owi spokoju. Rozejrzył się, żeby sprawdzić, czy inni przy jego stole mają podobne odczucia.

Kyp Durrone siedział twarzą do podium, a jego mina dowodziła, że myślni jest gdzie indziej i tylko przez grzeczność zachowuje pozory zainteresowania. Jaina, równie piękna jak jej matka, lecz jeszcze bardziej niebezpieczna, skupiła uwagę na osobach na podium, zwłaszcza Jagu Felu. Han Solo, chudy, ogorzały i pełen wigoru, siedział na prawo od Leii. Ubrał się w swoją tradycyjną kamizelkę i spodnie ozdobione koreliańskimi czerwonymi lampasami, wyrażając tym nieformalnym strojem pogardę dla protokołów, jakie obowiązywały przy tego rodzaju okazjach; spod ciężkich powiek zerkał obojętnie na mówcę. Kam i Tionna Solusarowie, po których nie widać już było żadnych śladów brutalnych okaleczeń, jakich doznali w czasie niedawnej wojny, nie zwracali uwagi na Bothanina i szeptali między sobą.

A Hornowie...

Luke zamrugał zdziwiony. Gdzie się podzieli Corran i Mirax? Mieli potem wystąpienia przed dwiema różnymi komisjami i zapowiadali swoją obecność na inauguracyjnej ceremonii. Luke uśmiechnął się gorzko do siebie. Corran Horn był lojalnym sojusznikiem i zawsze stał przy nim w obliczu niebezpieczeństwa, jednak najwyraźniej postanowił nie narażać się na śmierć z nudów podczas uroczystości.

Dwie godziny później wszyscy, którzy siedzieli przy stole Jedi, wylegli na zalany słońcem plac przed budynkiem senatu. Luke poczuł promienie słoneczne grzejące przez jego ciemne szaty

Wielkiego Mistrza.

Han się przeciągnął, aż strzyknęło mu w kościach.

- Byłem bliski śmierci w czasie tych przemówień - powiedział gderliwym głosem. - Na szczęście Leia ciągle mnie szturchała i przywracała moje serce do życia. To pewnie jakaś technika Ciemnej Strony Mocy.

Leia się uśmiechnęła i dźgnęła go dwoma palcami między żebra.

- Taka jak ta?

Han aż się wzdrygnął.

- Au! Właśnie taka. Chyba powinnaś była pozwolić mi umrzeć, bo tych przemówień będzie więcej i niektórych będę musiał wysłuchać.

Leia rzuciła mu spojrzenie pełne dezaprobaty i rozbawienia zarazem.

- Nie było aż tak źle.

Luke uśmiechnął się szeroko i wyciągnął swój komunikator. Wszystkie komunikatory należało wyłączyć przed wejściem do auli. Teraz go włączył i urządzenie natychmiast zaczęło pikać, sygnalizując, że jest kilka nieodebranych połączeń i parę wiadomości do odsłuchania.

Jaina zrobiła to samo i się skrzywiła.

- Znosi się na ciężki dzień.

Luke poczuł to pierwszy - zawirowanie w Mocy, przynoszące uczucie nie tyle zagrożenia, co niepokoju. Rozejrzał się po placu. Z budynku senatu cały czas wylewał się tłum wystrojonych gości. Ruch śmigaczy ograniczał się do wyznaczonych w pewnej odległości pasów...

Ale nie tylko. Cztery granatowe śmigacze do przewozu osób zmierzały w stronę wejścia do budynku. Nie był to żaden niezwykły widok w dzielnicach rządowych Coruscant; służby mundurowe często pilnowały porządku w czasie takich wydarzeń. Zwykle jednak pojawiały się przed startem imprezy, a nie po jej zakończeniu.

Pozostali Mistrzowie także coś wyczuli i wzmogli czujność, choć nie dawali tego po sobie poznać. Jaina to zauważyła i położyła dłoń na swoim mieczu świetlnym.

- Ben - powiedział cicho Luke. - Wmieszaj się w tłum i wezwij Nawarę Vena.

Ben rozejrzał się i też zobaczył transportery. Zacisnął zęby. Wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale jednak się zatrzymał, odłączając się od reszty Jedi, którzy poszli dalej. Wyjął swój komunikator i włączył go.

Cztery śmigacze złamały szyk - jeden minął grupę Jedi i zawisł po ich lewej stronie, drugi gwałtownie zahamował i wylądował na prawo od nich. Trzeci wślizgnął się pomiędzy Jedi a budynek senatu, ostatni zaś zatrzymał się tuż przed nimi. Ten manewr, płynny i najwyraźniej wyćwiczony, zamknął Jedi i Hana w dużym kwadracie o narożnikach utworzonych przez pojazdy. Odbyło się to bez pośpiechu, więc nie wzbudziło niepokoju wśród przechodniów na placu, wielu z nich chciało jednak zobaczyć, co się dzieje, i teraz szli w kierunku pojazdów.

Drzwi po bokach transporterów się otworzyły i z każdego pojazdu wysiadły po dwa oddziały kobiet i mężczyzn w niebieskich mundurach i hełmach Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu. Na piersiach, przedramionach i łydkach mieli czarne odznaki oddziałów prewencji, a w rękach trzymali karabiny blasterowe.

Na pokładzie każdego transportera znajdowali się także cywile; Luke podejrzewał, że to łowcy nagród. Jednym z nich był Quarren w niebiesko-zielonych szatach i z cylindryczną wyrzutnią na ramieniu, która wyglądała, jakby jej pociski były zdolne burzyć średniej wielkości budynki; jego gumowata skóra i wyrastające z twarzy macki były sztywne od koncentracji. Za nimi szła drobna kobieta o długich czarnych włosach, ubrana w ciemne szaty, wyraźnie wzorowane na tych, które nosili Jedi. W ręku miała niezapalony miecz świetlny. Luke nigdy wcześniej jej nie widział. Trzecim cywilem był - rzadkość w tych czasach - Skakoanin w zmechanizowanym kombinezonie w kolorze mosiądzu.

Łowców nagród było więcej, po dwóch, trzech w każdym transporterze. Luke ustalił ich pozycje, ale nie reagował.

Ze strony funkcjonariuszy, którzy rozproszyli się, żeby otoczyć Jedi, Luke wyczuwał mieszane emocje. Niektórzy aż rwali się do walki. Inni byli zaniepokojeni, a nawet wystraszeni, choć starali się nie okazywać tego przed swoimi towarzyszami. Znalazło się też kilku bardzo sfrustrowanych.

Luke popatrzył na swoich towarzyszy.

- Zachowajcie spokój. Wiedzieliśmy od jakiegoś czasu, że do tego dojdzie.

To prawda. Parę tygodni wcześniej do politycznych sprzymierzeńców Luke'a doszły plotki, że rząd Sojuszu przygotowuje przeciwko niemu akt oskarżenia - zarzucali mu zaniechanie obowiązków, związane z jego działaniami w czasie wojny z Konfederacją. Dowodząc eskadrą stealthX-ów, która wchodziła w skład sił Sojuszu w jednej z kluczowych bitew, Luke wycofał swoich Jedi z pola walki i w ogóle z wojsk Sojuszu, po czym poprowadził ich do ataku na Jacena Solo. W innych okolicznościach taki czyn uznano by za zdradę, jednak nikt w Sojuszu nie chciał wnieść oskarżenia przeciw komuś, kto ryzykował wszystko, żeby przeciwstawić się pułkownikowi Solo. W końcu jednak ktoś z rządu najwyraźniej poczuł się urażony tą dezercją i teraz zamierzał domagać się od Luke'a prawnej satysfakcji.

Jeden z funkcjonariuszy, mężczyzna z odznaką kapitana na mundurze, o niemal zaskakująco kwadratowej szczęce i oczach prawie schowanych pod lekko uniesioną osłoną hełmu, prowadził czterech innych członków sił bezpieczeństwa w kierunku Jedi. Luke odwrócił się twarzą do nich.

- Mistrzu Skywalker... - powiedział kapitan posępnym głosem i zatrzymał się dwa metry od Luke'a. Jego podwładni, zaskoczeni nagłym hamowaniem, omal nie wpadli na przełożonego. - Jestem kapitan Savar, Służba Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu. - Uniósł czarną kartę danych, która wydawała się mała w jego obciążonej rękawiczką dłoni. - Mam nakaz aresztowania pana. Proszę nie stawiać oporu.

Luke wyczuwał wzburzenie Hana i Jaina, jednak pozostali Jedi zachowywali spokój. Czuł także Bena w odległości kilkunastu metrów. Chłopak był wstrząśnięty i zdeterminowany.

Luke zaprezentował szeroki, serdeczny uśmiech.

- Ani myślę sprawiać kłopotów, kapitanie. Czy mogę sam się rozbroić?

- Tylko ostrożnie. - Uległość Luke'a najwyraźniej nie zmyliła kapitana, ale Luke wyczuwał rozczarowanie wśród niektórych funkcjonariuszy i większości łowców nagród.

A także, co ciekawe, wśród licznych gapiów stojących poza kręgiem funkcjonariuszy. Luke zerknął w ich stronę. Tłum nie składał się chyba z przypadkowych przechodniów zmierzających do budynku senatu; zbyt wielu z nich trzymało w rękach holokamery, nierzadko profesjonalnej klasy.

Luke powoli odpiął swój miecz świetlny od pasa. Kiedy Savar zrobił krok naprzód, żeby go odebrać, Mistrz Jedi podał broń Leii. Ta przypięła miecz do pasa obok swojego.

Savar zatrzymał się gwałtownie, a na jego twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty.

- To nie jest pełna współpraca, Mistrzu Skywalker.

Leia rzuciła kapitanowi pogardliwe spojrzenie.

- Założę się o miesięczną pensję - pańską nie moją, bo ja nie dostaję pensji - że w tym nakazie nie ma ani słowa o mieczu świetlnym. Na ogół nie wspomina się o nich w takich przypadkach. A wie pan dlaczego? Pewnie nie. Dlatego, że szkody wyrządzone przez jeden miecz są nie do odróżnienia od tych powodowanych przez inne, więc są niemal bezużyteczne jako materiał dowodowy. Czy naprawdę pański nakaz wspomina o mieczu świetlnym?

Savar popatrzył na nią z ukosa i zignorował pytanie. Skierował swoją uwagę z powrotem na Luke'a.

- Proszę się odwrócić i złączyć ręce na plecach. Mam rozkaz założyć panu kajdanki.

Luke posłuchał i odwrócił się twarzą do swoich towarzyszy. Cały czas demonstrował pogodny nastrój. Nie byłoby dobrze gdyby któraś z holokamer zobaczyła go zdenerwowanego, a potem pokazano by nagranie w serwisach informacyjnych.

Kapitan Savar chwycił Luke'a za prawy nadgarstek i skuł mu ręce.

Han nie był równie miły jak Luke.

- Musisz traktować go jak pospolitego przestępcę, banici mózdzku?

Luke poczuł, że Savar sztywnieje; rozpoznał przyływ frustracji, gniewu i, tak, poczucia winy ze strony oficera. To zaskoczyło Mistrza Jedi; najwyraźniej nie był to zwykły pacholek prokuratora czerpiący przyjemność z aresztowania, ale ktoś, kto tego żałował.

- Przecież stawia opór! - Stłumiony i niewyraźny głos musiał należeć do Quarrena. Odwrócił się, trzymany wciąż przez kapitana za prawą rękę, i zobaczył, że Quarren unosi broń i celuje w niego.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie. Pięć mieczów świetlnych, wśród których nie było broni Luke'a, obudziło się do życia z nagłym sykiem i kolorowym błyskiem, by odeprzeć ewentualne ataki. Jeden z funkcjonariuszy, wyglądający na chłopca mniej więcej w wieku Bena, zadrżał i wystrzelił, prawdopodobnie niechcący. Wiązka pomknęła w stronę Luke'a, który uchylił się, nie czując zagrożenia; Kam przyjął ją na swoją klingę i posłał w permabeton.

Han, w którego dłoni nagle pojawił się blaster - mały, lecz skuteczny cywilny model, nie jego zwyczajowy DL-44 - strzelił i trafił w karabin chłopaka, wytrącając mu zniszczoną broń z rąk.

Quarren nie zdążył oddać strzału, bo pod jego szyją znalazł się czubek miecza świetlnego. Ostrze nie należało do żadnego z Jedi, ale do ciemnowłosej kobiety, która trzymała broń pewną ręką, zagadkowo się uśmiechając. Spojrzenie Quarrena spoczywało teraz na niej zamiast na Luke'u.

Funkcjonariusze sił bezpieczeństwa unieśli karabiny, celując to w Hana, to w Jedi, ale jako zdyscyplinowani profesjonaliści czekali na rozkazy kapitana.

Savar odwrócił się w stronę Quarrena z wściekłą miną.

- Nyz, nie rozumiesz słów „pomocnicza rola”? A może jesteś na tyle głupi, żeby świadomie lekceważyć moje rozkazy?

Quarren się zawahał.

- Dziwnie pan zeszywniał. Wyciągnąłem jedyny rozsądny wniosek, że zastosował przeciwko panu jakąś technikę Jedi.

- Jedyny rozsądny wniosek to taki, że jesteś idiotą. I nadal celujesz w więźnia. - Słyszac słowa Savara, połowa funkcjonariuszy wzięła Quarrena na cel, chociaż nie ulegało wątpliwości, że kobieta z mieczem nie potrzebuje pomocy.

Quarren niechętnie opuścił broń. Powiódł wzrokiem od kobiety z mieczem do mierzących w niego funkcjonariuszy.

- Nie powinniście do mnie celować. To nie zwiększa waszych szans na przeżycie.

Na twarzy Savara pojawił się wyraz pogardy.

- A teraz publicznie wygłaszasz pogrożki. To naprawdę infantylne. - Odwrócił się z powrotem w

stronę Mistrza Jedi.

Na skinienie Luke'a Jedi wyłączyli i schowali miecze świetlne. To samo zrobiła ciemnowłosa kobieta. Han wetknął swój blaster do kabury przypiętej z tyłu pasa. Funkcjonariusze w końcu opuścili karabiny, chociaż kilku w dalszym ciągu miało Quarrena na oku.

- Niezły strzał - szepnął Luke do Hana.

Han zrobił kwaśną minę.

- Krótkolufowy szajs. Celowałem mu w nos.

- Jasne.

Savar zaprowadził Luke'a do transportera, który wylądował tuż przed nimi. Po nich wsiadła załoga oraz kobieta w ciemnych szatach Jedi i Skakoanin. Leia nalegała, żeby Luke'owi ktoś towarzyszył, więc Savar wybrał Hana.

- Byle nie Jedi - zastrzegł się.

Luke czekał z Hanem Solo po jednej stronie i pustym siedzeniem po drugiej, słuchając, jak na zewnątrz Savar sztorcuje członków swojego oddziału:

- Bessen, jesteś najgłupszym podkomendnym, jakim kiedykolwiek miałem nieszczęście dowodzić. Kto ci kazał strzelać do więźnia?

- Nikt, panie kapitanie. Ja... ja nie chciałem...

- Dobra odpowiedź. „Nie chciałem, jestem po prostu niekompetentny”. A jesteś wystarczająco kompetentny, żeby zrobić dwieście pompek?

Głos chłopaka przybrał żaloszny ton.

- Tak jest.

- Dobrze. Sierzancie Cam, dopilnujcie, żeby zrobił dwieście pompek, a potem załatwcie transport. On ma wrócić do koszar. Biegiem.

- I pomyśleć, że kiedyś marzyła mi się kariera w armii - szepnął Han.

- Zrobiłeś przecież karierę w armii. Doszedłeś do stopnia generała, a potem przeszedłeś na emeryturę.

- Nie wypominaj mi tego.

- A ty zrobiłbyś dwieście pompek?

- Stul dziób.

Funkcjonariusze przyglądali się szeroko otwartymi oczami, jak dwóch najslawniejszych ludzi w galaktyce, z których jeden został właśnie aresztowany pod zarzutem popełnienia ciężkiego przestępstwa, prowadzi niezobowiązującą konwersację.

Savar wszedł do transportera, zatrzasnął za sobą boczne drzwi, pozostawiając ich w słabym świetle niebieskich prętów jarzeniowych. Usiadł obok Luke'a.

Kiedy transporter wzbił się w górę, Han popatrzył po funkcjonariuszach.

- Kto chce pograć w sabaka? Przeznaczę wygraną na kaucję dla Mistrza Skywalkerów.

ROZDZIAŁ 3

Siedziba Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu, dzielnica rządowa, Coruscant

Luke został przewieziony do budynku Służby Bezpieczeństwa GS, gdzie rozdzielono go z Hanem, który utkwiał w zatłoczonym głównym holu i zaczął korzystać ze swojego komunikatora. Funkcjonariusze zaprowadzili Luke'a do pomieszczenia na zapleczu, gdzie przeszukano go i pozbawiono rzeczy osobistych, a następnie sporządzono krótkie holonagranie dla celów identyfikacji. Potem zaprowadzono go do kolejnego pokoju, wyposażonego w goły stół i krzesła, gdzie kapitan Savar spytał go, czy zgodzi się odpowiadać na pytania bez obecności adwokata. Luke odmówił.

Następnym przystankiem była izolatka - specjalna cela o durastalowych kratkach, za którymi żarzył się blask tarcz energetycznych klasy wojskowej. Tam Luke został rozkuty i pozostawiony sam.

Po jakimś czasie - Luke nie wiedział, jak długo to trwało, bo chronometr był jedną z rzeczy, które mu zabrano - przyprowadzono mu gościa. Był to zielonoskóry, barczysty Twi'lek, elegancko ubrany w szaro-czarny strój urzędowy o stylu typowym dla Coruscant. Lekku - głowoogony - miał zawinięte wokół szyi. Wzgórek czołowy pogrążał jego czerwone oczy w głębokim mroku. Gniewny wyraz twarzy i sztywne ruchy nadawały przybyszowi złowrogi wygląd.

Luke jednak ucieszył się na jego widok. Twi'lek, pilot w czasach chwały Eskadry Łotrów Wedge'a Antillesa, wrócił do praktyki adwokackiej, kiedy stracił w bitwie prawą nogę poniżej kolana. Z protezą kończyny występował jako obrońca w wielu miejscach w całej galaktyce. Stał się znaną twarzą coruskańskiej palestry, przeplatając dochodowe sprawy z procesami pilotów lub związanymi z prawem konstytucyjnym.

Gdy Twi'lek wszedł przez drzwi celi, Luke zerwał się na równe nogi. Tarcze za kratami włączyły się na nowo, a on wyciągnął rękę.

- Witaj Nawara! W końcu do tego doszło.

Nawara Ven uściśnął dłoń Luke'a, ale się nie rozchmurzył.

- Nieprawda. Nie tego się spodziewaliśmy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Może lepiej usiądź. - Wskazał na pryczę, która stanowiła połowę wyposażenia celi.

- Dzięki, nie trzeba.

- Przechytrzyli nas, Mistrzu Skywalker, i czuję się z tym dosyć głupio. Uwierzyliśmy w pogłoski, że chodzi o to, co stało się dwa lata temu, kiedy wyprowadziłeś Jedi z obozu Sojuszu i stoczyłeś prywatną wojnę z pułkownikiem Solo.

- A nie jest tak?

Nawara pokręcił głową.

- Rząd twierdzi teraz, że nie dostrzegając stopniowej degeneracji Jacena Solo, jak określają w żargonie prawniczym przejście na Ciemną Stronę, nie dopełniłeś swoich obowiązków Wielkiego Mistrza Jedi i ponosisz częściową odpowiedzialność za wszelkie konsekwencje jego późniejszych nadużyć władzy. Innymi słowy, przypisują ci udział w każdej śmierci, każdym przypadku tortur, pogwałcenia prawa i wojskowych ekscesów ze strony Galaktycznego Sojuszu w czasie ostatniej wojny.

Luke poczuł, że powietrze ucieka mu z płuc. Usiadł.

- Nie mówisz poważnie.

- Śmiertelnie poważnie. - Nawara zmarszczył brwi, pogłębiając cień, jaki rzucało jego czoło. - Jestem pewien, że chowają jeszcze w zanadrzu powiązany z tym zarzut zdrady stanu jako kartę przetargową w negocjacjach. Najwyższą możliwą karą jest za to oczywiście kara śmierci.

Luke wziął głęboki oddech. Musiał przyznać, że niektóre zarzuty były uzasadnione - powinien był zdać sobie sprawę z wybryków Jacena dużo wcześniej. Fakt, że nie zauważył, co się dzieje, tak jak zresztą prawie nikt w jego najbliższym otoczeniu, świadczył o tym, jak łatwo jest oszukiwać samego siebie i wypierać prawdę ze świadomości.

Oczywiście byli tacy, co wcześniej dostrzegli upadek Jacena. Na przykład Ben, którego Luke nie słuchał. Żona Luke'a, Mara, która zachowała swoje zdanie dla siebie... i przez to zginęła. Jeśli Luke ponosił za coś winę przez to, że nie chciał przyjąć do wiadomości faktów, to właśnie za jej śmierć. Wprawdzie żal zniknął z codziennego życia, jednak ból wciąż powracał w nieoczekiwanych momentach, by ugodzić go prosto w serce. Był to niemal fizyczny ból, niczym cios w brzuch. Wziął jeszcze jeden głęboki oddech.

Nawara przysunął sobie rachityczne metalowe krzesło i usiadł na nim tyłem do przodu, z rękami na oparciu.

- Możemy obalić nawet ten zarzut. Będzie to trudniejsze niż walka, której się spodziewaliśmy, i będzie wymagało porządnego obrzucania się błotem. Wszyscy związani z Jacenem ponoszą taką samą odpowiedzialność, a więc także sporo oficjeli z czasu wojny, a jednak oni nie usłyszeli zarzutów. Możemy udowodnić, że zostałeś kozłem ofiarnym dlatego, że jesteś Jedi. Że jesteś twarzą Zakonu Jedi.

- Uważasz, że dlatego jestem oskarżony?

- Z tego co udało mi się ustalić na podstawie wskazówek, jakie zebrałem od czasu twojego aresztowania, i informacji od moich dłużników, z którymi się skontaktowałem, czekając na widzenie z tobą, to owszem, dlatego.

- Wytłumacz mi to.

Nawara zastanowił się nad odpowiedzią.

- Musisz zrozumieć, ja doceniam Jedi. Doceniam to, co robicie, ryzyko, jakie podejmujecie, i wasze osiągnięcia. Ale nie każdy tak myśli. Jesteście nieprzewidywalni. Z wojskowego punktu widzenia, który także rozumiem, stanowicie zapewne najbardziej irytującą siłę w galaktyce.

To wywołało przelotny uśmiech na twarzy Luke'a.

- Fakt. - Pokiwał głową bez skruchy. - Mamy raczej luźne powiązania z hierarchią dowodzenia i sądowymi precedensami. Osiąganie celów jest dla nas ważniejsze niż wykonywanie rozkazów.

- Obecni i byli przywódcy wojskowi Sojuszu nienawidzą sił, których nie mogą w pełni kontrolować.

- A więc to wojsko za tym stoi czy Daala?

- Przywódczyni Sojuszu, ale wielu wojskowych ją popiera. - Nawara się zawahał. - Mogą w istocie wygrać tę prawną wojnę, nawet jeśli w niektórych bitwach rozniesiemy ich na strzępy. Jeśli uda nam się przeprowadzić skuteczną obronę, tyle brudu wypłynie na wierzch, że Jedi stracą wiele poparcia wśród opinii publicznej i w kręgach rządowych. Byłoby inaczej, gdyby Jedi i rząd nagle postanowili znowu zgodnie współpracować. A może tamci mają argumenty nie do odparcia. Z jednej strony mogą zaproponować ci układ: pozostajesz na wolności i kierujesz Zakonem na ich warunkach. Z drugiej strony mogą po prostu cię skazać. A wtedy pójdziesz do więzienia... albo zrobisz to, co chcieliby, żebyś zrobił: uciekniesz, dając dowód swojej nieodpowiedzialnej i przestępczej natury, i Luke oparł się o kraty za pryczą i zagwizdał.

- Coraz lepiej.

- Planowali to od jakiegoś czasu. Niektórzy z moich informatorów twierdzą, że polecenie mogło zostać wydane rok temu albo nawet wcześniej.

Luke zastanowił się nad tym.

- Więc dlaczego dopiero teraz wydali nakaz aresztowania? Tyle czasu zajęło im przygotowanie aktu oskarżenia?

- Nie. To, że aresztowanie nastąpiło w miejscu publicznym pierwszego dnia szczytu zjednoczeniowego, z całą pewnością nie jest przypadkiem. To ma być komunikat.

- Dla stron, które rozważają powrót do Sojuszu.

- Oczywiście.

Luke podrapał się po brodzie w zamyśleniu.

- Chcą powiedzieć Szczałkom Imperium: „Spójrzcie, wzięliśmy na smycz tych, którzy przez lata

sprawiali wam tyle kłopotów. Możecie bezpiecznie wracać”.

- Też tak sędzę.

- A Konfederacji: „Wy i Jedi mieliście wspólnego wroga w czasie wojny, ale teraz utrzymujemy nad nimi kontrolę, co stanowi kolejny dobry powód do powrotu”.

- Myślę dokładnie tak samo.

- To także jeszcze jeden powód, żeby tym razem wykluczyć Hapan. Królowa matka Tenel Ka nie przyjąłaby przychylnie działań skierowanych przeciwko mnie. Jeśli weźmie udział dopiero w następnym szczycie, sytuacja pewnie zostanie wcześniej rozwiązana, a ona zdąży ochłonąć. - Luke wstał i zaczął się przechadzać. Czuł ucisk w żołądku, albo z napięcia, albo dlatego, że od aresztowania nic nie jadł; musiał sięgnąć do wewnętrznych rezerw spokoju, żeby go opanować. - Nawara, nie wiem, czy możemy i powinniśmy zmienić sposób, w jaki funkcjonujemy w ramach Sojuszu. Służymy wyższemu celom. Życie, spokój, dążenie do sprawiedliwej i szczęśliwej przyszłości. Własne korzyści i ten rodzaj pragmatyzmu, który dopuszcza poświęcanie niewinnych istnień, nie motywuje nas tak jak władze cywilne i wojskowe.

Nawara uśmiechnął się niewesoło.

- Historia, według interpretacji nie-Jedi, pokazuje co innego. Jedi często wykazują egoistyczne i destrukcyjne odruchy, tyle że wtedy przestają mówić o sobie „Jedi”. Tak jak Jacen Solo.

- Masz rację.

- Akt oskarżenia zostanie przedstawiony za dwie godziny. Mogę sprowadzić ci inne ubranie, jeśli wolisz pokazać się sędziemu w czymś świeższym albo weselszym.

Luke spojrzał na swoje czarne szaty Wielkiego Mistrza. Skrzywił się na myśl o tym, że mogą przypomnieć sędziom ubiór preferowany przez Jacena Solo.

- Poślij po moje jasnobrązowe szaty, dobrze?

- Załatwione.

Sala sądowa, Coruscant

W czasie odczytywania aktu oskarżenia Leia, Han i Ben czekali na widowni, którą poza nimi zdawali się wypełniać wyłącznie przedstawiciele prasy, wszyscy z włączonymi holokamerami.

Szaroskóry Durosjanin, wybrany poza standardową rotacją sędziów Sojuszu, okazał się życzliwy wobec Jedi. Wysłuchał oskarżenia, zignorował ostrzeżenie prokuratora, że Luke może próbować ucieczki, nakazał obwinionemu pojawić się na kolejnych rozprawach i wypuścił go za kaucją. Kilka minut później Luke wraz z rodziną i Nawarą Venem opuścił budynek wyjściem, które znane było

Nawarze, ale nie prasie. Wyszli na świeże powietrze, na kładkę na wysokości czterdziestego piętra. Wokół panował wieczorny mrok, rozjaśniony przez lampy na chodnikach i światła pojazdów.

Luke otworzył torbę, którą kapitan Savar wręczył mu po odczytaniu aktu oskarżenia, i zaczął rozkładać swoje rzeczy osobiste po kieszeniach.

- To był ciężki dzień. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł trochę pomedytować.

Leia z ponurą miną wręczyła mu jego miecz świetlny.

- Chyba nic z tego. Robi się coraz ciekawiej.

Świątynia Jedi, Coruscant

Ośrodek medyczny Świątyni Jedi był kompletną, choć niewielką, placówką szpitalną - sala operacyjna, prywatne pokoje pooperacyjne, sale wspólne, zbiorniki z bactą, komory terapeutyczne, sale z uszczelnioną atmosferą, symulujące różne środowiska planetarne, laboratoria - Valin Horn był zaś teraz główną atrakcją oddziału neurologicznego. Przypięty do wyłączonych noszy repulsorowych, które spoczywały na przeznaczonej dla nich platformie, w ciszy mocował się z krępującymi go więzami. Wokół nie było nikogo, do kogo mógłby się odezwać.

Obserwowali go z sąsiedniej sali przez transpastalową taflę, która od strony jego pokoju była lustrzana, a od strony obserwujących przezroczysta. Obok Luke'a stała Cilghal, kalamariańska Mistrzyni Jedi, która była głównym ekspertem medycznym w Świątyni. Obecni byli także pozostali członkowie rodziny Hornów, Leia i Ben. Jysella Horn, siostra Valina, szczupła dwudziestokilkuletnia kobieta, wydawała się absolutnie spokojna, jednak czerwone obwódki wokół dużych, wyrazistych oczu wskazywały, że płakała. Jej matka Mirax wpatrywała się w Valina z posępną determinacją, jakby nie potrafiła odwrócić od niego wzroku.

Cilghal odezwała się pozbawionym emocji głosem, chropowatym jak u większości Kalamarian.

- Pacjent nie zachowuje się racjonalnie i nie jest skłonny do współpracy. Cały czas twierdzi, że wszyscy, których zna, których teraz widzi, zostali zastąpieni przez sobowtóry. Cierpi na paranoję i urojenia.

Leia zrobiła cierpką minę.

- Tak jak Seff, tylko w inny sposób. Seff mówił ciągle o Mandalorianach. - Niedawno, w czasie podróży „Sokołem Millenium”, Leia i Han spotkali Rycerza Jedi Seffa Hellina, który przejawiał oznaki manii równie silnej jak ta, na którą zdawał się cierpieć Valin. Seff opuścił ich towarzystwo, zanim można go było zbadać.

Podobieństwo w zachowaniach tych dwóch niepokojąco przypominało Luke'owi symptomy choroby zakaźnej; nasuwało też myśl, że mogli na nią zapaść w wyniku działania tych samych

czynników.

- Ma wysokie ciśnienie, co zdarza się przy stanach lękowych - ciągnęła Cilghal - a także podwyższony poziom hormonów stresu we krwi. Raporty toksykologiczne, wirusologiczne i bakteriologiczne jak dotąd nie dały żadnej odpowiedzi. Podstawowe badania neurologiczne nie wykazały żadnych uszkodzeń, ale nie udało nam się przeprowadzić dokładniejszych, zaawansowanych analiz.

Luke spojrział na nią.

- Dlaczego?

- Pokażę wam. - Cilghal podeszła do monitora umocowanego na wysokości głowy w ścianie obok iluminatora. Delikatnie, bo jej duże ręce były nie najlepiej przystosowane do tego zadania, wcisnęła kilka klawiszy pod monitorem.

Ekran obudził się do życia i ukazał pięć postrzępionych linii, przypominających proste graficzne wyobrażenie urwistych pasm górskich, jednego nad drugim.

- Oto wyniki badania mózgu - wyjaśniła Cilghal - ukazane w formie fal mózgowych. Różne rodzaje danych są przedstawiane w postaci wykresów graficznych. To są wyniki normalnej istoty, ściśle rzecz biorąc, moje. A teraz pokażę wam wyniki pierwszych badań Valina. - Wcisnęła kolejną sekwencję przycisków.

Obraz na ekranie zniknął, a jego miejsce zajęły linie układające się w poszarpane szczyty i doliny, tak agresywne i ostre, że Jysella mimowolnie zrobiła krok do tyłu.

- Żaden żywy przedstawiciel jakiegokolwiek znanej rasy nie mógłby przeżyć długo, mając takie wykresy fal mózgowych. Parę minut po tym, jak to zarejestrowaliśmy, jeszcze raz sprawdziliśmy odczyt. Za każdym kolejnym razem wyglądał tak samo.

Obraz na monitorze ponownie znikł. Przez chwilę Luke myślał, że nie pojawi się żaden inny, ponieważ ekran był niemal pusty. Jednak po jego lewej i prawej stronie wciąż były liczby. Tyle że pomiędzy nimi nie było linii - ani jednej.

Cilghal zamrugnęła, wpatrując się w ekran.

- To jest odczyt obrazowania mózgu martwej istoty. Valin i Horn z całą pewnością nie jest martwy, niemożliwe więc, żeby jego badanie mogło dać takie wyniki. A jednak dało.

- Już kiedyś widziałem coś takiego. - Luke wpatrywał się z zaciekawieniem w ekran. Po chwili zerknął na Valina, który rzucał gniewne spojrzenia przez iluminator. Nie mógł przez niego nic zobaczyć, a jednak zdawał się patrzeć prosto na Luke'a; może wyczuwał charakterystyczną obecność Wielkiego Mistrza. - Kilka lat temu.

Cilghal wyłączyła monitor.

- Wiem o tym - powiedziała w zadumie. - Może powinieneś wyjaśnić to pozostałym.

- Jacen umiał to robić celowo, stosował taką technikę Mocy. Zrobił tak raz w czasie kryzysu killickiego.

- Czy ta technika jest ci znana, Mistrzu Skywalker?

Luke pokręcił głową.

- Domyślam się, że Jacen poznał ją w trakcie swoich wędrówek wśród różnych grup użytkowników Mocy. - Popatrzył na Hornów. - Ale gdzie Valin się tego nauczył?

Corran pokręcił głową.

- Nigdy o czymś takim nie wspominał. A sędzę, że byłby się pochwalił. „Zobaczcie, co potrafię, czego mój staruszek nie umie”. - Spojrzał na córkę. - To raczej Jysella jest jego powierniczką. Może ona coś wie.

Jysella przeniosła wzrok z ojca na Luke'a.

- Valin i ja znaleźliśmy oczywiście Jacena. Ale on był o kilka lat starszy od Valina, a w okresie dojrzewania to duża różnica. Jacen walczył na wojnie z Yuuzhan Vongami, podczas gdy my przez pół wojny tkwiliśmy w Otchłani, w Schronisku. Przez te lata, które spędził na wędrówkach, nie widzieliśmy go ani razu, a później też nieczęsto.

Luke zmarszczył brwi. Nie wyglądało na to, że Jacen mógł nauczyć Valina tajemniczej techniki Mocy.

- A Seffa Valin znał?

Jysella pokręciła głową, a jej ciemne włosy zakołysały się lekko.

- Nie byli blisko. Studiowaliśmy wszyscy razem w Schronisku i później, ale kiedy zostaliśmy przydzieleni do swoich Mistrzów, rzadko kiedy się widywaliśmy. Od czasu do czasu któreś z nas spotykało go w czasie misji. Byliśmy znajomymi, kolegami, ale nie przyjaciółmi.

Luke westchnął głęboko.

- A jednak podobieństwa są zbyt duże, żeby to mógł być przypadek. Seff znał pewną tajemniczą technikę Mocy, której nie potrafimy wyjaśnić. Jacen też to stosował. To oparty na Mocy paraliż. Wiemy zbyt mało o podróżach Jacena, nie znamy jego procesów myślowych. Niezależnie od tego, czy ma to jakiś związek z Valinem, będziemy musieli poznać jak najwięcej szczegółów na temat tego, co robił w latach poprzedzających kryzys killicki.

Corran ściągnął wzrokiem spojrzenie Cilghal.

- Czy możecie mu jakoś pomóc? Wyrwać go z tego?

- W tej chwili nie. Musimy zaczekać, aż psychologowie ocenią nagrania, które sporządziliśmy. Ponadto potrzebujemy kompletu wyników z laboratorium toksykologicznego. Musimy znaleźć sposób, żeby zakończyć obrazowanie mózgu... Wygląda na to, że on coś robi, żeby zakłócić pracę skanera, i że to działa nawet podczas snu. Wolałabym, żeby się nie obudził po tym ogłuszeniu go przez Mirax, zanim pierwszy raz podłączyliśmy go do skanera.

Wcisnęła jeszcze kilka przełączników na pulpicie kontrolnym. Szybę zasłoniła nieprzezroczysta płyta, odcinając ich od widoku złowrogo spoglądającego Valina. Mirax wzdrygnęła się i odwróciła powoli w stronę pozostałych.

- Chodźmy na górę - powiedział Luke. - Usiądziemy, napijemy się katu i zastanowimy, co z tym zrobić. I z innymi problemami. Ben, chciałbym, żebyś wykorzystał swoje zdolności śledcze i spróbował dowiedzieć się czegoś na temat tych łowców nagród, których dzisiaj spotkaliśmy.

- Zrobi się.

- Nic nie będzie Valinowi, jak zostanie sam? - Głos Mirax był cichy i pełen bólu.

- Jest cały czas obserwowany na monitorach przez mój zespół. - Słowa Cilghal brzmiały pewnie i uspokajająco. - Będą go też odwiedzać co pół godziny albo co godzinę. Nie jest na tyle silny, żeby zerwać więzy, a że podobnie jak jego ojciec nie ma zdolności telekinetycznych, więc nie uwolni się w ten sposób. - Wyprowadziła ich z sali.

Kiedy wychodzili, Luke poklepał Corrana po plecach.

- Mielicie jakieś problemy z władzami?

- Nie czekaliśmy, aż ktoś się pojawi. Wrzuciliśmy chłopaka do śmigacza Mirax i przylecieliśmy od razu tutaj...

Valin czuł, jak odchodzą. Jasne punkty w Mocy, przypominające te, które należały do jego rodziny i szanowanych nauczycieli, oddalały się.

Uśmiechnął się do siebie. Nie byli nawet w połowie tak sprytni, jak im się wydawało. Mogą sobie przeprowadzać te swoje badania, a i tak nie poznają wszystkich jego sekretów, łącznie z tym, który miał go uwolnić.

Zamknął oczy i poszukał innych punktów w Mocy - maleńkich światełek w pobliskich skupiskach. Pojedynczo nie zawierały w sobie wiele energii życiowej, ale było ich nieporównywalnie więcej niż wszystkich inteligentnych istot na Coruscant.

Chodziło o owady. Chociaż oddalił się od nich lata temu, pamiętał, jak być ich przyjacielem. Teraz ich potrzebował. Potrzebował pewnych gatunków. Chciał je przekonać, żeby wypełzły ze szpar w ścianach Świątyni, weszły na jego nosze i zjadły chociaż kawałek jednego z krępujących go pasów.

Jeden pas, a kiedy przyjdzie do niego pielęgniarka, jeden skok. Wtedy Valin ucieknie i odnajdzie prawdziwych ludzi.

Luke'a obudził melodyjny sygnał alarmowy. Usiadł na łóżku, rozglądając się po swojej zaciemnionej kwaterze w Świątyni Jedi, i zobaczył na zapalonym monitorze twarz Cilghal.

- Mistrzynie Cilghal? Która to godzina?

- Środek nocy. Valin Horn uciekł.

Luke westchnął. Tego się właściwie obawiał.

- Co za dzień... Dawno?

- Jakież dwadzieścia minut temu. Jego nocna pielęgniarka, uczennica Romor, nie jest poważnie ranna, ale ma wstrząśnienie mózgu.

- Dokąd mógł się udać? Mamy jakiś trop?

- Nawet lepiej. Wszczepiłam mu pod skórę czip kierunkowy na wypadek takiego zdarzenia. Zacznie to wyczuwać, kiedy środki znieczulające przestaną działać, ale to i tak daje nam kilka godzin. Niestety wygląda na to, że przemieszcza się podziemiami, dlatego sygnał jest przerywany.

Luke wstał i ubrał się w białą tunikę.

- Zawiadam pozostałych Mistrzów. Zwołaj wszystkich Rycerzy Jedi, których zastaniesz w Świątyni. Powiadam Hana i Leię. Będę w Wielkim Holu za trzy minuty.

- A Hornowie?

- Nie muszą wiedzieć.

ROZDZIAŁ 4

Plac przed budynkiem Senatu, Coruscant

Seha siedziała ze skrzyżowanymi nogami na twardym, zimnym permabetonie pośrodku ciemnego placu i wpatrywała się gniewnie w gmach senatu, który miała przed sobą. Ta szczupła dziewczyna po dwudziestce, ubrana jak Jedi, miała długie rude włosy związane gumką.

Była zła, że nic się nie dzieje. Pracownicy biur senackich nadciągali rzędkiem o tej wczesnej porannej godzinie, ale nic z tego nie wynikało. Żaden z nich nie spojrzał w mrok, gdzie czekała Seha. Żaden też nie wyglądał jak Valin Horn.

Obok niej, wyciągnięta na permabetonie, owinięta przed chłodem w długi płaszcz z kapturem, leżała Mistrzini Octa Ramis. Była to korpulentna, dobrze umięśniona kobieta. Miała zamknięte oczy, jakby spała. Błada twarz na tle ciemnych włosów i ciemnego płaszcza była jedyną częścią jej ciała widoczną z odległości większej niż parę metrów. Uśmiechnęła się teraz, nie otwierając oczu.

- Jesteś niespokojna, Seho.

- Wiem, Mistrzini.

- Im więcej w tobie niepokoju, tym mniej jesteś czujna. Seha wskazała na małą skrzynkę urządzenia namierzającego, leżącą przed nią na permabetonie.

- Muszę tylko obserwować ten aparacik. Świeci tak samo, niezależnie od tego, czy jestem spokojna, czy nie.

- Zachowujesz się jak leniwy uczeń. Przypomnij mi, dlaczego pozwoliłam ci wybrać punkt obserwacyjny?

- Ponieważ byłam na misji z Valinem. To znaczy z Jedi Hornem.

- A dlaczego nas tu przyprowadziłaś?

Seha zmarszczyła brwi, skoncentrowana. Przecież już wyjaśniała swój tok rozumowania.

- Bo Valin nie myśli racjonalnie, raczej myśli jak zwierzę. Znaleźć gniazdo, wylizać rany, dojść do siebie. Parę lat temu przyprowadziłam go tutaj, do podziemia. Teraz jest tu więcej zabezpieczeń, ale może znaleźć jakąś kryjówkę. A jeśli trafi tutaj, może wykorzystać swoje zdolności Jedi, żeby ukraść szybki pojazd albo porwać ważnego polityka.

- Brawo. To właściwy powód wyboru punktu obserwacyjnego. Użyłaś rozumu i logiki, żeby nas tu przyprowadzić. A teraz chcesz z tego zrezygnować i gapić się w skrzynkę. Uważasz, że to lepsze niż myślenie?

Seha westchnęła. Nie warto było spierać się z nauczycielką. Jak zwykle.

- Nie, Mistrzynie. - Spróbowała uspokoić myśli.

- Podkochujesz się w nim?

Seha rzuciła Occie zboląle spojrzenie. Czy nie można już mieć żadnych sekretów?

- Tak, Mistrzynie. To znaczy kiedyś się w nim kochałam.

- Wstydzisz się tego?

- Nie. Raczej tego, że zakochałam się w Jacenie Solo.

- Nie ma się czego wstydzić. W końcu Jacen przez wiele lat był dobrym, przyzwoitym Jedi. I do tego przystojnym. Miał to po ojcu. Sama kiedyś kochałam się w jego ojcu.

Seha się uśmiechnęła.

- Nie wierzę.

- Naprawdę. Ale zatłukę cię, jeśli piśniesz komuś o tym słówko.

- Nie powinnam się zakochiwać, przynajmniej w Jedi. Pokochałam Jacena Solo, a on przeszedł na Ciemną Stronę i zginął. Kiedy zakochałam się w Valinie Hornie, chłopak zwariował.

Uśmiech Octy przygasł nieco, ale nie zniknął zupełnie.

- Kiedyś czułam do pewnego Jedi coś więcej niż miłość. Był torturowany przez Yuuzhan Vongów, a potem utonął w lodowatej wodzie, walcząc z nimi. Czy powinnam była przestać o nim myśleć? Przestać go kochać?

- Nie...

- Więc ty też nie powinnaś.

Stojące u stóp Sehy urządzenie zaświeciło nagle. Lampka na jego szczycie zaczęła pulsować słabym złocistym światłem. Migotanie przybrało na sile, potem osłabło, a w końcu się ustabilizowało.

Octa wyczuła podniecenie Sehy. Usiadła i spojrzała uważnie na małą skrzynkę.

- Dobra robota, Seho.

- Dziękuję, Mistrzynie.

- Zlokalizuj go i ruszamy.

Enneth Holkin, asystent protokolarny czcigodnego Denjaksa Teplera, jednego z przywódców Korelii, odprawił swojego szofera spory kawałek przed punktem kontrolnym wyznaczającym strefę wokół budynku senatu, która była zamknięta dla pojazdów cywilnych. Miał tego ranka dużo do zrobienia; dłuższy spacer pozwoli mu uporządkować myśli. Dla bezpieczeństwa włożył kciuk do pierścienia alarmowego pod płaszczem.

Nie byłoby dobrze, gdyby koreliański wysoki urzędnik został przyłapany z bronią podczas szczytu, ale pierścień alarmowy był najzupełniej legalny, a mógł się okazać równie skuteczny w przypadku porwania lub spotkania z przestępcą.

Minął punkt kontrolny i zaczął przemierzać plac, kiedy za plecami usłyszał ciche kroki; ktoś szurał o permabeton. Odwrócił się i zdążył zobaczyć podeszwę buta, zanim kopnęła go w szczękę.

Valin popatrzył beznamiętnie na istotę, którą właśnie zaatakował. Mężczyzna był mniej więcej tego samego wzrostu i miał podobny kolor skóry, co powinno się okazać przydatne.

Zabrał nieprzytomnemu człowiekowi ubranie i teczkę. Nie zawracał sobie głowy dziwnym metalowym kółkiem na lewym kciuku mężczyzny, z którego zwisało kilka centymetrów cienkiego czarnego sznurka.

Jakieś dwieście metrów dalej, w klaustrofobicznym pomieszczeniu ochrony w głębi budynku senatu, stacja systemu bezpieczeństwa odebrała automatyczny sygnał alarmowy na częstotliwości przyjezdnych dygnitarzy. Oprogramowanie wybrało jednego z kilku pracowników ochrony będących na służbie i przesłało wiadomość na jego monitor. Na ekranie wyświetliły się dane Ennetha Holkina: nazwisko, przynależność polityczna, ojczysta planeta i znani współpracownicy. Potem pojawił się holowizerunek jego twarzy i kopia jego kartoteki kryminalnej, zawierającej kradzież zdezelowanego skutera raketowego, kiedy był nastolatkiem na Korelii. Na koniec wyświetliły się współrzędne jego obecnego położenia, bardzo niedaleko od gmachu senatu.

Agent ochrony, szczupły, łysiejący mężczyzna, który po dwudziestu latach pracy na ulicy z przyjemnością zarabiał na życie za terminalem komputera, ziewnął i wstukał na klawiaturze polecenie namierzenia.

Rozmieszczone na placu i na zewnętrznej ścianie gmachu senatu holokamery monitoringu przerwały swój normalny ruch i zwróciły się w stronę podanych współrzędnych. Łysiejący strażnik odbierał obrazy z działających w ultrafiolecie holokamer; wszystkie ukazywały tę samą scenę - bladego mężczyznę z zamkniętymi oczami, leżącego twarzą do ziemi w jednym z najciemniejszych zakątków placu, ubranego w samą bieliznę. Odczyty z kamer na podczerwień wskazywały, że temperatura jego ciała jest mniej więcej stabilna, co sugerowało, że jeszcze żyje.

Agent zmienił kod systemu komputerowego z zielonego na żółty - z normalnego na ostrzegawczy. W odpowiedzi system bezpieczeństwa przejął kontrolę nad zewnętrznymi i wewnętrznymi systemami holokamer, rejestrując położenie każdej wykrytej w okolicy istoty i przesyłając obraz ich twarzy do banków danych, których funkcjonalność znacznie się poprawiła w ostatnich latach Straży Galaktycznego Sojuszu. Każdy senator, asystent, urzędnik, polityk przebywający z oficjalną wizytą, dama do towarzystwa, stróż, szofer, ochroniarz, wszyscy w obrębie obszaru skanowania zostali zakwalifikowani do priorytetowej identyfikacji.

Parę sekund później na ekranie agenta zaczęły się pojawiać znaki ostrzegawcze. Avedon Tiggs, aktor, muzyk i często aresztowany libertyn, opuszczał właśnie budynek z senatorem z Commenora. Gerhold Razzik, członek delegacji Szczątków Imperium, który nie miał żadnych powodów, żeby przebywać w Rotundzie, rozglądał się jak turysta i zapewne nagrywał wszystko, co widział, ukrytą holokamerą. Valin Horn, Rycerz Jedi, przemierzał pewnym, równym krokiem korytarz na poziomie drugim, powinien być niedostępny. Octa Ramis, Mistrzynie Jedi, w towarzystwie młodszej kobiety, również w stroju Jedi, zbliżała się do głównego wschodniego wejścia.

Pracownicy ochrony nie mieli specjalnych wytycznych co do rozpustnych muzyków czy imperialnych szpiegów, za to dostali nowe, bardzo konkretne dyrektywy odnośnie do Jedi.

Agent włączył swój komunikator i połączył się z biurem operacji specjalnych podległym przywódczyni Sojuszu.

- Musisz nas wpuścić - powiedziała Octa.

Ubrana w mundur i kask strażniczka, pilnująca zamkniętego wschodniego wejścia, wzruszyła ramionami.

- Wcale nie muszę.

- Naprawdę musisz. - Octa wykonała subtelny gest jedną ręką i wlała kojące uczucia spokoju i uległości w serce strażniczki. - To sprawy Jedi, bardzo ważne.

Kobieta uśmiechnęła się do Mistrzynie Jedi; byłby to pewnie grymas irytacji, gdyby Octa nie obłaskawiła jej łagodną dobrocią poprzez Moc.

- Po pierwsze, drzwi zostały właśnie zablokowane. To się zdarza bez przerwy. Ale i tak nie ma tu co oglądać. Na pewno wkrótce się dowiemy, o co chodzi. Po drugie, wcale nie muszę was wpuścić, zanim drzwi zostaną odblokowane; nawet nie mogę.

Zirytowana Octa odwróciła się i cofnęła parę kroków do swojej uczennicy.

- Musimy znaleźć inne wejście. Najlepiej ze strażnikiem o odpowiednio słabym charakterze.

Seha wpatrywała się w gołą ścianę budynku.

- On się przemieszcza. Szuka czegoś. Idzie chyba na górę.

- Na pewno szuka pojazdu do ucieczki. - Octa odwróciła się z powrotem w stronę strażniczki i podniosła głos. - Hej, ty, gdzie tu są bramy hangarów?

- To tajna informacja.

- Przecież niektóre z nich są publiczne!

- W czasie blokady wszystko jest tajne.

Octa prychnęła gniewnie i odwróciła się znów w stronę Sehy.

- Nie znoszę dobrych strażników. To najbardziej nieprzydatne osoby we wszechświecie.

- Valin jest rozradowany.

- On cię nie wyczuwa?

- Może. Ale pewnie go to nie obchodzi. Za chwilę stąd ucieknie.

- Połącz się ze mną i przekaż mi to, co czujesz, żebym mogła go zlokalizować.

Seha otworzyła się poprzez Moc, nieśmiało prezentując swoje dokonania. Była kilka lat do tyłu w stosunku do innych uczniów Jedi w jej wieku, z których wielu zostało już Rycerzami. Jednak technikę opanowała prawidłowo i Octa poczuła jej emocje, a także charakterystyczne cechy istoty, którą Seha starała się namierzyć.

Mistrzynie było łatwiej.

- Dziesięć metrów w górę, tędy. - Ruszyła truchtem na północ, wzdłuż ściany, która biegła po łuku w stronę północnego wejścia. Seha podążyła za nią.

Octa wyczuła podejmowaną przez Valina decyzję...

- Zastanawia się nad dwoma pojazdami. A teraz... bierze oba. Jak może wziąć dwa pojazdy?

- Jeden w drugim?

Przekonały się po kilku sekundach, kiedy sto metrów dalej usłyszały przeraźliwy zgrzyt metalu dochodzący z góry. Z budynku przez zamknięty portal wyskoczył prom z oznaczeniami z Kuata. Rozrzucił kawały sztucznego kamienia i durastalowych wsporników w promieniu kilkudziesięciu metrów. Przeciskając się przez dziurę za małą na jego okazały obwód, prom stracił uniesione ku górze skrzydła. Pojazd runął w dół, w kierunku permabetonowej nawierzchni placu. Octa nie widziała ani nie wyczuwała pilota w kabinie promu.

Zanim odezwały się syreny alarmowe w budynku, zagłuszając wszystkie inne odgłosy, Octa

usłyszała jeszcze jeden, bardziej znajomy dźwięk repulsorów, przybierający na sile. Dobiegał ze środka hangaru.

Przyspieszyła, pomagając sobie Mocą, po czym skoczyła, starając się osiągnąć maksymalną wysokość i odległość. Lecząc, krzyknęła do Sehy:

- Pchaj!

Jej uczennica, choć brakowało jej pewności siebie i wyszkolenia, była bystra, a telekineza stanowiła jej mocną stronę. Octa poczuła wsparcie Sehy jako krótki podmuch wiatru, strumień energii, który uniósł ją i popchnął naprzód.

W chwili gdy szary X-wing wylatywał z hangaru przez zniszczone wrota, Octa sięgnęła prawą ręką, próbując uchwycić się kadłuba tuż przed kabiną pilota. Uderzenie poczuła aż w żebrach.

Valin Horn, siedzący w fotelu pilota w niestosownym stroju biznesmena, wyraźnie zaskoczony gapił się na Octę z otwartymi ustami.

Z tyłu uszkodzony prom spadł na plac z hukiem, jaki spowodowały tony metalu i odpadków ceramicznych. Po chwili rozległ się przeraźliwy zgrzyt, jaki wydawał ślizgający się prom, wprawiany wciąż w ruch przez swoje silniki.

Octa doskonale wiedziała, co Valin zamierza zrobić. Powinien teraz przechylić statek, żeby rzucić ją z kadłuba. Ale że nadal tkwił do połowy wewnątrz hangaru, nie mógł tego zrobić. Ryzykowałby uszkodzenie lub nawet oberwanie skrzydeł myśliwca, co zmieniłoby X-winga w drogi, niewygodny i brzydki śmigacz.

Valin się skrzywił i przesunął drążek do przodu, wysuwając się jeszcze o dwa metry z hangaru.

Octa sięgnęła wolną ręką do miecza świetlnego i zdołała go odpiąć. Zapaliła klingę i wymierzyła ją w osłonę kabiny - nie w Valina, ale w miejsce, gdzie osłona łączyła się z kadłubem.

Czubek jej broni, skierowany pod dziwnym kątem i mniej wprawną lewą ręką, odbił się od transpastali i wyrył jedynie bruzdę na jej powierzchni.

Spróbowała jeszcze raz. Valin zaczął na jej atak i dodał gazu, wytrącając ją z równowagi. Nie spadła, a energetyczne ostrze przebiło osłonę kabiny parę centymetrów nad zamkiem. Klinga minęła o włos zaciśnięte na drążku dłonie Valina, uderzyła w przeciwległą stronę osłony i ją także przepaliła.

X-wing wysunął się już całkowicie z wrót hangaru. Valin posłał Occie szyderczy uśmiech, uniósł nos myśliwca i przełączył silniki na pełną moc. X-wing wystrzelił ostro w górę.

Octa poczuła, jak jej prawa dłoń ślizga się po kadłubie. Zjechała w dół wzdłuż kabiny, wymachując wściekle trzymanym w lewej ręce mieczem świetlnym dla zachowania równowagi. Spróbowała zadać jeszcze jeden cios, jej atak jednak nie miał odpowiedniej siły ani precyzji; broń trafiła w osłonę kabiny, daleko od miejsca, w które celowała, i znów pozostawiła jedynie bruzdę.

Valin powinien już przechylić X-winga, jednak tego nie zrobił. Octa straciła cenną sekundę, zastanawiając się dlaczego.

Nagle zrozumiała. Chce mnie porwać jak najwyżej... żebym zginęła, kiedy spadnę, domyśliła się. Rozejrzała się dookoła, ale oczywiście w pobliżu nie było żadnych śmigaczy - nieupoważnione pojazdy nie mogły zbliżyć się do budynku senatu, a upoważnione były o tej porze rzadkością.

Valin rzucił jej ostatnie triumfalne spojrzenie i szarpnął za drążek. X-wing zadygotał. Ręka Octy się ześlizgnęła i kobieta poleciała w dół.

Poczuła ukłucie żalu. Techniki Mocy spowalniające spadanie na niewiele mogły się zdać przy tej wysokości. Kiedy skończy swój lot, zostanie z niej mokra plama.

Wyłączyła miecz świetlny i przypięła go do pasa. Lepiej, żeby nie przepołowił jakiegoś niewinnego przechodnia biegnącego do płonącego promu, który zatrzymał się na ścianie budynku rządowego po drugiej stronie placu.

Mistrzynie Jedi przygotowała się na uderzenie.

Kiedy Octa się ocknęła, zrozumiała, że minęło zaledwie kilka chwil. W budynku senatu wciąż był alarm. Syreny oznajmiały rychłe przybycie innych pojazdów uprzywilejowanych. W głowie słyszała uporczywe dzwonienie.

A więc nie ucierpiała tak bardzo. Ostrożnie zgięła kończyny, obejrzała swoje ciało, zbadła się w Mocy.

Ani jednego złamania.

Otworzyła oczy i zobaczyła klęczącą nad nią Sebę w otoczeniu gwiazd. Wyglądała na zaniepokojoną i przybitą.

- Mistrzynie?

- Nic mi nie jest. - Octa z trudem usiadła. No, może niezupełnie nic. Bolał ją każdy mięsień i była pewna, że ma wstrząśnienie mózgu. - Pomogłaś mi telekinezą?

- Częściowo. I tak mocno się uderzyłaś.

- Nie tak bardzo. - Octa zaśmiała się słabo. - Doskonale się spisałaś.

- Ale przegrałyśmy. Uciekł.

- Nieprawda, wygrałyśmy. Ma na sobie zwykłe ubranie, a jego kabina jest nieszczelna, więc nie poleci w kosmos. A póki będzie w powietrzu, urządzenie namierzające będzie cały czas pokazywać jego położenie. Wypłoszyłyśmy go. - Wstała i rozprostowała plecy, próbując złagodzić ból. - Teraz

inni muszą go schwytąć.

ROZDZIAŁ 5

- Przejdź na kurs dwa-sześć-dziewięć.

Han, zgodnie ze wskazówką żony, obrócił „Sokoła” i skierował go w stronę dzielnicy rządowej. Siedząca w fotelu drugiego pilota Leia trzymała przy uchu swój prywatny komunikator.

Konsoleta łączności „Sokoła” aż huczała od ostrzeżeń coruskańskich służb bezpieczeństwa i kontroli ruchu powietrznego. Nakazywały Hanowi wrócić na wyznaczone pasy ruchu pod groźbą aresztowania. Han warknął coś w odpowiedzi i przełączył urządzenie na cichy tryb.

- Znaleźli go?

- Znaleźli. Leci X-wingiem z dziurą w kabinie.

- Uzbrojonym?

- Dokładnie nie wiadomo. Zabrał go z budynku senatu, więc albo jest to w pełni sprawny pojazd służb bezpieczeństwa, albo pamiątka z lat młodości jakiegoś senatora. Mam nadzieję, że to drugie.

- Ja też.

- Przejdź na dwa-pięć-dziewięć.

- Lepiej nie. - Han zanurkował i poczuł, że wywraca mu się żołądek. Monitor sensorów zapełnił się drobnymi obiektami, które stawały się coraz większe - niewielkimi pojazdami wśród dachów budynków. Pędząc w dół z przerażającą i nielegalną prędkością, manipulował sterami to w lewo, to w prawo, zręcznie wymijając nieduże pojazdy cywilne.

- Han, co ty...

Wreszcie znalazł się pomiędzy nimi; nad sobą i pod sobą miał sznury pojazdów. Wyprowadził statek z lotu nurkowego dwieście metrów poniżej średniej wysokości budynków.

- ...wyprawiasz?

- W ten sposób jesteśmy niewidoczni dla głównych sensorów. Tylko pojazdy, które mają nas na linii wzroku, mogą narzekać.

- To rozumiem. Ale dlaczego nie skręcisz na dwa-pięć-dziewięć?

- On zmienia kurs wyłącznie po to, żeby nas zmylić. Wiem, dokąd leci.

- Dokąd?

- Do kosmoportu na skraju dzielnicy rządowej. Ukradł myśliwiec; a to znaczy, że chce lecieć w kosmos. Nie zrobi tego uszkodzonym statkiem. Potrzebny mu jest inny. Zgadza się?

- Zgadza.

- Jeśli chodzi o pilotów i pilotowanie, wiem wszystko.

- Nigdy więcej nie będę się z tobą spierać - obiecała Leia ze sztuczną słodyczą w głosie.

Han prychnął i zwiększył prędkość. Śmigacz coruskańskich służb bezpieczeństwa, który leciał za nimi, został z tyłu, jakby się nagle zatrzymał.

Luke i Ben, lecący zwinnym czerwonym śmigaczem Bena, wysłuchali domysłów Hana na temat kosmoportu.

Siedzący za sterami Luke pokręcił z niezadowoleniem głową. Port kosmiczny, stosunkowo płaski i położony na znacznie mniejszej wysokości niż otaczające go budynki mieszkalne, biznesowe i rządowe, tak naprawdę nie był, jak wielu sądziło, ulokowany na poziomie gruntu. Pod nim znajdowało się jeszcze wiele kondygnacji zakładów mechanicznych, hangarów naprawczych, bunkrów z czasów Imperium, pomieszczeń dla pracowników portu i kanałów serwisowych.

Jeśli Han miał rację i Valin tam właśnie zmierzał, to nawet gdyby nie udało mu się ukraść sprawnego statku, mógł się zaszyć w tych dolnych rejonach, co utrudniłoby lub nawet uniemożliwiło odnalezienie go, zanim odkryje urządzenie namierzające i zniszczy je.

Ich śmigacz wyłonił się spomiędzy wieżowców i znalazł się nagle nad płaską okolicą kosmoportu. Teren był w większości przeznaczony na parking dla śmigaczy, chociaż zdarzały się tu usiane drzewami trawniki, a nawet niewielkie sztuczne jezioro.

A także stanowiska sensorów. Niemal natychmiast konsola łączności śmigacza zaczęła emitować polecenia. Kazali im zawracać i nie zbliżać się do strefy ograniczonego dostępu.

- Powiedz im, kim jesteśmy. - Luke musiał podnieść głos, żeby było go słychać.

- To raczej nic nie da. Kogo pokazują w wiadomościach jako groźnego przestępcę? Ciebie.

- Nieważne. - Luke zatrzymał śmigacz w pobliżu kręgu wieżowców. Władze mogły zestrzelić podejrzany pojazd zmierzający w kierunku nieocenionych zasobów rządowych i cywilnych środków transportu, nawet jeśli nie był pilotowany przez domniemanego przestępcę. Akty sabotażu i ataki terrorystyczne zdarzały się przecież jeszcze nie tak dawno.

Ben podniósł wzrok znad konsoli łączności, zaskoczony.

- Nie jesteśmy sami.

- Co? - Luke zlustrował obszar powietrzny nad kosmoportem.

Kręciło się tu mnóstwo małych pojazdów, z których większość stanowiły różnej wielkości śmigacze. Zdarzały się też pojazdy służbowe, często oznaczone literami i symbolami na bokach.

Ben wyciągnął ze schowka makrolornetkę i przyłożył ją do oczu.

- Ten z prawej. Ma holokamerę na wieżyczce. Tamten drugi... hej, to Jaina. Za to ten duży, zielony... o, *kriff*.

- Wyrażaj się. O co chodzi?

- Zielony ma powiększoną kabinę kierowcy, a w środku siedzi ten Skakoanin.

Luke zmarszczył brwi. Jakimś cudem wszyscy wiedzieli, że Valin tu leci, łącznie z prasą i łowcami nagród. To znaczy, że otwarte kanały łączności są monitorowane, a osoby, które nie miały żadnych powodów, żeby tu być, dostały informacje z pierwszej ręki. Musieli za tym stać ludzie Daali.

I wtedy go zobaczył, niemal na poziomie gruntu - X-wing pomalowany na szaro według klasycznego wzoru z czasów pierwszej galaktycznej wojny domowej. Światła pozycyjne miał wyłączone; oświetlał go jedynie blask latami na parkingu - leciał niżej, niż wisiły lampy.

- Trzymaj się. - Luke pchnął do przodu drążek sterowniczy, posyłając śmigacz ostro w dół.

Ben się skrzywił - cóż, żaden nastolatek nie lubi, gdy ktoś lekkomyślnie naraża na szwank jego pojazd, co powinno być wyłącznym przywilejem właściciela - jednak powiedział tylko:

- „Sokół” nadlatuje.

- Bardzo dobrze. - Luke ustawił śmigacz na kursie zbieżnym z X-wingiem, co mogło się zmienić w kurs kolizyjny, gdyby coś poszło nie tak, i włączył autopilota. Odpiął pasy i przesunął się w stronę Bena. - Przejmij stery.

Poczuł satysfakcję, widząc zdumienie syna, jednak Ben wykonał polecenie; odpiął się, prześlizgnął się pod ojcem, chwycił za stery i wyłączył autopilota.

Luke wstał, pomagając sobie Mocą, żeby podmuch wiatru nie wyrzucił go z pojazdu.

Liczył, że Ben będzie wiedział, co robić, i się nie zawiódł. Chłopiec wyrównał lot na tej samej wysokości co X-wing, kończąc manewr zaledwie parę metrów za myśliwcem, a następnie ustawił się po jego prawej stronie.

Luke przekroczył dystans dzielący jego siedzenie od kabiny myśliwca. Istniało niebezpieczeństwo, że wypadnie, jednak energia, której dodała mu Moc, zaniósł go na kadłub w tej samej chwili, kiedy Valin Horn zorientował się, że ma towarzystwo. Luke wylądował okrakiem na nosie maszyny, wpatrując się prosto w zaskoczoną twarz Valina.

Młody Horn chwycił za podłokietniki X-winga. Osłona kabiny nagle poleciała do tyłu, a Valin wystrzelił w niebo razem z fotelem pilota, napędzanym przez prymitywną jednorazową rakietę.

- *Stang!* Katapultował się! - Han walnął pięścią w stery.

Leia wyglądała na równie zdenerwowaną jak jej mąż.

- Czy towarowy promień ściągający może...

- Za słaby. Nie zatrzyma celu poruszającego się z taką prędkością.

- W takim razie musimy lecieć za Valinem.

Han pokręcił głową.

- Luke nie da rady wylądować X-wingiem. Może go unieść albo docisnąć, używając Mocy... ale wylądować bez sterów? Nie. Musimy mu pomóc. - Przechylił statek i zanurkował, kierując się w stronę X-winga.

- Katapultował się! - Jaina z trudem odwróciła uwagę od Luke'a, oddalającego się w stronę portu kosmicznego na niedającym się opanować X-wingu, i skupiła ją z powrotem na Valinie, który wzbijał się wciąż w górę w swoim fotelu. Ruszyła w kierunku niesfornego Jedi.

Siedzący w fotelu pasażera Mistrz Kyle Katarn, mężczyzna mniej więcej w wieku Luke'a, o ciemnych włosach i brodzie, przeciągnął się, jak przebudzony z drzemki.

- Masz zamiar ustawić się pod nim i go złapać?

- Owszem.

Katarn wskazał na pobliski śmigacz - dużą ciężarówkę z platformą, na której stało kilka postaci. Pojazd zmierzał w kierunku Valina z o wiele bliższej pozycji.

- Oni też.

Fotel Valina osiągnął maksymalną wysokość i zaczął opadać. Natychmiast włączył się zamontowany w nim repulsor, spowalniając upadek.

Młody Jedi czuł się, jakby dostał potężny cios w głowę, aż rozboleła go kręgosłup. Przy katapultowaniu zawsze tak było -to nieprzyjemne uczucie, ale lepsze niż druga z możliwości.

A w dodatku ten wyraz twarzy fałszywego Luke'a, kiedy wystrzelił w powietrze. Bezcenne.

Na torze opadania Valina ustawiła się ciężarówka repulsorowa. Zaklął pod nosem, chwycił jedną ręką swój miecz świetlny, a drugą złapał za zapięcie pasów bezpieczeństwa.

Kiedy ciężarówka znalazła się tuż pod nim, Valin odpiął pasy i, nie czekając, aż fotel spadnie, skoczył do przodu, zrobił salto i wylądował na ugiętych nogach.

Na platformie ciężarówki czekała dziwna trójka - Quarren z ogromnym blasterem, lśniący droid, budową przypominający nieco szkielet człowieka, oraz wysoka, jasnowłosa kobieta w kurtce ze skóry banthy, ozdobionej kłami i pazurami różnej wielkości i w różnych kolorach. Trzymała kuszę energetyczną, taką, jakich używali Wookie.

Valin uśmiechnął się do nich niezbyt przyjaźnie.

- Dwoje marnych kandydatów na łowców nagród i ich przebrany android protokolarny, tak?

- Poddaj się - zażądał Quarren. - Będzie mniej bolało. - Uniósł swoją groteskową broń, opierając ją na ramieniu.

- Idź się utop. - Valin prawie nie zwracał uwagi na obie istoty organiczne. Koncentrował się na droidzie - był to robot bojowy typu ZYV 1, jedna z najniebezpieczniejszych maszyn, jakie istniały.

Teraz nawet maszyny budziły w nim złe przeczucia. A w dodatku wyczuwał jakiś żywy organizm zmierzający ku niemu z góry...

Zadarł głowę i zobaczył przelatujący nad nim śmigacz, a potem czyjeś obcasy, łopoczące na wietrze szaty Jedi i zapalony miecz świetlny. Wszystko to opadało ku niemu z normalną prędkością.

Kątem oka dostrzegł, że łowcy nagród kierują wzrok w górę, na spadającego Jedi. Postanowił skorzystać z okazji - chwycił swój porzucony fotel i zeskoczył razem z nim z tyłu ciężarówki.

Jaina wylądowała na zgiętych nogach w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Valin. Teraz już go nie było. Wyprostowała się i obrzuciła łowców nagród gniewnym spojrzeniem.

- Darujcie sobie.

- Nie mamy zamiaru zrobić ci krzywdy - zapewnił droid ZYV wyraźnie, zupełnie ludzkim głosem.

Jaina popatrzyła na niego z konsternacją.

- Do czego ty właściwie zostałeś zaprogramowany?

Poczła mrowienie w Mocy, ostrzeżenie przed nadciągającym atakiem. Zauważyła, że Quarren zaciska palec na spuście. Odskoczyła w bok w momencie strzału.

Nic to nie dało. Pocisk, który wyleciał z lufy, błyskawicznie zmienił się w mgiełkę, która spowiała ją szczerze - dopiero po chwili Jaina zorientowała się, że to metalowa siateczka z przyczepionym do niej cylindrycznym pojemnikiem.

Poczuła pierwszy paroksyzm elektrycznego bólu. Zaskoczona, pozbawiona nagle łączności z Mocą, wypadła z repulsorowej ciężarówki i runęła w przestrzeń.

Valin przeleciał kolejne dwadzieścia metrów, trzymając się swojego fotela. W następnym pojeździe, jaki się do niego zbliżał, nie dostrzegł żadnego fałszywego Jedi ani podejrzanych sobowtórów - był to kanciasty, niebieski śmigacz z namalowanym z boku żółtym logo Galaxy 9 News. Jego pilot ustawił pojazd obok spadającego Valina, umiejętnie dostosowując do niego prędkość.

Przez okno od strony pasażera wychyliła się ciemnoskóra kobieta.

- Jedi Horn! Czy to prawda, że jest pan na wojennej ścieżce?

Valin zeskoczył ze swojego fotela prosto na burtę śmigacza, a żeby nie spaść, uczepił się drzwi. Kobieta odsunęła się, wystraszona, ale Valin uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Zabierzcie mnie stąd, a dostaniecie najlepszy materiał, jaki kiedykolwiek wam się trafił.

Kobieta aż wytrzeszczyła oczy. Odwróciła się, żeby wydać polecenie swojemu pilotowi, po czym spojrzała na Valina z szerokim uśmiechem.

- Pomogę panu wsiąść...

- Dzięki, powiszę sobie tutaj. - Śmigacz skręcił ociężale i skierował się w stronę dzielnicy handlowej. - Skąd wiedzieliście, że jestem Valin Horn?

- Kancelaria przywódczyni Sojuszu wydała niedawno biuletyn z informacją o nakazie pańskiego aresztowania...

Zaskoczony Quarren patrzył, jak Jaina Solo znika pod maszyną.

Kobieta w czarnej kurtce poklepała go po plecach.

- Brawo, rybogłowy. Ona nie...

Urwała w pół słowa, bo obok kabiny ciężarówki przemknął elegancki srebrnoszary śmigacz, mijając ją o niecały metr.

Pilot ciężarówki zareagował odruchowo, odbijając na ster- burtę i w dół. Nagły manewr

przechylił mocno platformę.

Quarren zachwiał się i wypadł z ciężarówki. Jasnowłosej kobiecie się udało; przykucnęła, przetoczyła się ze sprawnością i akrobatki i wylądowała bezpiecznie przy niskiej barierce z boku platformy.

Droid ZYV ani drgnął.

Luke wskoczył do kabiny i przez chwilę wykonywał mimowolny taniec, aż znalazł chłodniejsze miejsce na rozgrzanej podłodze wciąż dymiącego przedziału.

Spojrzał na tablicę przyrządów i aż się skrzywił. Żaden z monitorów nie działał. Spróbował poruszyć drążkiem, jednak nie dało to żadnych efektów. Trudna sprawa, jeśli nie wręcz niemożliwa.

Chyba że...

Odwrócił się. W okrągłym otworze za kabiną tkwił szaro-czerwony droid astromechaniczny R2.

- Hej, umiesz tym latać?

R2 zaćwierkał żałośnie.

- Mniejsza o sterowanie. Mógłbyś wyłączyć silniki manewrowe, ale zostawić repulsory na chodzie?

R2 wydał serię zagadkowo brzmiących dźwięków. Luke słyszał, jak systemy myśliwca na przemian tracą i nabierają mocy. Każda z tych zmian trwała ułamek sekundy, a potem R2 zaświergotał potakująco.

- Do roboty. Wykonaj i po problemie. - Luke odwrócił się w stronę bakburty. Ben wciąż mu towarzyszył, lecąc z niemałą wprawą w odległości kilku metrów od niego.

Luke przeskoczył z powrotem do niego, lądując na fotelu pasażera.

- Obserwowałeś cały czas Valina?

- Trzydzieści stopni w górę, dwadzieścia na bakburkę, trzysta metrów.

- Zapnij pasy i zabierz nas tam.

Leia pokręciła głową, widząc, jak Luke porzuca X-winga.

- Nie wiem, w jaki sposób, ale on uważa, że załatwił sprawę.

- Pewnie wykorzystał astromecha. Sam dopiero po chwili na to wpadłem. - Han nie odwracał wzroku od szarosrebrnego śmigacza, który parę chwil wcześniej podążył śladem spadającej Jaina, uwięzionej w sieci; pilot właśnie jednym ruchem przyciągnął Jainę na fotel obok siebie, posługując się Mocą, po czym wyprowadził pojazd z lotu nurkowego. Han zerknął na żonę, która obserwowała cały czas Luke'a, więc nie widziała tego wszystkiego.

Pokręcił głową. Najwyraźniej Jaina nie była nawet zaniepokojona, skoro Leia nie wyczuła niebezpieczeństwa, w jakim znalazła się jej córka. Han wykonał gwałtowny skręt i skierował „Sokoła” w stronę śmigacza agencji informacyjnej, którym odlatywał teraz Valin, oraz goniącej go niemrawo ciężarówce repulsorowej.

- Ten droid ZYV może oznaczać kłopoty. Przejmiesz dolne lasery?

- Chętnie. - Leia szybko odpięła pasy, wstała i ruszyła w kierunku wjazdu prowadzącego do wieżyczki laserów.

Ciałem Jaina wstrząsnęły spazmy, wywołane kolejnym porażeniem elektrycznym.

- Zdejmij to ze mnie.

- Przecież prowadzę, a poza tym powinnaś powiedzieć: „Proszę, zdejmij to ze mnie, Mistrzu Katarn”.

W odpowiedzi burknęła coś opryskliwie, zupełnie jak Han Solo.

Kyle zszedł prawie na wysokość zaparkowanego śmigacza i ruszył w pościg za aktualnym środkiem transportu Valina oraz ciężarówką repulsorową. Ciężarówka wlokła coś za sobą na końcu kabla. Kyle dopiero po chwili rozpoznał, że to Quarren. Kabel, ciągnący się za tyłem pojazdu, zahaczył o jego broń, której łowca nagród trzymał się kurczowo obiema rękami. Ciężarówka przyspieszyła, a Quarren razem z nią.

Kyle, prawie nie patrząc, odpiął od pasa swój miecz świetlny, zapalił go i uderzył w metalowy cylinder, przyczepiony do sieci Jaina, który leżał z tyłu śmigacza. Jednym ciosem przeciął pojemnik, nie naruszając lakiem pojazdu.

- Lepiej?

- Prawdę mówiąc, tak. - Jaina poleżała jeszcze kilka chwil na podłodze pojazdu. Potem zabrała się do zdejmowania z siebie sieci i wkrótce zdołała się z niej wyplątać. - Nie znoszę elektrowstrząsów.

- Zaburzyły twoje panowanie nad Mocą, zmieniając cię z Jedi w mamę gimnastyczkę nękaną dreszczami.

- Można to i tak ująć.

Śmigacz Galaxy 9 News dotarł do dzielnicy handlowej, zanim dogonił go choć jeden ze ścigających pojazdów. Przemknął między wieżowcami, które wyznaczały koniec strefy kosmoportu, i skierował się w stronę niższych pasów mchu.

Ciężarówka repulsorową łowców nagród podążyła za nim, schodząc w dół pod kątem ryzykownym dla tak dużych, niezgrabnych pojazdów. Wciąż ciągnęli za sobą Quarrena, który wyglądał coraz bardziej rozpaczliwie. Za nimi lecieli Jaina i Kyle w swoim śmigaczu, „Sokół”, potem Luke z Benem, a wreszcie sznur śmigaczy pilotowanych przez Jedi, ochronę portu kosmicznego, dziennikarzy i kolejnych łowców nagród.

- Coś takiego! - Kyle wykonał manewr wymijający na chwilę przed tym, jak droid ZYV w ciężarówce repulsorowej otworzył ogień. Smugi blasterowego ognia przemknęły obok jego drzwi, potem tuż nad głową Jaina, a wreszcie pod kadłubem.

Zza śmigacza wystrzeliły cztery jaskrawoczerwone wiązki ognia laserowego i trafiły droida ZYV prosto w klatkę piersiową, zwalając go z nóg. Droid wpadł do kabiny ciężarówki i zniknął.

Z kabiny buchnęły kłęby dymu, a ciężarówka zaczęła łagodnie pikować.

Jaina obejrzała się do tyłu i zobaczyła „Sokoła” lecącego za śmigaczem na nieco wyższym pułapie. Pomachała swojej matce, wyraźnie widocznej w dolnej wieżycze.

- Dzięki, mamó - powiedziała.

- Większość matek najwyżej przygotowuję dzieciom drugie śniadanie. - Kyle dodał gazu, zbliżając się do śmigacza agencji informacyjnej. - Chcesz spróbować jeszcze raz?

- Chyba tak. - Jaina sprawdziła swój miecz świetlny i przypięła go do pasa.

Obok nich przemknął jeszcze jeden śmigacz - bez dachu, czarny z białymi pasami po bokach. Nie był to pojazd cywilny; ryk silników przypominał odgłos ścigacza. Miał tylko dwa miejsca, a pilotem była łowczyni nagród w stroju Jedi. Obok niej siedziała istota, którą Jaina zauważyła już podczas aresztowania Luke'a - Rodianin z wyjątkowo długim karabinem blasterowym. Kiedy ich mijali, kobieta zamachała do Kyle'a i Jaina.

Pasiasty ścigacz zanurkował i po chwili minął pojazd agencji informacyjnej. Jaina zobaczyła, jak Rodianin się odwraca, unosi broń i strzela do niego.

Nie zamierzał go zniszczyć - oddał strzał z chirurgiczną precyzją. Ze śmigacza zaczął unosić się dym. Pojazd się zakołysał, widocznie pilot stracił nad nim panowanie. Po chwili wszystkie iluminatory śmigacza otworzyły się, by wypuścić z kabiny dym.

Luke spróbował na chłodno ocenić sytuację. Los śmigacza agencji informacyjnej wydawał się przesadzony, a więc Valin powinien go jak najszybciej opuścić.

- Ustaw się nad nim, trochę z boku - polecił synowi.

Ben pokiwał głową i dodał gazu. Przeciskając się skrajem pasa ruchu, przeleciał pod „Sokołem”, a potem nad Mistrzem Katarnem i Jainą. Zbliżając się do śmigacza, utrzymał wyższy pułap i odbił na bakburtę, tak że Luke znalazł się bezpośrednio nad dachem pojazdu.

Luke spojrzał w oczy Valina Horna, zeskoczył na dach śmigacza i wylądował na jego rufie, zachowując równowagę dzięki Mocy.

Valin od razu wskoczył na dach.

- Miałem nadzieję, że dłużej ci zejdziesz z tym X-wingiem -warknął.

Luke wskazał na miecz świetlny w ręce Valina - nie była to jego własna broń, ale prosty walec ze lśniącej stali.

- Należał do twojej pielęgniarce?

- Tak. - Valin zapalił klingę. - Niezbyt elegancki, ale...

- Dostyc tego. - Luke ruszył na niego, włączając własny miecz. Valin uniósł ostrze, żeby zablokować uderzenie. Luke przeniósł klingę poza najbardziej oczywistą trajektorię ciosu i przeciął rękojeść broni Valina na pół, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

Klinga młodego Jedi zgasła, a dolna połowa broni spadła w mroczną miejską otchłań. Valin zrobił krok do tyłu; dalej nie mógł się posunąć, nie ryzykując, że spadnie z dachu śmigacza. Reakcja Luke'a była natychmiastowa. Wielki Mistrz uderzył Valina w skroń rękojeścią swojego miecza.

Valin Horn padł jak bantha w rzeźni. Luke przytrzymał go za klapy płaszcza, żeby nie podążył śladem szczątków swojego miecza.

ROZDZIAŁ 6

Pilot śmigacza nie potrzebował instrukcji Luke'a. Wybrał najbliższe nadające się do tego miejsce - fragment kładki dla pieszych na wysokości dwudziestego piętra, na tyle szerokiej, że zmieściłyby się na niej dwa myśliwce obok siebie - i wylądował. Wszystkie pojazdy biorące udział w pościgu znalazły się natychmiast po obu jego stronach - wszystkie oprócz „Sokoła”, który wzbił się w górę, szukając większego lądowiska.

Jaina, Kyle i Ben dołączyli do Luke'a. Na jego polecenie ustawili się na czterech rogach śmigacza, trzymając niezapalony miecz świetlny, i odpędzali nadciągających funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa, dziennikarzy i przechodniów. Funkcjonariusze, wśród których nie widać było żadnego wysokiego stopniem oficera, zawahali się, widząc niespecjalnie wrogo nastawionych, ale uzbrojonych Jedi, i rozstawili się rzędkiem, odgradzając prasę i gapiów, a przy tym odcinając Jedi drogi ucieczki.

Parę chwil później zjawili się Kyp Durrón i Rycerz Jedi Doran Tainer; Luke widział też śmigacze innych Jedi, które zwinnie podchodziły do lądowania w niedozwolonych miejscach. Mistrz Jedi pokręcił głową.

- Będzie niezły pasztet.

- Niezły? - Kyp wyglądał na szczerze zdumionego. - Chcesz pobić galaktyczny rekord w konkursie powściągliwych wypowiedzi?

Wkrótce zjawiała się także ciemnowłosa łowczyni nagród i jej rodiański towarzysz. Oboje wylegitymowali się służbie bezpieczeństwa, przecisnęli się przez jej szereg i stanęli przed Lukiem. Kobieta uśmiechała się radośnie.

- Wydacie nam więźnia? - zapytała. - To oszczędzi wszystkim kłopotów.

Luke pokręcił głową.

- Poradzimy sobie. Możecie wszystkim pomóc, przekonując służby bezpieczeństwa, żeby się wycofały i pozwoliły nam zająć się naszymi sprawami.

Kobieta pokręciła głową.

- Przywódczyni Galaktycznego Sojuszu poleciła nam aresztować zbiegłego Jedi. Na pewno o niej słyszeliście. Nazywa się Natasi Daala.

- O niej słyszałem, za to o was nie. Kim jesteście?

Łowczyni nagród skłoniła lekko głowę.

- Zilaash Kuh. Nie do pańskich usług, obawiam się.

- Nie jesteś Jedi?

Pokręciła głową.

- Nie jestem. A to Kaddit.

Rodianin zerknął w kierunku Luke'a, ale wyraźnie koncentrował uwagę na rosnącej liczbie Jedi i funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa GS.

Hałas był niesamowity - repulsory „Sokoła” wyły, ludzie krzyczeli.

- Cofnąć się! Cofnąć się! Sprawa podlega jurysdykcji Służby Bezpieczeństwa GS!

- Wydajcie więźnia! To nie należy do waszych uprawnień!

- Jeszcze krok, a będziesz dłubał w nosie proteżę!

- Luke! Luke! Kiedy zdałeś sobie sprawę, że jesteś przestępcą?

Wśród przybyłych Jedi znalazła się Mistrzynie Cilghal - funkcjonariusze służby bezpieczeństwa jakoś ją przepuścili. Podała i Valinowi taką dawkę środków uspokajających, że nawet wampa byłaby po niej nieprzytomna przez parę dni. Jednak funkcjonariusze i łowcy nagród najwyraźniej nie mieli zamiaru pozwolić Jedi zabrać Valina. Zilaash i Kaddit skorzystali z okazji, żeby wycofać się poza kordon służby bezpieczeństwa.

Han i Leia precyzyjnie do środka kręgu Jedi. Han pokręcił głową na widok coraz liczniejszych funkcjonariuszy.

- To się wymyka spod kontroli, stary druhu.

Luke pokiwał głową.

- Służba Bezpieczeństwa GS ma uprawnienia, łowcy mają w tym interes, za to my mamy rację. Nikt się nie wycofa, dopóki ktoś nie ucierpi.

Ben wskazał na szereg funkcjonariuszy.

- Widzę jedną znajomą twarz.

Luke spojrzał w tym kierunku. Zobaczył kapitana Savara, uciszającego gestem zebranych wokół niego podwładnych.

- To może nam pomóc - powiedział z namysłem Mistrz Jedi.

Twarcz Leii wyrażała irytację.

- Cóż, na pewno nie zaszkodzi.

Luke oszacował siły po obu stronach. Miał teraz do dyspozycji dwudziestu Jedi, w tym sześciu Mistrzów. Gdyby doszło do konfrontacji, funkcjonariusze służby bezpieczeństwa zostaliby załatwieni - albo i nie, w zależności od tego, ile warta była para sprzymierzonych z nimi łowców nagród.

Luke pomachał, żeby ściągnąć na siebie uwagę kapitana Savara. Oficer podeszedł do niego, nie zważając na karabiny za plecami i miecze świetlne przed sobą.

- Nieźle narozrabialiście - powiedział.

Luke pokręcił głową.

- Gdyby nie my, byłoby o wiele gorzej. Mógłby pan wsadzić tych łowców nagród do jakiejś starej beczki?

- Chciałbym. Niestety nie widzę możliwości.

Luke poczuł przygnębienie; takie samo malowało się na twarzy kapitana.

- No cóż, musimy coś wymyślić. Wystarczy, że komuś zadrży ręka, tak jak wczoraj temu chłopakowi, a zaraz dookoła zaczną latać wiązki blasterowe, ręce, nogi i kto wie co jeszcze.

- A więc oddajcie Valina Horna.

- Skąd pan wie, jak on się nazywa?

- Został zarejestrowany przez holokamerę i zidentyfikowany, kiedy ukradł myśliwiec i rozbił prom z Kuata przed budynkiem senatu.

- Zrobimy tak: polecicie z nami do Świątyni Jedi, a my się zgodzimy, żeby wasz obserwator był obecny przy tym, jak będziemy przesłuchiwać Jedi Horna.

- Dlaczego mielibyście przesłuchiwać naszego więźnia?

Han i Leia przerwali gorączkową naradę i podeszli do nich.

- Wielki Mistrzu... kapitanie - odezwała się Leia swoim najbardziej dyplomatycznym głosem, jakiego używała podczas przemówień jako przywódczyni Galaktycznego Sojuszu. - Mój mąż i ja moglibyśmy zaproponować rozwiązanie, które pomoże znaleźć wyjście z sytuacji.

Kapitan Savar spojrział na nią bez przekonania.

- Słucham.

- Ośrodek Medyczny imienia Mon Mothmy znajduje się mnie więcej w połowie drogi między Świątynią a budynkiem senatu, a więc jakby na granicy obu jurysdykcji. Zawieźmy tam Jedi Horna. To dobrze chroniona placówka i stanowi zamkniętą przestrzeń, możemy więc ograniczyć liczbę pilnujących. Powiedzmy, sześciu Jedi i sześciu agentów służby bezpieczeństwa.

Han pokiwał głową.

- I żadnych łowców nagród ani dziennikarzy. Przynajmniej żywych.

Savar zastanowił się, patrząc na rosnący tłum gapiów i dziennikarzy. Obejrzał się przez ramię.

- Cam! Zarekwiruj jakiś cywilny pojazd nadający się do przewozu co najmniej piętnastu osób - polecił. - Z cywilnym kierowcą. Tylko szybko.

- Tak jest! - Barczysty funkcjonariusz precyzyjnie przeszedł przez szeregi służby bezpieczeństwa i gapiów, a potem oddalił się biegiem.

Wyglądało to jak rekonstrukcja wydarzeń, które miały miejsce dzień wcześniej w ośrodku medycznym Świątyni, tyle że z liczniejszą i bardziej zróżnicowaną obsadą. Jedi, funkcjonariusze służby bezpieczeństwa i Hornowie czekali na diagnozę lekarzy, podczas gdy Valin leżał nieprzytomny. Wiadomości o ostatniej awanturze rozniosły się po sieciach informacyjnych lotem błyskawicy. Jedi przez kilka pierwszych godzin nie mieli zbyt wiele do roboty poza oglądaniem relacji w serwisach informacyjnych.

Nie były zbyt życzliwe. Amatorskie nagrania ukazywały pogrążonego w paranoi, ubranego w szlafrok Valina poprzedniego poranka przed hotelem. Komentatorzy pytali, dlaczego Jedi nie wydali go wtedy władzom, co zapobiegłoby dzisiejszym wydarzeniom. Pojawiła się też krótka informacja o aresztowaniu Luke'a, ilustrowana ujęciami groźnie wyglądających Jedi z zapalonymi mieczami świetlnymi. Potem puszczono nagrania z monitoringu, na których Valin włamuje się do X-winga i promu, a po nich sceny ukazujące w najdrobniejszych szczegółach, jak prom przebija się przez ścianę budynku senatu i spada nieopodal.

Wreszcie nastąpiła końcowa faza eskapady Valina, relacjonowana drobiazgowo przez wysokiej jakości holorejestratory i zdecydowanie zbyt wielu przedstawicieli prasy.

Analitycy ochoczo przypięli Jedi łatkę pozbawionych zasad anarchistów, bawiących się kosztem zwykłych obywateli; w każdym Jedi widzieli potencjalnego Jacena Solo. Luke Skywalker oszczędzono; jego szlachetność była zbyt dobrze znana, za mocno zakorzeniona w publicznej świadomości. Przedstawiono go za to jako oderwanego od rzeczywistości autokratę, dobrotliwego, ale niebezpiecznego ignoranta, przywiązanego do kultury z innej epoki.

Po dziewiątym serwisie informacyjnym Leia ciężko westchnęła.

- Czuję, jak opinia publiczna się od nas odwraca. Wszyscy zamykają się jak zepsute drzwi turbowindy.

Luke pokiwał posępnie głową.

- Jakieś sugestie?

- Pracujący dla Daali mistrzowie reinterpretacji zdołali już przekonać połowę społeczeństwa, że jedynym sposobem na ocalenie cywilizacji jest nałożenie Jedi kagańca. Musisz się przygotować na walkę.

Cywilni lekarze badający Valina postawili identyczną diagnozę jak Cilghal: wysoki poziom stresu, brak fizycznych anomalii, żadnych śladów trucizny ani narkotyków, brak możliwości zbadania funkcji neurologicznych - technika zakłócania pracy skanera działała, chociaż Valin pozostawał pod wpływem silnych środków uspokajających. Następnego dnia Luke i kapitan Savar zgodzili się na zmniejszenie liczby obserwatorów z każdego obozu, przy czym Hornów nie doliczono do ogólnej liczby Jedi. Luke powrócił do swoich obowiązków.

Rząd kazał przygotować akt oskarżenia przeciwko Valinowi Hornowi i wyznaczył termin pierwszej rozprawy Luke'a. Nawara Ven potwierdził, że prokuratorzy chcą wykorzystać przeciw niemu sprawę Valina. Sytuacja Luke'a przedstawiała się więc bardzo nieciekawie.

- Społeczeństwo wciąż odczuwa skutki wojny, w której wszyscy ucierpieli, a nikt nic nie zyskał, do czego miał przyczynić się pewien Jedi - tłumaczył Nawara. - Są mocno rozdrażnieni. Chcą, żeby ktoś poniósł odpowiedzialność za Jacena Solo. Pragną zmiany, która zagwarantuje, że problemy z takimi Jedi jak Jacen i Valin Horn więcej się nie powtórzą. Możesz ich przekonywać, ile chcesz, że ograniczenie praw Jedi w niczym nie pomoże. Oni tego właśnie chcą i stoją murem przeciwko wam.

Faktycznie tak było. Jedi wykonujących swoje zadania często wygwizdywano. Zwykli obywatele, z którymi mieli do czynienia, nagle zaczęli odmawiać pomocy, opóźniać dochodzenia, i to nie tylko na Coruscant. Rozchodzące się po całym Sojuszu wieści sprawiały, że niechęć do Jedi narastała niczym fala na powierzchni stawu. Jaina, wyznaczona na własną prośbę na przedstawiciela Jedi odpowiadającego za kontakty ze Szczętkami Imperium, bywała obrzucana wyzwiskami, nawet w towarzystwie Jaga. Publiczne wystąpienia Jedi zaplanowane w minionych miesiącach teraz odwoływano. Wygrzebano i na nowo rozpowszechniono pracę naukową sprzed kilku lat, stawiającą tezę, jakoby kontakty z Mocą mogły prowadzić do obłędu. Jej autor, mało znany profesor filozofii z Korelii, nagle stał się gwiazdą programów publicystycznych.

Valin - przedmiot bezowocnych badań lekarzy i licznych artykułów prasowych - wszystko to przespał.

Szczyt zjednoczeniowy toczył się dalej, chociaż zszedł na drugi plan. Być może nagły brak zainteresowania mediów był dobrodziejstwem; analitycy polityczni odnotowali obiecujące reakcje Szczętków Imperium i Konfederacji.

Tydzień po ekscesach Valina Luke położył się spać. Leżał trzy godziny w łóżku, nie mogąc zasnąć, aż wreszcie wstał i się ubrał. Przez następne parę godzin krążył po salach Świątyni. Jedi, których mijał, wyczuwali, jak głęboko jest pogrążony w myślach, i nie przeszkadzali mu. Ben obserwował przez godzinę, jak jego ojciec przechadzał się po Wielkim Holu; wreszcie, zaniepokojony, lecz

bezradny, udał się do swojej kwatery, żeby samemu spędzić bezsenłą noc.

Dwie godziny przed świtem Luke odbył kilka krótkich rozmów przez komunikator w swojej kwaterze.

Niedługo potem poszedł pieszo do budynku senatu. Za parę godzin mieli się tam ponownie zebrać uczestnicy szczytu zjednoczeniowego, jednak na razie panował spokój.

Luke'a uprzejmie powitano przy głównym wejściu i zaprowadzono na piętro, na którym znajdowały się biura przywódczyni Galaktycznego Sojuszu. Strażnicy pilnujący wejścia do nich też byli grzeczni, zażądali jednak, żeby oddał swój miecz świetlny i poddał się krótkiemu skanowaniu całego ciała. Zrobił, czego sobie życzyli.

W końcu zaprowadzili go do dużego gabinetu, zaciemnionego i pustego o tej wczesnej porze. Asystent Daali włączył górne oświetlenie i zaproponował mu kaf. Luke podziękował, więc asystent wyszedł.

Wystrój gabinetu dowodził, że obecna przywódczyni Sojuszu ma inną wrażliwość estetyczną niż Jacen Solo i Cha Niathal, jej poprzednicy na tym stanowisku. Jacen lubił naturalne drewno i kolory natury, chociaż w ostatnich miesiącach życia preferował ciemniejsze barwy. Niathal, Kalamarianka, wolała militarystyczne motywy w odcieniach błękitu i zieleni.

Daala najwyraźniej lubiła się otaczać dekoracjami w stylu starego Imperium. Jej gabinet lśnił bielą, a biurka, fotele i sprzęt komputerowy wyglądały, jakby zostały niedawno przeniesione z mostka gwiazdowego niszczyciela.

Drzwi za plecami Luke'a otworzyły się i weszła Daala. Przywódczyni Sojuszu miała znów na sobie biały admirałski mundur. Strażnicy czekali w korytarzu, łypiąc złowrogo w stronę Luke'a, dopóki drzwi się nie zamknęły.

Daala wyciągnęła rękę.

- Witam, Mistrzu Skywalker.

Luke wstał i uściśnął jej dłoń. Obeszła go, żeby zająć miejsce przy głównym biurku.

- Proszę siadać - zaprosiła.

Usiadł. Czuł się dziwnie - spodziewał się, że coś u niej wyczuje: gniew, urazę czy pragnienie zemsty, a jednak nie stwierdził żadnych silnych emocji, żadnej agresji.

- Napije się pan czegoś?

Pokręcił głową.

Przywódczyni Sojuszu położyła łokcie na biurku i oparła podbródek na splecionych palcach.

- Kiedy moi współpracownicy mówią mi, że chce się ze mną widzieć Wielki Mistrz Jedi, to traktuję sprawę poważnie, nawet jeśli toczy się ze sobą walkę w sali sądowej. Zakładam też, że skoro wiadomość nie precyzuje celu spotkania, to lepiej go omówić osobiście. A więc słucham. Co mogę dla pana zrobić? A może pan dla nas?

- Prawdę mówiąc, to nie bardzo wiem. Po prostu wieczorem miałem przeczucie, że powinniśmy się spotkać. Podpowiedziała mi to Moc.

- O co chodziło z tym przeczuciem?

- Nie jestem pewien, ale przypuszczalnie powinienem znaleźć argument, który przekona panią do wycofania oskarżenia. Niezależnie od tego, czy tak będzie, musiałem tu przyjść. Tak naprawdę powinienem być w pobliżu, kiedy ktoś panią zaatakuje.

- Czyżby Moc kazała tu panu przyjść, żeby się pan przekonał, że jestem tylko sobowtórem o twarzy Daali i że musi mnie pan zabić?

- Nie.

- No cóż, w takim razie poczekamy i zobaczymy.

- Bardzo dobrze.

- Proszę dać mi znać, kiedy zdecyduje się pan napić kawy.

- Oczywiście.

- Albo nabierze ochoty na ciasteczka.

Luke westchnął. Impuls, który go tu przywiódł, w dalszym ciągu niczego nie precyzował, a Daala wyraźnie uważała, że Luke marnuje jej czas.

- Skoro czekamy, aż Moc objawi swoją obecność - odezwała się - muszę panu coś powiedzieć. Chciałabym, żeby pan zrozumiał, że ten pozew to nie jest sprawa osobista. Nawet kiedy byliśmy po przeciwnych stronach barykady, kiedy należeliśmy do wrogich obozów, miałam dla pana głęboki szacunek. Przeglądając pańskie akta, doszłam do wniosku, że miał pan potężny i zbawienny wpływ na galaktykę.

Luke uniósł brew.

- A więc tak bardzo zależy pani na tym, żeby uczynić z Jedi posłuszną agendę rządową, że nie ma pani zamiaru wycofać oskarżenia.

- Nie chodzi o posłuszeństwo.

- Racja. Chodzi o to, że się nie zorientowałem, kiedy jednemu z Jedi popsuł się charakter. A było to pewnie o wiele łatwiejsze do zaobserwowania niż, powiedzmy, fakt, że jeden z imperialnych

przywódców postanowił unicestwić całą planetę, żeby wymóc posłuszeństwo na innych światach.

Daala znieruchomiała. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji, jednak Luke wyczuł przez krótką chwilę impuls bólu, jakiego doświadczyła dawno temu, gdy cała miłość, szacunek, a nawet zrozumienie dla Wielkiego Moffa Wilhuffa Tarkina uleciały bez śladu wobec potworności, jakich dopuścił się w imię Imperatora.

Luke żałował, że musiał jej o tym przypomnieć, ale Daala najwyraźniej miała ochotę na wymianę ciosów, a Luke nie był w tej walce bezbronny.

Po chwili odzyskała panowanie nad sobą.

- Nie w tym rzecz. Jest pan tak samo odpowiedzialny za dopuszczenie do przemiany Jacena Solo, jak inni odpowiadali za okrucieństwa imperialnych oficerów. Ale to nie jest powód oskarżenia. To tylko argument, który pozwoli nam pana skazać.

- A więc dlaczego mnie oskarżono? Proszę odsłonić przede mną następną warstwę prawdy.

- Chodzi o sprawiedliwość, odpowiedzialność i rządy prawa.

- A więc o wartości, które Jedi zawsze popierali.

- Wartości, które Jedi zawsze lekceważyli, przynajmniej pod pańskim przywództwem.

Luke nie potrafił ukryć zdumienia.

- To absurd.

- Podam panu hipotetyczny przykład. Obskurny bar w podziemiach Coruscant. Dwóch gości stwierdza, że nie podoba im się trzeci. Atakują go. Jedi interweniuje, w ruch idą blasty i miecz świetlny, odcięte kończyny leżą na podłodze. Zjawiają się przedstawiciele organów ścigania, Jedi zdaje im zwięzłą relację, po czym rusza ku następnej przygodzie.

Luke pokiwał głową.

- To uproszczony i zanadto barwny opis, ale przyznaję, takie sytuacje się zdarzają. - W istocie niemal dokładnie taki wypadek, w którym odegrał rolę niedoszłej ofiary, przydarzył się Luke'owi wiele lat wcześniej, zanim jeszcze sam został Jedi.

- Nie widzi pan nic złego w sposobie załatwienia tej sprawy?

- Nie bardzo.

- Po pierwsze, okaleczenie podejrzanych. Czy Jedi nie mógł by ich pokonać bez obcinania im rąk?

Luke pokiwał głową.

- Być może. Pewnie tak. Ale kiedy tamci sięgają po blastery, sytuacja staje się znacznie bardziej niebezpieczna dla wszystkich, łącznie z gośćmi lokalu i samym Jedi.

- A czy ten Jedi nie mógłby ich jakoś rozbroić przy użyciu Mocy?

- Czasem tak bywa. Ale uważam, że Jedi w pani przykładzie podjął właściwą decyzję.

- Niby dlaczego?

- On nie reagował tylko na to, co widział i co wiedział z doświadczenia. Miał kontakt z Mocą. Moc ostrzegła go o faktycznym stopniu zagrożenia, więc odpowiednio zareagował.

- Szkoda, że Moc nie może zaświadczyć w sądzie o sugestiach, jakie podsuwa Jedi.

- Ale to prawda.

- Albo o tym, co mówi Sithom. Moc komunikuje się też z Sithami, prawda?

Luke zamrugał.

- Ciemna Strona Mocy... owszem.

- Nie powiedział pan, że pański Jedi słucha tylko tej dobrej strony...

- Jasnej.

- Tak, dziękuję. Mówił pan po prostu o Mocy. Cóż, założmy, że nasz hipotetyczny Jedi słucha tylko tej dobrej Mocy. Mimo wszystko bardzo często kończy się to okaleczeniem.

- Przecież trudno tu mówić o trwałym upośledzeniu. Współczesne protezy są nie do odróżnienia od prawdziwego ciała. - Uniósł własną sztuczną dłoń i poruszał palcami na dowód.

- Jednak ktoś musi za nie zapłacić, nierzadko państwo, jeśli właściciel amputowanej kończyny pochodzi z niższych klas, a następnie konserwować, co wymaga znacznie więcej kredytów i technicznych umiejętności niż utrzymanie normalnej kończyny.

- Przyznaję. - Luke stłumił niecierpliwe westchnienie. -A więc to o to chodzi? O przekonanie sędziów, że koszty odcinanych kończyn są wyższe, niż zaleca rząd?

- Nie, nie... tu chodzi o Jedi, którzy zdają pobieżne relacje organom ścigania, a potem znikają. Albo ułatwiają się, nie mówiąc nic nikomu. Albo odmawiają odpowiedzi na najważniejsze pytanie oficera śledczego. I w każdym przypadku uchodzi im to na sucho.

- W dalszym ciągu nie rozumiem.

- Wy tłumaczę to panu. Zjawiają się funkcjonariusze organów ścigania, Jedi zdaje relację w pięćdziesięciu słowach, funkcjonariusze mówią: „Dziękujemy, teraz musimy się udać na najbliższy

posterunek, żeby spisać zeznania”, Jedi oznajmia: „Przepraszam, mam inne sprawy” i już go nie ma. Czy Jedi zareagował z odpowiednią siłą? Pan uważa, że tak, ale my nigdy się tego nie dowiemy, bo za chwilę on już jest na Commenorze, gdzie walczy z przestępczą rodziną, potem w Gromadzie Hapes...

- Zazwyczaj Jedi składa zeznania. Współpracuje w takim zakresie, jakiego wymagają lokalne władze.

- Zazwyczaj tak. Mam tu jednak raport na temat Rycerza Jedi nazwiskiem Seff Hellin, który zaledwie parę tygodni temu zaatakował funkcjonariuszy organów ścigania. Nie wiem, jakie miał pilne sprawy, ale nie wrócił, żeby zaofiarować władzom pomoc i współpracę.

Luke ledwie mógł usiedzieć na miejscu. Żałował, że nie ma z nim Nawary Vena, chociaż Daala nie miała wsparcia adwokata.

- Rozumiem, że niekompletne raporty i niedokończone dochodzenia mogą być dla rządu frustrujące. Jednak musi pani uwierzyć, że podjęliśmy właściwą decyzję we właściwym momencie. Jesteśmy w tym szkoleni.

Uśmiech, który mu posłała, był lodowaty jak śnieżne pustkowia Hoth.

- Ależ wierzę. Wrócimy do tego. Wielki Mistrzu, hipotetyczne zdarzenie, które opisałam, pokazuje na bardzo prostym i bardzo powszechnym przykładzie, że Jedi stoją ponad prawem.

- Nieprawda. Każdy w opisanej przez panią sytuacji mógłby użyć siły ze skutkiem śmiertelnym, broniąc ofiary przed pobiciem.

- Ale byłby wówczas zmuszony złożyć zeznania i pozostać do dyspozycji władz do czasu zakończenia śledztwa. Jedi nie respektują tego obowiązku ani żadnego innego prawa, które im nie odpowiada. A podejmowanie decyzji o obcięciu komuś kończyny jest niebezpiecznie bliskie wykonywania wyroku w chwili interwencji. Prokurator, sędzia i kat w jednej osobie: Jedi.

- Przykro mi, że odnosi pani takie wrażenie. - Luke zmarszczył brwi. - Przyszedłem tutaj w nadziei, że zdołam panią przekonać do wycofania oskarżenia. Teraz jednak zastanawiam się, czy nie powinienem przebrnąć przez całe postępowanie po to tylko, żeby pokazać opinii publicznej, że chcemy współpracować z władzami. Że wcale nie stoimy ponad prawem.

Daala pokiwała głową z przyjaznym uśmiechem.

- Pomówmy o Kypie Durronie.

- Mistrz Durron jest wspaniałym, odpowiedzialnym Jedi.

- Nie chodzi mi o Jedi, którym jest teraz. Chodzi mi o nastolatka, który przed laty prawie unicestwił życie, jakie istniało w układzie Caridy.

Luke, już mniej opanowany, poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Znajdował się wtedy pod wpływem Ciemnej Strony Mocy i mentalnego przekazu nieżyjącego od dawna Lorda Sithów. Jednak od tego czasu dał się poznać jako odważny obrońca życia...

- Owszem, nie kwestionuję tego. Chciałabym jednak, żebyśmy się cofnęli o jakieś trzydzieści lat, do momentu, kiedy zabił wszystkich, którzy nie zdążyli się ewakuować z Caridy w ciągu dwóch godzin, bo tyle dał wspaniałomyślnie miejscowej ludności. To prawda, zniszczony przez niego układ należał do Imperium, waszego ówczesnego wroga, co umniejsza jego zbrodnię w pańskich oczach. Czy dlatego go pan osłaniał, chronił od konsekwencji prawnych, szkolił?

- Nie.

- Więc dlaczego?

- Ponieważ zajrzałem mu w serce i zobaczyłem, że uwolnił się od cienia Exara Kuna, że nie jest już agentem Ciemnej Strony, że żałuje tego, co zrobił.

- Powiedział, że jest mu przykro i mówił to szczerze? Więc to ma być wystarczające zadośćuczynienie dla milionów, które zginęły na Caridzie?

- Nadmiernie pani upraszcza. Wiedziałem, że wrócił na właściwą drogę.

- Ponieważ potrafi pan to zobaczyć. Jedi są w tym szkoleni, prawda?

- Tak.

Daala westchnęła.

- A więc tylko dlatego, że potrafią wejrzeć w czyjeś serce, oddzielić prawdę od kłamstwa, zobaczyć przyszłość, w której nawrócony przestępca spędza życie na zrywaniu kwiatów, mają prawo decydować o tym, komu należy dziękować, a kogo zabić, komu wybaczyć, a kogo pozostawić zwyczajnym stróżom prawa? Chronią zwykłego obywatela, ale przed nim nie odpowiadają. Nie płacą za swoje błędy. Podporządkowują się rozkazom rządu, jeśli są zgodne z ich kodeksem moralnym, a lekceważą je, kiedy są z nim sprzeczne. I to nie jest w porządku. Każda inna grupa wykazująca taką arogancję, taką pogardę dla rządów prawa, zostałaby uznana za organizację przestępczą. I o to ostatecznie chodzi w tym procesie.

Nie miała racji, ale tylko z punktu widzenia Jedi. Wystarczyło usunąć z tego równania Moc i nagle okazywało się, że Daala ma słuszość. Luke'owi działało to na nerwy. Trudno było mu przypomnieć sobie, jak to jest, kiedy przy podejmowaniu decyzji nie można się wspomagać Mocą.

I wtedy to dostrzegł - zło, które Moc chciała mu pokazać. Zobaczył je jako proces, tendencję, której on sam był częścią.

Starając się patrzeć na wszystko z perspektywy Daali, a także zwykłego obywatela, wreszcie zrozumiał: jeśli galaktyka uważa, że Jedi stoją ponad prawem, to wkrótce zaczną się mnożyć nadużycia, wyrastające z tego przekonania niczym trujące chwasty z kupy gnoju.

Młodzi Jedi, widząc łatwość, z jaką ich Mistrzowie unikają zwykłych, lecz uciążliwych powinności obywatelskich, zaczęły myśleć, że takie zachowanie jest ich przywilejem. Ci, którzy znajdą się blisko granicy między Jasną a Ciemną Stroną Mocy, zorientują się, że Kyp Durrone nie poniósł żadnych widocznych konsekwencji swoich czynów na Caridzie... przyjmą także zapewnienie Luke'a, że Darth Vader został odkupiony, że pomimo swoich licznych zbrodni umarł jako Jedi, a nie Sith, ale nie rozumieją prawdziwego znaczenia tej historii.

Spadło to na Luke'a jak ołowiany całun. Żeby powstrzymać narastanie tego zła, musiał przegrać proces, musiał zostać ukarany. Po to właśnie przyprowadziła go tutaj Moc - żeby to zrozumiał.

Spojrzał w oczy Daali.

- Czy ma pani zamiar wnieść oskarżenie także przeciwko Mistrzowi Durronowi?

- Nie, ale mogłabym zezwolić na jego ekstradycję do Szczątków Imperium, gdzie odpowiadałby za planetarne ludobójstwo. Przywódca Imperium Jagged Fel niechętnie przedstawił propozycję rady moffów w tej sprawie. Można by oczywiście tego uniknąć, gdybyśmy wcześniej dali wszystkim wyraźny przykład.

Luke pokiwał powoli głową.

- Przyszedłem tu w nadziei, że w bezpośredniej rozmowie, bez szepczących nam do ucha adwokatów, możemy dojść do porozumienia. Po tym, co usłyszałem, jestem pewien, że możemy.

- A więc słucham.

ROZDZIAŁ 7

Sala rozpraw numer 9, sąd na Coruscant

To naprawdę była sala rozpraw - miejsce, gdzie wymierzano sprawiedliwość, a w czasach reżimów, takich jak ten Jacena Solo, również niesprawiedliwość. Ściany były wyłożone ponurymi drewnianymi panelami; stoły i stojące na podwyższeniu biurko sędziny wykonano z ciemnego, starego marmuru z Ithoru o pięknej barwie kafu.

Luke obserwował przebieg procesu w stanie lekkiego oszołomienia, spowodowanego brakiem snu i poczuciem nierealności, jakie wywołała u niego własna decyzja.

Sędzina, groźnie wyglądająca Falleenka, której bladozielona skóra mocno kontrastowała z czarnymi szatami, siedziała przy biurku, studiując dokumenty, które dostarczyli jej Nawara Ven i oskarżyciel. Na widowni słychać było lekki szmer rozmów, a Luke wyczuwał nastrój wyczekiwania, przekraczający znacznie poziom hałasu. Oto zaczynała się pierwsza rozprawa w procesie Luke'a Skywalkera i wszyscy chcieli zobaczyć, jak leje się krew - mówiąc obrazowo.

W końcu sędzina podniosła wzrok, spojrzała na Luke'a i dwóch prawników - i przemówiła.

- W sprawie numer igrek-zero-zero-cztery-trzy-myślnik-siedemnaście tysięcy czternaście Galaktyczna Federacja Niezależnych Sojuszów przeciwko Luke'owi Skywalkerowi została osiągnięta ugoda zaakceptowana przez oskarżenie, obronę i przeze mnie.

Na widowni rozległ się cichy jęk zawodu. Luke wyczuwał powód niezadowolenia publiczności. Tygodnie przesłuchań, opowieści o zbrodniczych czynach Jacena Solo, wstydlive rewelacje, wszystko to miało zostać przekreślone, zanim zdążyło zaistnieć w pełnej krasie medialnej sensacji - skasowane przez ugodę.

Cóż, właściwie to zabawne. Jednak Luke'owi zupełnie nie było do śmiechu.

- Proszę oskarżonego o powstanie.

Luke i Nawara Ven wstali.

- Zgodnie z nowym aktem oskarżenia na oskarżonym ciąży obecnie jeden zarzut: nieumyślnego spowodowania zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego. Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Luke odchrząknął.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Oskarżony zostaje zatem uznany za winnego zarzucanych mu czynów. Proszę usiąść. - Kiedy Luke i Nawara usiedli, mówiła dalej: - Przewód sądowy został zakończony. Wyrok brzmi: Oskarżony

zostaje skazany na wygnanie z Coruscant na okresco najmniej dziesięciu lat. Kara rozpocznie się jutro, godzinę przed północą według obowiązującej strefy czasowej. Skazany musi pozostawać w odległości nie mniejszej niż pięć lat świetlnych od wspomnianego świata. W tym okresie nie wolno mu pełnić funkcji Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi ani żadnej funkcji kierowniczej lub doradczej w tymże Zakonie. Przez ten czas skazany nie może odwiedzać ani zbliżyć się na odległość mniejszą niż jeden rok świetlny do jakiegokolwiek świata, na którym znajduje się Świątynia Zakonu Jedi, szkoła Zakonu Jedi lub inna placówka podlegająca Świątyni Jedi. Skazany nie może też zakładać żadnej nowej Świątyni Zakonu Jedi, szkoły Zakonu Jedi ani żadnej innej placówki podlegającej Świątyni Jedi oraz żadnej instytucji, która przypominałaby pod względem struktury lub organizacji wymienione wyżej obiekty i mogłaby zostać przekształcona w jeden z nich po zakończeniu odbywania przez skazanego kary. Skazany przekaże obowiązki przywódcy Zakonu Jedi Mistrzowi Kenthowi Hamnerowi i nie będzie wywierał na niego żadnego wpływu przez cały okres odbywania kary. Jakiegokolwiek naruszenie powyższych warunków będzie skutkowało zaostreniem kary: umieszczeniem w zakładzie karnym o zaostrozonym rygorze na pozostałą część wspomnianego dziesięcioletniego okresu. Zgodnie z postanowieniami zawartego porozumienia kara może zostać złagodzona lub darowana, jeśli skazany udowodni, że zdołał ustalić naturę zdarzeń i innych czynników, które doprowadziły do nienormalnego i destrukcyjnego zachowania pułkownika Jacena Solo przed i w trakcie drugiej galaktycznej wojny domowej. Decydujący głos będzie należał w tej kwestii do komisji, w której skład wejdzie po jednym z prominentnych członków następujących instytucji: organów sędziowskich Galaktycznego Sojuszu, Towarzystwa Medycznego Galaktycznego Sojuszu oraz sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu. Każdy z tych członków zostanie wyznaczony przez kancelarię przywódczyni Galaktycznego Sojuszu. Czy skazany zrozumiał te warunki?

Luke pokiwał głową.

- Tak, Wysoki Sądzie. - Rozumiał bardzo dobrze. Negocjowali je z Daalą punkt po punkcie zaledwie kilka godzin wcześniej. Jednak pomimo roli, jaką odegrał w ich ustaleniu, Luke miał wrażenie, że tkwi w smutnym i męczącym śnie.

- Wyrok jest prawomocny. Tym samym zamykam rozprawę. - Sędzina wstała i wszyscy w sali uczynili to samo, patrząc, jak Falleenka znika w prywatnym wyjściu za podwyższeniem.

Gdy tylko wyszła, w sali zahuczało od rozmów, okrzyków i błagań dziennikarzy o parę słów komentarza ze strony Luke'a.

Wielki Mistrz stał tyłem do widowni. Ochrona wpuściła Jedi i rodzinę Luke'a do strefy zarezerwowanej dla adwokatów i ich klientów i nagle Luke znalazł się w objęciach Leii, Hana, Bena i Jainy, podczas gdy reszta Jedi utworzyła żywą barierę między nim a widownią.

- Dziesięć lat - wykrztusił Ben. Wyglądał, jakby skuter raketowy trafił go w głowę.

- Będziemy się odwoływać - zdecydowała Leia.

- Kenth Hamner? - Han wyglądał na zaskoczonego. - Został wybrany dlatego, że jest najnudniejszym Jedi w historii? Wystarczą jego dwa zdania, żeby uśpić kowackiańską małpójaszczurkę.

Luke odniósł się najpierw do słów siostry.

- Nie będziemy się odwoływać. Wynegocjowałem wszystko. To jest ugoda.

- Bez konsultacji ze mną - dodał Nawara Ven oburzonym szeptem, tak żeby tylko Jedi mogli go usłyszeć.

- To na pewno nie będzie całych dziesięć lat - zapewnił Bena Luke. - Słyszeliście warunki złagodzenia kary na końcu.

Han pokręcił głową.

- Chłopie, Daala sama ci wyznaczy trybunał. Wybrałaby Palpatine'a, Lumię i Shimrę Jamaane, gdyby jeszcze żyli.

Luke zbył tę uwagę machnięciem ręki.

Podszedł do nich kapitan Savar, ubrany w mundur Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu. Miał posępny wyraz twarzy.

- Sędzina Zudan prosiła, żebym przekazał, że może pan opuścić salę jej wyjściem i tylnym korytarzem, jeśli chce pan uniknąć prasy.

Luke pokiwał głową.

- Chętnie.

- Proszę za mną.

Tego wieczoru Luke zwołał konferencję Rady Mistrzów Jedi.

- Będę się streszczał - zaczął - jako że czeka mnie dużo przygotowań przed jutrzejszym wieczorem, no i nie chcę przeciągać nieprzyjemnego wydarzenia. Po pierwsze, zawieszam pełnienie obowiązków Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi do czasu, aż moja kara dobiegnie końca, zostanie złagodzona lub anulowana przez sąd. Decyzja ta wchodzi w życie z chwilą mojego odlotu z Coruscant.

Kyp Durron się uśmiechnął.

- Po raz pierwszy od początku tej całej historii dałeś mi trochę nadziei.

Luke spojrzał na niego, zaintrygowany.

- Jak to?

- Nie ustąpiłeś całkiem z funkcji Wielkiego Mistrza. To znaczy, że masz zamiar wrócić i ponownie objąć stanowisko.

- Tak. Mam taką nadzieję. Liczę na to, że nie będzie żadnych dzikich orgii w Sali Mistrzów pod moją nieobecność. - To dobrze, że potrafił zdobyć się na żart, nawet wyświechtany. -Po drugie, wyznaczam Mistrza Kentha Hamnera na pełniącego obowiązki Mistrza Zakonu.

Po Hamnerze, wysokim, jasnowłosym mężczyźnie o nienagannej wojskowej postawie, widać było, że bogactwo i władza były od pokoleń obecne w jego rodzinie. Teraz posłał Luke'owi błady uśmiech.

- A więc ja też nie miałem możliwości negocjowania wyroku.

- Przywódczyni Sojuszu i wojsko mają do ciebie zaufanie. -Luke popatrzył na Hamnera ze zrozumieniem. - Sam jesteś sobie winien, że masz takie doświadczenie wojskowe.

- Będę służył najlepiej, jak potrafię, Wielki Mistrzu.

- Co będziesz robić podczas swojej nieobecności, Mistrzu Skywalkerze? - spytała Mistrzynie Octa Ramis, która doszła już do siebie po drobnych kontuzjach, jakich doznała w trakcie pogoni za Valinem.

- Mam zamiar zrobić to, co wynegocjowałem z przywódczynią Sojuszu: dowiedzieć się, co spowodowało Jacena na Ciemną Stronę, a następnie ustanowić procedury, które pozwolą przewidzieć podobne skłonności u innych Jedi. Jeśli będziemy mieć szczęście, może się okazać, że ma to jakiś związek z tym, co przytrafiło się Valinowi i Seffowi. Na początek spróbuję jak najwierniej odtworzyć trasy podróży, jakie Jacen odbył przed kryzysem killickim. Liczę na to, że gdzieś po drodze znajdę odpowiedź.

Mistrz Hamner złączył dłonie i popatrzył na Luke'a.

- Wiem, że ma to na celu dobro Zakonu Jedi, chociaż nie możesz nam doradzać aż do końca odbywania kary. A że postanowienia sądu nabierają mocy dopiero jutro, proponuję wszelką pomoc, jakiej możesz potrzebować do wypełnienia swojej misji. Musimy wszystko załatwić w ciągu najbliższej doby.

- Zamierzam korzystać z jachtu Mary. To będzie mój główny środek transportu i jednocześnie dom. Podróż nie stanowi więc problemu, ale środki operacyjne już tak. Właściwie to nie mam żadnych oszczędności.

Hamner pokiwał głową.

- Założę ci konto. Nie jako rachunek bieżący, ponieważ to byłby dowód na pomoc Zakonu Jedi podczas odbywania przez ciebie kary. Myślę, że umieszczę tam sumę stanowiącą równowartość twoich zaległych pensji za czterdzieści trzy standardowe lata.

Luke uśmiechnął się, rozbawiony.

- Tylko przelej ją, proszę, z jakiegoś świata, który nie należy do Galaktycznego Sojuszu i nie zamierza się do niego w najbliższym czasie przyłączyć.

- Załatwione. Dostaniesz konieczne informacje przed śniadaniem.

- To wszystko, co mam do powiedzenia. - Luke popatrzył po Mistrzach. Poczul ogarniający serce smutek, jednak zapanował nad nim siłą woli. - Jeśli są jakieś sprawy, którymi powinienem się zająć jeszcze jako Wielki Mistrz, przyjdźcie z nimi jak najszybciej.

Kyp Durron skinął głową.

- Poradzimy sobie.

Cilghal podniosła się pierwsza. Podeszła do Luke'a, dając sygnał innym, którzy także wstali z miejsc. Objęła Luke'a na chwilę swoimi gumowatymi ramionami.

- Zaopiekujemy się twoim domem, dopóki me wrócisz - obiecała. - Niech Moc będzie z tobą zawsze i wszędzie.

- Lecę z tobą - oświadczył Ben, kiedy wracali razem z Lukiem do swojej kwatery.

Luke zdobył się na jeszcze jeden uśmiech.

- Wątpię.

- Dlaczego nie?

- No cóż, po pierwsze, nie jesteś skazańcem i nie musisz odbywać kary jak skazaniec. Po drugie, żaden z nastolatków, jakich kiedykolwiek znałem, łącznie ze mną, nie wytrzymałby ciągłego towarzystwa swojego rodzica przez dziesięć lat.

- Przyłapałem cię na błędzie logicznym. - Ben uniósł palec; wyglądał teraz zupełnie jak Mistrz Jedi zwracający się do młodzików. - Żaden nastolatek nie może nim pozostać przez dziesięć lat.

- Przyznaję. Mimo wszystko, Ben, myślę, że powinieneś zostać.

Ben zacisnął zęby. Jak zwykle, kiedy dawał o sobie znać jego wrodzony upór, przypominał teraz swoją matkę.

- Ty jesteś moim Mistrzem, a ja twoim uczniem.

- Jesteś już pełnoprawnym Rycerzem Jedi, nawet jeśli jest mnóstwo miejsc w galaktyce, w którym nie możesz legalnie pić ani głosować. Chyba nie zapomniałeś o swoim awansie. Mówiłeś o nim przez dwa lata.

- Nie było tak źle. Ty jednak jesteś o stopień wyżej od zwykłego Mistrza, więc twój podopieczny powinien być o stopień wyżej od ucznia.

- Ciekawy tok rozumowania.

- Tato, to także moja misja. - Głos Bena nie przypominał już marudzenia nastolatka. - Byłem uczniem Jacena, a potem on mnie torturował, chciał zrobić ze mnie Sitha. Zabił mamę. Myślisz, że kiedykolwiek zaznam spokoju, jeśli nie dowiem się dlaczego?

Luke zamilkł, rozważając słowa Bena. W milczeniu zjeżdżali turbowindą na górny poziom mieszkalny. Zanim doszli do drzwi swojej kwatery, Luke podjął decyzję.

- Masz rację. Spakuj się i pożegnaj ze znajomymi.

Ben odetchnął z ulgą.

- Dziękuję, tato.

Następnego ranka Luke doszedł do wniosku, że jedną z zalet życia Jedi jest szalenie uproszczone pakowanie. Miecz świetlny, torba z kilkoma kompletami ubrań na zmianę, zestaw narzędzi i części do konserwacji jego sztucznej ręki, datapad wypełniony danymi i literaturą popularną - i Luke już był spakowany, a jego kwatery prawie opróżniona. Rozejrzył się po swojej sypialni i zdziwił, jak tu pusto; pozostało jedynie parę rzeczy na półkach, holozdjęcia przedstawiające jego życie z Marą, bibeloty zgromadzone przez lata podróży lub przysłane przez wielbicieli i trochę ubrań, które postanowił zostawić.

Ciekaw był, czy ten pokój pozostanie niezmienny przez cały okres jego banicji, czy też stanie się potrzebny i przydzielą go komuś innemu, a resztę jego rzeczy wrzucą do worka i schowają. Myśl, że wraz z nimi ostatni ślad jego obecności w Świątyni zostanie usunięty jak uporczywa plama - była przygnębiająca. Musiał odejść, i to niebawem, a sam ten fakt sprawiał, że pragnął zostać.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Proszę - zawołał Luke i przeszedł do niewielkiego salonu.

Drzwi wejściowe się rozsunęły i ukazała się w nich Cilghal. Kalamariańska Mistrzynie skinęła głową na powitanie i weszła, a drzwi się za nią zamknęły.

- Przez ostatnie parę dni, kiedy tylko nie analizowałam wyników badań Valina, szukałam informacji na temat dziwnych zachowań przypominających przypadki Valina i Seffa. I coś znalazłam. - Przechyliła głowę, jakby próbowała coś sobie przypomnieć, i zaczęła mówić innym tonem; Luke podejrzewał, że Kalamarianka cytuje. - Chociaż żyję wśród ludzi od wielu lat, niektóre różnice w naszych zwyczajach trwają nadal. Elektroencefaloskan na przykład byłby uważany przez moją rasę za poważną i zbyt osobistą ingerencję. Na szczęście mój zakon zna sposób, który pozwala uchronić się przed tym. Niestety korzystając z niego, nie możemy wykazać funkcjonowania mózgu.

Luke prychnął, rozbawiony.

- Kogo cytowałaś?

- Mistrza Jedi Plo Kooną.

Luke się zastanowił. Plo Koon był Jedi w ostatnich latach Starej Republiki. Zginął mniej więcej w tym czasie, kiedy Luke się urodził, jako jedna z wielu ofiar wydanego przez Imperatora Palpatine'a Rozkazu 66. Był Kel Dorem, przedstawicielem rzadko spotykanej w galaktyce rasy, która nie oddychała tlenem i przebywając na większości zamieszkałych światów, musiała nosić specjalne maski.

- Dlaczego tak trudno było znaleźć ten cytat? - W rozmowie z kimś innym Luke obawiałby się, że jego pytanie może zostać uznane za krytykę, jednak Cilghal nie miała ludzkich skłonności, żeby interpretować wszelkie bezceremonialne uwagi jako zarzuty pod własnym adresem.

- Cóż, nie był zachowany w pisemnej formie w naszych archiwach. Pochodzi z nagrania rozmowy między Plo Koonem a Rycerzem Jedi, który przygotowywał projekt dokumentalny na temat reprezentowanych w Zakonie ras. On także padł ofiarą czystki, a jego projekt pozostał nieukończony. Wykorzystałam oprogramowanie do automatycznej transkrypcji głosu, żeby przeszukać holonagrania pod kątem kluczowych słów związanych z sytuacją Valina. Dopiero dziś rano w tym zapisie oznaczone zostało słowo „elektroencefaloskan”.

- Dobra robota. Było jeszcze coś przydatnego w tym wywiadzie?

Cilghal odwróciła się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, co stanowiło kalamariańską formę ludzkiego kręcenia głową.

- Wydaje mi się, że to była taka żartobliwa dygresja ze strony Plo Kooną, a temat nie został rozwinięty.

- Powiedział, że „mój zakon zna sposób”. O kim mówił? Nie mogło chodzić o Zakon Jedi, skoro nie znaleźliśmy żadnej innej wzmianki na temat tej techniki i skoro rozmawiał z drugim Jedi...

- Powiedziałaby wtedy „nasz Zakon”. - Cilghal przechyliła głowę. Obeznaną z jej zwyczajami, Luke odebrał to jako gest zadowolenia z siebie. Niektóre odcienie ludzkiej mowy wciąż sprawiały Mistrzynie trudności, nawet po tylu latach spędzonych wśród ludzi.

- Masz rację. - Luke wyciągnął z torby u pasa swój datapad i otworzył go, żeby uzyskać za jego pomocą dostęp do archiwów komputerowych Świątyni. Zdał sobie sprawę z ukłuciem żalu, że nie będzie mógł tego robić przez wiele lat, a być może już nigdy.

Przeszukał akta Plo Kooną. Wiele zawartych w nich informacji już znał. W trakcie swoich studiów gruntownie zapoznał się z dziejami swojego pierwszego Mistrza, Obi-Wana Kenobiego, a także jego nauczycieli i powierników; Mistrz Obi-Wana, Qui-Gon Jinn, był bliskim przyjacielem Plo Kooną. Jednak archiwa Plo Kooną nie zawierały zbyt wielu tropów. Nie wspominały o żadnym innym zakonie, do którego nieżyjący od dawna Mistrz mógł należeć, chociaż Luke wiedział swoje.

Zamknął komputerowy notes.

- Podejrzewam, że miał na myśli Mędrców Baran Do. Mógł się u nich kształcić przed wstąpieniem do Zakonu, co by oznaczało, że ten trop ma osiemdziesiąt albo sto lat. Chyba zacznę moją wędrówkę od odwiedzin u tych mędrców. - Zmarszczył brwi. - Nie istnieją żadne informacje wskazujące, że Jacen u nich był, ale jego podróże są kiepsko udokumentowane. Bądźmy dobrej myśli. Szkoda tylko, że nie mam czasu, żeby prześledzić wszystkie ruchy Valina, i sprawdzić, czy miał jakiś kontakt z mędrcami.

- Za to ja mam czas. I pełen dostęp do archiwów Zakonu.

- Nie wypada mi cię o to prosić. A jako wygnaniec mam zakaz korzystania z zasobów Zakonu.

- Toteż nie prosiłeś. Ja sama decyduję, komu mogę udostępnić zasoby. A twój wyrok stwierdzał, że to ty nie możesz nikomu doradzać, nie zaś, że tobie nie można doradzać.

Zaskoczony nieco stanowczym tonem Cilghal i jej jawną pogardą dla życzeń rządu Galaktycznego Sojuszu, Luke podszedł i ujął w dłonie jej szeroką rękę.

- Czasami zapominam, że w naszej własnej uporządkowanej hierarchii mam też przyjaciół.

- Stworzyłeś ten Zakon dzięki rozumowi, a przyjaciół zdobyłeś sercem. Zakon działa, kierując się twoimi rozkazami. Twoi przyjaciele zaś działają, kierując się twoimi potrzebami.

Drzwi się rozsunęły i ukazał się w nich Ben w swoim zwykłym czarnym ubraniu. Na ramieniu miał zawieszoną ciemnozieloną cylindryczną torbę.

- Przepraszam. Nie chciałem przeszkadzać.

Luke pokręcił głową.

- Nie przeszkodziłeś. Właśnie kończyliśmy omawiać pewną sprawę. Śmigacz gotowy?

- Gotowy.

- No to jedźmy na dół.

- Nie, na górę.

Luke uniósł brew, przyglądając się synowi.

- Zdaje się, że poleciłem ci przygotować śmigacz w dolnym hangarze.

- Owszem, ale dostałem nowe rozkazy.

- Od kogo?

- Od Mistrza Hamnera.

Luke westchnął. Kenth mógł chociaż poczekać, aż Luke opuści budynek, zanim zaczął uchylać jego polecenia.

- A więc idziemy.

Turbowinda powiozła ich w górę i ku zaskoczeniu Luke'a - bo pochłonięty rozmową z Cilghal nie zwrócił uwagi na to, co Ben polecił urządzeniu sterującemu - zatrzymała się na poziomie Wielkiego Holu.

Cała trójka znalazła się wśród tłumu istot; rozmowy, prowadzone ożywionym tonem, nagle ucichły.

Można było odnieść wrażenie, że zebrali się tam wszyscy Jedi, jacy przebywali na Coruscant, i niektórzy obecni właśnie w okolicznych układach gwiazdnych, jak również liczni nie-Jedi. Wiele twarzy było smutnych, na niektórych widać było ślady łez, a wśród tych, którzy zachowywali właściwy Jedi spokój, wyczuwało się nastrój smutku i rezygnacji.

- Chyba nigdy nie widziałem tylu brązowych płaszczy w jednym miejscu - wyszeptał Ben. - To jak sala wystawowa najnudniejszej fabryki tekstyliów na świecie.

Luke stłumił chichot.

- Cicho bądź - mruknął.

Podszedł do nich Mistrz Hamner, więc Luke zrobił krok nasi; przód i wyciągnął do niego rękę.

- Kenth, to był twój pomysł? - zapytał.

- Leii, mój, wszystkich członków Rady i wielu innych. Niektórzy chcieliby ci coś przekazać i pewnie zrobią to osobiście, kiedy będziesz przechodził przez hol, ale jest pewna rzecz, którą chcemy przekazać ci wszyscy. - Kenth położył rękę na ramieniu Luke'a i obrócił go w kierunku odległego głównego wejścia. Drugą ręką wskazał na rzesze Mistrzów Jedi, Rycerzy Jedi, uczniów i przyjaciół. - Czterdzieści lat temu w całej galaktyce istniał tylko jeden praktykujący Jedi, a Zakon i Świątynia były jedynie mętnymi pojęciami z powtarzanych potajemnie plotek. To, co widzisz dzisiaj przed sobą, to twoje dzieło, Mistrzu Skywalker.

Luke poczuł, że coś chwyta go za gardło.

- Nie tylko moje - powiedział ochrypłym głosem.

Kenth pokiwał głową.

- Nie tylko, to prawda. Ale gdybyśmy usunęli któregokolwiek ze współautorów, to rezultat specjalnie się nie zmieni. Za to gdyby usunąć ciebie, to wszystko zniknie jak holofilm wyłączony w środku sceny. - Delikatnie zdjął Luke'owi z ramienia torbę i pchnął go lekko do przodu. - Każę to zanieść do twojego śmigacza.

Był to jakby sygnał dla innych obecnych. Ruszyli naprzód, pojedynczo i w małych grupkach, żeby

uściskać Luke'owi dłoń, objąć go lub ucałować na pożegnanie. Niektórym po policzkach spływały łzy. Ben, również pozbawiony swojej torby, także był adresatem tych gestów, co Luke rejestrował kątem oka.

Byli tam Kyp i Octa, Kam i Tionna, Saba Sebatyne w całym swoim gadzim majestacie, Kyle Katarn, podwójnie zasmucona rodzina Hornów, goście tacy jak Jag Fel i Talon Karrde. Przyszli wszyscy najważniejsi członkowie Eskadry Czerwonych i weterani Eskadry Łotrów z Wedge'em Antillesem na czele; to z nimi Luke latał tyle lat temu. Byli także Rycerze Jedi i uczniowie, których ledwie znał. Wiele zmieniło się od czasu, kiedy osobiście szkolił każdego członka Zakonu Jedi, i było to dla niego źródłem zarówno satysfakcji, jak i pewnego niepokoju.

Leia, Han i Jaina byli wśród ostatnich, którzy go żegnali, i zatrzymali go w objęciach najdłużej.

- Niedługo wrócisz do domu - zapewniła Leia, siląc się na pogodny ton; starała się nim zamaskować przygnębienie, jakie bez wątpienia czuła.

Luke uśmiechnął się do niej.

- Sprecyzuj termin „niedługo”.

Pokręciła głową.

- Precyzyjne odpowiedzi nie są w stylu Jedi.

- Hej - powiedział urażony Ben, uwięziony w objęciach i swojej kuzynki Jainy. - Ukradłaś mi tę kwestię.

- Powiedziałam to po raz pierwszy dwadzieścia lat przed twoim narodzeniem. Zanim jeszcze sama zostałam Jedi.

Han złapał Luke'a za rękę, przyciągnął do siebie i uściskał z siłą wampy.

- Pamiętaj, gdziekolwiek w galaktyce byś się znalazł, wyli starczy, że dasz mi znać przez komunikator albo szepniesz coś Leii przez Moc i „Sokół” zaraz tam będzie.

- Wiem. Zaopiekujecie się Artoo-Detoo pod moją nieobecność?

Han uśmiechnął się szeroko.

- A jak myślisz? Kiedy jest z nami Artoo, See-Threepio gada o połowę mniej. Powinienem ci za to płacić.

Wychodząc z Wielkiego Holu, Jaina wsunęła Luke'owi rękę pod ramię.

- Dała jeszcze tego pożałuje.

Luke spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- To zabrzmiało jak groźba zemsty.

- Nie o to chodzi. Po prostu wiem, jak jest. Prędzej czy później pojawi się jakiś problem, którego nie będzie potrafiła rozwiązać ani ona, ani żaden inny Jedi, i wtedy zrozumie, jaki błąd popełniła.

- Bądź wyrozumiała. - Luke zatrzymał się na schodach przed wejściem, skąpanych w promieniach popołudniowego słońca, które przedzierały się przez nierówną zasłonę chmur, i jeszcze raz uściśnęła Jainę. - Ona stara się jak najlepiej służyć Sojuszowi i robi to tak, jak potrafi.

- No cóż, nie jest zbyt bystra.

- To ma być wyrozumiałość?

- A myślałam, że chodziło ci o szczerą.

Śmigacz, którym Luke i Ben odlecieli ze Świątyni, nie był tym, którego zwykle używał Wielki Mistrz; nie był to też czerwony sportowy model Bena. Wsiedli do dużej białej barki powietrznej z wbudowanym komputerem, który miał doprowadzić pojazd z powrotem do domu, kiedy jego obecni użytkownicy nie będą go już potrzebować. Luke pozwolił Benowi prowadzić przez całą drogę do portu kosmicznego, a sam chłonał - być może widzianą po raz ostatni - panoramę Coruscant. O tej późnopołudniowej porze cienie w kanionach między wysokimi niczym górskie szczyty budynkami były już ciemne jak w nocy, tysiące sznurów śmigaczy włączały nocne światła pozycyjne, a słońce, którego dolna krawędź wystawała spod warstwy chmur na zachodzie, wydawało się większe i bardziej pomarańczowe niż o każdej innej porze dnia. Luke próbował wyryć sobie to wszystko w pamięci, wiedząc, że będzie mu tego brakowało.

Lot do kosmoportu upływał w niemal całkowitej ciszy, dopóki nie wylecieli z dzielnic wieżowców na jeden z pasów ruchu, które prowadziły do części portu zajmowanej przez hangary.

- Myślisz, że nas zawrócą? - spytał Ben.

Luke popatrzył na niego zdziwiony.

- Niby dlaczego?

- Dlatego, że parę dni temu trochę zdemolowaliśmy to miejsce.

- Przesadzasz. Walka nie przeniosła się nawet do stref zamkniętych.

- Fakt.

Wkrótce wylądowali przed hangarem, w którym stał „Cień Jade”.

Luke wprowadził długi kod dostępu na konsolecie przy głównych wrotach, a następnie spojrzął w czujnik optyczny, który odczytał obraz siatkówki oka. Wreszcie szerokie wrota się rozsunęły,

wypuszczając stęchłe powietrze, i oczom Luke'a ukazał się statek jego nieżyjącej żony.

Statek zaczynał swoją karierę jako gwiazdny jacht klasy Horizon czołowego producenta takich jednostek, firmy SoroSuub, jednak przez lata został poddany przez Marę, jej rodzinę i przyjaciół wielu modyfikacjom, dzięki którym zamienił się w szybki i mocny jak na swoje rozmiary pojazd bojowy. Niski i szeroki, o eleganckich, obłych liniach, miał u góry płat nośny, który sięgał na boki i kończył się zewnętrznymi komorami silników jonowych. Przed nimi umieszczono odchodzące od kadłuba i opadające ku dołowi płyty, na których było zamontowane zewnętrzne uzbrojenie. Organiczne kształty statku nadawały mu wygląd pokrytej skorupą morskiej bestii, a przy matowej szarej powierzchni jego nazwa wydawała się wyjątkowo trafna.

Pasowała nie tyle do wyglądu Mary, ile do jej zachowania, kiedy ruszała na łowy. „Cień Jade” był praktyczny i nieustępliwy. Nie wyglądał na statek, który mógłby stać się domem dla wdowca w średnim wieku i jego nastoletniego syna, jednak innego nie mieli.

Luke uruchomił zdalnie rampę załadunkową i systemy podtrzymywania życia, żeby statek się przewietrzył, podczas gdy on i Ben przenosili swoje bagaże ze śmigacza. Luke dał komputerowi śmigacza zielone światło i pojazd oddalił się w stronę ciemniejącego nieba. Jego lśniący biały powłoka była widoczna jeszcze ze znacznej odległości.

Przegląd kontrolny przed startem nie trwał długo; obwody elektryczne i oprogramowanie diagnostyczne „Cienia Jade” były wysokiej klasy, podobnie jak zdolności techniczne obu Skywalkerów. Silniki straciły bardzo niewiele magazynowanej mocy w ciągu wielu miesięcy, podczas których jacht był nieużywany. Pomieszczenia wewnątrz były nieco zakurzone, ale poza tym czyste. Osobisty myśliwiec Mary typu Z-95 Łowca Główny, stary, lecz niezawodny poprzednik X-winga, znajdował się w małym hangarze; choć mniejszy i wolniejszy od swojego słynniejszego następcy, podobnie jak jej jacht został zmodyfikowany i zoptymalizowany do granic możliwości. Był dzięki temu znacznie bardziej niebezpieczną maszyną niż większość myśliwców tego typu i w podobnym wieku.

W trakcie przeglądu pojawił się śmigacz dostawczy. Jego załoga wyładowała dwie skrzynie pełne zapasów - świeżej i konserwowanej żywności, wody i napojów, zapasowych baterii i prętów jarzeniowych. Ben pokwitował odbiór towarów i zaczął załadowywać je do magazynów „Cienia”.

W końcu wszystko było gotowe. Nie mieli już żadnych powodów, żadnej wymówki, żeby dłużej zwlekać. Nadszedł czas, by opuścić Coruscant.

Luke z powagą przysiadł się do fotela pilota, Ben do fotela drugiego pilota. Po krótkiej wymianie komunikatów z kontrolą lotów kosmoportu Luke wyprowadził jacht z hangaru. Trochę dalej, już nad odkrytym permabetonem, uniósł go na repulsorach, skierował w stronę gwiazd i odpalił silniki manewrowe.

Kompensatory inercyjne jachtu chroniły ich przed zgubnymi skutkami przyspieszenia, jednak Luke pomknął w górę w takim tempie, że pęd wcisnął ich obu w wyściełane fotele. Na obrazie z umieszczonej z tyłu holokamery widać było, jak w hangarze Mary gaśnie światło, a jego wrota powoli się zamykają.

Po chwili minęli warstwę chmur i pomknęli ku gwiazdom.

ROZDZIAŁ 8

Po wyjeździe Luke'a wypadki potoczyły się szybko.

Valin został zwolniony z Ośrodka Medycznego imienia Mon Mothmy i wrócił pod opiekę Jedi. Cilghal ponownie umieściła go we własnej placówce medycznej, w jeszcze lepiej zabezpieczonym pomieszczeniu, i przestała podawać mu środki uspokajające; spodziewała się, że Valin podejmie kolejne próby ucieczki, jednak rozumiała, że na dłuższą metę takie środki byłyby dla niego szkodliwe.

Łowców nagród przedstawiono w serwisach informacyjnych jako siły do zadań specjalnych, podległe przywódczyni Galaktycznego Sojuszu i oficjalnie wchodzące w skład jej służb bezpieczeństwa. Ich imiona i nazwiska nie zostały wymienione. Jaina, która przejęła od Bena zadanie zbierania informacji na ich temat, zanotowała te szczegóły i skopiowała audycję na własny użytek.

Następnego ranka po wyjeździe Luke'a Mistrz Hamner zwołał zebranie Mistrzów Jedi. Zaprosił także kilku Jedi, którzy -nie będąc Mistrzami - mieli jednak znaczne wpływy w Zakonie, jak Leia czy Jaina. Spotkali się w Sali Mistrzów i usiedli w kręgu foteli używanych niegdyś przez dawną Radę Jedi. Specjalnie na tę okazję przygotowano dodatkowe miejsca siedzące, jako że z uwagi na szczyt zjednoczeniowy i pożegnanie Luke'a na Coruscant przebywało więcej Mistrzów niż zazwyczaj.

Mistrz Hamner zaczął bez wstępów:

- Wydaje się oczywiste, że nasze ostatnie problemy, a także reakcja opinii publicznej, która dała rządowi przyzwolenie na działania wymierzone w Wielkiego Mistrza, wynikają z niewiedzy ogółu społeczeństwa na temat Zakonu Jedi.

Niektórzy z Mistrzów pokiwali głowami, godząc się z tym stwierdzeniem.

- Moją intencją jest przybliżenie Zakonu Jedi społeczeństwu, oczywiście w granicach rozsądku i bez ograniczania naszej efektywności. Chciałbym, żeby jeden z Mistrzów zgłosił się na ochotnika do udziału w programie dokumentalnym. Temu Mistrzowi oraz jego uczniowi lub uczennicy przy wykonywaniu jednego czy dwóch zadań będzie towarzyszyć ekipa reporterów. Audycja, którą wyprodukują, pozwoli Jedi, mam przynajmniej taką nadzieję, zyskać więcej życzliwości ze strony opinii publicznej. Kto na ochotnika?

Nikt nie podniósł ręki.

- To może być zbyt brutalne jak na dokument, który będą oglądać dzieci - zauważyła Saba Sebatyne.

- Myślę, że możesz mieć rację, Mistrzynie Sebatyne. A więc nie ma chętnych? Ach, Mistrzynie Ramis. Dziękuję. - Mistrz Hamner spojrział na swój datapad. - Skontaktował się z nami niezależny producent, który planuje nakręcić holofilm o Jedi. Zapowiada się to na bezmyślny, rozrywkowy

materiał, co normalnie wywołuje u mnie coś pomiędzy nudą a pogardą, jednak w obecnej sytuacji mogłoby to zadziałać na naszą korzyść. Odrzuciłem oczywiście prośby producenta o dostęp do naszych archiwów i pozwolenie na kręcenie niektórych scen w Świątyni... - wśród Mistrzów rozległy się westchnienia ulgi -...obiecałem jednak zwrócić się w jego imieniu z prośbą o konsultację techniczną, której udzieliłby jeden z Mistrzów Jedi. Sam udzielię pozwolenia temu, który się na to zgodzi. Jeszcze raz pytam, czy mamy ochotnika? Cóż, nie będę nalegał... Ach, Mistrz Durronek. Właśnie wygrałeś dla mnie pięćdziesiąt kredytów. Dziękuję.

Siedzący na jednym z foteli Kam Solusar skrzywił się, najwyraźniej z powodu przegranej zakładu.

Mistrz Hamner przybrał teraz poważniejszy ton.

- Mam też złe wiadomości. Zostaliśmy poinformowani przez personel przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, że od tej pory wszystkim Jedi towarzyszyć będą obserwatorzy z ramienia rządu.

Kilku Mistrzów, a także oboje Solo, zaprotestowało głośno.

- Czy oni chcą sparaliżować nasze działania? - spytała Leia.

Hamner uciszył ich ruchem dłoni.

- Przydzielę po jednym obserwatorze do każdej pary Mistrz-uczeń i do każdego Jedi działającego solo. Przepraszam, Leia i Jaina... chciałem powiedzieć: do każdego Jedi działającego bez partnera. W założeniu obserwatorzy mają delikatnie przypominać o obowiązującym w Sojuszu prawie. Nie będą mieli dostępu do zamkniętych części Świątyni, ale poza tym mogą towarzyszyć swoim Jedi przez większość czasu.

Kyp Durronek westchnął głęboko.

- Już po moim życiu towarzyskim.

Jaina zrobiła gniewną minę.

- A więc powiedz, że się na to nie zgodzimy.

Hamner wzruszył ramionami.

- Niestety musimy. Na razie. Ale zleciłem kancelarii adwokata Wielkiego Mistrza, Nawary Vena, starania o uchylenie tej decyzji. Dopóki jednak nic się w tej kwestii nie ruszy, trzeba po prostu znosić tę niedogodność. Obserwatorzy będą przydzielani stopniowo w ciągu najbliższych kilku dni, począwszy od jutra; w pierwszej kolejności Mistrzom.

Gdy zgromadzenie opuszczało salę, Jaina wciąż miała wściekły wyraz twarzy.

- Jestem za młoda, żeby gadać o starych, dobrych czasach, ale... - mruknęła.

Leia zmierzwiła córce włosy.

- Jesteś na dobrej drodze. Jeszcze trochę, a zaczniesz mówić o cholernych dzieciakach.

- Mamo...

Mieszkanie rodziny Solo, Coruscant

- Proszę pana, proszę pan... najmocniej przepraszam.

Han otworzył jedno oko. Poderwano go, zanim zadzwonił jego budzik, czyli stanowczo za wcześnie, jednak zdecydował, że nie zastrzeli swojego dręczyciela, którym był C-3PO. Nie potrzebował więc na razie obojga oczu.

Leżąca obok niego Leia równie niechętnie wybudzała się ze snu. Splątane włosy rozrzucone miała bezładnie po poduszce.

- Gdzie mój blaster? - wychrypiał Han.

- Pod poduszką, jak zwykle - burknęła zaspana Leia.

- Chwileczkę, proszę pana. - C-3PO, stojący po stronie Leii, na tle zasłoniętego iluminatora, z którego rozciągał się widok na ruch powietrzny i wieżowce Coruscant, pomachał niezdarnie, żeby udobruchać Hana. - Pan Calrissian chce z panem rozmawiać.

Han potarł czoło między brwiami.

- Odsłucham wiadomość rano.

- Proszę pana, ale to bezpośrednia transmisja przez holokomunikator z innego świata.

To przykuło uwagę Hana. Usiadł na łóżku; Leia uczyniła to samo.

Lando Calrissian był zamożnym i szczodrym człowiekiem, ale nie trwoniłby kredytów na rozmowy przez holokomunikator *I* tylko po to, żeby popisać się bogactwem. Z tego, co Han wiedział, Lando przebywał daleko od Coruscant. To musiało być i coś ważnego.

- Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

- Tak jest. Dziękuję panu, że nie zastrzelił mnie pan o tak wczesnej porze.

Po chwili, owinięci w białe szlafroki, choć nie zdążyli się pokrzepić kafełkami, Han i Leia usadowili się przed konsolą łączności i odblokowali główny monitor. Obraz rozbłysnął pełnią barw. Lando siedział w wysokim fotelu w swoim gabinecie. Za plecami miał solidne szare ściany i zamknięte drzwi.

Ciemnoskóry, jak zwykle dobrze ubrany - tym razem w tunikę koloru wina i czarną, połyskliwą pelerynę - Lando starzał się, co Han niechętnie przyznawał, niemal tak samo ładnie jak on sam. Włosy lekko mu się przerzedziły, ale pozostały ciemne, a twarz, chociaż gęściej pokryta zmarszczkami, wciąż była przystojna - i wciąż chętnie przybierała miny wyrażające ujmującą pewność siebie albo komiczne przerażenie.

Lando, który patrzył w bok, kiedy pojawił się obraz, skierował uwagę z powrotem na holoe ekran i się uśmiechnął.

- Han! Leia? Miło was widzieć. Zaraz, zaraz... czy u was jest już rano?

Leia popatrzyła na niego spode łba, wiążąc włosy gumką.

- Nie jestem hazardzistką, ale założę się o tysiąc kredytów, że dobrze wiedziałeś, która jest u nas godzina.

- A ja jestem hazardzistą, więc nie przyjmę tego zakładu. Masz rację. - Lando rzucił jej przepaszające spojrzenie. - Potrzebuję pilnej pomocy. Pomocy Jedi, jak sądzę, a także pomocy przyjaciela. A więc padło na ciebie i Hana. Jeśli zaś chodzi o porę, to po ostatnim.. zdarzeniu uznaliśmy, że nie ma czasu do stracenia.

- Jakim zdarzeniu? - Han odwrócił się w stronę C-3PO, stojącego usłużnie z boku, i bezgłośnie wymówił słowo „kaf”, po czym zwrócił się znów do Landa: - I kim są ci „my”?

- Nien Nunb, Tendra i ja. Pokażę wam. - Lando nachylił się do przodu, a jego ręce zniknęły po bokach obrazu, co bez wątplenia oznaczało, że sięgnął po swój monitor. Odwrócił go, przesuwał razem z nim pole widzenia holokamery. Han spodziewał się, że skieruje ją na swoją żonę Tendrę lub Niena Nunba, sullustańskiego zarządcę, tymczasem obraz zatrzymał się na kolejnej szarej ścianie, ozdobionej hologramem lśniącego, przypominającego szkielet droida bojowego typu ZYV, produkowanego przez jedną z firm Landa, Tendrando Arms.

Ale to nie trójwymiarowy obraz groźnie wyglądającego robota przykuł uwagę Hana, tylko nierówne pęknięcie, biegnące od prawego górnego rogu ściany do lewego dolnego i wychodzące po obu stronach poza pole widzenia holokamery.

- Co się stało? Hutt ci usiadł na dachu? - zagadnęła Leia.

Lando skierował monitor z powrotem na siebie.

- Trzęsienia gruntu, i to potężne. Są coraz silniejsze i coraz częstsze, a naukowcy, których ściągnąłem, nie potrafią odgadnąć, skąd się to bierze.

Han zmarszczył brwi. Nien Nunb był zarządcą w należącej do Calrissiana kopalni przyprawy, co wskazywało na miejsce pobytu Landa.

- Jesteś na Kessel?

Lando skinął głową.

- Jestem w pomocniczym centrum łączności mojego biura. Główne centrum zostało zniszczone w czasie ostatniego trzęsienia.

Han się skrzywił.

- Lando, daj sobie spokój. Kessel jest skazana na zagładę. -Kessel, niewielka planeta w pobliżu Otchłani, nie cieszyła się dobrą sławą. Stamtąd pochodziła przyprawa, narkotyk, który miał tyle samo legalnych zastosowań co nielegalnych i był źródłem dochodu wielu przemytników. Tamtejsze kopalnie przyprawy były okryte złą sławą; bardzo długo wykorzystywano w nich do pracy skazańców, więc nawet kilkadziesiąt lat po tym, jak system się zmienił, rodzice wciąż straszili niegrzeczne dzieci, że „skończą w kopalniach przyprawy na Kessel”. Planeta była też jednym z punktów orientacyjnych na trasie przemytników, na której urządzano wyścigi. Trasa od niej wzięła zresztą swą nazwę.

Z tej odznaczającej się niską grawitacją planety coraz szybciej ulatywała atmosfera. Starożytne generatory atmosfery starały się uzupełniać ubytki, jednak z niewielkim skutkiem. Świat w końcu musiał się zamienić w pozbawione życia środowisko.

Lando pokręcił głową.

- Prowadzę tu bardzo zyskowne przedsięwzięcie, bo to jedyne źródło błyszczostymu, jakie istnieje. Próby przenoszenia kolonii pajaków energożernych, które go wytwarzają, nie były zbyt udane.

Han wyprostował się na krześle.

- Próbujesz przystosować je do życia na innych planetach?

- Tak, ale po prostu przestają jeść i zdychają...

- No i bardzo dobrze!

Lando zbył jego wybuch machnięciem ręki.

- Potrzebujemy więcej czasu, żeby rozwiązać ten problem. Dużo więcej.

Han się wzdrygnął. Kiedyś, w swoich przemytniczych czasach, zanim jeszcze spotkał Luke'a i Leię, wyrzucił ładunek błyszczostymu, żeby nie złapali go z nim Imperialni. Efekt tej decyzji był taki, że przez lata ścigali go cyngle właściciela przyprawy, Hutta Jabby. Znacznie później sam wylądował w kopalniach, wśród skazańców. Był pierwszym, który przeżył atak pająka energożernego, i odkrył przed galaktyką istnienie tego gatunku. To doświadczenie pozostawiło mu złe wspomnienia.

- Rzeczywiście potrzebujesz Jedi - pokiwał głową Han. -Potrzebujesz Kypa Durrona. On jest Mistrzem Jedi i spędził w tych kopalniach znacznie więcej czasu niż ja...

- Nie sposób się z nim dogadać - odparł Lando, naśladowując głos Kypa. - Nienawidzi Kessel

bardziej niż ty, a nie jest moim przyjacielem...

- Oczywiście, że ci pomożemy - wtrąciła Leia.

Han spojrział na nią.

- Daj spokój. Napij się najpierw kawy. Może włączą ci się ośrodki logicznego myślenia...

- Cicho bądź. - Skierowała uwagę z powrotem na Landa. -Wystartujemy jeszcze dziś.

Lando odetchnął z ulgą.

- Dziękuję ci, Leio - powiedział z właściwą sobie galanterią. -I tobie też, Hanie.

Han zdołał powstrzymać się od zgrzytania zębami.

- Nie ma za co. Odezwiemy się, jak będziemy w drodze, stary druho. - Wyłączył holokomunikator.

Odwrócił się i spiorunował żonę wzrokiem.

Leia rzuciła mu spojrzenie niewiniątka.

- O co ci chodzi?

- Nie musisz uzgadniać takich rzeczy ze Świątynią? - spytał.

- Teoretycznie tak. Ale nie tym razem. Lepiej pomóc przyjacielowi i ponieść karę, niż nie dostać zgody i nie móc mu pomóc.

- No dobra, a co powiesz na Kessel?

- Na Kessel żyją także niewinne istoty. Nawet pająki energożerne nie zasługują na śmierć tylko dlatego, że cię wystraszyły.

- Wcale mnie nie wystraszyły.

- W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby tam wrócić.

- Będę miał. Zapomniałaś o Allanie?

Leia zastygła w bezruchu. Najwyraźniej faktycznie zapomniała o dziewczynce, może dlatego, że była jeszcze zasnana. Allana - którą wszyscy poza Hanem i Leią znali jako Amelię i nawet oni nie mówili o niej inaczej, jeśli nie mieli zapewnionej całkowitej prywatności - była córką Jacena Solo i Tenel Ka, pocztą, zanim jeszcze Jacen zapragnął przejąć kontrolę nad galaktyką, a zatem wnuczką Hana i Leii. Przez pierwszych pięć lat życia była wychowywana przez Tenel Ka, królową matkę Konsorcjum Hapes. Pod koniec wojny między Sojuszem a Konfederacją Tenel Ka rozpuściła fałszywą pogłoskę o śmierci Allany, żeby chronić ją przed zamachem; niektórzy mogliby próbować

ją zabić w celu przejęcia hapańskiego tronu. Tenel Ka z bólem serca oddała córkę pod opiekę Hanowi i Leii. Dziewczynka, teraz już siedmioletnia, występowała od tego czasu jako Amelia, adoptowana córka Hana i Leii.

Jeśli Han i Leia mieli lecieć na Kessel, musieli zabrać ją ze sobą lub zostawić z kimś niemal zupełnie obcym. Ciotka Allany, Jaina, nie była wprawdzie obca, jednak jako Jedi prowadziła bardzo aktywne i niebezpieczne życie. Luke i Ben wyjechali. Nie było nikogo innego, komu mogliby powierzyć Allanę.

- Weźmiemy ją ze sobą - zdecydowała Leia.

- Nie wściekaj się na mnie. To ty o niej zapomniałaś. - Han wycelował w żonę palec w oskarżycielskim geście. - Ustaliliśmy, że ze względu na nią spróbujemy się w miarę możliwości ustatkować. Zgodziliśmy się, że nie możemy ciągać małej dziewczynki po całej galaktyce, próbując rozwiązywać głupie problemy głupich ludzi.

- Wiesz, że nie o to chodzi. - W głosie Leii zabrzmiała nuta desperacji. - Nie mogliśmy nic zrobić dla Luke'a. Nie możemy nic zrobić, żeby zapobiec biurokratycznej katastrofie, która spada teraz na Zakon Jedi. Ale może uda się nam pomóc przyjacielowi.

Han się zastanowił. No tak, jeśli spojrzeć na to w ten sposób... Nigdy nie żałował, że poślubił kobietę, która potrafiła go przekonać niemal w każdej sprawie, chociaż często przysparzało mu to kłopotów.

- A w dodatku... jeśli wylecimy dziś rano, nic nikomu nie mówiąc, nie dostaniesz swojego rządowego szpiega.

- Obserwatora. Masz rację. Nie będziemy skazani na towarzystwo wścibskiego intruza, który przeszkadzałby ci tak samo jak i mnie.

- A Allana nie musiałaby znosić obecności obcej osoby.

- To też prawda.

- I tak musieliśmy zrezygnować z części prywatności, biorąc na wychowanie małą dziewczynkę. Dodając do tego rządowego szpiega, stracimy całą resztę.

Leia skinęła głową, jakby zachęcała go do kontynuowania tego toku myślenia.

- A może się to odwlec jeszcze bardziej, jeśli gdzieś po drodze nawali hipernapęd „Sokoła”...

- To zdarzało się już nieraz.

- Ale to zawsze był sabotaż. - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Tylko że... będziesz mieć przechlapane u Kentha Hamnera, kiedy wrócimy...

- Po to cię mam. Żebyś mnie wciągał w kłopoty.

- Jasne. Jak sobie chcesz. - Nachylił się, żeby ją pocałować.

- Proszę pana, pański kaf. Proszę pana? Proszę pani? Och, jej!

Dzielnica mieszkalna w pobliżu Świątyni Jedi, Coruscant

- Jakim cudem zdołałeś się uwolnić od obowiązków głowy państwa? I od ochroniarzy? - spytała Jaina.

Jag oparł się o futrynę drzwi, pod którymi stanęli. Znajdowali się w korytarzu mieszkalnego wysokościorca; korytarz o ścianach ozdobionych brązowymi rombami na żółtawym tle utrzymywał dekoracyjny styl sprzed kilkunastu lat, ale był sterylnie czysty. Nawet teraz myszobot z przymocowaną okrągłą nasadką czyszczącą sunął korytarzem, usuwając brud z wykładziny i wysyłając w powietrze delikatny, słodki zapach środka czyszczącego.

- Moja delegacja zajmuje się głównie negocjowaniem jakichś absurdalnie drobiazgowych kwestii. - Jag zrobił zdegustowaną minę, jakby miał przed sobą talerz pełen robaków. - Zostawiam to moim doradcom i adwokatom, a potem i tak wetuję wszystkie ich decyzje. W ten sposób zachowujemy równowagę w ośrodku władzy. A ja dzięki temu mogę spędzać czas z tobą. Ochroniarzom mówię, że ty mnie chronisz. Przydaje się twoja reputacja wścieklej Jedi.

Jaina pokręciła głową.

- Ten system jest bezsensowny. - Wcisnęła guzik przy drzwiach. Po drugiej stronie dał się słyszeć cichy dzwonek.

- Ale fajny - stwierdził Jag.

Drzwi się otworzyły, ale nikogo za nimi nie było. Zobaczyli krótki zielony korytarzyk i jasno oświetlone, otwarte drzwi na jego końcu. Jaina poczuła zapach świeżo skoszonej trawy, a przynajmniej tak się jej wydawało. Spojrzała na Jaga z lekkim zdziwieniem i weszła pierwsza. Drzwi się za nimi zamknęły.

Korytarz prowadził do dużego pomieszczenia, prawdopodobnie zaprojektowanego jako salon lub pokój dzienny. Tam, gdzie normalnie świeciłyby łagodnie górne pręty jarzeniowe, zamontowano jaśniejsze oświetlenie, emitujące, jak podejrzewała Jaina, światło o dokładnej częstotliwości promieni słonecznych. Zamiast wygodnych wyściełanych kanap i foteli umieszczono odporne na czynniki atmosferyczne meble ogrodowe z lekkich durastalowych prętów i kolorowego materiału - krzesła, leżaki, a nawet stół z dużym parasolem. Panoramiczny iluminator wysokości dorosłego człowieka i dwa razy szerszy niż normalnie wpuszczał światło i zapewniał widok na budynki oddalone o pięćdziesiąt metrów, sięgające w górę i w dół tak daleko, jak tylko było widać z miejsca, w którym stała Jaina. Sznury śmigaczy dokładnie na wysokości iluminatora dodawały widokowi dynamizmu.

Jak tylko weszli, Tahiri Veila, była Jedi i była uczennica Sithów, wstała z jednego z leżaków. Jasnowłosa i atrakcyjna, miała na sobie prosty, obcisły szary kombinezon. Była jak zwykle boso. Nie miała u pasa miecza świetlnego, ale położyła go obok, na stole. Wyraz jej twarzy był odrobinę niepewny. Blizny na i czole, które zyskała w czasie wojny z Yuuzhan Vongami, były niewidoczne; Jaina nie sądziła, żeby mogły zniknąć w ciągu tych paru miesięcy, jakie minęły od ich ostatniego spotkania, więc zapewne Tahiri ukryła je pod makijażem.

Tahiri skinęła głową.

- Jedi Solo. Pułkownik Fel, a raczej głowa państwa Fel... Witam.

- Witam, Tahiri - odpowiedział szorstko Jag.

- Proszę, siadajcie. Mogę wam coś zaproponować? Wodę, kaf..

- Nie, dziękujemy. - Jaina wzięła jedno z lekkich krzeseł i usiadła naprzeciwko Tahiri; Jag zrobił to samo. Gospodyni usadowiła się z powrotem na swoim leżaku.

Jaina wskazała na trawę pod nogami.

- Nie mów tylko, że w odświeżaczu masz piasek zamiast podłogi.

To przełamało skrzepowanie Tahiri i wywołało na jej twarzy szeroki uśmiech.

- Nie, zupełnie normalne kafelki. - Spojrzała na zielony, żywy dywan. - Zawsze wolałam chodzić boso niż w butach... ale w większości miejsc nie jest to zbyt wygodne. Rozgrzany permabeton, dywany, gdzie właściciele patrzą na ciebie spode łba, jak naniesiesz trochę piachu... Teraz, kiedy zdobyłam trochę kredytów, stwierdziłam, że chcę mieć dom, w którym będę się czuć swobodnie. To jest znacznie przyjemniejsze niż piasek na pustyniach Tatooine.

- Odkąd masz kredyty i żyjesz według własnych zasad - uściśliła Jaina.

- Właśnie.

Jag nachylił się do przodu.

- Chcemy zadać ci parę pytań na temat Jacena Solo.

Spojrzenie Tahiri znów stało się niepewne.

- Naprawdę nie musicie mówić „Jacen Solo”. Kiedy jego siostra przychodzi porozmawiać z jego byłą uczennicą o Jacenie, nie trzeba wymieniać jego nazwiska.

- Oczywiście. - Jag rzucił Jainie pełne poczucia winy spojrzenie. - W sytuacjach nieformalnych bywam niepotrzebnie sztywny i drobiazgowy.

Jaina pokiwała głową.

- Tak, ale za to jaki przystojny! - Skierowała uwagę z powrotem na Tahiri. - Słyszałaś o Wielkim Mistrzu i wyroku, jaki dostał?

- Słyszałam o jego pożegnaniu - przyznała Tahiri. - Zastanawiałam się, czy nie pójść, ale uznałam, że nie byłabym tam mile widziana.

- No, raczej nie przez wszystkich... Teraz próbujemy zrozumieć lepiej procesy myślowe Jacena. Co spowodowało jego przemianę? Kiedy ona nastąpiła? Robimy to, żeby pomóc Wielkiemu Mistrzowi... wujkowi Luke'owi. Chcemy, by jak najszybciej mógł się ubiegać o prawo powrotu na Coruscant.

- Od dwóch lat wszyscy próbują zrozumieć Jacena. - Tahiri wzruszyła ramionami, jakby sprawa była beznadziejna. - A właściwie to jeszcze od czasu, kiedy byliśmy uczniami, a wy i Anakin byliście dziećmi. Wiele osób przychodziło do mnie po jego śmierci: Jedi, oficerowie śledczy, lekarze, dziennikarze.

Jaina popatrzyła na nią życzliwie.

- A byli wśród nich jacyś przyjaciele?

Tahiri zawahała się, a potem pokręciła głową.

- Nie wiem, czy w ogóle mam przyjaciół. Nie żebym miała o to pretensje do kogoś poza Jacenem i samą sobą.

Jaina oparła się pokusie dołączenia do chóru krytyków Tahiri. To nic by nie dało w tej sytuacji.

- I z pewnością nie zyskasz żadnych przyjaciół jako łowca nagród. Powinnaś wrócić do Zakonu, Tahiri.

- Nie, dopóki nie dowiem się, kim jestem. Czym jestem. - Tahiri odgarnęła z policzka zabłąkany kosmyk włosów. - Miałam więcej wcieleń, niż potrafię zliczyć. Dziewczynka z Tatooine, adoptowana Tuskenka, Jedi, pół-Yuuzhan Vong, uczennica Sithów, uzależniona... Muszę pozbyć się ich wszystkich na pewien czas i nauczyć się słuchać własnych myśli.

- A więc pomyśl o Jacenie - poradził Jag. - Czego się o nim dowiedziałaś, a nie mówiłaś tego nikomu innemu? Interesują nas szczegóły trudne do uchwycenia lub pozornie bez znaczenia, informacje, o które nikt nigdy nie pytał.

- Nie umiem wam powiedzieć, kiedy został Sithem. - Wzrok Tahiri stał się mętny. - Mam jednak wrażenie, że nie jest ważne, kiedy nim został, ani nawet że w ogóle nim był. Myślę, że to była dla niego po prostu kolejna rola, kolejny zestaw pancerzy, broni i masek, które na siebie nakładał. Taka sama rola jak poprzednie. On zawsze był Jacenem... dopóki i tego nie odrzucił, zostając Caedusem.

Jaina pokręciła głową. Nic nie rozumiała.

- Chcesz powiedzieć, że nie miało znaczenia, że został Sithem?

- Coś w tym stylu. - Tahiri wróciła do rzeczywistości. - Myślę, że ważniejsze jest to, kiedy Jacen się złamał. Może nastąpiło to, kiedy Vergere torturowała go tak długo? A może już w czasach, kiedy był dzieckiem i razem z tobą i Anakinem podrzucano go różnym nianiom i opiekunom, podczas gdy wasi rodzice byli zajęci innymi sprawami? - Tahiri uniosła rękę, uprzedzając kąśliwą odpowiedź Jainy. - Nikogo nie krytykuję, ale Han i Leia zajmowali się zbyt wieloma rzeczami naraz, mieli za dużo obowiązków, a kiedy tak się dzieje, ktoś musi ucierpieć. - Zmarszczyła brwi, zastanawiając się. - Myślę, że mógł się załamać, gdy stwierdził, że galaktyka jest ogromnym, paskudnym miejscem, które trzeba ujarzmić. Nie wiem, co mu podsunęło tę myśl, ale wywarło to na nim takie wrażenie, że musiał stać się potworem, żeby się z tym zmierzyć.

Jag nie wyglądał na przekonanego.

- Nie sądzisz, że to Lumiya go złamała?

- Myślę, że ona go ukształtowała. - Tahiri wydawała się teraz znacznie bardziej otwarta niż wtedy, gdy Jaina i Jag weszli do pokoju. - Ja też zostałam złamana. Złamana przez Yuuzhan Vongów. Załamałam się zupełnie, kiedy zginął Anakin, a potem dowiedziałam się, że znów mogę z nim być choć przez krótkie chwile. Przy każdym załamaniu wpływają na ciebie zewnętrzne siły, a ty nie możesz nic na to poradzić. I dlatego nie sądzę, żeby to miało znaczenie, kiedy Jacen został Sithem. Myślę, że ważniejsze jest to, kiedy się złamał.

Jaina i Jag wymienili spojrzenia.

- To ciekawą teorią - powiedziała Jaina.

Tahiri zaśmiała się gorzko.

- W języku Solo to pewnie znaczy: „Najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam”.

- Nie, mówię poważnie. Przekażę to Wielkiemu Mistrzowi. Właściwy czy nie, jest to jakiś trop, którego wcześniej nie braliśmy pod uwagę.

- Rozumiem. - Tahiri rozluźniła się, udobruchana. - Dziękuję.

Kiedy wychodzili, Jaina pod wpływem nagłego impulsu objęła Tahiri, czego nie robiła od lat, a dziewczyna odwzajemniła uścisk.

- Obawiam się, że ja nie potrafię jej tak łatwo wybaczyć - powiedział Jag w drodze do turbowindy. - Zabiła człowieka, którego darzyłem wielkim szacunkiem.

- Ja też miałam dużo szacunku dla admirała Pellaeona - zgodziła się Jaina. - Ale kto tak naprawdę go zabił? Tahiri, z którą przed chwilą rozmawialiśmy, obserwując, jak próbuje się wydostać z bardzo mrocznego miejsca, czy Tahiri sprzed dwóch lat?

- Jedna pochodzi od drugiej. Są ze sobą nierozzerwalnie związane. - Jag zatrzymał się przed turbowindą i wcisnął guzik, żeby przywołać kabinę. - Nie można zrzucić z siebie całej odpowiedzialności za swoje czyny, kiedy stwierdzi się nagle, że były złe.

- Żadnego z nas nigdy nikt nie złamał. - Głos Jainy brzmiał wyjątkowo łagodnie. - Może jesteśmy zbyt nieczuli albo za głupi, a może po prostu nigdy nie spotkało nas coś, co mogłoby nas zranić do głębi, tak jak przydarzyło się to jej. Skąd wiesz, do czego bylibyśmy zdolni w jej sytuacji?

Jag zastanowił się nad tym i wzruszył ramionami.

- Jedi mają więcej wiary w odkupienie niż ja. Nie twierdzę, że moje podejście jest lepsze. Mówię tylko, że nie wiem, czy potrafiłbym zrobić to co ty: wybaczyć coś tak potwornego.

- W takim razie mam nadzieję, że nigdy nie popełnię przy tobie naprawdę poważnego błędu.

ROZDZIAŁ 9

Świątynia Jedi, Coruscant

Jako doświadczony Rycerz Jedi - brany podobno pod uwagę, jako kandydatka na Mistrza - Jaina miała zagwarantowaną prywatną kwaterę na czas pobytu w Świątyni. Pokoik był mały i ascetyczny, jednak zapewniał więcej spokoju niż dormitoria zarezerwowane dla młodszych Rycerzy Jedi i uczniów.

Siedząc przy biurku, analizowała zebrane dla niej wstępne informacje, dotyczące pracujących dla Daali łowców nagród.

Quarrenem prawie na pewno był Dhidal Nyz, wynalazca specjalizujący się w technikach wykorzystywanych przy pojmaniach i aresztowaniach. Część swojej fortuny zdobył, realizując lukratywne kontrakty rządowe na dostarczanie poszukiwanych zbiegów.

Ciemnowłosa kobieta przedstawiła się zarówno Luke'owi, jak i prasie jako Zilaash Kul. W kartotece Jedi nie było o niej ani słowa; nie była też karana. Hologramy, na których widniał jej miecz świetlny, zostały powiększone i poddane drobiazgowej analizie. Ujawniła ona, że rękojeść broni była wzorowana na ostatnim mieczu świetlnym Obi-Wana Kenobiego, tym, który legendarny Jedi miał ze sobą na pokładzie „Gwiazdy Śmierci” podczas swojej ostatniej misji. Tamten miecz najprawdopodobniej uległ zniszczeniu podczas wybuchu.

Skakoanin okazał się znaną postacią. Hrym Mawaar był łowcą nagród z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem, znanym z tego, że w przerwach między zadaniami, które wykonywał jako łowca nagród, wracał do swojego rodzinnego systemu, gdzie wybierano go na funkcjonariusza organów ścigania.

Droid ZYV, czwarty na liście JAINY, wzbudzał w niej największy niepokój. Vranin Vaxx, najemnik rasy ludzkiej z Dorvalli, odznaczył się w czasie wojny z Yuuzhan Vongami, ale został straszliwie poparzony i okaleczony w katastrofie promu pod koniec wojny. Nie życzył sobie, żeby zastępować protezami dwie trzecie jego ciała, które zostały nieodwracalnie uszkodzone. Jego rodzina, bogaty górniczy klan, zdołała kupić na czarnym rynku droida typu ZYV 1 i przerobić go na cybernetyczne ciało dla Vaxxa. Wszystko, co pozostało z jego organizmu, zostało umieszczone w korpusie androida.

W pancerzu Vaxxa było mniej miejsca niż w oryginalnych droidach ZYV, więc nie mógł on być tak dobrze uzbrojony jak prawdziwy droid zabójca, jednak nadrabiał to z nawiązką ludzkim doświadczeniem i pomysłowością. Według raportu, który otrzymała Jaina, Vaxx przeżył laserowy atak Leii, został naprawiony i wrócił do pracy.

Jaina otworzyła akta kolejnego łowcy nagród, rodiańskiego snajpera, ale w tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Proszę - powiedziała machinalnie.

Drzwi otworzyły się z sykiem i wszedł przez nie jej nieżyjący od szesnastu lat brat Anakin.

Jaina zamarła, jej ciało przebiegł dreszcz. W dodatku nie był to Anakin taki, jakim go pamiętała, szesnastoletni chłopiec ubrany w szaty Jedi. Był starszy, zupełnie dorosły i wyższy, może nawet odrobinę wyższy niż Jacen. Miał na sobie zwykłe czarnoszkarałatne ubranie, a na szyi zawieszony profesjonalny holorejstrator.

Miał także uśmiech Anakina, kiedy podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

- Jedi Solo?

- Eee... - Wstała i automatycznie podała mu rękę. Kiedy ich dłonie się złączyły, uświadomiła sobie z zażenowaniem, że jej jest spocona.

- Pewnie mnie nie pamiętasz. Minęło ponad piętnaście lat. - Wytarł sobie z roztargnieniem dłoń o tunikę. - Nazywam się Dab Hantaq.

- Dab Hantaq... - Znajome brzmienie tego nazwiska sprawiło, że umysł Jaina się rozbudził.

- W czasie wojny z Yuuzhan Vongami zostałem porwany przez senator Viki Shesh...

- ...i wykorzystany przez nią w spisku, który miał na celu porwanie mojego kuzyna Bena. - Jaina poczuła ulgę, że zagadka się wyjaśniła.

- Zgadza się. Możesz mnie pamiętać jako Tarca. Tak mnie wtedy nazywała.

- No właśnie, mały Tarc. - Jaina usiadła, próbując odzyskać spokój. - Siadaj.

Dab się rozejrzył. Nie było drugiego krzesła. Jeszcze raz się uśmiechnął.

- Dziękuję, postoję.

- W czym mogę... o co ci...

- Zostałem do ciebie przydzielony. - Odpiął od paska mały pojemnik i otworzył. Po lewej stronie znajdowała się okrągła odznaka żandarma Sojuszu, po prawej karta identyfikacyjna z hologramem twarzy, nazwiskiem i podstawowymi informacjami. - Właściwie to jestem reporterem, ale mam też licencję detektywa, bo przydaje mi się w pracy, a że był masowy nabór osób posiadających określone umiejętności i doświadczenie w kontaktach z Jedi...

- Jesteś moim obserwatorem?

Skinął głową i przypiął obwolutę z powrotem do paska.

- Ta cała funkcja żandarma to tak naprawdę sprawa drugorzędna. Dali mi ją, żebym mógł wszędzie

za tobą chodzić. Mnie bardziej interesuje uchwycenie chwili...

- To się nigdy nie uda. Nigdy, nigdy.

Popatrzył na nią ciepło.

- Wiem, chodzi o moje podobieństwo do twojego brata. Jak tylko cię wylosowałem, wiedziałem, że będą problemy. Skoro to ci sprawia ból, poproszę, żeby przydzielili mi kogoś innego.

- Tak. To znaczy nie. Nie o to chodzi. - Starła się opanować emocje, świadoma niepokojącego faktu, że już doznała większego bólu, niż byłaby skłonna przyznać. - Po prostu uważam, że ta cała akcja z obserwatorami nigdy się nie uda. Tak ogólnie.

- Aha. - Dab przesunął palcem po zawieszonym na szyi holorejestratorze. - Czy mógłbym nagrać twoją wypowiedź na temat tego programu, parę słów wyrażających twoją opinię?

- Nie! To chyba nie należy do twoich obowiązków obserwatora, co?

- No, fakt.

- Nie będziesz nagrywał niczego na użytek prywatny ani zawodowy? Wszystko, co nagrasz, przekażesz rządowi, prawda?

- Eee, jasne.

Popatrzyła na niego spode łba.

- Słuchaj, jestem właśnie w trakcie przeglądania notatek...

- Rozumiem. Mistrz Hamner przygotował poczekalnię dla obserwatorów w pomieszczeniu obok Wielkiego Holu. Dawna aula dla młodzików, tak powiedział. Chodziło mu o dawną aulę czy dawnych młodzików? Nieważne. Pójdę tam. Musisz się do mnie zgłosić[^] jeśli będziesz chciała opuścić Świątynię, żebym mógł ci towarzyszyć. A ja muszę zaglądać do ciebie co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy się, no wiesz, nie ulotniłaś. Przykro mi.

Oszołomiona, pokiwała tylko głową. Dab zaczął czekać chwilę, żeby się upewnić, że nie padną już żadne słowa, po czym wyszedł. Drzwi się za nim zamknęły, pozostawiając Jainę w zbawiennej ciszy.

Dopóki znów nie przemówiła.

- Wylosował mnie, akurat. Ktoś tu sobie robi żarty i ktokolwiek to jest, wyląduje w zgniataczu śmieci.

Dzielnica mieszkalna w pobliżu Świątyni Jedi, Coruscant

Tahiri wcisnęła guzik, żeby otworzyć drzwi swojego mieszkania. Przesunęły się w bok, ukazując stojącego za nimi wysokiego, bardzo starego mężczyznę. Miał rzadkie siwe włosy i zaskakująco przejrzyste błękitne oczy. Nosił luźną białą tunikę, spiętą w pasie, czarne spodnie i buty. Chociaż miał protezę lewej ręki, nie starał się, o dziwo, ukryć tego faktu. Była to stara proteza; miała przynajmniej siedemdziesiąt pięć lat i wyraźnie mechaniczny wygląd pomimo eleganckiego, naturalnego kształtu. Od czubków palców aż do miejsca, gdzie przykrywał ją biały rękaw, miała kolor matowej durastali.

Rzucił Tahiri przelotny, serdeczny uśmiech.

- Tahiri Veila?

- Tak.

- Jestem komandor Trinnolt Makken z Imperialnej Marynarki Wojennej, w stanie spoczynku. Mam być pani obserwatorem wyznaczonym przez rząd.

Roześmiała się i zamknęła drzwi przybyszowi przed nosem.

Ponownie rozległ się dzwonek, a po nim stłumiony głos komandora.

- To nie są żarty. Mogę się wylegitymować.

Otworzyła znów drzwi.

- Słyszałam o tej historii z obserwatorami od znajomych, to znaczy od informatorów. Komandorze, ja nie jestem Jedi.

- To samo dotyczy Sithów, jeśli tylko da się ich zidentyfikować.

- Sithem też nie jestem.

Uniósł swoją prawdziwą rękę, w której trzymał kartę danych.

- Tak czy inaczej, na dokumencie znajduje się pani nazwisko.

Spojrzała na kartę, która uniosła się parę centymetrów w powietrze. Zadrgała, jakby siłując się sama ze sobą, po czym pękła na dwoje. Połówki spadły na dłoń mężczyzny.

Zmierzyła go wzrokiem, który nie był już przyjazny.

- Nie jestem Jedi - powtórzyła powoli. - Nie jestem Sithem. Umiesz latać?

Pokręcił posępnie głową.

- Więc nie wracaj, dopóki się nie nauczysz, bo możesz wylecieć przez iluminator z dwusetnego piętra. - Zatrzasnęła drzwi.

Tym razem komandor już nie zadzwonił.

Świątynia Jedi, Coruscant

Jaina i Mistrz Hamner spotkali się przed Salą Mistrzów. Oboje mieli ponury wzrok.

- Widziałeś mojego nowego obserwatora? - spytała Jaina.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jest twoja matka?

- Przejdźmy do dawnej auli dla młodzików. On, zdaje się, myśli, że to sala dla byłych młodzików.

Mistrz Hamner ruszył za nią.

- Tam jest twoja matka?

- Nie, obserwator tam jest - powiedziała Jaina. - Rozumiesz chyba, że to nie jego wina.

- A nie wiesz, gdzie jest twój ojciec? Może on będzie wiedział, gdzie jest twoja matka.

- To nie jego wina, że wygląda jak mój brat Anakin.

- Twojego ojca? Oczywiście, że to jego wina. I sędzę, że jest zadowolony. Większość ojców to cieszy.

- Mistrzu Hamner, proszę, skup się. Dostałam obserwatora, który wygląda jak mój brat, a to nie może być przypadek. To okrutny żart albo zniewaga, a jeśli moi rodzice go zobaczą, będzie im bardzo przykro.

- Ach. Znakomicie. Gdzie twoi rodzice mogą go zobaczyć?

Zatrzymali się przed drzwiami starej auli dla młodzików.

Podwójne drzwi były otwarte. Pomieszczenie za nimi było w większości puste; część krzeseł dawnej auli zastąpiły okrągłe stoły. Przy niektórych siedzieli mężczyźni i kobiety; wśród nich wielu starszych i, sądząc po wyglądzie, byłych wojskowych. Pozostali byli w różnym wieku, ale wszyscy wyglądali na bardzo sprawnych.

Jaina wskazała na swojego nowego obserwatora, który siedział przy stoliku z dwoma innymi, jedząc sałatkę i rozmawiając.

- To ten. Nazywa się Tarc.

Mistrz Hamner popatrzył i przekrzywił głowę.

- Rzeczywiście wygląda jak Anakin Solo.

- A ty myślisz, że to przypadek?

- O to też musiałabyś zapytać swojego ojca.

- Nie, nie. Chodzi o to, że został przydzielony do mnie.

- Aaa. - Wzruszył ramionami. - Naprawdę nie wiem. Obserwatorów wyznacza kancelaria przywódczyni Sojuszu.

- No cóż, chcę go wymienić na kogoś innego.

- W takim razie musisz się zwrócić do kancelarii Daali. Na pewno będzie otwarta na wszelkie sugestie. Darzy Jedi wielką sympatią.

Jaina się zjeżyła.

- Chciałbyś, żeby za tobą łąził zmarły krewny?

Wziął ją pod rękę i powoli odprowadził od drzwi.

- Wiesz, masz usta po matce. I nie tylko wykrój warg; myślę też o tym, co z tych ust wychodzi: twoje słowa, a nawet inwektywy, są typowe dla rodziny Organa.

- Dziękuję. Co chciałeś wiedzieć o mojej mamie?

- Gdzie ona jest.

- Pewnie w domu.

Hamner pokręcił głową.

- Wygląda na to, że „Sokół Millenium” wyleciał dziś o świcie w kosmos z twoimi rodzicami i adoptowaną siostrą na pokładzie.

- Cóż, pewnie chcieli zabrać Amelię na wycieczkę.

- W kosmos?

- W mojej rodzinie to całkiem normalne.

- Rejestrator komunikatora w ich mieszkaniu w odpowiedzi na mój kod polecił skontaktować się z biurem Landa Calrissiana z Tendrando Arms.

- No to masz odpowiedź.

- Tylko że w biurze Tendrando Arms powiedzieli, że nie wiedzą, gdzie jest Lando Calrissian, ale

przekazą wiadomość. Więc pomyślałem, że może wiesz, jak inaczej skontaktować się z twoją matką, jakoś tak... kuchennymi drzwiami.

- Niestety nie. - Było to bezczelne kłamstwo, jednak przez lata opanowała je do perfekcji i wątpiła, żeby Mistrz Hamner zdołał je wykryć w Mocy.

Wydawał się usatysfakcjonowany.

- Trudno.

- Przykro mi, Mistrzu Hamner. Moi rodzice często znikają na całe dni, nigdy nie mówią, dokąd się wybierają, mają różne sekrety... Przez nich przedwcześnie się zestarzeję.

Mistrz zamrugał i Jaina wyczuła, że gdzieś w głębi, pod maską tego opanowanego Jedi, ma ochotę ją udusić. Ale powiedział jedynie:

- To typowe dla twojej matki.

- Muszę się teraz skontaktować z kancelarią przywódczyni Sojuszu. Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. Wystarczy mi pomocy na dziś.

ROZDZIAŁ 10

Kessel

Nawet z dużej wysokości było widać, że kopalnie Landa na Kessel mocno się zmieniły od czasu, kiedy Han pracował w nich jako robotnik przymusowy - zanim jeszcze przejął je Lando. Kiedy Han i Chewbacca zostali pojmani i zmuszeni tutaj do pracy, główne wejście do kopalni było wielkim, odkrytym wyrobiskiem, otoczonym rozległymi solnymi równinami i paroma budynkami administracyjnymi. Teraz wyrobisko było zakryte, na jego miejscu stał niski, kwadratowy szary budynek, a domy wokół niego były znacznie liczniejsze, choć nie ładniejsze; prywatny zmysł estetyczny Landa najwyraźniej nie miał wpływu na zbieranie prefabrykowanych zabudowań w kolorach złamanej bieli, szarości i jasnego brązu.

Parę większych budynków i kilkanaście mniejszych, które zmieniły się w sterty gruzu, świadczyło o sile niedawnych trzęsień gruntu nawiedzających okolicę.

Podążając śladem boi nawigacyjnej Landa, Han dostrzegł na białej solnej równinie pusty plac wielkości „Sokoła”, otoczony nieregularnymi blokami z brązowego syntetycznego kamienia, prawdopodobnie pochodzącymi z zawalonych budynków. Wylądował szybko i pewnie, machinalnie dostosowując zakres wysunięcia podwozia, tak żeby „Sokół” spoczął idealnie poziomo na nierównym gruncie. Zmniejszając moc silników manewrowych i repulsorów do zera, pozwolił, żeby statek osiadł w pełni na podwoziu. Uśmiechnął się - znów był na Kessel, to prawda, ale przynajmniej jego lądowanie było perfekcyjne.

- Kiedy ja będę mogła to zrobić? - spytała Allana, siedząca obok niego na kolanach Leii, w fotelu drugiego pilota.

- Co zrobić? Wylądować?

Pokiwała głową z szeroko otwartymi oczami.

- Uhm.

- Kiedy uznam, że moje serce to wytrzyma. - Han rzucił Leii kose spojrzenie, całkiem jakby chciał powiedzieć: „A może będę miał szczęście i wcześniej umrę”.

Leia posłała mu na wpół rozbawiony, na wpół złośliwy uśmiech. Spojrzała na swoją wnuczkę.

- Chyba chciał przez to powiedzieć, że niedługo.

Zanim Han zdążył opuścić rampę, Lando i Nien Nunb czekali już obok w maskach do oddychania, koniecznych, żeby przeżyć w rozrzedzonej atmosferze Kessel dłużej niż kilka minut. Nunb, zarządca Landa w tym przedsięwzięciu, był Sullustaninem o dziwnie płaskiej głowie; w przeciwieństwie do większości przedstawicieli swojej rasy był tylko nieznacznie niższy i bardziej zaokrąglony od

przeciętnego dorosłego człowieka.

Lando wskoczył na rampę z wigorem o połowę młodszego mężczyzny.

- Han! Świetny czas.

Han uściskał go przelotnie.

- Wygoniła nas z Coruscant biurokracja. Uznaliśmy, że jesteś mniejszym złem.

- Zwykle naprawdę nim jestem. - Lando zaprezentował jeden ze swoich łobuzerskich uśmiechów, wyraźnie zadowolony, że wciąż przypisuje mu się zły wpływ. - Chodźcie do środka.

Tendra i Fuks już czekają. - Spojrzał w górę rampy. - Hej, Artoo! Kopę lat.

W sali konferencyjnej czekał lekki lunch i napoje. Pomieszczenie wyglądało tak, jakby nie należało do tego obskurnego, umierającego powoli świata; stojący na środku owalny stół miał blat z przepięknego niebiesko-białego marmuru, krzesła były pokryte gładką ciemną skórą, a cała atmosfera przywodziła na myśl najwyższe piętra wieżowców w dzielnicy biznesowej Coruscant.

Jednak przez ogromny iluminator w najdłuższej ścianie widać było nieprzyjazne tereny kopalni, ich pylistą, sterylną biel, na której nic nie mogło wyrosnąć. Nieopodal stał „Sokół”. Trochę dalej znajdował się ciemny budynek o pozbawionych wyrazu brązowych ścianach; co parę minut wydobywał się z niego obłok gazu, posyłając tak potrzebną mieszankę tlenu i azotu w niezdrowo wyglądające różowe niebo. W oddali, na sztucznych wzniesieniach, widać było potężny szaro-brązowy gmach o nachylonych stromo ścianach, lśniących durastalą i transpastalą. Był to, jak Han dobrze wiedział, stary imperialny zakład karny, więzienie, z którego dawni władcy Kessel czerpali siłę roboczą do pracy w kopalniach.

Han, Leia, Tendra i Nien Nunb siedzieli przy stole. W sąsiednim pokoju, z którego przez otwarte drzwi wszystko było słychać, bawili się Allana i Fuks w towarzystwie droidów - nie tylko C-3PO - R2-D2, ale też robota-niani chłopca. Czteroręki automat o okrągłej, rozpromienionej twarzy i niemal naturalnym kobiecym głosie, wyglądał identycznie jak Nanna, morderczy droid obronny, wyprodukowany z części robota-niani i droida bojowego ZYV 1 do opieki nad Benem Skywalkerem w pierwszych latach jego życia. Leia zastanowiła się przez chwilę, czy to ten sam.

Tendra, żona Landa, szczupła, ciemnowłosa kobieta, dużo młodsza od męża, ubrana była w połyskujący niebieski zakiet, który przywodził na myśl świat odległych piasków i pojedynków na arenie między ludźmi a zwierzętami. Pod spodem miała bluzkę w kolorze opalizującej szarości, a jej długa spódnica składała się z wielu warstw tych samych kolorów. Tendra zaczęła, aż ucichną pogaduszki, po czym przeszła do rzeczy.

- Chyba przydałoby się parę słów wprowadzenia.

Han pokiwał smutno głową, obgryzając nadziany na szpikulec kawałek banthy.

- To niewątpliwie podejście kobiety interesu. Masz dla nas wydrukowany plan?

Uśmiechnęła się.

- Cicho bądź. Lando jest właścicielem tych kopalni od jakichś trzydziestu lat. Ja weszłam w ten interes, kiedy się pobraliśmy. Nien Nunb, który zarządza zakładem, stopniowo nabywał udziały w ramach swojego kontraktu. Nasza trójka ma więc pełną kontrolę nad tym interesem.

Leia skinęła głową.

- A ponieważ o składzie rządu Kessel decydują w praktyce właściciele największych przedsiębiorstw, nikt wam nie pomoże, jeśli katastrofo zrujnuje biznes.

Lando miał nieszczęśliwy wygląd.

- Zgadza się. I chociaż do stracenia mamy tylko pieniądze, to jednak jest to mnóstwo pieniędzy. A poza tym, jeśli interes stanie się nieopłacalny dla nas czy kogokolwiek innego, ilość błyszczostymu dostępnego w galaktyce spadnie do zera. Wszystkie legalne, medyczne zastosowania przepadną.

Nien Nunb przemówił szybkim, melodyjnym językiem swojego ludu; rozumiał basie, ale miał problemy z wymową, więc Lando przetłumaczył jego wypowiedź:

- No tak, będzie też reakcja po tej nielegalnej stronie. Wszystkie ćpuny uzależnione od błyszczostymu zaczną walczyć o ostatnie zapasy; pojawi się rywalizacja o wejście na rynek z nowym narkotykiem, który zaspokoi ich głód. Pewnie wynajdą coś jeszcze bardziej niebezpiecznego, jak jeden z tych syntetycznych substytutów ryllu.

Han skończył swój szaszłyk i odłożył szpikulec.

- Myślałem, że Kessel to tylko skała. Paskudna, zimna skała o bulwiastym kształcie, kręcąca się spokojnie w kosmosie. Bez żadnej tektonicznej ani wulkanicznej aktywności.

- Bo tak miało być. - Lando zmarszczył brwi.

- My też tak myśleliśmy, dopóki nie zaczęły się trzęsienia - powiedziała Tendra. - To było około dwóch standardowych lat temu, w kulminacyjnym punkcie wojny. Pamiętam nawet dokładnie kiedy. Dostałam od Niena Nunba raport na temat pierwszego trzęsienia tego samego dnia, kiedy podali wiadomość o zniszczeniu stacji Centerpoint. Kilka pierwszych trzęsień było bardzo lekkich, ale z czasem się nasilały. Naukowcy nie wiedzą, co jest przyczyną, więc nie potrafią wysnuć żadnej przydatnej prognozy. Nie mają też powodów sądzić, że nie będzie się to nasilać dalej, aż żywiół wszystko zrujnuje, zasypie kopalnie, zniszczy fabryki atmosfery, a w rezultacie planeta nie będzie się nadawała do zamieszkania.

Nien Nunb znów się odezwał w swoim języku.

- Właśnie, zapomniałem o tym - odparł Lando, i zwrócił się ponownie do Hana i Leii. -

Przypomniał mi, że sejsmolodzy, których sprowadziłem, wykryli system naturalnych grot, naprawdę wielkich, sięgających znacznie głębiej niż nasze kopalnie. Skanery sejsmiczne, które je wykryły, wykazały przy okazji, że niektóre z nich zawaliły się pomiędzy odczytami, co może stanowić przyczynę całej katastrofy.

- Skąd tu się w ogóle wzięły jaskinie? - zdziwiła się Leia.

Lando wydawał się zbity z tropu zmianą tematu.

- O co chodzi?

- Jaskinie tworzą się zwykle, kiedy woda przepływająca przez miękką skałę powoduje jej erozję, prawda?

- Chyba tak.

Han uśmiechnął się szeroko do Landa.

- Nauka nie boli, co, stary?

- Moją nauką jest ekonomia.

- Na Kessel jednak nigdy nie było tyle wody - ciągnęła Leia.

Lando wzruszył ramionami.

- Może to pająki energożerne je wykopały? Lubią snuć swoje pajęczyny tam, gdzie nie sięga światło.

Leia rzuciła mu kpiące spojrzenie.

- Chcesz powiedzieć, że pająki ewoluowały na powierzchni, a kiedy zorientowały się, że światło niszczy ich pajęczyny, wykopały skomplikowany system jaskiń i czekały, aż zaczną się tam zapuszczać inne gatunki? - Pokręciła głową. - Foto-reaktywne właściwości ich pajęczyn to ewidentnie późniejsza adaptacja; stało się to, kiedy żyły w jaskiniach już od tysięcy albo milionów lat.

Lando uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Może masz rację.

- Lando, na Kessel jest zbyt dużo tajemnic. Spędziłam tu trochę czasu, prowadząc badania. Macie tu powierzchniowe grobowce, których nigdy nie otwierał żaden wykwalifikowany archeolog. Macie ptaki wielkości człowieka, które wykazują dziwne przywiązanie do ruin. Macie grot, które nie powinny istnieć, i trzęsienia gruntu, które nie mają prawa występować. Ściągnąłeś nas tu, żebyśmy ci pomogli rozwiązać problem, ale myślę, że on byłby już w połowie rozwiązany, gdybyś przed laty zainwestował trochę czasu w znalezienie odpowiedzi na te pytania.

W trakcie przemówienia Leii Lando coraz bardziej się kulił, chowając głowę w ramiona niczym morski żółw szukający schronienia w swojej skorupie.

- Niewiele już tych ptaków zostało - powiedział. - To wymierający gatunek.

- Tobie to nie przeszkadza, bo nie da się na nich zarobić.

Lando spojrzał błagalnie na żonę.

- Ratunku! - jęknął.

Tendra uśmiechnęła się do niego.

- Przykro mi, kochanie. Radź sobie sam.

- No, dobrze. - Lando wyprostował się, przyjmując normalną pozycję. Odwrócił się w stronę Niena Nunba. - W porządku. Potrzebujemy kompletnej ekipy archeologicznej do zbadania grobowców. Niedużej, ale porządnie finansowanej przez co najmniej jeden standardowy rok galaktyczny z możliwością przedłużenia umowy na kolejne dwa lata, jeśli będziemy zadowoleni z ich pracy. Potrzebujemy też dobrze wyposażonego laboratorium ksenobiologicznego wraz z obsługą, na tych samych warunkach, do zbadania lokalnych form życia innych niż pająki energożerne. Podciągniemy koszty pod straty wynikające z przerw w pracach wydobywczych. - Skończył i spojrzał wyczekująco na Leię.

Pokiwała głową, udobruchana.

- Piękna kapitulacja, generale - prychnął Han. - Więc wyłóż karty na stół. Czego dokładnie od nas oczekujesz?

- Chciałbym, żebyście tam zeszli. Żebyście wykorzystali swoje umiejętności i talenty Leii, by dowiedzieć się tego, czego nie dowiedzieli się naukowcy, których tam wysyłałem. Zbadajcie, dlaczego tak się dzieje.

Han spodziewał się, że Lando o to poprosi, jednak ta świadomość nie uchroniła go od przykrego ucisku w żołądku. Zejść znów do tych tuneli... Ale cóż, Lando był jego przyjacielem w każdej potrzebie, przyjacielem, który pomagał im w bardzo ciężkich czasach. Spojrzał na Leię i zobaczył, że kiwa głową.

- Tak, jasne. - Miał nadzieję, że jego głos nie brzmiał tak opryskliwie, jak mu się zdawało.

- Świetnie - ucieszył się Lando. - Więc... czego wam trzeba?

- Pojazdu - odparł Han. - Małego, nie większego niż wasze repulsorowe wagoniki górnicze. Wypełnionego sensorami. Aktywne, pasywne, jak najszerszy zakres. I broni, ale nie energetycznej. Chodzi mi o materiały wybuchowe, miotacze pocisków, cokolwiek zdołasz załatwić, bo pająki energożerne potrafią pochłonąć praktycznie każdy ładunek energii z broni ręcznej lub z niewielkiego pojazdu. Broń ręczna też się przyda, na wypadek gdyby Leii przyszło do głowy, że musi wysiąść z

pojazdu.

- Załatwione - powiedział Lando.

- Na kiedy możesz to przygotować?

- Wszystko czeka przy głównym wejściu do kopalni. - Widząc uniesione brwi Hana, Lando się uśmiechnął. - Znam cię trochę, stary druhu.

- Chyba rzeczywiście.

- Mogę jechać z wami? - odezwała się Allana, która stała w drzwiach do drugiego pokoju, tuż za progiem, na wpół schowana za futryną.

Han i Leia wymienili spojrzenia. Leia popatrzyła surowo na dziewczynkę.

- Podśluchiwałaś pod drzwiami?

Allana zawahała się, a w końcu pokiwała głową. Zrobiła nieśmiały krok naprzód.

- Threepio zaczął mi opowiadać bajkę i zrobiłam się śpiąca, ale nie chciałam jeszcze spać, więc podeszłam bliżej, żeby was posłuchać, bo wy jesteście ciekawsi.

- Przykro mi, skarbie. - Han posłał Allanie spojrzenie, w którym starał się zawrzeć zarówno czułość, jak i rodzicielską surowość. - To niebezpieczne. To nie miejsce dla małej dziewczynki. Będziesz musiała zostać z Threepio, Artoo i Fuksem.

- Wolę być z wami.

- Wiem, Amelio, ale tym razem nic z tego. W czasie misji czasem trzeba zostać tam, gdzie jest bezpiecznie, żeby inni nie musieli się o ciebie martwić. Tak też można pomóc. - Han odwrócił się w stronę pozostałych, a ich rozbawione miny i porozumiewawcze spojrzenia odpowiadały: „choć nikt nigdy nie ma na to ochoty”.

Pojazd, który Lando przygotował, stojący na białej, pylistej glebie przed budynkiem stanowiącym wejście do kopalni, najwyraźniej zaczynał jako śmigacz; miał tę samą niską, prostokątną konstrukcję z centralnie umieszczoną kabiną pasażerów, jaka była powszechna w tego typu pojazdach.

Ten model jednak miał sztywny dach, a na jego środku zamontowano małą wieżyczkę, z której wyrastały dwie lufy - jedna o średnicy nie większej niż kciuk Hana, druga z przekrojem niemal jego pięści. Han rozpoznał miotacz pocisków i granatnik, oba starego typu, rzadko spotykane w okolicach Jądra galaktyki, rozpowszechnione raczej na Zewnętrznych Rubieżach i mniej rozwiniętych planetach. Wieżyczka wyglądała na niedawno doklejoną; wokół niej było widać świeże spawy, sama wieżyczka zaś, matowoszara, nie została pomalowana na brązowo jak reszta pojazdu. Na metalowej powierzchni nad silnikiem i przedziałem bagażowym dodano jeszcze błękitne transpystalowe bańki,

pod którymi były schowane sensory; umocowano je w miejscach, gdzie lakier został wypalony. Powstały tam otwory, którymi poprowadzono przewody łączące sensory z wnętrzem pojazdu.

Han postukał kontrolnie w kadłub oraz iluminatory śmigacza. W obu przypadkach odgłosy były krzepiąco głębokie.

- Opancerzony? - spytała Leia.

Tendra kiwnęła głową.

- Kiedyś to był śmigacz do przewozu odwiedzających planetę dygnitarzy między więzieniem a ładowiskiem. Jest stary, ale solidny. Podobnie jak Lando. - Puściła oko do męża.

Lando rzucił jej cierpkie spojrzenie i zwrócił się do Hana:

- Granatnik ma dwa tryby, odpowiadające dwóm rodzajom amunicji. Przełącznik jest na drążku sterującym bronią. Jeden tryb to bomby odłamkowe, bardzo nieprzyjemne. Zachowajcie przynajmniej pięćdziesięciometrowy dystans przy detonacji, nawet będąc wewnątrz pojazdu. Drugi tryb to sposób na pająki bez użycia przemocy, który opracowaliśmy. Wystrzela się latający wabik o potężnym ładunku cieplnym, który ma sygnaturę energetyczną wyraźniejszą niż ekipa górników. Porusza się samoczynnie, unikając ścian, i utrzymuje się w powietrzu przez mniej więcej minutę. Odpalasz, czekasz, aż pająk się za nim rzuci, i zwiewasz w drugą stronę.

- No cóż, nie jest to „Sokół” - stwierdził Han. - Ale będzie musiał wystarczyć.

W środku, na tylnym siedzeniu, leżały kombinezony termiczne, gogle na podczerwień, maski do oddychania z dużą liczbą zapasowych pojemników z tlenem i baterii, dodatkowe akumulatory do kombinezonów termicznych, skrzynie z wodą i żywnością oraz przeznaczona do noszenia na plecach broń, na amunicję podobną do tej obsługiwanej przez systemy w wieżycze pojazdu.

Han spojrzał na Landa.

- Jak długo właściwie mamy tam zostać?

- Tak długo, jak będziecie chcieli albo musieli. Właściwie to przygotowałem ten pojazd dla siebie. W ciągu ostatnich paru tygodni Nien, Tendra i ja zjeźdzaliśmy na dół, szukając źródła problemu i rozmieszczając sensory dla sejsmologów. Bez efektu.

- W porządku. - Han wziął głęboki oddech, próbując odegnąć wspomnienia rozpaczliwej ucieczki przez te szyby i tunele, jaką on, Chewbacca i Kyp Durrón salwowali się ponad trzydzieści lat wcześniej. Nic to jednak nie dało. - Ruszajmy.

Ubrani w termiczne kombinezony - bladożółte skafandry z gładkiego, utrzymującego ciepło materiału, ogrzewane dodatkowo przez sieć przewleczonych przez ich powierzchnię przewodów - oraz maski do oddychania, Han i Leia wsiedli do śmigacza. Han usiadł za sterami; po chwili kabina

pasażerów została uszczelniona i mogli zdjąć maski. Pomachali jeszcze raz Calrissianom i Nienowi Nunbowi, po czym Han włączył motywatory pojazdu i wprowadził go w ruch.

Przed sobą mieli budynek otaczający główne wejście do kopalni. Han skierował się wzdłuż starych torów kolejowych do wrót budynku, które usłużnie się przed nimi otworzyły. Kiedy znaleźli się w środku, Han zapalił zewnętrzne światła śmigacza.

Rozświetliły rozległe pomieszczenie o suficie poprzecinanym metalowymi belkami, z których zwisały ruchome wciągarki. Zamiast podłogi był krater, ogromny lej wydrążony w szarobiałym kamieniu, znikający w mroku w swoim najgłębszym punkcie, dokładnie pośrodku. Tory prowadziły prosto do dziury.

Zesztywniały z napięcia Han podążył wzdłuż torów. Po chwili zbocze krateru się skończyło i zaczęli opadać na samych repulsorach w dół pionowego szybu, który zdawał się nie mieć końca.

ROZDZIAŁ 11

Świątynia Jedi

W miarę jak Kenth Hamner oswajał się z rolą tymczasowego Mistrza Zakonu Jedi, zaczął wprowadzać pewne zmiany, które miały zwiększyć komfort pracy i wydajność w pełnieniu tej funkcji.

Na przykład poranne odprawy. Codziennie po śniadaniu zbierał Jedi w Wielkim Holu, żeby przekazać im wszystkie najświeższe informacje. Przesyłanie im plików na datapady byłoby pewnie prostsze, jednak lubił widzieć ich reakcje i wysłuchiwać od razu pierwszych komentarzy. Oczywiście teraz razem z Jedi przybywali obserwatorzy, których stroje tworzyły osobliwą mieszankę - niektórzy mieli na sobie zwykłą cywilną odzież, inni ubrania przypominające ich dawne wojskowe mundury, jeszcze inni obecne mundury Służby Bezpieczeństwa lub wywiadu Galaktycznego Sojuszu.

- Może już słyszeliście dziś rano w wiadomościach HoloNetu - zaczął tego dnia Mistrz Hamner - że rząd planuje pociągnąć Jedi Valina Horna do odpowiedzialności za czyny karalne i zniszczenia, do których doszło w następstwie niedawnych wydarzeń. Będziemy oczywiście protestować, ponieważ Jedi Horn bezsprzecznie nie był, i wciąż nie jest, w pełni władz umysłowych. Zarówno rząd, jak i Zakon Jedi zgadzają się co do tego, że Jedi Horna powinni przebadać wykwalifikowani specjaliści od zaburzeń psychicznych, żeby ocenić, jak poważny jest jego stan. Jesteśmy w trakcie wyboru specjalistów możliwych do zaakceptowania przez obie strony.

Zajrzał do swojego komputerowego notesu, po czym powiódł po sali surowym wzrokiem.

- Jest inna sprawa: nie będę nikogo wytykał palcami, ale nie jest tajemnicą, że niektórzy Jedi pozwalają sobie na utrudnianie ich obserwatorom wykonywania obowiązków. Wprawdzie Zakon dopuszcza bierny opór w razie niepokojów społecznych, jednak nie jest właściwe, żeby Jedi stosowali taką formę protestu wobec rozporządzeń, które zaakceptował sam Zakon. To moje ostatnie ostrzeżenie, i na razie nie przewiduję żadnych środków dyscyplinujących. A skoro o tym mowa, była Jedi Tahiri Veila stanowczo zaprotestowała przeciwko przydzieleniu jej obserwatora. Jej sprzeciw wobec rozporządzenia rządu jest interesujący, głównie ze względu na jej szczególny status prawny. Główny adwokat Świątyni przyjął jej sprawę, jako że Veila i rząd pozywają siebie nawzajem do sądu. Mistrzynie Sebatyne, Jedi Sarkin, Jedi Tekli... zgłoszcie się do mnie po przydział nowych zadań. To wszystko.

Gdy tylko zebranie się zakończyło, Jaina przemknęła się za kolumną, żeby nie zauważył jej obserwator, i wycofała się chyłkiem w kierunku tylnych schodów. Parę chwil później była już dwa piętra niżej i wchodziła do sali konferencyjnej, rzadko używanej ze względu na niski sufit i odstraszająco ciemne ściany.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, czekający w środku Jag chwycił ją w ramiona.

- Zgubiłaś pościg?

- On jest taki... przyjazny. Szkoda byłoby go zabić. - To miał być żart, jednak nawet w żartach pomysł zabicia Daba, który tak bardzo przypominał jej brata Anakina, a więc w pewnym sensie zabicia drugiego brata, przyprawił ją o dreszcze. - To się musi skończyć.

- Wymykanie się?

- Właściwie nie mam nic przeciwko wymykaniu się. - Uśmiechnęła się, odzyskując humor. - Ale to, że ktoś za mną łązi, kiedy się wymykam, jest nie do zniesienia.

- Zawsze możesz wystąpić z Zakonu, wyjechać ze mną do Imperium i założyć konkurencyjną szkołę Jedi.

- Nie kuś, bo ulegnę. - Ciągnęła bardziej poważnym tonem: - Jag, ja jestem Mieczem Jedi. Jestem obrońcą tego Zakonu, a nie konkurencyjnej organizacji, jakiejś nowej szkoły. Moje przeznaczenie jest tutaj.

- Twoim przeznaczeniem było wieść burzliwe życie i nigdy nie zaznać spokoju. Jak możesz się na to godzić?

- A co by było, gdybym się nie zgodziła? Gdybym odrzuciła wszystko, odeszła z Zakonu, postanowiła cieszyć się życiem już po historii z Mrocznym Gniazdem? Odpoczywałabym sobie na wakacjach w tym samym czasie, kiedy Jacen stał się tym, czym się stał. Co by było, gdybym tylko ja mogła go powstrzymać i tego nie zrobiła?

- Ale tak się nie stało.

- Nie, ale następnym razem może się zdarzyć coś podobnego. Jeśli porzucę po prostu swoje obowiązki i ucieknę do Szczątków, żeby bawić się w nauczycielkę, co się zdarzy, kiedy Miecz znów będzie potrzebny? - Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Chcesz spędzać ze mną więcej czasu? Przez całe lata, a nie tylko podczas najbliższych paru dni czy tygodni?

- Wiesz, że tak.

- To zrezygnuj z funkcji przywódcy Imperium. Mnóstwo osób chętnie obejmie to stanowisko.

Jag milczał przed długą chwilę.

- Wiesz, że nie mogę.

- Bo to twój obowiązek?

Jego „tak” było ledwo słyszalne.

- Więc nie namawiaj mnie, żebym porzuciła swoją pracę.

- W porządku.

- Postaramy się coś wymyślić. A jeśli się nie uda... no cóż, przynajmniej będziemy mieli dla siebie te kradzione chwile.

Nachylił się, żeby ją pocałować, ale rozległ się charakterystyczny sygnał jej komunikatora: dwa plus dwa. Jaina sprawdziła, kto to i oparła głowę na piersi Jaga.

- O co chodzi?

- To Dab. Obserwatorzy muszą kontrolować swoich Jedi dwa razy dziennie o różnych porach, żeby się upewnić, że jesteśmy gdzie trzeba. Muszę pędzić na górę pokazać mu, że nie uciekłam.

- Mógłbym go dla ciebie zabić.

- Już mówiłam: nie kuś mnie.

Na pokładzie „Cienia Jade”, przestrzeń Dorin

Ben stwierdził, że Dorin jest chyba najbrzydszą zamieszkaną planetą, jaką pamięta, a widział ich całkiem sporo. Był to także jeden z najdziwniejszym systemów gwiazdnych, z jakimi się spotkał. Co prawda przeczytał trochę na jego temat przed przylotem, nie osłabiło to jednak wrażenia, jakie zrobił na nim widok systemu oglądanego przez iluminatory „Cienia Jade”.

Słońce Dorina było niewielką pomarańczową kulą, usytuowaną między dwiema dużymi, blisko leżącymi czarnymi dziurami. Z odległości niecałego roku świetlnego wyglądało to jak niebezpieczna ścieżka z bezdennymi urwiskami po obu stronach, iluminowana słabym, odległym światłem. Tyle że Ben nie widział czarnych dziur jako groźne przepaście; wydawało mu się, że to para martwych oczu.

- Robi wrażenie, co?

Jego ojciec oderwał się na chwilę od wprowadzania współrzędnych ostatniego skoku w nadprzestrzeń. Obliczenia musiały być tutaj bardzo dokładne. Położony między dwiema tak potężnymi studniami grawitacyjnymi układ Dorina był bardzo trudno dostępny i każdy błąd w obliczeniach stanowił ogromne zagrożenie dla statku.

- Czarne dziury - tłumaczył Luke - to interesujące zjawisko astronomiczne dla naukowców i dosyć niepokojący widok dla większości pozostałych osób. Użytkownicy Mocy i wrażliwi na Moc bardzo ich nie lubią albo wręcz się ich boją.

- Dlaczego? - zdziwił się Ben.

Jego ojciec wzruszył ramionami.

- Moc wywodzi się z życia, a więc nawet śmierć nie jest zbyt niepokojąca dla użytkownika Mocy,

ponieważ jest nieuchronną konsekwencją życia. Z czarnymi dziurami jest inaczej. One są poza życiem. Wsysają całą energię i na zawsze ją zatrzymują, co jest sprzeczne z naszymi instynktami. Nie wiem, na czym to polega. Wiem, że wrażliwe na Moc dzieci, które ukryliśmy w Schronisku podczas wojny z Yuuzhan Vongami, nie czuły się dobrze w Otchłani, otoczone ze wszystkich stron czarnymi dziurami. Jesteś za młody, żeby to pamiętać, ale opiekunowie Jedi w Schronisku mówili, że dzieci bardzo płakały.

- Ja też dużo płakałem?

- Chyba nie. Wtedy byłeś praktycznie odizolowany od Mocy.

- To dobrze.

Luke uśmiechnął się szeroko i powrócił do swoich obliczeń.

- Gotowi do skoku za dziesięć sekund... pięć, cztery...

Kiedy przestrzeń wokół nich odzyskała normalne kształty, byli już w głębi systemu Dorina. Słońce przed nimi wydawało się większe, ale równie odrażające jak przedtem, a jego ciemny odcień wydawał się niemal brudny. Ben widział gwiazdy powyżej i poniżej słońca, jednak patrząc w lewo i w prawo przez iluminatory jachtu, zauważał tylko pustkę, pozbawioną przyjaznego blasku gwiazd. Przeszedł go dreszcz.

Minęło kilka minut, zanim Luke złapał przez komunikator kontrolę lotów na Dorinie. Oficer dyżurna mówiła w basicu z dziwnym akcentem, ale szybko zezwoliła Luke'owi na lądowanie w porcie kosmicznym w stolicy planety, Dor'shanie, i zapewniła go, że na miejscu będzie mógł zakupić zapasowe butle z tlenem do swojej maski do oddychania.

Dorin rósł stopniowo w przednim iluminatorze, ale nie wydawał się wcale Benowi bardziej pociągający. Planeta - ciemna i pokryta plamami - wyglądała ponuro. Kiedy jednak chłopak zagłębił się w Moc, nie wyczuł z jej strony specjalnych emocji. Dorin wydawał się nie mniej żywy niż którykolwiek ze słabo zaludnionych światów, jakie Ben odwiedził, i zdecydowanie weselszy niż złowrogi Ziost. Uspokoił się. A więc ten świat nie był siedliskiem ukrytego lęku i niecznych zamiarów.

Prześlizgnęli się przez mętną atmosferę i zeszli nad ciemne miasto. Stożące w nim budynki według standardów Coruscant były małe i rzadko rozrzucone. Miały dziwne formy - wszystkie były znacznie szersze u podstawy niż u szczytu. Ben przypominał sobie, co czytał na temat tego świata - że jego architektura, a nawet, w pewnym stopniu, zdolności Mędrców Baran Do rozwinęły się pod wpływem gwałtownych burz, które często przetaczały się po powierzchni planety. Chłopiec stwierdził, że te brzydkie, przysadziste budowle idealnie oddają charakter populacji, która musi ustawicznie przeczekiwać złą pogodę.

Zresztą może jednak miasto nie było aż takie brzydkie. Nawet z dużej wysokości widział miasto jako morze światła, mieniące się wieloma barwami, a kiedy zeszli na tyle nisko, żeby dostrzec detale na fasadach budynków iluminowanych tymi światłami, Ben zauważył wymalowane na nich

geometryczne i organiczne wzory, które ozdabiały toporne kształty kompozycjami dobrze dobranych kolorów. Niektóre budowle były utrzymane w tonacji płowych brązów i złota; wzór układał się w fale, które przywodziły na myśl burze piaskowe. Inne były pokryte plamami w odcieniach morskiej wody, które u kogoś stojącego obok mogły zapewne wywołać wrażenie, jakby znajdował się na dnie płytkiej zatoki.

W końcu znaleźli się nad kosmoportem. Przy każdym budynku portu znajdował się przykryty kopułą terminal lub hangar z wymalowanymi na dachu prostymi strzałkami, wskazującymi na konkretne lądowisko lub zespół lądowisk. Luke posadził „Cień Jade” na permabetonowym kręgu obok niedużej białobrazowej kopuły. Potem, podążając za mrugającymi światełkami wbudowanymi w permabetonową nawierzchnię, wprowadził go powoli na repulsorach do przyległego hangaru, którego wrota zamknęły się, gdy tylko jacht się zatrzymał. Wewnątrz hangar był jasno oświetlony, lecz pusty.

Ben odpiął pasy i wstał.

- To miejsce nie jest aż tak brzydkie, jak myślałem.

- Ano, nie jest. - Luke wskazał na fotel Bena. - Siadaj.

- Po co?

- Przegląd kontrolny.

- No, dobrze. - Ben usiadł niechętnie z powrotem i wyświetlił na monitorze listę kontrolną. - Tempo chłodzenia silników w normie. Widzę, że nikogo tu nie ma.

- Nikogo nie ma, odfajkowane.

- Uruchamiam diagnostykę silników. Wiesz, że wrota hangaru są... - Ben wysłał zapytanie z tablicy sterowniczej do panelu sterowania hangaru. - Zamknięte. Jesteśmy zamknięci.

- Zamknięci, odfajkowane.

- Przestań.

Luke się uśmiechnął.

- Mamy tu zostać, dopóki nie zakończą rutynowej inspekcji.

- Inspekcji? - Ben poczuł się obrażony. - Jesteś Wielkim Mistrzem Zakonu Jedi.

- I szwagrem przemytnika.

- No, ale twoja pozycja powinna coś znaczyć. No już... wstępna diagnostyka zakończona.

- Pełna diagnostyka wszystkich systemów, proszę.

Ben uruchomił program i po chwili zobaczył, jak fragment ściany wysuwa się w stronę bocznego pierścienia dokującego.

- Nadchodzą.

Ben i Luke zaczęli czekać na inspektorów przy służbie powietrznej. Kiedy się otworzyła, zobaczyli dwóch humanoidów, szczupłych, wręcz wychudzonych, ubranych w czarne płaszcze pokryte błękitnymi pasiastymi wzorami. Byli łysi i mieli inteligentne oczy, które wydawały się bardzo ludzkie; dolną część ich twarzy zakrywały maski do oddychania. Jeden z nich niósł w plecaku jakąś aparaturę, połączoną metalowym kablem z przypominającym różdżkę przyrządem, wyposażonym w liczne sensory, który trzymał w ręku. Drugi z humanoidów miał jedynie mały czytnik kart.

Ten z czytnikiem wyciągnął rękę.

- Proszę karty identyfikacyjne. - Jego basie był nienaganny.

Ben wręczył Kel Dorowi swoją kartę chwilę po ojcu. Inspektor wsunął każdą z nich na moment do czytnika.

- Jestem porucznik Dorsz, ze służby celnej. To jest sierżant Vult. Przeprowadzi krótką inspekcję waszego statku. Czy wszystkie przedziały są dostępne?

- Tak - zapewnił Luke.

Ben znów miał ochotę zaprotestować, powiedzieć im: „Nie rozumiecie? To jest Luke Skywalker. Po co zawracacie sobie głowę?” Jednak jego ojciec wydawał się nieporuszony, więc i on takiego udawał. Cały czas się zastanawiał, jaki jest pożytek z czyjegoś sławnego nazwiska, jeśli nie przyspieszało ono działania biurokratycznej maszyny.

Drugi z Kel Dorów oddalił się w stronę rufy, wymachując swoją różdżką z sensorami.

Dorsz rozpoczął swoje rytualne przesłuchanie.

- Cel przylotu na Dorin?

- Badania naukowe - powiedział Luke. - Chcemy odwiedzić Mędrców Baran Do.

- A więc handel informacjami?

Luke zmarszczył brwi, zakłopotany.

- Raczej nie. Nie planowałem płacić im za informacje, których szukam. Nie oczekuję też zapłaty za informacje, których ja mógłbym im udzielić.

- Żadnych towarów na handel?

Obaj Jedi pokręcili głowami.

Kel Dor po chwili wahania oddał im karty identyfikacyjne.

- A więc jesteście turystami - zdecydował. - Będziecie potrzebowali zakwaterowania?

- Dla wygody zamierzamy mieszkać na jachcie.

Kel Dor pokiwał znacząco głową, co jeszcze bardziej rozzłościło Bena. Wyglądało to, jakby porucznik już dawno doszedł do wniosku, że znane osobistości liczą każdy kredyt, i ucieszył się, że Luke potwierdził ten stereotyp.

Sierżant wrócił i powiedział parę słów w języku, który musiał być ojczystą mową Kel Dorów. Porucznik pokiwał głową.

- Rzeczy osobiste macie w granicach dopuszczalnej normy. Życzę przyjemnego pobytu.

- Dziękujemy. - Luke pomachał im przyjaźnie, kiedy wchodzili z powrotem do śluzy powietrznej.

Ben zmarszczył brwi.

- To gorsze niż podróżowanie incognito. Zachowywali się tak, jakby nigdy o tobie nie słyszeli.

Luke uśmiechnął się drwiąco.

- Niejedno już w życiu widziałeś, Ben. Czy to nie lepsze niż stwierdzić po przylocie, że wszyscy chcą cię zastrzelić?

- No... owszem.

- Nie przyzwyczajaj się zanadto do korzyści płynących ze sławy, synu, bo kiedy je stracisz, możesz zacząć popełniać błędy, chcąc je odzyskać.

- Chyba masz rację.

- A teraz przeszukaj planetarną bazę danych, znajdź plan miasta, spis ulic, adres siedziby Baran Do, nazwiska ich przedstawicieli i skopiuj to do naszych datapadów. Ja sprawdzę maski do oddychania.

- Tak jest. - Ben wrócił do kabiny. Był ciekaw, czy postanawiając towarzyszyć ojcu, nie skazał się przypadkiem na dziesięć lat nudy.

Nie, nie wolno mu rozumować po dziecinnemu. Musiał myśleć jak dorosły. Jak Jedi.

Choćby nawet Jedi na wygnaniu.

ROZDZIAŁ 12

Kopalnie Calrissiana-Nunba, Kessel

- Jama - tłumaczył Han - powstaje, kiedy fabryka atmosfery stoi przez kilka lat w tym samym miejscu. Fabryka wykopuje kamienie, w których jest tlen i azot. Rozbija je, potem wypluwa pył na rosnącą coraz bardziej górę piasku i wypuszcza gazy w niebo. Tymczasem dziura pod spodem robi się coraz większa, aż wreszcie trzeba przenieść cały zakład w inne miejsce. Na Kessel te jamy sięgają czasem aż do jaskiń.

- A jeśli badacze znajdą przyprawę, to powstaje kopalnia - dodała Leia.

Han pokiwał ponuro głową.

Szyb pod nimi otoczony był kręgiem świateł, który oznaczał określony poziom kopalni. Kiedy przelatowali, reflektory ich pojazdu wydobyły z mroku metalowe drzwi w ścianie szybu, za którymi znajdował się zapewne boczny tunel. Wiele metrów niżej widniał kolejny krąg.

Leia wyświetliła plan kopalni na monitorze po stronie pasażera.

- Uporządkujmy fakty. Pająki energożerne karmią się energią. Wysysają ją z żywych istot.

- Właśnie.

- I snują pajęczyny, żeby schwytać ofiarę.

- No cóż, przeważnie oblepiają pajęczyną powierzchnię skał. Zwykle nie robią tego na wolnym powietrzu. Czasem jednak przędą liny, po których się wspinają.

- Skąd się bierze tworzywo na pajęczyny? I co pozwala pająkom rosnąć? Na pewno nie przemiana energii w materię. Niemożliwe, żeby przyswajały aż tyle energii.

Han pokręcił głową.

- Żywią się też kamieniem. Kessel jest usiany żyłami ryllu, a ryli to jeden z głównych składników błyszczostymu. - Ryli, mniej wydajny, ale częściej spotykany niż błyszczostym, był minerałem występującym na kilku światach, przede wszystkim na Ryloth, ojczystej planecie Twi'leków. Han, powodowany chorobliwą fascynacją, śledził wszystkie informacje na temat pająków energożernych, jakie przez lata zebrało przedsiębiorstwo górnicze Landa.

W trakcie tej rozmowy minęli kolejne dwa kręgi świateł. Leia śledziła ich postępy na swoim schemacie.

- Jak głęboko mamy zejść?

- Na samo dno, chyba że wcześniej coś wyczujesz.
- Jak dotąd nic.
- Moglibyśmy po prostu wrócić na górę, wziąć Allanę i polecieć do domu.
- Zaraz, zaraz... coś czuję!
- Co?
- Złość. Przestań się wykręcać od tego zadania.

Han westchnął.

Przez jakiś czas zjeżdżali w milczeniu. Wreszcie reflektory śmigacza oświetliły nierówny kamień dookoła i pod nimi - dotarli do końca szybu. Nie odchodziły stąd żadne tunele, sztuczne czy naturalne. Han zwiększył moc repulsorów i wznieśli się na wysokość najbliższego kręgu światła, który oznaczał wejście do najniżej położonego tunelu.

Gdy zawiśli przy metalowych drzwiach, Leia wcisnęła przełącznik na pulpicie przed sobą. Drzwi się otworzyły, odsłaniając pomieszczenie z podłogą pokrytą ciemnymi kafelkami.

- Mimo wszystko - odezwał się Han - jest znacznie lepiej, niż kiedy byłem tu po raz pierwszy. Drzwi otwierają się, kiedy chcesz, a kierownik kopalni podaje ci drinki i broń zamiast nasyłać na ciebie zabójcę.

- Naprawdę duży postęp.

Pomieszczenie z wyłożoną kafelkami podłogą służyło jako pakamera. Rzędy szafek zawierały sprzęt, którego górnicy używali do pracy. Samych górników jednak nie było - Lando kazał wszystkim pracownikom opuścić kopalnię, dopóki sytuacja się nie wyjaśni - i ich brak z jakichś powodów wzmagił jeszcze niepokój Hana. Gdyby musieli z Leią uciekać przed jakimś potworem i nie mogliby go zabić, to nie byłoby nikogo, kto odwróciłby uwagę bestii. W takich sytuacjach Han wolał mieć za sobą kogoś wolniejszego.

Przeszli z pakamery do pomieszczenia, gdzie czekały wagoniki górnicze. Mała kolejka złożona z sześciu odkrytych wagoników stała na zakurzonej kamiennej podłodze; po uruchomieniu unosiła się na repulsorach, przypominając latającego parecznika. Wagoniki wyglądały jak oryginalne wyposażenie z czasów pierwszej wizyty Hana na Kessel.

W odpowiedzi na wysłany przez Leię sygnał otworzyły się kolejne duże metalowe drzwi na drugim końcu pomieszczenia, które prowadziły do kopalnianych tuneli.

- Nie martw się - pocieszyła go Leia. - To nie jest jedno z żerowisk. Mamy niewielkie szanse spotkania pająka.

- Jesteś pewna? - Ostatnie drzwi się za nimi zamknęły. Teraz tylko światła śmigacza rozpraszały

całkowite ciemności. Han poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku i przyglądał je dłonią.

- Żeby mieć kontrolę nad ruchami pajaków i zapewnić górnikom dostęp do miejsc, gdzie może być przyprawa, Lando i Nien Nunb wysyłają na zmianę przetworzony ryli i ładunki wybuchowe do określonych szybów. Podczas gdy pajaki karmią się w jednym miejscu i snują tam nowe pajęczyny, górnicy udają się tam, gdzie pajaki były wcześniej, i wydobywają świeżą przyprawę. Ten tunel - Leia wskazała na ich otoczenie - nie jest objęty rotacją.

- To wszystko jest na planie?

- Nie, na planie są zaznaczone tylko obecne żerowiska. Sprawdziłam, co to znaczy, w prospekcie, który dała mi Tendra.

- Prospekcie?

- No wiesz, taki dokument przedstawiający biznesplan. Wykorzystywany między innymi do zachęcania potencjalnych inwestorów.

Han spojrzał na nią ze zgrozą.

- Chciałaś w to zainwestować?

Leia westchnęła.

- Nie. To po prostu praktyczne źródło informacji, dlatego Tendra mi to dała. Wiesz, chyba mogłabym zainwestować we wszystkie przedsięwzięcia, które przyniosły ci tyle szczęścia na przestrzeni lat. Na przykład w imperium handlowe Jabby.

- On nie żyje. Zabiłaś go.

- Owszem, ale jego biznes przetrwał. A co myślisz o podwykonawcach na Gwieździe Śmierci?

- Przestań.

- Może jakaś firma, która produkuje zgniatacze śmieci. Wszyscy potrzebują zgniataczy śmieci. O, albo wymarzone wakacje w karbonicie.

Han zacisnął zęby i postanowił przeczekać.

Tunel przed nimi się rozwidła. Leia spojrzała na plan i prześledziła obie trasy, przesuając po nich palcem.

- Ten dolny tunel Lando oznaczył jako jedno z miejsc, gdzie Tendra i Nien umieścili sensory. Ten drugi, który schodzi tak głęboko, a potem skręca pod dziwnym kątem na zachód, nie był ostatnio penetrowany. Spróbujmy tam.

- To zwykła ciekawość czy przecucie w Mocy?

- Zwykła... - Urwała, a na jej twarzy pojawił się wyraz lekkiego zaskoczenia. - Może jedno i drugie.

Han skręcił w lewo, we wskazany przez nią tunel.

Miasto Dor'shan, Dorin

Ben nieczęsto czuł się jak nieudacznik, jednak ten świat chciał chyba mu dać do zrozumienia, że nim jest.

Zaczęło się od maski do oddychania. Był to zasłaniający całą twarz aparat, który chronił przed miejscową atmosferą, składającą się głównie z helu zmieszanego z kilkoma innymi gazami. Maską połączona była z plecakiem zawierającym kanistry z mieszanką tlenu i azotu oraz konwerter, który rozbijał część dwutlenku węgla wydalanego z ludzkich płuc na części składowe i wprowadzał tlen z powrotem do mieszanki gazów wykorzystywanej do oddychania. Po naładowaniu aparatura pozwalała człowiekowi przeżyć prawie cały dzień na planecie takiej jak ta, jednak Ben nie był zachwycony komfortem użytkowania. Czuł się tak, jakby był przykuty do swojego bagażu.

Oprócz tego byli jeszcze tubylcy. Luke postanowił, że pójdą do świątyni Mędrców Baran Do pieszo, jako że na mapie wydawała się oddalona nie bardziej niż trwa solidny spacer, tak że Ben miał okazję zobaczyć setki Kel Dorów w terminalu kosmoportu i na ulicach.

Podobnie jak para, która przeprowadzała inspekcję, większość była wysoka i koścista. W przeciwieństwie jednak do inspektorów mieli odsłonięte twarze... ale co to były za twarze! Okrągłe, łyse głowy, zapadnięte oczy, wąskie, wydatne nosy, które według Bena wyglądały, jakby bezskutecznie próbowały stać się ptasimi dziobami, i szerokie, pozbawione zębów wargi, które wyglądały jak usta bardzo starych ludzi... Ben starał się nie patrzeć na mijane twarze, ale nie mógł się powstrzymać. Nie był dumny z konkluzji, do której doszedł.

- Tato, oni nie są ładni - powiedział, kiedy doszli razem z ojcem do ulicy, przy której miała znajdować się świątynia; prawie nie było tu śmigaczy, za to wielu pieszych. Na szczęście nie zauważył w pobliżu żadnych miejscowych.

Luke się zastanowił.

- Być może z pewnego punktu widzenia.

- Trochę mnie to martwi, że tak ich postrzegam.

- No cóż, wiesz, jaka jest na to rada. Czego się nauczyłeś na początku swojego szkolenia Jedi?

- Nie utnij sobie głowy mieczem świetlnym.

- A w drugiej kolejności?

- Wzrok może być zwodniczy. Bądź świadomy swoich uczuć. Dziewczyny są fajne, ale niebezpieczne. Lando ma zawsze kilka kart ukrytych w rękawie.

- Z pewnością gdzieś tam kryje się prawda... A jeśli uważasz, że nie powinieneś ich uważać za brzydkich, pomyśl, jak oni widzą ciebie. - Luke wykonał zamaszty gest, którym objął syna od stóp do głów. - Niski, przysadzisty, gładka skóra, nos pękaty jak u gryzonia, małe usta z jakimiś ostrymi, białymi kawałeczkami w środku, okropna krzaczasta narośl na głowie...

Ben się roześmiał.

- I to mówi człowiek, które przez większość dorosłego życia nosił fryzurę „na donicę”.

- Jesteś młody, Ben. Nauczysz się patrzeć bardziej przenikliwie. A jeśli się trochę postarasz, stanie się to szybciej.

Fragment miasta między portem kosmicznym a celem ich wędrówki był gęsto zabudowany niedużymi budynkami, a szyldy w języku Kel Dorów świadczyły, że są to w większości sklepy i punkty usługowe. Stopniowo budynki stawały się większe, niektóre nawet były otoczone murami. Ben zajrzał do swojego datapadu i, posługując się krzepiąco znajomym systemem nawigacji satelitarnej, sprawdził ich położenie na mapie. Stwierdził, że są zaledwie czterdzieści metrów od celu. Wskazał na drugą stronę ulicy.

- To tam.

Przed oczami miał kompleks budynków. Duży gmach w kształcie zigguratu o czterech poziomach, z których każdy następny był ciemniejszy od poprzedniego - zaczynając od błękitu, a kończąc na ciemnoszarej barwie chmury burzowej - otoczony był dwupiętrowymi budynkami gospodarczymi w podobnych kolorach. Całość mieściła się za ogrodzeniem z transpastałowych płyt przytwierdzonych do słupów z kutej durastali. Transpastał była gładka i trochę nierówna i Ben wyobraził sobie, jak uczniowie Baran Do polerują ją przez lata, usuwając nawet drobne rysy, które szpeciły przezroczysty materiał. W miarę jak wraz z Lukiem zbliżali się do ogrodzenia, budynki zdawały się chwiać i deformować.

Zatrzymali się przed bramą, uchyloną i niestrzeżoną. Ścieżka z czerwono-pomarańczowych kamiennych płyt wiodła stamtąd do stopni prowadzących do głównego budynku. Podwójne drzwi wejściowe również były otwarte, a ze środka wylewało się światło.

Luke spojrział na ścieżkę i uśmiechnął się szeroko.

- Co cię tak bawi?

- Tradycja. Sam zobacz. Chodź. - Luke przybrał swoją pogodną minę Wielkiego Mistrza, wygładził szaty i skierował się do środka. Ben poprawił szybko włosy i podążył, krok za nim, po prawej stronie ojca.

Hol wejściowy świątyni Mędrców Baran Do był obszerny i imponujący. Czarne kamienne ściany miały ponad sześć metrów wysokości. Kontrastujące z tłem białe kamienne kolumny, zaokrąglone i

odrobinę węższe u podstawy niż na górze, zdawały się utrzymywać sufit na swoim miejscu i stanowiły przeciwwagę dla ponurego wnętrza. Sufit, wykonany z niebiesko-czarnego kamienia, mienił się niczym rozgwieżdżone niebo, podłoga zaś była z brązowego permabetonu, wypolerowanego, może nawet nawoskowanego. Całość słabo oświetlały niebieskie pręty jarzeniowe, umieszczone na podłodze pod ścianami.

Ben pokiwał głową, pojmując w lot sens tego wystroju. Niebo nad głowami, grunt pod stopami, mrok czarnych dziur po bokach i kolumny symbolizujące budowle, ale także intencje żywych istot trzymających w ryzach niebieskie anomalie.

Dokładnie naprzeciwko głównego wejścia znajdowało się podwyższenie, na które prowadziły schody. Sięgało ono najwyżej metr nad podłogę i było puste, chociaż Ben spodziewał się ujrzeć jakiś tron lub krąg foteli jak w Sali Mistrzów Świątyni Jedi. Na podwyższeniu stała Kel Dorianka w białych szatach przyozdobionych czerwonymi i czarnymi wzorami w postaci falistych kropkowanych linii. Wpatrywała się w ścianę po lewej stronie i nie zareagowała na przybycie Luke'a z Benem.

Nie było widać żadnych drzwi wychodzących z tego pomieszczenia, jednak idealnie dopasowane kwadratowe płyty z czarnego kamienia mogły skrywać nawet tuzin wyjść.

Luke zatrzymał się dwa metry od schodków i czekał. Ben stanął w milczeniu przy nim.

Kel Dorianka odwróciła się wreszcie.

- Któż to do nas przybywa? - zapytała w basicu z lekkim melodyjnym akcentem.

- Jestem Luke Skywalker, Jedi. To mój towarzysz, Jedi Ben Skywalker.

- No, no... słynne nazwiska. - Kel Dorianka przechyliła głowę, przyglądając im się badawczo. - Moje nazwisko nie jest tak znane. Jestem Tistura Paan.

Luke pozdrowił ją skinieniem głowy.

- Miło mi cię poznać.

- Jakaż to sprawa sprowadza was do nas?

- Próbuję odtworzyć przebieg podróży mojego dawnego ucznia. Chcę ustalić, czy był tutaj i czego mógł się nauczyć.

- Nazwisko twojego ucznia?

- Jacen Solo.

- To także słynne nazwisko. - Tistura Paan podrapała się po nasadzie nosa. - Myślę, że powinieneś zadać te pytania Mistrzynie naszego zakonu, Tili Mong.

Luke skinął głową.

- W takim razie chciałbym porozmawiać z twoją Mistrzynią w dogodnym dla niej czasie.

- Kogo mam zapowiedzieć?

Luke zawahał się przez króciutką chwilę. Ben podejrzewał, że tylko on to zauważył.

- Jak już mówiłem, jesteśmy Jedi Luke Skywalker i Jedi Ben Skywalker.

- Otóż i zagadka. Jak mogę zjawić się przed obliczem mojej Mistrzyni i powiedzieć jej, że jest tu słynny Luke Skywalker, skoro nie mogę udowodnić, że faktycznie nim jesteś?

Na twarzy Luke'a pojawił się cień uśmiechu.

- Możesz mi uwierzyć na słowo.

- Słowo byłoby bezcenne, gdybyś faktycznie był Lukiem Skywalkerem, i bezwartościowe, jeśli nim nie jesteś.

- Wyglądam tak jak na hologramach... no, mniej więcej. Jeśli wierzyć mojej rodzinie.

- Podobnie jak każdy odpowiednio cwany sobowtór. - Rozłożyła ręce w bardzo ludzkim geście bezradności. - Obawiam się, że znaleźliśmy się w impasie. Chyba że...

- Tak?

- Cóż, w walce z prawdziwym Lukiem Skywalkerem nie miałabym żadnych szans.

Luke uśmiechnął się szeroko.

- Tak jak z każdym odpowiednio wyszkolonym sobowtorem.

- To wcale nie jest powiedziane. W każdym razie gdybyś mnie pokonał, uznałabym, że istotnie możesz być Lukiem Skywalkerem, i przekazała twoją wiadomość mojej Mistrzyni.

- Rozsądne rozwiązanie - zgodził się Luke. - Ale niepraktyczne.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie jesteś godna się ze mną mierzyć.

Ben otworzył szeroko oczy, ale po chwili przybrał z powrotem obojętną minę gracza w sabaka. Słowa ojca wprawiły go w zdumienie. Nigdy wcześniej nie słyszał z jego ust równie aroganckiej wypowiedzi.

- Ale jeśli - ciągnął Luke - pokona cię mój były uczeń, konsekwencje pozostają takie same. - Odwrócił się w stronę Bena. - Synu, dołóż jej.

Ben zamarł jak sparalizowany. Po chwili zdołał odchrząknąć, żeby ukryć konsternację, i

wykrztusić:

- Słucham?

- Wejdź tam i przyłóż jej parę razy.

- Tak jest. - Próbując pozbierać myśli, Ben wszedł po schodkach i stanął przed Tisturą Paan. Przemknęło mu przez myśl, że Valin Horn mógł mieć rację i że Jedi, których znał, zostali nagle zastąpieni przez sobowtóry.

Tistura Paan rzuciła Luke'owi spojrzenie, które Ben zinterpretował jako pogardliwe.

- Mam nadzieję, że masz jeszcze jednego potomka, żeby był na chodzie, podczas gdy drugi będzie leżał poobijany i zapłakany.

Luke odwrócił się do nich plecami.

- Zaczynajcie już. Dajcie mi znać, jak skończycie.

Tistura Paan rzuciła się na Bena z lewą pięścią wymierzoną w jego twarz. Nie zdradziła w żaden widoczny sposób swoich zamiarów, jednak Ben wyczuł w Mocy, jak koncentruje siły, i uchylił się, a pięść minęła jego nos. Złapał Kel Doriankę za nadgarstek lewą ręką, a prawą uderzył w łokieć. Cios, mocny, lecz nie brutalny, nadwerzęzył jej staw, ale go nie złamał. Wyrwała się gwałtownie i błyskawicznie znalazła się kilka metrów od niego, potrząsając ręką, jakby chciała się pozbyć bólu.

Ben przesunął się na środek podestu i przyjął pozycję obronną. Nie miał zamiaru popełnić tego samego błędu co Tistura Paan. Jeśli jej rolą była walka z każdym przybyszem, albo przynajmniej z każdym przybyszem podającym się za słynnego Jedi, to pewnie była w tym dobra.

Natarła na niego, wymachując ramionami. Ben zrobił unik i spróbował chwycić ją za rękę, żeby przerzucić przeciwniczkę, jednak żywiołowość jej ataku to była zmyłka - Kel Dorianka wyskoczyła w górę i, mijając go, wymierzyła mu szybkiego, mocnego kopniaka w brzuch. Ben wykonał obrót, amortyzując uderzenie. Mocno zabolalo - chuda noga przeciwniczki była jak z drewna - ale nie upadł; musiał tylko zrobić krok w tył.

Tistura Paan przetoczyła się sprawnie na skraj podwyższenia i poderwała, znów gotowa do walki.

Ben zerknął na ojca. Luke wciąż stał do nich plecami i wyglądał, jakby wydłubywał sobie brud spod paznokci.

Tistura Paan zbliżała się teraz ostrożniej, małymi kroczkami, zwrócona do niego lewym bokiem, z rękami uniesionymi w klasycznej postawie bojowej. Ben wziął z niej przykład. Nie wiedział, jak długo powinien jej pozwalać na takie demonstrowanie umiejętności i taktykę ustawicznego ataku - im dłużej to robił, oceniając jej umiejętności, tym więcej czasu dawał przeciwniczce na wypracowanie skutecznej strategii. Nie chciał jednak rzucać się na oślep do ataku, bo Tistura miała z pewnością przygotowane metody obrony.

Zatrzymała się tuż przed nim i wykonała gest, jakby uciszała stojące przed nią dziecko, jednak bardziej energicznie. Ben poczuł zawirowanie w Mocy i nagle pęd powietrza pchnął go do tyłu, ku krawędzi podestu, rozwiewając ubranie i naruszając maskę do oddychania.

Ben wiedział instynktownie, że jeśli spadnie, przegra walkę. Nachylił się do przodu, by dać odpór napędzanemu Mocą wiatrowi. Zmobilizował wszystkie siły, żeby pozwoliły mu ustać w miejscu.

Wyczuł, że jego prawa noga jest zaledwie o centymetry od krawędzi, ale zdołał się zatrzymać.

Nagle atak Tistury Paan zerwał mu z twarzy maskę. Gwałtowne szarpnięcie powiedziało mu, że maska odfrunęła na całą długość kabla, który łączył ją ze zbiornikami w plecaku.

Sytuacja wyglądała marnie. Jeśli Ben spróbuje najpierw włożyć maskę, przeciwniczka będzie miała szansę go zaatakować, być może skutecznie. Jeśli nie zrobi nic, jego wytrzymałość ograniczy ilość powietrza, jaka pozostała mu w płucach, a w tak trudnej walce, wystarczy go na niecałą minutę. A jednak musiał wybrać jedno z dwojga...

A może nie musiał? Ojciec zawsze uczył go szukać trzeciej z dwóch możliwości. Zsunął plecak z ramion, pozwalając, żeby porwała go siła ataku Tistury Paan. Usłyszał odgłos uderzenia ciężaru o kamienną ścianę.

Tistura Paan otworzyła szeroko oczy i się uśmiechnęła.

- Dziękuję za łatwe zwycięstwo. Jak nie teraz, to za parę chwil. - Wiatr Mocy ustał.

Ben nie trwonił sił na odpowiedź. Natarł i wyprowadził szybką kombinację ciosów, nie używając jednak całej swojej siły. Kel Dorianka płynną sekwencją obronnych ruchów zablokowała atak.

Młody Jedi postanowił wykorzystać agresywną technikę, którą tak często ćwiczył z Jacenem w Świątyni, że stała się dla niego niemal drugą naturą. A dzięki temu w bardzo niewielkim stopniu absorbowała jego umysł.

Skupił myśli na swojej masce do oddychania i plecaku ze zbiornikami. Wyczuwał je pod ścianą, niemal widział. Posługując się Mocą, uniósł siłą woli całą aparaturę kilka centymetrów nad podłogę i pociągnął w stronę podestu.

Zagapił się i nie przewidział ataku Tistury Paan, która trafiła go pięścią w żebra. Mocny cios odebrał mu dech i zmusił do zrobienia kroku w tył.

Kel Dorianka uśmiechnęła się szerzej. Był to paskudny Uśmiech; ściągnięte usta odsłaniały górne i dolne podniebienie, które, jak podejrzewał Ben, zastępowało zęby.

- Obudź się, chłoptasiu, kimkolwiek jesteś - warknęła.

Ben poczuł przyptyw paniki, wiedział jednak, że to tylko fizjologiczna reakcja wywołana brakiem tlenu. Opanował emocje i bardziej równomiernie podzielił swoją uwagę pomiędzy aktywność fizyczną i wykorzystywanie Mocy.

Tistura Paan uderzyła; Ben sparował. Maskę do oddychania i plecak przefrunęły jeszcze parę metrów wzdłuż podstawy podwyższenia. Tistura Paan zasypała go lawiną ciosów; Ben wszystkie zablokował, starając się używać jak najmniej siły, bo czuł, że zaczyna mu ubywać energii. Maskę do oddychania wciąż unosiła się w powietrzu; minęła kolejny narożnik podestu. Była teraz tuż nad podłogą, za plecami Tistury Paan.

Kel Dorianka zatrzymała się na chwilę i zrobiła krok do tyłu.

- Chcesz odpocząć? - zapytała drwiną w głosie; dobrze wiedziała, że Ben nie mógł odzyskać sił bez powietrza.

Ben spiorunował ją wzrokiem, udając rozgniewanego tym pytaniem. Rzucił się jakby w ostatniej, daremnej próbie ataku, po czym szarpnął Mocą.

Aparatura do oddychania uniosła się ponad krawędzią podestu i trafiła Tisturę Paan od tyłu w zgięcie kolan. Kel Dorianka poleciała do tyłu, wymachując rękami. Ben doskoczył i precyzyjnym kopniakiem z półobrotu trafił ją w sam środek klatki piersiowej.

Tistura Paan spadła z podestu i runęła na podłogę parę kroków od Luke'a. Wylądowała przewrotem w tył i stanęła na nogi z błyskiem w oku.

- Przegrałeś - syknęła. - Wykorzystałeś niedozwolone przedmioty.

Ben schylił się, żeby podnieść swoją maskę. Założył ją na twarz, nie zwracając sobie na razie głowy plecakiem z kanistrami, i wziął kilka głębokich oddechów.

- Ty pierwsza je wykorzystałaś - wytknął jej. - Zerwałaś mi maskę, a więc zaatakowałaś mnie przy jej użyciu. Ja tylko poszedłem za twoim przykładem. Na pewno zostawiłbym ją na miejscu, gdybyś ty jej nie ruszała.

Tistura Paan popatrzyła na niego gniewnie i zaraz odwróciła głowę. Wreszcie skierowała swoją uwagę na Luke'a.

- Przekażę twoją prośbę.

Spojrzał na nią obojętnie i zwrócił się do Bena.

- Skończyliście? - zapytał.

- Tak jest. - Ben założył plecak z kanistrami.

- Wygrałeś?

- Tak jest. Powaliłem ją tylko raz, ale potem zrzuciłem z podestu.

- No cóż, to wystarczy. - Luke odwrócił się z powrotem w stronę Kel Dorianki. - Przekaż przy okazji moje pozdrowienia.

Tistura Paan odwróciła się i ruszyła szybkim, sztywnym krokiem prosto na pustą część ściany; kamienny segment o wymiarach dwa metry na dwa cofnął się o długość dłoni, a następnie przesunął w bok, odsłaniając wejście. Kiedy znalazła się w środku, ponownie się zasunął.

Ben zeskoczył z podestu i stanął przy ojcu.

- O co tu chodziło? - spytał cicho.

Luke rzucił mu lekki uśmiech.

- Tradycje konkurencyjnych szkół.

- Co takiego?

- W wielu szkołach sztuk walki, takich jak rywalizujące akademie w dawnych czasach, szkolące w walce na miecze świetlne, albo akademie wojskowe spoza Starej Republiki, ktoś odwiedzający konkurencyjną szkołę nie otrzymałby żadnej pomocy ani informacji, gdyby nie udowodnił, że jest tego godzien. Co oznaczało, że musiał się zmierzyć z mistrzem szkoły w pojedynku. Kiedy zbliżaliśmy się do świątyni, wyczułem obecność Tistury Paan i odgadłem jej rolę. A także to, że wiedziała o naszym przybyciu.

- Ale nie walczyłeś z nią.

- To prawda. Gdybym zgodził się walczyć z Tisturą Paan, a więc osobą o niższej pozycji, przyznałbym tym samym, że nie jestem równy jej Mistrzynie i nigdy nie zobaczyłbym się z przywódcą Mędrców Baran Do.

Benowi wreszcie rozjaśniło się w głowie.

- Aaa... czyli twój uczeń musiał pokonać jej ucznia.

- Tak, synu. I bardzo dobrze się z tego wywiązałeś. Zmieniłeś swój błąd w jej błąd i swoją słabość w siłę.

- A ty oczyściłeś sobie przy okazji paznokcie. Same korzyści.

Panel w ścianie znów się rozsunął i wyłoniła się zza niego Tistura Paan z beznamiętnym wyrazem twarzy. Skinęła na nich, dając znak, żeby weszli przed nią.

- Mistrzynie Tila Mong was teraz przyjmie.

ROZDZIAŁ 13

Kopalnie Calrissiana-Nunba, Kessel

Posuwali się teraz naprzód w prawie całkowitych ciemnościach. Jedyne światła, jakie widzieli, były przyćmione niebieskawe odczyty na konsolach sterowania. Ciszę zakłócało tylko wycie repulsorów pojazdu i sporadyczne piski tablicy sensorów.

- Mijaliśmy już jakąś przyprawę? - spytała Leia. Wodziła wzrokiem po odczytach różnych sensorów, z których każdy zajmował ósmą część jednego z monitorów na konsolach. Jej twarz wyglądała upiornie w bladym świetle przyrządów.

Han pokręcił głową, po czym zdał sobie sprawę, że Leia mogła nie widzieć tego ruchu. Postukał w prawy dolny róg odczytu na jej ekranie.

- To jest wyszukiwacz przyprawy. Sensor chemiczny. Wykrywa też ryli i odróżnia jedno od drugiego. Jest tak czuły, że wykryłby nawet bardzo starą, byle aktywną przyprawę w promieniu stu metrów. A ty coś znalazłaś?

- To, co tu widać. Głównie prądy powietrzne wywołane przez nasze repulsory. Dają krótkie, fałszywe sygnały ruchu.

- Chodziło mi o to, czy coś wyczułaś. Poprzez Moc.

- Rozumiem. - Pokręciła głową. - Cóż, niewiele. Czuję wokół nas życie, głównie słabe, niższe formy życia, takie jak owady. Nie ma czegoś takiego jak humanoid albo gigantyczny pajęczak.

- Czy pająki byłyby widoczne w Mocy? - zainteresował się Han.

- Zobaczymy. Na pewno pojawią się na czujnikach ruchu. - Leia przechyliła głowę, mrużąc w skupieniu oczy. - Czeka, coś tu jest.

Han przełknął ślinę i rozejrzał się dookoła.

- Gdzie?

- Pod nami. Sygnał jest silny, ale daleki.

- Co jest pod nami na planie? - Han zwiększył nieco wysokość, jednak ten tunel miał zaledwie pięć metrów w pionie; gdyby nawet śmigacz leciał tuż pod nierównym sufitem, stojący na podłodze Wookie mógłby go dotknąć wyciągniętą ręką.

Leia skierowała wzrok na monitor wyświetlający mapę.

- Nic - powiedziała. - To nie jest najgłębszy punkt, ale pod nami nie ma żadnego fragmentu kopalni.

- A więc muszą być jakieś tunele niezaznaczone na planie.

Leia kręciła głową w różne strony, jakby czegoś nasłuchiwała.

- Zmierza w naszą stronę - powiedziała.

- Prosto w górę?

- Tak.

Han zwiększył moc silników. Lepiej było nie ryzykować zbyt dużej prędkości w krętych tunelach, nie chciał jednak znaleźć się bezpośrednio nad tym czymś, kiedy przebije się przez podłogę.

- Koryguje trasę - doniosła Leia.

Han zamrugał.

- Więc to nie pajak. - Zwiększył jeszcze prędkość.

- Zbliża się. Leci równo z nami, tuż pod tunelem.

Han zerknął na tablicę sensorów. Nie widać było na niej nic poza ich własnym ruchem, objawiającym się w postaci prądów powietrznych na odczycie czujnika.

- Porusza się równo z nami wewnątrz skały? - Nagle go olśniło. - Hej, wiem, co to jest.

- Co takiego?

Ze skały przed śmigaczem wyskoczyła wirująca kula kolorowych świateł, tak duża, że zmieściłby się w niej cały droid astromechaniczny. Zawisała na wprost Hana, prawie go oślepiając swoim blaskiem. Han wykonał najbardziej podstawowy z manewrów: przechylił śmigacz na sterburtę z zamiarem powrotu na pierwotny kurs natychmiast po ominięciu przeszkody...

...tymczasem śmigacz przeleciał przez kulę światła. Han poczuł, że jeżą mu się włoski na całym ciele. Repulsory natychmiast się wyłączyły, a wszystkie monitory i odczyty na konsoli sterowniczej zatrzeszczały i zgasły.

Han szarpnął za drążek, chociaż wiedział, że jego wysiłki są daremne. Śmigacz opadł w dół i zarył nosem w podłogę tunelu. Przejechał kawałek po gołym kamieniu, syjąc iskrami, po czym uderzył w ścianę po prawej stronie i znieruchomiał.

Leia nachyliła się nad mężem.

- Nic ci nie jest?

- W porządku. - Han obejrzał się za siebie. Wirująca kula światła wisiała nieruchomo trzydzieści metrów od nich, jakby ich obserwując.

Leia położyła rękę na mieczu świetlnym.

- Bardzo ładne, chociaż destrukcyjne. Co to jest?

- Górnicy nazywają je straszakami. Jakaś miejscowa forma życia...

Leia wyciągnęła rękę w kierunku kuli i zamknęła oczy.

- ...pająki to zjadają, więc skoro tu jest, to bardzo możliwe, że zjawi się też jakiś pajak...

- To nie może być żywe. Nie wyczuwam w Mocy żadnego życia, wyłącznie energię. Energię i intencje. - Leia otworzyła oczy. - Przyjrzę mu się. - Założyła maskę do oddychania i otworzyła drzwi. Han poczuł, jak zmniejsza się ciśnienie; on też włożył maskę. Leia wysiadła ze śmigacza.

- Kochanie, wracaj zaraz. To może znaczyć tylko tyle, że żadne żywe organizmy z Kessel nie są widoczne w Mocy, wiesz, coś jak Yuuzhan Vongowie. A to by znaczyło, że pająki też nie są...

Nie słuchała. Han wymamrotał przekleństwo, które zdumiałoby nawet innych przemytników, wziął granatnik z tylnego siedzenia i wysiadł z pojazdu.

- Leia, nie!

Jego żona szła w kierunku straszaka, trzymając w górze wolną rękę. Wisząca w powietrzu kula wyglądała dekoracyjnie i niegroźnie; wydawała dziwne, wysokie, klekoczące odgłosy. Kiedy Leia była nie dalej niż metr od straszaka, runął prosto w dół, znikając w skale.

I zabierając ze sobą całe światło.

Nagle Han cofnął się w przeszłość, do całkowitej ciemności tych tuneli, do czasów, kiedy on, Chewbacca i Kyp Durron musieli ratować się ucieczką przed goniącym ich potworem. A teraz znów był kilometry pod powierzchnią Kessel, niedostatecznie uzbrojony, żeby stawić czoło czającym się niebezpieczeństwom.

Zmusił się, żeby uspokoić oddech. Teraz z pewnością tak nie będzie. Minęło ponad trzydzieści lat. W tej w części kopalni nie było śladów przyprawy, a więc i pajaków.

Gdyby jednak chociaż jeden się zjawił, on byłby tak samo bezbronny jak dawniej.

- Mój miecz świetlny nie działa - zameldowała Leia.

Han wypuścił powoli powietrze.

- Skąd wiesz?

- Próbowałam go włączyć, żeby poświecić.

- Daj mi znać, jak usłyszysz jakieś dziwne odgłosy. - Cóż, może jednak nie był równie bezbronny jak wtedy. Granatnik w jego rękach był krzepiąco ciężki, a biorąc pod uwagę jego wiek i prostotę konstrukcji, może nie został uszkodzony tak jak śmigacz i miecz świetlny.

Może. Starał się panować nad głosem, gdy zaproponował:

- Może wrócimy do śmigacza, kochanie?

- Lepiej nie; będę nasłuchiwać, póki go nie uruchomisz.

Han z trudem powstrzymał się od zazgrzytania zębami.

- W porządku.

Miasto Dor'shan, Dorin

Pomieszczenie, w którym przyjęła ich Mistrzynie Tila Mong, było znacznie mniej wystawne niż główny hol. Okrągła sala miała gładkie ściany z czarnego kamienia, a meble z jasnego drewna wskazywały, że pełni rolę gabinetu.

Tila Mong siedziała przy jednym z trzech biurków, a kiedy Skywalkerowie weszli, wstała, żeby uścisnąć im dłonie. Niewprawnemu oku Bena wydawała się nieco starsza od innych Kel Dorów, których widywał - miała bardziej pomarszczoną twarz i jeszcze mniej ciała na kościach - jednak poruszała się całkiem zgrabnie. Miała na sobie prostą, niczym nieozdobioną szatę w kolorze złamanej bieli, który wydawał się dziwnie nie pasować do tonacji otoczenia.

- Przyjeliśmy z żalem i niepokojem wieści o przykrościach, jakie cię spotkały - zaczęła, kiedy jej goście usiedli, a drzwi zamknęły się za Tisturą.

- Dziękuję. - Luke skłonił lekko głowę. - Ze względu na te wydarzenia nie powinno się mnie tytułować Wielkim Mistrzem Zakonu Jedi. Nie mogę też korzystać z jakichkolwiek przywilejów, jakie wiążą się z tą funkcją.

- Ograniczymy się zatem do przywilejów należnych człowiekowi, który restytuował Zakon Jedi i przyczynił się do wyzwolenia galaktyki spod tyranii Imperium.

Ben stwierdził, że ją lubi.

- Nieprzyjemności, jakie mnie dotknęły, mają związek z drugą galaktyczną wojną domową. Wojna ta wybuchła częściowo z powodu działań Jacena Solo. Staram się teraz odtworzyć przebieg jego podróży po galaktyce, jakie odbył przed wojną. Muszę się dowiedzieć, co sprawiło, że stał się tym, kim się stał. Swego czasu posługiwał się pewną techniką Mocy, która każe mi przypuszczać, że mógł trafić tutaj w trakcie swojej wędrówki i szkolić się wśród Mędrców Baran Do.

- Był tutaj - potwierdziła Tila Mong. - Jakies dziewięć lat temu. Chciał poznać nasze techniki Mocy.

Ben policzył szybko w myśli. To oznaczało, że Jacen był tu pod koniec swojej tułaczki, tuż przed kryzysem Mrocznego Gniazda.

Ani twarz Luke'a, ani żadne znaki w Mocy nie zdradzały jego reakcji.

- Czy mogę zapytać, czego go nauczyłaś?

- Ja niczego. Nie byłam wtedy Mistrzynią. Mistrzem Baran Do był wówczas Koro Ziil, który potem przyjął śmierć.

Luke wyglądał na lekko zakłopotanego.

- Przepraszam, nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. W większości dialektów basicu zwrot „przyjąć śmierć” oznacza następstwo pewnego czynu lub alternatywę dla jakiegoś innego losu. Czy w waszym rozumieniu to wyrażenie oznacza to samo?

- Ależ nie. - Tila Mong pokręciła głową. - Wśród Baran Do „przyjąć śmierć” to uznać, że nadszedł twój czas, poczynić przygotowania, pożegnać się i umrzeć. To spokojny koniec.

- Jeśli to nie nazbyt osobiste pytanie, jaki jest mechanizm takiej śmierci? W jaki sposób ciało zostaje pozbawione życia?

- Pozwalamy po prostu, żeby życie, które jest w nas, złączyło się z Mocą. Życie ulatuje, ciało umiera. Jest to technika znana Mistrzom naszego Zakonu. Następnie ciało zostaje skremowane. Jest to oznaką wielkiego szacunku, jako że materiały palne są tutaj rzadziej spotykane niż na światach bogatych w tlen.

- Czy to była jedna z technik, jakie poznał Jacen?

- Nie sądzę. Jego bardziej interesowały dziedziny, w których się specjalizujemy: rozszerzanie zmysłów, wyczuwanie niebezpieczeństw, wykrywanie złych zamiarów. Także zapobieganie wykryciu w Mocy przez innych. - Tila Mong opuściła wzrok na blat biurka, najwyraźniej pogrążając się we wspomnieniach. - Wydawało nam się wtedy, że jest dobrym człowiekiem. Bez wahania zgodziliśmy się nauczyć go naszych metod.

- Myślę, że wtedy był dobrym człowiekiem. - Luke milczał przez chwilę w zamyśleniu. - A ja mógłbym nauczyć się tych samych technik co Jacen?

Tila Mong spojrzała na niego twardym, przenikliwym wzrokiem.

- Czy to byłoby bezpieczne?

- Nie bardzo rozumiem.

- Z naszych obserwacji, prowadzonych na szczęście z daleka, wynikało, że Jacen Solo stał się *nryghatem*, potworem z koszmarów, jakie nawiedzają dzieci. Ale nie zawsze taki był. Czy to możliwe, że metody, których go nauczyliśmy, techniki Mocy opracowane przez naszą rasę na własny użytek, mogą wpływać na ludzki umysł w zły, szkodliwy sposób?

- To... myślę, że jest możliwe.

- W takim razie nie powinieneś się narażać na to samo niebezpieczeństwo. Jeśli Jacen Solo, taki potężny Jedi, uległ przemianie pod wpływem tego, czego go nauczyliśmy, i dopuścił się tych wszystkich potworności, to co mógłby zrobić Luke Skywalker, najpotężniejszy i najbardziej doświadczony z żyjących Jedi, gdyby miało to na niego podobny wpływ?

Luke ze spokojem wytrzymał jej spojrzenie.

- A jednak muszę wiedzieć.

- Więc naucz mnie - zaproponował Ben.

Jego ojciec i Tila Mong spojrzeli na niego zaskoczeni, jakby zapomnieli, że Ben nie jest droidem z zaspawanym wokoderem.

- Jeśli miałbym się zmienić tak jak Jacen - ciągnął Ben - cóż, ja nie jestem tak potężny jak on czy mój ojciec. Nie stanowią zagrożenia. A przynajmniej nie tak wielkie. Ojciec znalazłby sposób, żeby mnie wyleczyć.

Luke pokręcił głową.

- Przykro mi, Ben. To musi być ktoś doskonale wyszkolony we wszystkich możliwych zawłościach Mocy, czyli ja.

- Ale jeśli ty zmienisz się tak jak Jacen...

Luke uśmiechnął się blado.

- Przemiana Jacena w Dartha Caedusa trwała latami. On w tym czasie zdradzał objawy, które przegapiliśmy lub zignorowaliśmy... objawy, na które teraz, jak sądzę, jesteśmy bardzo wyczuleni. Prawda?

- No, tak.

- Jeśli nastąpią jakieś zmiany w moich procesach myślowych, w podejściu do innych istot i do moich obowiązków, przypuszczam, że to zauważę i poszukam pomocy. A nawet jeśli nie, ty to zrobisz.

- A jeśli ta zmiana będzie nagła i całkowita? Jeśli jednego dnia będziesz Lukiem Skywalkerem, a następnego Darthem Starkillerem?

Luke się zawahał.

- Wtedy twoim zadaniem będzie mnie zatrzymać. A nawet zabić.

- Mowy nie ma.

- Ben, nie sądzę, żeby coś takiego się zdarzyło. Ale jeśli do tego dojdzie, musisz być przede wszystkim Jedi. Przedłożyć swoje zobowiązania wobec niewinnych istot i wobec Mocy nad osobiste uczucia. Jeśli nie możesz mi tego obiecać, może będziesz musiał wrócić na Coruscant.

Ben wpatrywał się w niego, zdumiony kategorycznością tego oświadczenia. Wiedział jednak, że ojciec mówi poważnie.

Znów to przywiązanie. To, do czego przywiązani byli Jacen i Darth Vader, znaczyło dla nich więcej niż życie wszystkich niewinnych istot w galaktyce - i przez to stali się potworami.

Nie mógł pozwolić, żeby jego ojciec stał się potworem.

- W porządku, tato.

- Obiecuj mi to, Benie.

- Masz moje słowo. Słowo Jedi. - Było to jak dokręcanie imadła zaciśniętego na jego sercu.

Luke oparł się na krześle; wyraźnie mu ulżyło. Skupił ponownie uwagę na Mistrzynie Baran Do.

Ona także pokiwała głową.

- Dobrze. Przyjdźcie jutro o świcie. Możecie przynieść własne jedzenie, bo wiem, że ludzie nie przepadają za naszym. W pobliżu targu jest sklep oferujący artykuły dla ludzi.

Luke się uśmiechnął.

- Przydziemy.

W drodze do kosmoportu Ben kopnął kamień leżący z boku ulicy i popatrzył, jak odbija się od muru.

- Chyba wolałbym być znowu torturowany, niż odbyć jeszcze jedną taką rozmowę.

- Ja też - zgodził się Luke.

- Wygląda na to, że całkiem nieźle to zniosłeś. Spokojnie kazałeś mi obiecać, że cię zabiję.

- Tylko w określonych okolicznościach. Nie za to, że ci każę jeść jarzyny.

Ben prychnął. Odzyskał częściowo humor.

- Jak tylko zaczniesz czuć, że jesteś zły, natychmiast mi powiedz. Nie czekaj, aż zechcesz mi obciąć rękę.

- Zauważyłeś, że kłamała?

Ben zmarszczył brwi, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Mistrzynie? W jakiej sprawie?

- Nie wiem. Nie chodzi o to, że coś mi powiedziało: „O, podała właśnie fałszywe nazwisko”. To wrażenie narastało przez całą rozmowę, jakby ukrywała jakiś fakt, zasłaniając go starannie, żebyśmy nic nie zauważyli.

- Jakby starała się nie myśleć o tym, że w rogu pokoju stoi różowa bantha?

- Właśnie.

- Eee, wydaje ci się. Mistrzowie prastarych zakonów, którzy zgłębiają tajniki Mocy, nie miewają tajemnic. Żadnych wstydliwych historii w rodzinie...

- Ben, od samego twojego gadania mogę stać się zły.

ROZDZIAŁ 14

Świątynia Jedi, Coruscant

- Problem z jadowitymi gadami - powiedziała Mistrzynie Cilghal - polega na tym, że kiedy chcesz wykorzystać je przeciwko innym, możesz sam zostać ukąszony.

Stojąc wśród wielu Jedi w sali jadalnej Świątyni, uznała, że jej słowa i tak zagłuszy ryk monitora umieszczonego na jednej ze ścian, wyświetlającego wiadomości. Chwilę wcześniej Mistrz Durrion wpadł do sali i włączył monitor, który obudził się do życia, ukazując strzelisty gmach Sądów Galaktycznych. Wyświetlanie transmisji w trakcie posiłków, sesji szkoleniowych czy w innych sytuacjach, kiedy Jedi i uczniowie potrzebowali spokoju, było zdecydowanie wbrew obowiązującym zasadom, nikt się jednak nie spierał z Mistrzem, który chciał im coś pokazać.

Teraz na ekranie, na tle budynku Sądów Galaktycznych i pomiędzy dwiema ramkami z przesuwanymi się danymi, pojawił się Wolam Tser. Był on cenionym prezydentem i reporterem, zanim jeszcze ktokolwiek z obecnych w Świątyni się urodził, teraz zaś przedstawiał materiał na ich temat:

- ...chęć przyspieszenia działań we wszystkich kwestiach prawnych związanych z Zakonem Jedi wydaje się przynosić skutki odwrotne, niż zamierzała uzyskać kancelaria przywódczyni Galaktycznego Sojuszu. Sąd Najwyższy uchylił dzisiaj dziewięcioma głosami przeciwko trzem aneksom do wydanego niedawno dekretu ograniczającego uprawnienia Zakonu Jedi. Jakkolwiek restrykcje wobec Jedi pozostają w mocy, nie będą one obejmować byłych członków Zakonu ani obywateli Sojuszu posiadających podobne umiejętności. Prezes Sądu Najwyższego, Uved Pledesin z Lorrda, w przyjętym większością głosów orzeczeniu stwierdza jednoznacznie, że posiadanie określonych zdolności lub wiedzy nie może być samo w sobie uzasadnieniem dla ograniczenia praw jednostki. Eksperci zauważają jednak, że osoby dysponujące poufnymi informacjami wciąż mogą być uznane za zagrożenie dla Sojuszu. Daje to możliwość indywidualnego stosowania sankcji, takich jak te nałożone niedawno na Jedi. Alvida Suar rozmawia właśnie z wnioskodawcami w tej sprawie. Alvido?

Kiedy na obrazie monitora pojawiła się atrakcyjna kobieta o żółtawym odcieniu skóry, a za nią elegancko ubrani Nawara Ven i Tahiri Veila, Jedi w sali jadalnej zaczęli bić brawo i głośno komentować werdykt sądu.

Cilghal jednak miała złe przeczucia. Nie sądziła, żeby to Moc do niej przemawiała; po prostu miała doświadczenie z galaktyczną polityką... i знаła skłonność istot rozumnych do szukania zemsty za przewinienia duże i małe, prawdziwe i wymyślone.

- Mistrzynie? - Głos był cichy i wysoki, jakby dziecinny. Cilghal opuściła wzrok i zobaczyła młodziejkę Jedi, siedzącą obok niej nad talerzem pełnym jedzenia. Dziewczynka mogła mieć najwyżej osiem lat i wyglądała na zakłopotaną.

- Tak, dziecko?

- Nie rozumiem, o co chodziło z tymi jadowitymi gadami.

Cilghal przeanalizowała swoją wypowiedź.

- Chodziło mi o to - wyjaśniała - że siła każdego ciosu, który zadajesz, może być wykorzystana przeciwko tobie. Energia własnego ruchu może cię ponieść w kierunku, w którym nie chcesz iść.

- Więc ta sprawa z sądem to dla nas niedobrze?

- Cóż, w żadnym stopniu nie poprawia to naszej sytuacji, a sugeruje rządowi, że się im przeciwstawiamy.

- To tak jakby się miało nieprzyjemności przez coś, co zrobił twój przyjaciel?

- Jak najbardziej. - Komunikator Cilghal zabrzączał; Jedi strzegący głównego wejścia do Świątyni przysłali sygnał, żeby jeden z Mistrzów zajął się pilną sprawą. Cilghal rzuciła dziewczynce uspokajające spojrzenie i wyszła z sali.

Mistrz Durrone dogonił ją parę metrów przed głównym wejściem. Uśmiechał się, rozradowany.

- To dobre wiadomości, prawda?

- Tak. Dla Tahiri Veili.

- Cilghal, to pierwsza szczelina w bastionie rządu. Sąd Najwyższy podda teraz rewizji cały dekret. On też może zostać obalony.

- Nie chodzi tylko o to.

Minęli szerokie otwarte drzwi u wylotu Wielkiego Holu. Za nimi rozciągał się widok Coruscant w blasku późnoporanego słońca.

Znacznie bliżej kilka pojazdów uprzywilejowanych wisiało po obu stronach wejścia. Jednym z nich była karetka o otwartych tylnych drzwiach. Prócz tego parę śmigaczy Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu; ich załogi stały wśród członków personelu medycznego i łowców nagród - Zilaasha Kuha, ciemnowłosej Jedi, oraz Vranina Vaxsa, człowieka zamienionego w droida ZYV.

Kiedy Cilghal i Kyp się zjawili, kapitan Służby Bezpieczeństwa przerwał rozmowę z Jedi strzegącymi wejścia i podszedł do dwojga Mistrzów. Był w pełnym rynsztunku bojowym, a pod uniesioną osłoną hełmu jego twarz poczerwieniała.

- Powiedzcie lepiej tym dwóm idiotom, żeby zaczęli współpracować, bo inaczej spędzą pięć lat w więzieniu.

Twarz Kypa spochmurniała.

- Lepiej...

- Oni mają za zadanie nie wpuszczać osób nieupoważnionych, dokładnie tak samo jak strażnicy przed waszymi koszarami - wtrąciła Cilghal najspokojniej, jak potrafiła.

- Ale ja jestem upoważniony. - Mężczyzna pokazał kartę danych. - Oto nakaz.

- Ci młodzi strażnicy i tak nie wiedzieliby, co z tym zrobić. -Cilghal wyrwała kapitanowi kartę tak błyskawicznym ruchem, że oficer przez chwilę wpatrywał się w swoją dłoń, jakby zastanawiał się, dlaczego nagle jest pusta.

Cilghal wsunęła kartę do swojego datapadu. Na ekranie pojawiły się pierwsze linijki dokumentu prawnego - nakazu aresztowania Jedi Valina Horna.

- Ach, więc to tak? Chciałam zauważyć, że rząd i Zakon nie doszły jeszcze do porozumienia, kto ma dokonać oceny stanu psychicznego Jedi Horna.

- My o tym zadecydujemy. Jedi nie mają już w tej sprawie nic do powiedzenia.

Cilghal poczuła, jak wzbiera w niej bardzo niewłaściwa dla Jedi irytacja.

- A swoją drogą, gdzie się podział kapitan Savar? Jedyne inteligentny oficer, który ma szansę na awans w przyszłości?

- Pewnie niańczy Ewoki. No dobra, pora, żebyście oddali Valina.

- Chyba się mylisz.

Kapitan zrobił jeszcze jeden krok naprzód, tak że stał teraz twarzą w twarz z Cilghal. Czowała, jak wśród towarzyszy kapitana rośnie napięcie. Kilku z nich upewniło się, że mają pod ręką broń. Dwoje łowców nagród rozstąpiło się dyskretnie, jakby wyznaczali sobie odrębne pola ostrzału.

- Coś ty powiedziała? - spytał kapitan.

- Pomiął pan jeden niezbędny krok. Zapomniał się pan wylegitymować. - Cilghal zaswędziała ręką; coś jej mówiło, że dobrze by było, gdyby znalazł się w niej miecz świetlny. Ale nie mogła po niego sięgnąć, nie w tej sytuacji. Musiała polegać na swoich umiejętnościach walki wręcz i pomocy Kypa Durrona, gdyby sprawy przybrały nieciekawą obrót.

Kapitan zawahał się, po czym wyciągnął z kieszeni kartę identyfikacyjną i pokazał ją Cilghal, trzymając dokument blisko jednego z jej wyłupiastych oczu.

- Kapitan Oric Harford, Służba Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu. - Hologram na karcie przedstawiał jego twarz, tyle że mniej czerwoną niż w oryginale. - A teraz zejdz mi z drogi, rybogłowa.

- Dwie sprawy. Po pierwsze nie nazywam się Rybogłowa. Jestem Mistrzynie Cilghal. - Gdyby jej

głos się zmaterializował, to kapitan nabawiłby się poważnego odmrożenia. - Po drugie, nie stoję panu na drodze. To fizyczna niemożliwość. Wejście ma kilka metrów szerokości, podczas gdy ja niecały metr. Pozostawiam teraz pańskiej domniemanej inteligencji znalezienie drogi do Świątyni. Jeśli dobrze panu pójdzie, to może nazwiemy ten test pańskim imieniem. - Swoją pogardę dla niego podkreśliła Mocą.

Kapitan był może głupi, jednak nie na tyle, żeby go to w jakiś widoczny sposób poruszyło. Schował kartę identyfikacyjną i skinął na swoich ludzi. Jeden za drugim minęli go i weszli do Świątyni. Kiedy przez drzwi przeszli Zilaash Kuh i Vrannin Vaxx, Cilghal wyczuła, że Kyp ją opuszcza i idzie za nimi.

Kapitan pozostał na miejscu.

- Jeśli ty jesteś Cilghal, to sprawca jest twoim pacjentem. Dziwię się, że nie chcesz być przy tym, jak go aresztujemy.

Cilghal bardzo by tego chciała, jednak nie mogła dać tej żalostnej namiastce człowieka najmniejszej satysfakcji.

- Cóż, postoję tu, rozkoszując się porannym powietrzem, i prześlę ten dokument Mistrzowi Hammerowi, przywódcy Zakonu, człowiekowi, który naprawdę zrobił karierę w wojsku. Jedi Tekli przygotowuje Jedi Horna do przewiezienia.

Jeśli już nie można było pozbyć się kapitana, to należało go ukarać za jego bezczelność. Przesyłając plik z nakazem i z krótką wiadomością do Mistrza Hamnera, Cilghal zmieniła charakter impulsów, które emitowała poprzez Moc. Zamiast oddziaływać na emocje oficera, zaczęła pobudzać jego biologiczne odruchy - poczucie, że musi skorzystać z odświeżacza. Swoją perswazję wzmocniła pomocami wizualnymi, takimi jak obrazy płynących strumyków, pięknych wodospadów i ulewnego deszczu.

Wypieki znikły z twarzy kapitana, a w ich miejsce pojawiła się niezdrowa bladość.

- Mogę już dostać mój nakaz?

- Mowy nie ma. Muszę najpierw zredagować wiadomość. Pisanie na tym nie jest łatwe dla rybogłowej, rozumie pan. A swoją drogą, czy Dhidala Nyza też pan nazywa rybogłowym? To pieszczotliwe określenie czy przydomek? A na pana jak mówią? Orry? Mogę też tak mówić? Napijesz się czegoś, Orry? Może dużą szklanekę zimnej wody?

Parkując swój śmigacz w hangarze na jednym z dolnych poziomów Świątyni Jedi, Jaina wyczuwała na górze atmosferę nietypowego dla Jedi niepokoju i gniewu, która sączyła się przez permabeton i durastal niczym woda przez grubą tkaninę. Pojechała turbowindą na górę razem ze swoim obserwatorem, Dabem, który, niczego nieświadomy, opowiadał o postanowieniu Sądu Najwyższego. Nie odniosła wrażenia fizycznego zagrożenia ani wezwania do walki, więc powstrzymała się od sięgnięcia po miecz świetlny. Zaniepokoiło ją jednak, że w pierwszym odruchu chciała to zrobić. Pomimo powszechnego odbioru Jedi w kulturze masowej to nie była ich filozofia.

Miecze Jedi też nie.

Znaleźli się z Dabem w ciemnym rogu Wielkiego Holu. Liczni Jedi stali w małych grupkach, rozmawiając ściszymi głosami.

Jaina podeszła do trzech Jedi, wśród których był Mistrz Katarn.

- Mistrzu, co się stało?

Wyraz twarzy Kyle'a nie zmienił się, chociaż wyczuwała promieniujący od niego gniew.

- Przyszli po Valina.

Jaina zmarszczyła brwi.

- Nie słyszałam, żebyśmy doszli do porozumienia z rządem w kwestii oceny jego...

- Nie doszliśmy. To jednostronna decyzja rządu. Pewnie odwet za dzisiejsze orzeczenie Sądu Najwyższego.

- Ale my nie mieliśmy z tym nic wspólnego!

- Ależ mieliśmy. Moglibyśmy przecież wywrzeć nacisk na Tahiri Veilę, żeby wycofała apelację. Czy obstawałaby wtedy przy swoim?

- Pewnie nie.

- No cóż, wiemy przynajmniej, jak rząd rozumie współpracę z naszej strony. To ma być bezmyślna akceptacja ich decyzji, milczące posłuszeństwo i bicie pokłonów.

Zza ich pleców dobiegł dźwięk nadjeżdżającej turbowindy. Jaina odwróciła się, tak jak wszyscy. Z jednej z wind wysiadł Mistrz Kenth Hamner na czele krótkiej procesji. Za nim unosiło się w powietrzu łóżko szpitalne, na cichych i dyskretnych repulsorach. Na łóżku leżał Valin, przytomny, przywiązany i przykryty po szyję prześcieradłem. Po bokach łóżka szli Jedi Tekli, Mistrz Durrion oraz łowcy nagród: Kuh i Vaxx. Uczennica Jedi zamykała pochód.

Valin nie był wcale cichym, spokojnym pacjentem. Energicznie walczył z krępującymi go więzami, przez cały czas głośno mówiąc:

- Spójrzcie tylko na siebie. Myślicie, że wszystkich nabraliście? Ale robicie błąd. Przejrzą wasz podstęp tak samo jak ja. Co zrobiliście z prawdziwymi Jedi? Co zrobiliście z prawdziwymi Hornami? Zabiliście? Oddajcie ich całych i zdrowych albo mi za to zapłacicie. Będziecie cierpieć jak w brzuchu u sarlacca, bez końca. Niech no was tylko dostanę w swoje ręce...

Jeszcze jedna winda się otworzyła. Wysypał się z niej oddział Służby Bezpieczeństwa GS, który szybko uformował szyk wokół procesji.

Dab rejestrował drogę łóżka i jego strażników.

- Zrobili z tego publiczne wydarzenie - powiedział tak cicho, że Jaina ledwie go usłyszała. - To obrzydliwe.

- Nie masz prawa się wypowiadać w tej kwestii - warknęła gniewnie Jaina. - Sam bierzesz w tym udział.

Dab nagrywał dalej, niewzruszony.

- Jestem fachowcem, a w dodatku życzliwym. Jeśli ja zrezygnuję, to kto mnie zastąpi? Jakiś jednoręki skazaniec chowający urazę do Jedi, wypuszczony z więzienia specjalnie do tego zadania. Wolałabyś tak?

Jaina nie odpowiedziała, tylko, podobnie jak wielu Jedi, ruszyła za procesją.

Pochód dotarł do końca sali i wyszedł na zewnątrz, mijając Mistrzynie Cilghal i kapitana Służby Bezpieczeństwa, który wyglądał, jakby wykonywane zadanie sprawiało mu ból. Valin, wciąż złorzeczący gapiom, został wpakowany do karetki. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, personel medyczny i łowcy nagród zajęli miejsca w swoich pojazdach.

Kapitan, blady i spocony, uniósł rękę, powstrzymując Mistrzynie Cilghal i Tekli przed wejściem do karetki. Po chwili kawalkada pojazdów uprzywilejowanych odleciała.

Gdy Mistrz Hamner przechodził obok niej, Jaina ściągnęła go wzrokiem.

- Będzie coraz gorzej, jeśli nic nie zrobimy - wyszeptała.

Pokiwał posępnie głową.

- Mimo wszystko muszę utrzymać ten kurs. Muszę być w stanie spojrzeć Daali w oczy i powiedzieć: „W Zakonie nie ma przejawów oporu wobec waszych działań. Proszę spytać kóregokolwiek z Mistrzów”. - Poszedł dalej.

Jaina poczuła przypływ radości. Mistrz Hamner był trochę sztywny, wykrochmalony jak jego stare mundury galowe, jednak wiedział, czego im trzeba. Na pewno nie był pachołkiem rządu.

- Wydajesz się dziwnie zadowolona - zauważył Dab.

- Dostałeś kiedyś pozwolenie na coś, co i tak zamierzałeś zrobić?

- Jasne. A na co ty dostałaś pozwolenie?

- Na zjedzenie lunchu - skłamała.

ROZDZIAŁ 15

Kopalnie Calrissiana-Nunba, Kessel

Pół godziny później - przez ten czas na szczęście nie przeszkadzały im energożerne pająki - zaczęła zanikać energia straszaków, które zakłóciły działanie urządzeń elektronicznych Hana i Leii. Na ekranach monitorów śmigacza pojawiły się iskry elektrostatycznych zakłóceń. Leia postanowiła sprawdzić działanie swojego miecza świetlnego, więc zapaliła energetyczną klingę. Kolumna światła z początku lekko migotała, ale po chwili zapłonęła równym, spokojnym blaskiem. Han usiadł za sterami śmigacza i postarał się pobudzić pojazd do życia. Po kilku minutach repulsory się włączyły i śmigacz wniósł się nad dno jaskini.

Kiedy Leia wskoczyła do kabiny, Han udał, że ociera nieistniejący pot z czoła.

- Gotowa do powrotu na górę? - zapytał.
- Przecież właściwie jeszcze niczego nie znaleźliśmy - sprzeciwiła się księżniczka.
- Obawiałem się, że to powiesz - mruknął Solo.
- Kiedy czekaliśmy, wyczułam ich w Mocy jeszcze więcej.
- Straszaków?

Leia przytaknęła.

- Głęboko, głęboko w dole - dodała. - Może są w jakiś sposób związane ze zjawiskiem wstrząsów gruntu? Odkryłam także niższe formy życia, które chyba poruszają się tunelami.

- A zatem lecimy w dół, tak?
- Właśnie.

Han westchnął i powoli ruszył prosto przed siebie.

- Wskazuj drogę - powiedział.

Wiele kilometrów nad nimi, w kierunku na południowy wschód, w jednym z budynków Kopalń Calrissiana-Nunba, w rezerwowej sali konferencyjnej, pospiesznie zamienionej na pokój zabaw, siedziała Allana. Chance zniknął, zabrany przez Nannę, żeby mógł się zdrzemnąć. Allanie towarzyszyły tylko automaty, C-3PO i R2-D2.

Dziewczynka nie mogła się nawet oburzyć, bo to by oznaczało okazanie prawdziwych uczuć, a jej mama - jej prawdziwa mama - zawsze tłumaczyła, że powinno się je okazywać tylko najbliższym, najbardziej kochanym osobom. A czasami nawet im nie powinno się ich okazywać, jeżeli chciało się je o czymś przekonać.

- Znudziło mi się czekanie - oznajmiła automatom. - Chcę coś zrobić.

C-3PO spojrział na dziewczynkę siedzącą na dywanie.

- Przecież robisz - zdziwił się. - Czytasz coś na ekranie swojego notesu komputerowego.

Allana zamknęła pokrywę urządzenia z głośnym trzaskiem.

- Ale ja chcę zrobić coś pożytecznego - oznajmiła. - Coś, czego jeszcze nigdy nie robiłam.

- Robiłem rzeczy, których nigdy przedtem nikt nie próbował, i mogę cię zapewnić, że to na ogół niebezpieczna działalność. Nieodpowiednia dla małych dziewczynek.

- Co takiego robiłeś? - zainteresowała się Allana.

- Na przykład, pozwoliłem się uważać za złote bóstwo i przy okazji pomogłem obalić Galaktyczne Imperium - odparł android. - Pozwól, że opowiem ci tę historię...

- Kiedy indziej. - Allana chwyciła plecak, wrzuciła do niego notes i wyciągnęła maskę do oddychania. - Wyjdźmy na dwór - zaproponowała.

- Odradzam, młoda damo - odparł C-3PO. - Każda nowa planeta jest pełna nieskatalogowanych niebezpieczeństw...

R2-D2 przerwał mu serią melodyjnych pisków.

- Co powiedział? - zapytała Allana.

- Twierdzi, że damy radę cię ochronić nawet w razie nieznanego niebezpieczeństwa - odparł Threepio. - Krótko mówiąc, poderwał mój i tak nadwątlony autorytet. Dobrze, niech będzie. Ale pamiętaj, że na zewnątrz nie będzie żadnych wygod.

- Możliwe, ale lubię sobie poskakać. - Ciężenie na planecie Kessel było mniejsze niż na większości skolonizowanych przez ludzi planet; umożliwiło jej to wykonywanie niezwykle długich i wysokich skoków podczas krótkiej wędrówki z pokładu „Sokoła” do tego domu.

Naturalnie taka możliwość nie była głównym powodem upierania się przy wyjściu na zewnątrz.

Jak najciszej, żeby nie zaalarmować obojga Calrissianów, Niena Nunba czy któregoś innego członka szczątkowej ekipy, którego Lando pozostawił na służbie w budynku, Allana poprowadziła

automaty pustymi korytarzami. Od ścian odbijało się echo. Korytarze były kiepsko oświetlone, ale mimo to na ścianach dało się dostrzec napisy zakazujące wstępu dzieciom. W końcu Allana znalazła właz wiodący na zewnątrz i już po chwili oddychała chłodnym powietrzem planety.

- Czas poskakać - oznajmiła.

- My się do tego nie nadajemy. Gdybyśmy spróbowali, moglibyśmy przy lądowaniu sobie coś uszkodzić, więc ja i Artoo będziemy się tylko przyglądać z bezpiecznej odległości - oznajmił C-3PO.

Allana wzruszyła ramionami i zaczęła się oddalać od głównego budynku. Od czasu do czasu wykonywała długi skok, dla urozmaicenia podskakując wysoko. Starła się pozostawać poza zasięgiem wzroku dorosłych. Buty dziewczynki i dół nogawek spodni pokryły się białym pyłem zalegającym na powierzchni gruntu.

W końcu Allana uznała, że nadeszła pora, żeby wykorzystać nauki Leii. Otworzyła więc umysł i uczucia na podszepty Mocy. Nie było łatwo, bo zazwyczaj bywała zachęcana, aby je skrzętnie ukrywać. Niekiedy mogło od tego zależeć jej życie. Żli ludzie miewali kłopoty z wyczuciem słabości czy strachu, jeżeli się je dobrze ukryło.

Allana zauważyła, że grunt przed nią z lewej strony jest ciemniejszy niż gdzie indziej. Zmieniła kierunek i skierowała się w tam. Kiedy już doszła, zobaczyła rzędy wystających z białego pyłu skałek. Teren był nierówny, wznosił się i opadał.

Okolica nie była piękna, ale i tak ciekawsza niż zwykły biały piasek. Dziewczynka zaczęła przemykać się ostrożnie między strzaskanymi głazami.

- Panno Ameenio! - rozległ się płaczliwy okrzyk Threepia. Allana odwróciła się i zobaczyła, że złocisty android, za którym podążał Artoo, znajduje się kilkaset metrów za nią. Pomachała im, jakby ucieszyła się na ich widok i absolutnie nie miała zamiaru uciekać. Zaraz jednak weszła głębiej między głazy i przyspieszyła.

Głębiej skały były wyższe i smuklejsze, niektóre równie wysokie jak ona. Allana, przemykając między nimi, niebawem straciła z oczu oba automaty. Od czasu do czasu słyszała nawoływanie Threepia i świergotanie Artoo. Machała wtedy do nich i odzywała się, by zaraz potem skrócić i skierować się w inne miejsce.

Po kilku minutach coś wyczuła. Coś, co znajdowało się całkiem blisko niej. Nie był to człowiek ani zwierzę, bo odnosiła wrażenie dziwnego spokoju. Ostrożnie skierowała się w stronę, skąd napływało to uczucie. Poruszała się tak cicho, jak tylko potrafiła.

Po kilkudziesięciu metrach grunt stał się znów płaski i biały. Dziewczynka stanęła na skraju owalnego placyku, pośrodku którego stała nieduża budowla. Nie była wysoka, najwyżej dwukrotnie wyższa od niej, a że mieściła się w zagłębieniu gruntu, lekko spiczasty dach prawie nie wystawał ponad poziom otaczających ją skał.

Budynek, wzniesiony z jasnoszarych kamieni, nie był wystarczająco wysoki, żeby nazwać go

domem. Raczej czymś w rodzaju szopy czy magazynu. Allana okrążyła go i stwierdziła, że w żadnej ścianie nie ma okien. Zauważyła tylko nierówne wnęki, jakby ktoś kiedyś chciał te okna wyrąbać. W zachodniej ścianie widniał zarys niedokończonych drzwi. Wszystkie krawędzie były zaokrąglone i zniszczone, co mogło sugerować, że budowla jest bardzo, bardzo stara.

Allana głęboko odetchnęła. Już wiedziała - to był magazyn dla martwych ludzi. Grobowiec. Nie potrzebował drzwi ani okien, ale jego budowniczowie - kimkolwiek byli - chcieli sprawić wrażenie, że to prawdziwy dom.

Nieżywi ludzie nie przerażali Allany. Kiedy wszyscy uważali, że dziewczynka śpi, oglądała fragmenty wielu holodramatów, w których martwi nie byli wcale martwi, a grobowce nie były grobowcami. Sytuację ratowali wówczas odważni, dziarscy bohaterowie z wielkimi Masterami. Dziadek Han był takim bohaterem, ale tu go nie było. Allana zrozumiała, że musi zrobić wszystko, żeby nie wpaść w jeszcze większe tarapaty, bo będzie musiała sobie sama poradzić.

To dziwne, że w ogóle wyczuła to miejsce. Babcia Leia twierdziła, że Moc to energia życia, ale w tym grobowcu nie było nikogo żywego. Allana uwolniła myśli i wysłała je do grobowca, ale ponownie odebrała tylko martwy spokój.

A potem coś się zmieniło. Dziewczynka wyczuła w grobowcu jakiś ruch. Nie życie, ale czystą energię. Zamarła w miejscu, żałując, że nie może się stać zupełnie niewidoczna.

Czymkolwiek była ta energia, czekała po drugiej stronie kamiennej ściany. Czekwała ze spokojem, który dorównywał spokojowi dziewczynki. Allana słyszała dobiegające z oddali nawoływania C-3PO. Żałowała, że nie ma przy sobie automatów.

Powoli zrobiła krok do tyłu, ale to... coś nie zareagowało. Zaczęła się cofać, aż w końcu zderzyła się plecami z chropowatą powierzchnią skały. Mimo to nic nie wyskoczyło z grobowca. Wstrzymując oddech, weszła między skały, ale odprężyła się dopiero, kiedy straciła budowlę z oczu.

Wyczuwam cię.

Słowa pojawiły się same w jej umyśle. Allana o mało nie krzyknęła.

Słowa nie pochodziły jednak z grobowca. Dziewczynka spojrzała w różowawe niebo, ale zobaczyła tylko odległe słońce i sierp księżyca, na którym mieścił się kiedyś garnizon. Wrażenie napłynęło właśnie stamtąd.

Kto tam jest? Wyczuwam cię. Proszę... proszę... Z tych słów emanowały ogromna tęsknota i desperacja, i bezgraniczne pragnienie. Allana chciała jakoś uspokoić tego, kto tam przebywał. Powstrzymała ją przed tym ostrożność; pamiętała setki lekcji, które pobierała, siedząc na kolanach matki.

Jak się nazywasz?

Po kręgosłupie Allany przebiegł zimny dreszcz. Nie wiedzieć czemu pomyślała, że gdyby odpowiedziała, gdyby podała swoje imię i nazwisko, zostałaby porwana. Na zawsze. Błąkałaby się

do końca życia, nie wiedząc, kim jest. Objęła się rękami, żeby się ogrzać, i spuściła głowę. Musi za wszelką cenę trzymać zmysły na wodzy.

Głos w jej głowie ucichł i Allana prawie nie pamiętała, że coś usłyszała. Odetchnęła z ulgą.

Wychodząc zza potężnego głazu, o mało nie zderzyła się z Threepiem. Android stał sobie, wspaniale nowoczesny i metalowy, z R2-D2 z boku. Astromechaniczny robot zaświstał melodyjnie na powitanie. Żaden automat nie wyglądał na zaniepokojony.

- Panno Amelio! - wykrzyknął C-3PO na jej widok. - Naprawdę nie powinna pani oddalać się sama.

Allana, nie zwalniając, skierowała się z powrotem w stronę, gdzie jej zdaniem powinny się znajdować budynki kopalni.

- Wiem, wiem - mruknęła.

C-3PO przyspieszył, żeby dotrzymać jej kroku. Allana słyszała narastający skowyt serwowatorów jego rąk i nóg.

- Dzięki niech będą twórcy, że nie stała się pani żadna krzywda - powiedział Threepio. - Gdybym musiał zameldować panu Hanowi i pani Leii, że coś się pani przydarzyło, skazałoby mnie na całą wieczność otwierania butelek w najobszerniejszej speluncie w podziemiach Coruscant...

- Ciągle mówisz o tym twórcy - zauważyła dziewczynka. - Kto cię stworzył?

- Prawdę mówiąc, już nie pamiętam - przyznał się android. - Zostałem jednak stworzony, więc nie ulega wątpliwości, że gdzieś musi istnieć mój twórca. A skoro uważam swoje istnienie za coś pozytywnego, mój twórca był niewątpliwie osobą dalekowzroczną i życzliwą.

- Chyba masz rację - zgodziła się z nim Allana.

W ogromnej naturalnej jaskini, z której pod różnymi kątami odchodziło kilka tuneli, Leia wpatrzyła się w pulpity ze wskaźnikami sensorów, zastanawiając się, którą drogę wybrać. Pokręciła głową i pokazała ręką przed siebie.

- Tędy - oznajmiła.

Han uniósł głowę, jakby mógł coś zobaczyć przez nieprzezroczystą bańkę owiewki kabiny i w dodatku w nieprzeniknionej ciemności, ale zaraz skierował spojrzenie na pulpity z odczytami sensorów. Wskazywały wnękę w sklepieniu, która mogła być naturalnym ubytkiem skały. Leia wyczuła jednak, że to coś innego. Han nakazał śmigaczowi wznosić się powoli.

Wnęka w sklepieniu, a ściślej wylot szybu, był na tyle szeroki, że mógł się w nim zmieścić śmigacz, ale wyżej się zwężał i zmieniał w biegnący ukośnie w górę komin. Kiedy śmigacz się

wznosił, coś uderzyło o sklepienie owiewki kabiny, a potem ześlizgnęło się z hałasem, jakby w popłochu. Han zamarł na chwilę, ale zaraz uświadomił sobie, że to nie mógł być energożerny pajak... Taki raczej by ich zaatakował, niż uciekł.

Dwadzieścia metrów wyżej komin rozszerzał się i kończył przestronną jaskinią, której dno opadało łagodnie w kierunku południowo-zachodnim. Leia skinęła głową i Han skierował śmigacz powoli tam, gdzie dno jaskini opadało.

Leia spojrzała znów na pulpit ze wskazaniami sensorów, gdzie linie topograficzne, nieustannie zmieniając kształt, wskazywały nieregularności tunelu, którym lecieli.

- Idę o zakład, że te wszystkie korytarze są naturalne -oznajmiła - Wyzłobione przez wodę.

- Uważasz, że na Kessel było kiedyś więcej wody? - zapytał Han.

- Moim zdaniem Kessel była kiedyś fragmentem innej, o wiele większej planety, która miała oceany i o wiele gęściejszą atmosferę - zaczęła księżniczka. - Znane tu formy życia, na przykład pająki i ptaki, musiały się rozwinąć w tamtym okresie. Trudno sobie wyobrazić, żeby wielkie ptaki rozwinęły się na planecie o tak rzadkiej atmosferze, że ledwo mogłyby w niej latać. Planetę zniszczył prawdopodobnie jakiś kataklizm, po którym pozostała z niej tylko część, czyli obecna Kessel.

- Może reszta szczątków spadła do Otchłani? - zasugerował Solo.

Tunel, którym lecieli, ciągnął się kilka kilometrów w jednym kierunku, ale dno cały czas opadało. Zakręcał łagodnie w obie strony, ale cały czas zachowywał stałą szerokość. Niewątpliwie został wyrzeźbiony przez podziemną rzekę. W końcu Leia zauważyła na ekranie sensorów pionowe pęknięcia w skałach. Skierowali światła reflektorów na te miejsca i stwierdzili, że szczeliny powstały dużo później niż otaczające je skały.

- To są ślady po wstrząsach gruntu - stwierdził Han.

Jakby na potwierdzenie jego słów dał się słyszeć złowieszczy pomruk i skały zadrżały. Od sklepienia tunelu oderwały się niewielkie kamienie, z grzechotem spadając na kadłub śmigacza i owiewkę kabiny. Pomruk narastał, jakby galaktyczny olbrzym poruszał wielką misą, pełną kamieni. Potem zaczęły spadać większe kamienie, niektóre nawet wielkości głowy. Han zaciskał palce na rękojeści dźwigni drążka sterowniczego, aż zbieleły mu kostki; był gotów do nagłego skrętu w jedną albo w drugą stronę na pierwszy sygnał nadciągającej katastrofy.

A potem dno tunelu pod nimi znikło. Repulsory śmigacza, nastawione na utrzymywanie wysokości metra nad dnem, okazały się zbyt słabe. Śmigacz z Hanem i Leią zanurkował w nieprzeniknioną ciemność. W ślad za nim poleciały kamienie i odłamki skał.

Miasto Dor'shan, Dorin

Luke rozumiał, że dla Bena widok świątyni Baran Do, choć obcy, jest zarazem uspokajająco znajomy. Dekoracje były typowe dla Kel Dorów. Tworzyły je rzędy symboli i metafor, przedstawiających naturalne otoczenie i siły przyrody. Komnaty służyły oczywistym celom, które Luke natychmiast rozszyfrował. Sale do ćwiczeń. Sale lekcyjne. Pokoje medytacyjne. Stołówki. Wszystko wyglądało jak mniejsza wersja znanej mu doskonale Świątyni Jedi. Luke nie chciał pytać Tistury Paan, uczeniicy i ich przewodniczki, ale ocenił, że mogło tu przebywać najwyżej sześciu Mistrzów i nie więcej niż dwudziestu uczniów różnych stopni.

W porównaniu ze Świątynią Jedi hala do ćwiczeń była mała i bardzo skromnie wyposażona. Na stojakach z bronią spoczywały pręty, a na hakach w ścianach powieszono wyściełane pancerze ochraniające ciała ćwiczących uczniów. Na podłodze leżały ćwiczebne maty. W sali mogły ćwiczyć równocześnie najwyżej dwie grupy uczniów.

- Czy wszyscy wasi uczniowie doskonalą się w sztuce walki? - zapytał Luke.
- Nie - odparła uczennica. - Baran Do nie są wojowniczym zakonem tak jak Jedi.
- My też nie jesteśmy wojowniczy.

Tistura Paan obdarzyła go uśmiechem, ukazując groźne szczęki.

- Ale wszyscy doskonalicie się w sztuce walki - stwierdziła. - To dowód wojowniczości. Nasza rola polega na doradzaniu i udzielaniu ostrzeżeń. Pierwsi Baran Do byli wioskowymi jasnowidzami o wyjątkowej wrażliwości na zmiany pogody; dzięki temu mogli ostrzegać ziomków przed nadciągającymi burzami. W ciągu wieków ulepszali swoje techniki i filozofię. Najlepsi zostawali osobistymi doradcami władców naszej rasy. W końcu zakon stał się ostoją nauczycieli i badaczy, którzy gromadzili i katalogowali wiedzę o sztukach i naukach, a także o sposobach posługiwania się Mocą.

Przeszli przez kolebkowo sklepione przejście do sali medytacyjnej, wyposażonej tylko w niewielkie okrągłe maty na podłodze. Pomieszczenie nie miało okien, a ściany pomalowano na kojący jasnoszary kolor, co sprawiało wrażenie, jakby znajdowali się we wnętrzu chmury.

- Zapomniałem wczoraj zapytać, czy Mistrz Plo Koon też był kiedyś członkiem waszego zakonu? - zapytał Luke.

Tistura Paan skinęła głową. Usiadła na jednej z okrągłych piankowych mat i gestem zachęciła Luke'a i Bena, żeby poszli w jej ślady. Obaj Skywalkerowie usłuchali.

- Od wieków wielu członków rodziny Koon było Baran Do - wyjaśniła przewodniczka. - Wszyscy wiedzą, że Moc jest silna w tej rodzinie, podobnie jak w rodzinie Skywalkerów. Podobno Plo Koonowi nigdy nie znużyło się życie pośród istot oddychających tlenem, konieczność noszenia przyprawiających o klaustrofobię masek i widok ich dziwnych twarzy. Ja miałabym dosyć po paru tygodniach.

Ben poklepał swoją transpastalową maskę.

- Wiem, co czujesz - powiedział.

- Mistrzynie Tila Mong nauczy twojego ojca techniki *hassat-durr*, której, jak słyszałam, nie stosujecie - ciągnęła Tistura Paan. - A ty chciałbyś nabrać większej wprawy w różnych technikach walki?

- A obiecasz, że tym razem nie ściągniesz mi maski z twarzy?

- Żadnych obietnic - oburzyła się przewodniczka.

- No cóż, niech będzie. Jasne, że chcę - odparł Ben.

Kiedy wyszli razem, Luke nie musiał już długo czekać. Do sali weszła Tila Mong. Gestem poleciła, żeby Mistrz Jedi został na swoim miejscu, po czym usiadła na macie naprzeciwko niego.

- Witaj, Mistrzu - powiedziała. - Nie będziesz miał nic przeciwko przyspieszonemu kursowi, pozbawionemu szkoleniowych rytuałów i ćwiczebnych artefaktów?

- Będę zachwycony - zapewnił ją Luke.

- Cieszę się. Technika, której chciałeś się nauczyć, to *ayna-seff* z rodziny *hassat-durr*. W naszym języku *hassat-durr* znaczy piorunochron.

- Dlaczego ją tak nazywacie? - zainteresował się Skywalker.

- Bo jeżeli nie opanujesz tej techniki do perfekcji, a posłużysz się nią podczas burzy, zginiesz od pioruna.

Wbrew samemu sobie Luke się uśmiechnął.

- Żartujesz, prawda? - zapytał.

Mistrzynie pokręciła głową.

- Podczas stosowania techniki *hassat-durr* twoje ciało wydziela słabe promieniowanie elektromagnetyczne - zaczęła. - Wytwarzasz je dzięki interakcji między Mocą a wpływem swojego umysłu na centralny system nerwowy. Energia, jaką uczeń wytwarza w początkowym okresie nauki, przyciąga ładunki jak piorunochron. Ze względu na to powinno się udoskonalić te umiejętności, zanim się ją zastosuje.

- Jeśli nie liczyć zakłócania skanów mózgu i umożliwiania popełnienia samobójstwa przez porażenie piorunem, co jeszcze potrafi technika *hassat-durr*? - zapytał Luke.

- Można dzięki niej unieruchamiać protezy i elektroniczne implanty oraz zakłócać działanie porażających kajdanków - tłumaczyła Tila Mong. - Dzięki niej zwierzęta będą się ciebie bać albo odnosić się do ciebie przyjaźnie. Potrafisz także działać jak skuteczna antena zwiększająca zasięg sygnałów komunikatorów. A to tylko niektóre zastosowania.

Mistrzynie wyjęła z kieszeni płaszcza dwa przedmioty. Pierwszy wyglądał jak zwykła kula o średnicy prawie czterech centymetrów, wykonana z szarego jak durasteal metalu; drugim przedmiotem był płaski krążek z tego samego materiału. Krążek miał pośrodku wgłębienie, w którym - jak łatwo było się domyślić -powinna spoczywać kula. Do krawędzi krążka dołączono izolowany kabel o długości mniej więcej metra. Kabel kończył się elastyczną pętlą z wtopionym przewodem elektrycznym.

Mistrzynie położyła krążek przed Lukiem, umieściła kulę we wgłębieniu i podała mu elastyczną pętlę.

- Zamknij ją w dłoni - poleciła.

Luke po namyśle zamiast zamknąć pętlę w protezie, objął ją palcami prawdziwej dłoni.

- To urządzenie - ciągnęła Tila Mong - to proste narzędzie szkoleniowe. Jest precyzyjnie dostrojone do różnych natężeń i częstotliwości elektromagnetycznej energii wytwarzanej przez osobę, która prawidłowo posługuje się techniką *ayna-seff*.

- Powiesz mi, co znaczy *ayna-seff*! - podchwycił Luke.

- Martwy mózg.

Mistrz Jedi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wy, Baran Do, macie bardzo obrazowe nazewnictwo - zauważył.

- Nasz zmysł artystyczny wykorzystujemy raczej wizualnie, nie zaś do nadawania nazw - wyjaśniła Mistrzynie. - Ucząc się języka basie, najpierw odkrywamy bogactwo przymiotników i zapierające dech w piersi szeregi synonimów. Zresztą nieważne. Najpierw musisz się nauczyć ukierunkowywać energię w taki sposób, aby ta kula uniosła się nad krążek.

Luke spojrział na oba przedmioty i pogrążył się w medytacji. Oparł się pokusie podniesienia kuli Mocą. Bez trudu mógłby to zrobić, używając telekinezy, ale to nie pomogłoby w nauce. Przypomniawsobie, jedną po drugiej, wszystkie techniki Mocy, które dotąd opanował. Potem wprowadził się w stan umysłu konieczny do ich wykorzystania.

Pół minuty później, kiedy przygotował się do skorzystania z techniki przydatnej do przechodzenia przed obiektami kamer systemów bezpieczeństwa - kula podskoczyła i zaczęła się obracać. Unosiła się, a potem opadała na wysokość od dziesięciu do dwudziestu centymetrów nad krążkiem.

Tila Mong pokiwała głową.

- Widzę, że masz za sobą mniej więcej osiem tygodni szkolenia przeciętnego ucznia - powiedziała.

- To pewnie tylko pierwszy etap - domyślił się Luke. - Na czym polegają następne?

- Nauczysz się powstrzymywać kulę przed wirowaniem -odparła Tila Mong. - W ten sposób

określisz ilość energii niezbędną do posługiwania się techniką „martwego mózgu”. Nauczysz się także utrzymywać kulę na wysokości mniej więcej centymetra. W ten sposób określisz właściwą ilość energii; dzięki temu tylko najczulsze i najlepiej dostrojone urządzenia będą w stanie wykryć w twojej energii elektromagnetycznej jakieś anomalie. Nauczysz się również wydatkować tę energię bez zmęczenia... przez całe dni i tygodnie.

- Czy Jacen Solo nauczył się tej techniki od Koro Ziila? -zapytał Luke.

Natychmiast wyczuł, że w umyśle Tili Mong coś się zamknęło.

Nie zauważyłby tego nikt inny niż Mistrz Jedi. A i to nie każdy. Na pewno jednak w świadomości jego rozmówczyni zatrzasnęło się coś na kształt wrót grobowca.

Mistrzynie w żaden sposób się z tym nie zdradziła.

- Tak - odparła w końcu.

- Ile czasu mu to zajęło? - zainteresował się Luke.

- O ile dobrze pamiętam, trzy dni.

- Może nie powinienem się chwalić, skoro jestem Jedi, ale chcę poprawić jego wynik - powiedział Luke z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 16

Kopalnie Calrissiana-Nunba, Kessel

- Gdzie się podział wujek Han? - zapytał Chance, siedzący obok Allany przy lśniącym białym stoliku kawiarnianym. Chłopczyk rytmicznie kopał spód blatu.

- Jeszcze nie wrócił. - Allana nie zwracała na malca uwagi. Patrzyła na Tendrę i Landa, którzy siedzieli sami przy sąsiednim stoliku i rozmawiali szeptem. Na pewno o bardzo ważnych sprawach.

Dziewczynka obrzuciła ich gniewnym spojrzeniem. Nanna przygotowywała kolację w sąsiedniej, wielkiej niczym jaskinia kuchni dla personelu, a Nien Nunb czekał w ośrodku łączności na wiadomość od Hana i Leii. Chance zachowywał się jak rozkapryszony bachor. Było oczywiste, że Calrissianowie zastanawiają się nad losem obojga Solo, ale nie zrobią nic, by im pomóc.

Allana odezwała się cicho, żeby nie mogli jej usłyszeć:

- Wiesz, oni na pewno żyją. Wyczułabym, gdyby stało się im coś złego.

- A gdzie jest ciocia Leia? - zagadnął Chance.

- Jeszcze nie wróciła.

Chłopiec zaczął kopać stolik jeszcze energiczniej. Allana miała ochotę dołączyć do niego.

- Dlaczego nie mielibyśmy wyruszyć na poszukiwania wujka i cioci? - zapytała głośno.

Lando i Tendra podnieśli na nią wzrok. Lando błysnął zębami w uśmiechu, który jego zdaniem był uspokajający. Allana poczuła się urażona.

- Nie mamy pojęcia, czy w tej chwili to by im w czymś pomogło, kochanie - odezwał się Calrissian. - Właśnie się zastanawiamy, co dalej.

- Powinniśmy zjechać na sam dół i tam się rozejrzeć - nalegała dziewczynka. - Jestem w tym naprawdę dobra.

Zauważyła, że Lando się lekko wzdrygnął, ale zaraz się opanował.

- Amelio, czy wiesz, czym jest aparatura nadawczo-odbiorcza? - zapytał.

Allana kiwnęła głową.

- To coś jak komunikator, z tym że do komunikatorów się mówi, a do aparatury nadawczo-odbiorczej nie zawsze - powiedziała.

- Racja - przyznał Lando. - Twoja mama i tata mają kilka takich urządzeń nadawczo-odbiorczych. O niektórych nawet nie wiedzą. Umieszczono je w ich śmigaczu i innym sprzęcie.

- Wiem nawet, czym są urządzenia śledzące i namiarowe -pochwaliła się mała, rzucając mu podejrzliwe spojrzenie. - Zainstalowaliście takie coś w ich pojeździe.

- Masz rację! - przyznał Lando. - Sygnały komunikatorów nie mają dużego zasięgu w tych kopalniach. Nie przenikają przez skały. Kazałem więc umieścić w ich sprzęcie specjalne urządzenia nadawczo-odbiorcze, które nawiązują kontakt z sensorami sejsmicznymi w tunelach kopalni. Jakiś czas temu, kiedy przestaliśmy odbierać te sygnały, zdarzył się wstrząs gruntu, więc ciocia Tendra i ja zjechaliśmy na sam dół, żeby się rozejrzeć.

- Dlaczego nic mi nie powiedzieliście? - oburzyła się Allana. - Pojechałabym z wami.

- Ta-a... Tak czy owak, w tej chwili od Hana i Leii oddziela nas grube skalne rumowisko. Musimy się przez nie przekopać, żeby do nich dotrzeć.

- A w tej chwili brakuje nam górników - dodała Tendra. -Większość z nich poleciała na urlop. Rozesłaliśmy prośby o ochotników.

- Ale przecież, dopóki się nie pojawią, my sami możemy... -nie dawała za wygraną Allana.

- Możemy najwyżej zostać tu, gdzie jesteśmy - dokończył Lando, tym razem surowym tonem. Zmierzył dziewczynkę karcącym spojrzeniem, a kiedy Allana nie odpowiedziała, odwrócił się znów do Tendry.

- Potrafiłabym ich odnaleźć - szepnęła z uporem Allana.

- Co takiego, panno Amelio? - zapytał Threepio, stojący obok R2-D2 po drugiej stronie stołu. Android pochylił się nad stolikiem, jakby to miało pomóc jego audioreceptorom usłyszeć słowa Allany.

Dziewczynka zmierzyła go urażonym spojrzeniem.

- Nic takiego - burknęła.

R2-D2 zaświergotał przeciągle, musiało to być wyjątkowo długie zdanie. Allana spojrzała na Threepia, czekając na tłumaczenie.

Protokolarny android znów pochylił się do przodu.

- Twierdzi, że bardzo sobie ceni odważne małe dziewczynki - wyjaśnił C-3PO. - Jednak nie tym razem.

Allana westchnęła.

Sala rozpraw numer 9 sądu na Coruscant

To była ta sama falleeńska sędzina, która odczytała wyrok Luke'owi Skywalkerowi. Dziś była tak samo niewzruszona.

- Sąd ustalił, że Jedi Valin Horn nie może stanąć przed obliczem wymiaru sprawiedliwości ani odpowiadać za swoje czyny w wyżej wzmiankowanym pozwie - oznajmiła.

Jaina Solo, stojąca z tyłu sali rozpraw w niezbyt liczonym gronie innych Jedi, których wpuszczono do zatłoczonej sali, westchnęła z ulgą. To pomyślna wiadomość. Oznaczała, że mimo wszystko Valin nie będzie sądzony.

Jej nadzieje rozwiały jednak następne słowa sędziny:

- Sąd ustalił także, że z powodu swoich niezwykle niebezpiecznych skłonności i choroby umysłowej o kryminogennym charakterze oskarżony jest zbyt niebezpieczny, żeby go trzymać w konwencjonalnym ośrodku odosobnienia. Zostanie zatem utopiony w karbonicie i pozostanie w nim, dopóki nie...

Jej słowa wywołały efekt równy nieoczekiwanemu zwrotowi ważnego meczu w bolo-piłkę. Połowa obserwatorów rozprawy momentalnie zerwała się na nogi. Jedi i ich przyjaciele wykrzykiwali na znak protestu, a przedstawiciele prasy prostowali się na całą wysokość albo nawet włązili na ławy, żeby lepiej zarejestrować holokamerami dalszy przebieg rozprawy. Navara Ven, samotny przy stoliku obrońcy, daremnie usiłował przekrzyczeć panujący harmider:

- Wysoki Sądzie, to oburzające pogwałcenie praw mojego klienta, także jego praw obywatelskich...

Sędzina przycisnęła guziczek na swojej ławie. W sali rozległ się melodyjny dźwięk, przenikliwy jak ostrzegawczy dzwon statku nawodnego. Dźwięk był tak głośny, że sprawił ból osobom obdarzonym normalnym słuchem. Ponieważ okrzyki nie ucichły, sędzina powtórzyła alarm jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem wytwarzając dźwięk o większym natężeniu, dopóki w sali nie zapadła cisza. Obecni zakrywali dłońmi uszy albo membrany bębenkowe.

Sędzina powiodła zimnym spojrzeniem po sali rozpraw.

- Kto chce spędzić miesiąc w więzieniu pod zarzutem obrazy majestatu sądu? - zapytała.

Nikt się nie odezwał i tylko kilka osób ośmieliło się oderwać dłonie od uszu.

Sędzina dała słuchaczom znak, żeby usiedli. Usłuchali wszyscy z wyjątkiem tych, którzy - jak Jaina - nie znaleźli wolnego miejsca.

- Chcę dodać, że oskarżony pozostanie uwięziony w karbonicie, dopóki *ktoś* nie wynajdzie lekarstwa na jego przypadek na podstawie oceny jego testów - powiedziała. - Będzie się go uwalniać z karbonitu co jakiś czas, w celu dokonania nowych testów oraz przeprowadzania okresowej oceny

jego stanu umysłowego. Bez względu na wyniki tych testów i ocen zamierzamy go uwalniać nie rzadziej niż dwukrotnie w ciągu każdego standardowego roku. Zamykam posiedzenie - zakończyła i nie kryjąc irytacji, szybko wstała. Adwokaci i widzowie poszli w jej ślady. Kiedy wyszła z sali, znów zapanował harmider. Tym razem przedstawiciele prasy zasypywali pytaniami adwokatów, Jedi i oboje Hornów.

Jaina zignorowała życzliwe, ale jałowe narzekania otaczających ją Jedi. Obserwowała, jak Corran i Mirax Hornowie obejmują się, żeby łatwiej znieść ból, a Mistrzynie Saba Sebatyne groźnymi spojrzeniami powstrzymuje przedstawicieli prasy przed zbliżaniem się do Hornów. Zauważyła też, że Navara Ven usiadł znów przy swoim stoliku, jakby już się pogodził z chwilową porażką. Widać było, że jest pełen gniewu i frustracji.

W tej samej chwili ogarnęło ją złe przeczucie. To wszystko zabójcy, pomyślała. Jedi i piloci maszyn bojowych, przemysłowcy... ci, którzy brali udział w wojnie po stronie Nowej Republiki i ci, którzy zabijali, żeby powstrzymać Yuuzhan Vongów. Władze wydają obywatelom wojnę, a ci, których skazują, są w gruncie rzeczy zabójcami. Ja też się do nich zaliczam. To się nie może dobrze skończyć.

Niespenetrowane głębiny, Kessel

Śmigacz zanurkował w ciemność. Niemal natychmiast spód pojazdu uderzył o skalny występ, sterczący pod ostrym kątem do kierunku opadania. Repulsory - pracujące pełną mocą, żeby skompensować impet uderzenia - odrzuciły śmigacz od występu, ale zarazem wprowadziły pojazd w ruch wirowy. W blasku dziobowych reflektorów wyglądało to, jakby wokół śmigacza wirowały otaczające go skały.

Han przełączył repulsory z pracy standardowej na awaryjną i przesłał do nich pełną energię. Starał się spowolnić tempo opadania śmigacza i zmusić maszynę do lotu poziomego. Po chwili Leia coś krzyknęła, ale jej nie zrozumiał. Kierowała wzrok w górę i w końcu Han wyczuł raczej, niż zobaczył opadającą w ślad za nimi ogromną skalną bryłę.

Odciał dopływ energii do repulsorów i przesłał ją do jednostek napędowych. Posłał śmigacz pionowo w dół szybem. W ciągu kilku sekund, które mu pozostały na podjęcie koniecznych kroków, nastawił repulsory na redukcję siły zderzenia na wypadek, gdyby jednak na coś wpadli.

Wlecieli teraz do szerokiej ni to pieczary, ni tunelu, o średnicy przekraczającej sto metrów. Z prawej i z lewej strony napływał słaby blask. Han nastawił systemy sterownicze na normalny lot i skręcił na sterburtę. Sensory zapiszczały na znak, że maszynie grozi zderzenie z dnem pieczary.

Han zdołał wyprowadzić pojazd z lotu nurkowego... prawie, bo jednak zderzył się z kamiennym dnem jaskini. Na szczęście pod ostrym kątem, co prawdopodobnie ocaliło im życie. Impet zderzenia był jednak tak silny, że oboje Solo szarpnęli się do przodu w ochronnych uprzężach. Śmigacz sunął dalej naprzód, odbijając się od dość gładkiego dna jaskini niczym płaski kamyk od powierzchni stawu.

W końcu wyłączyły się repulsory. Znow na coś wpadli, aż Han poczuł ból w kręgosłupie. Maszyna odbijała się od dna dzięki niewielkiemu ciężeniu Kessel, aż wreszcie przestała podskakiwać, chociaż ślizgała się po dnie jeszcze ze czterdzieści metrów.

W końcu znieruchomiała, ale grzmiący odgłos spadających głazów nie ucichł. Daleko za nimi od sklepienia oderwała się lawina odłamków skał, głazów i pyłu, tworząc stertę pod otworem w sklepieniu, przez który wlecieli.

Han pospiesznie przebiegł w myślach swoją listę awaryjną. Leia była cała i zdrowa, właśnie odpinała klamry ochronnej upręży i rozglądała się za swoim mieczem świetlnym. On sam czuł tylko lekki ból w karku i w rękach, ale nie było się czym przejmować. Pulpit kontrolny: ciemny. Czujniki: nie działają. Zapachy: niczego złego nie wyczuwał, chociaż wątpił, żeby urządzenia uzdatniające działały prawidłowo.

Han wypuścił powietrze z płuc pierwszy raz, odkąd dno zaczęło opadać. Rozpiął klamry ochronnej upręży.

- Musisz być gotowa do ucieczki, na wypadek gdyby miał się oderwać następny fragment sklepienia - powiedział.

Leia obrzuciła go spojrzeniem, które trudno było zinterpretować. Kryła się w nim wdzięczność za jego troskę, ale także pretensja, że tłumaczy jej coś tak oczywistego.

Kiedy przetaczała się nad nimi chmura pyłu, powietrze wokół pociemniało. Na szczęście ucichł wreszcie huk spadającego gruzu. Słyszeć już było tylko szurgot staczających się z kopca pojedynczych odłamków skalnych i stękanie osiadającej sterty.

Han i Leia ostrożnie wygramolili się ze śmigacza. Kiedy otwierali owiewkę kabiny, nie usłyszeli syku uszczelki, co oznaczało, że kadłub maszyny był powyginany, a sama kabina uległa rozszczelnieniu.

Wśród sprzętu na tylnym siedzeniu Leia znalazła silną lampę jarzeniową. Włączyła ją i skierowała snop światła na sklepienie jaskini. Światło okazało się słabe, ale i tak można było zobaczyć, że otwór w sklepieniu, przez który wlecieli, po prostu zniknął, zablokowany przez skalne bryły. Niektóre z nich musiały ważyć dziesiątki, a nawet setki ton.

- Coś wspaniałego - mruknął Solo. Podeszedł do dziobu śmigacza i otworzył klapę przedziału silnika.

- Hej, powinniśmy się cieszyć, że w ogóle możemy odejść od pojazdu - stwierdziła księżniczka.

Han skwitował jej uwagę pogardliwym parsknięciem.

- To głupie gadanie pasażerów, którym udało się przeżyć -zauważył. - Piloci mówią, że każde lądowanie, po którym nie można poderwać maszyny do dalszego lotu, to porażka.

- Poradziłeś sobie doskonale.

- Wiem. Zawiodła ta archaiczna bryła złomu - odparł Han. Pokręcił głową, kwitując stan swojego pojazdu, z trzaskiem zamknął klapę przedziału silnikowego i z rozmachem kopnął w bok śmigacza.

- Ma za swoje - stwierdziła księżniczka.

- Ta-a. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko spacerowi, młoda damo.

- Hanie, zauważyłeś tamte dalekie światła? - zapytała Leia.

- Prawdopodobnie są to gigantyczne mięsożerne żuki tunelowe - odparł Solo.

Leia zachichotała i zaczęła wyciągać sprzęt z tylnego siedzenia.

- Chodźmy na ten spacer - zaproponowała.

Pół godziny później zobaczyli nowy, zupełnie inny świat.

Kierowali się na źródło blasku, który dostrzegli za stertą kamieni i odłamków skał. Leia doszła do wniosku, że to światło znajduje się najbliżej. Spacer był stosunkowo łatwy. Zabrali niemal cały sprzęt ze śmigacza, a Han wziął jeszcze granaty z wieżyczki działka. Przy niewielkim ciężeniu na Kessel dźwiganie sześćdziesięciu kilku kilogramów nie sprawiało im większej trudności.

Doszli do miejsca, w którym przestronny tunel wpadał do wielkiej groty. Żeby się tam dostać, musieli się wspiąć po kamiennych gładkach, nierzadko trzymetrowej wysokości. Wreszcie mogli spojrzeć na pieczarę przed sobą.

Była wielkości sporego miasta, zastawiona różną aparaturą mieszczącą się w potężnych blokach, dużych jak dwupiętrowe domy. Tu i ówdzie zdarzał się blok wielkości dziewięciopiętrowego apartamentowca. Wszystkie były upstrzone różnobarwnymi światełkami. Niektóre z nich płonęły równym blaskiem, ale większość zapalała się i gasła w rozmaitych odstępach czasu. Metalowe płyty czołowe tych urządzeń podzielono na kolorowe prostokąty. Z tej odległości Han nie potrafił rozstrzygnąć, czy to tylko motyw dekoracyjny, czy też klapy paneli dostępu.

Światło padało także z dołu i z góry. Na sklepieniu zauważyli zielonkawe plamy, może organiczne. Plamy wydzielały słabą niebieskozielonkawą poświatę. Wolne miejsca podłoga porastały niezbyt gęsto zielonkawe grzyby o okrągłych kapeluszach. Niektóre były wyższe od Hana. Światło ze wszystkich tych źródeł stworzyło tę łagodną, niezbyt silną poświatę, którą Han i Leia wypatrzyli z daleka.

Teren zastawiony aparaturą i porośnięty grzybami ciągnął się przed nimi jak okiem sięgnąć... co najmniej kilka kilometrów.

Leia wyciągnęła rękę i łagodnie zamknęła Hanowi usta, szeroko otwarte ze zdumienia.

- Założę się, że Lando nie wie, co tu ma - powiedziała.

Solo pokręcił głową.

- Gdyby to wszystko jutro przestało działać, mógłby oddać to na złom i zostać milionerem - zauważył. - Tylko na co tu to wszystko?

- Postarajmy się tego dowiedzieć - zaproponowała księżniczka. Zrzuciła plecak na ramiona i weszła do jaskini.

Podzielili się obowiązkami w sposób naturalny i bez dyskusji. Leia badała aparaturę, a Han wypatrywał drapieżnych form życia.

Po kilkuminutowym spacerze dotarli do pierwszego szeregu urządzeń pod ścianą groty. Zwrócili uwagę na moduł w kształcie szafy, ale wielkości magazynu. Jego czarne panele lśniły, jakby w płyty czołowe wtopiono tysiące małych światełek.

Leia ujęła się pod boki i przyjrzała urządzeniu.

- Od czego mam zacząć? - zapytała.

- Coś musi je zasilać - zastanowił się Han. - Jeżeli nie ma wewnętrznego reaktora, pewnie dochodzi gdzieś do niego wiązka kabli. Nie sądzę, żeby to urządzenie działało w izolacji od pozostałych. Zapewne otrzymuje i wysyła darte albo poprzez kable, albo bezprzewodowo.

Niespodziewanie z urządzenia wyłonił się straszak. Unosił się nieruchomo kilka metrów od Hana i Leii, brzęcząc cicho niczym cała kolonia ciekawskich owadów.

- A może w ogóle jesteśmy w błędzie? - stwierdził Solo.

Miasto Dor'shan, Dorin

Po wyjściu z sanitarnego natrysku „Cienia Jade” Ben włożył czysty płaszcz i dołączył do ojca w głównej kabine. Obiad składał się zjedzenia z hermetycznie zaspawanej torebki, podgrzanego na mikroskopijnej kuchence impulsowej jachtu, ale Ben nie miał nic przeciwko temu. Kawał nerfiny, papka z tuberów i kiepsko przyprawione warzywa w oddzielnych przedziałach tacy przypominały mu domowe jedzenie - marne domowe jedzenie.

- Czego się dzisiaj nauczyłeś? - zagadnął go ojciec.

- Poznałem różnicę między sposobem poruszania się chudych, skórzastych kończyn a ludzkich rąk i nóg - odparł chłopak. - Mniej więcej o to chodziło. Aha, czy wiesz, w jaki sposób ich mędrcy decydują, że nadszedł ich koniec i zmuszają się do tego, żeby umrzeć?

Luke pokręcił głową.

- Właśnie zdecydował się na to jeden z Mistrzów Baran Do -ciągnął syn. - To Charsae Saal, starszy instruktor sztuki walki. Ćwiczył dzisiaj ze mną i z Tisturą Paan.

- A co, rozmawiałeś z nim o tym? - zainteresował się Mistrz Skywalker.

Ben przytaknął.

- Ale nie bój się, nie zapytałem go prosto z mostu: „Dlaczego zdecydowałeś się umrzeć?”. Po prostu Tistura Paan miała kilka pytań na temat jego planów na jutrzejszą ceremonię. Była bardzo smutna, bo uważa się za jego ulubioną uczennicę. Saal dał jej kartę danych z zarejestrowanymi pamiątkami i podręcznik ze wskazówkami. Właśnie skończył je pisać.

- A ty o czym z nim rozmawiałeś? - zagadnął Luke.

- Powiedziałem tylko, że z ludzkiej perspektywy to smutne, kiedy umiera ktoś mądry i zabiera do grobu całą swoją wiedzę. Saal odparł, że on swoją wiedzę zostawia. Zapytałem, czy ma rodzinę, a on powiedział, że niebawem znów ją zobaczy. Domyśliłem się, że wszyscy jego bliscy już nie żyją.

- Twierdzisz, że on zamierza umrzeć... jutro? - zapytał Luke.

Ben skinął głową.

Luke zmarszczył brwi.

- O co chodzi? - zapytał Ben.

- O nic specjalnego - odparł ojciec. Nie powiedział nic więcej.

- A ty czego się dzisiaj nauczyłeś, tato?

- Nauczyłem się utrzymywać kulę na tej samej wysokości, ale nie udało mi się jej unieruchomić.

- Miałeś ciekawy dzień - stwierdził syn.

- Usłyszałem także coś o wizycie Jacena w tym miejscu, a także o byłym Mistrzu mędrców. Tila Mong chyba nie chciała, żebym się tego dowiedział. Chyba myśl o tym nie dawała mi spokoju ostatniej nocy.

- A więc już wiesz, na czym polega technika zakłócania sygnałów skanerów, i wyciągnąłeś od Tili Mong jej tajemnice. Do czego teraz przejdziemy? - zapytał chłopak.

Luke wzruszył ramionami.

- Okaze się, kiedy już do tego dojdziemy - powiedział.

ROZDZIAŁ 17

Niespenetrowane głębiny, Kessel

Han obserwował, jak Leia odważnie zbliża się do straszaka. Stworzenie, w odróżnieniu od poprzednich, nie wycofało się, kiedy księżniczka do niego podchodziła; unosiło się tylko nieruchomo w powietrzu, jakby ją obserwowało.

Kiedy Leia znalazła się o jakiś metr od niego, straszak się nie poruszył; zaczął tylko brzęczeć głośniejsze, a światełka w jego wnętrzu zawirowały jeszcze szybciej.

- Leio, uważaj... - Rozdarty między chęcią zrozumienia, co dzieje się z jego żoną, a równie silną ochotą odkrycia, czy ktoś ich nie śledzi, Han dzielił uwagę między scenę ze straszakiem a otaczające ich urządzenia i porośnięte grzybami dno pieczary.

- Nie wyczuwam wrogich intencji - odezwała się księżniczka. - A jeżeli już o to chodzi, nie wyczuwam także żadnego życia. - Uniosła rękę, chcąc dotknąć straszaka.

Jej dłoń przeniknęła przez zewnętrzną powierzchnię. Różnobarwne światełka zawirowały wokół jej palców jak szalone, tworząc miniaturową trąbę powietrzną. Włosy Leii stanęły dęba, a do brzęczenia, które słyszał Han, dołączyło skwierczenie.

- Leio, co się dzieje? - zaniepokoił się.

- Wszystko w porządku - odparła księżniczka. - Nie dzieje mi się żadna krzywda. - W jej głosie brzmiało jednak lekkie napięcie, jakby wypowiedzenie tych słów wymagało od niej dużego wysiłku. - To tylko... tylko...

- Co takiego? - Han usłyszał w jej głosie ton skargi.

- Karta danych - dokończyła księżniczka. Cofnęła się tak szybko, że o mało nie upadła, ale dzięki temu przerwała kontakt ze straszakiem. Stworzenie uniosło się nagle pionowo w górę.

Han położył dłoń na ramieniu żony, żeby pomóc jej zachować równowagę. Oboje patrzyli, jak straszak się unosi. Po kilku chwilach zderzył się ze sklepieniem pieczary i zniknął w skale. Han westchnął z ulgą.

Leia i pokręciła głową, jakby chciała uporządkować myśli.

- To było... - ciekawe doświadczenie - podsumowała.

- Co miałaś na myśli, mówiąc o karcie danych? - zainteresował się Solo.

- Tak mi się skojarzyło - odparła Leia. - Myślę, że właśnie na tym polegała jego funkcja.

Wyczułam skoncentrowaną energię i zdolność do komunikowania się z inteligentnymi istotami. Wyczułam także ogromną bazę danych... świeżych danych. Przypuszczam, że pochodzą z tamtego urzędnika. - Wskazała na moduł wielkości domu. - Widziałam trójwymiarowy schemat... nie wiem, jak to nazwać... intensywności. Tysiący, milionów danych. To coś ma za zadanie... zamierza dokądś się udać i przekazać te dane. Wyczułam także coś innego... wrażenie daremności.

- Dużo wyczułaś w czasie tak krótkiego kontaktu - stwierdził Han.

- Głównym zadaniem straszaka jest komunikacja - podjęła Leia. - Nie ze mną ani z nikim podobnym do nas. Bardzo pomogło mi to, że usiłowałam zrobić to samo co on. Muszę odnaleźć jeszcze inne, wiele innych. Będę uczyć się od każdego. - Ze zdwojoną energią ruszyła wzdłuż rzędu wysokich szaf. Wyciągnęła w bok prawą rękę, jakby chciała wywabić z mijanych urządzeń następne straszaki.

Han pokręcił głową i poszedł za nią.

W czasie tego spaceru Solo ujrzał rzeczy fascynujące, ale również takie, których wolałby nie oglądać.

Zauważył, że w pieczarze między grzybami przemykają różne formy życia. Zaobserwował dwa gatunki stworzeń podobnych do stonóg. Okazy pierwszego gatunku - zielone - miały mniej więcej metr długości; inne, dwumetrowe, odznaczały się czerwoną i żółtą barwą. Oba gatunki miały na ogonach groźnie wyglądające kolce czy może żądła. W pewnej chwili większa stonoga zaatakowała, ukłuła kolcem i pożarła mniejszą.

Zwrócił także uwagę na małe ptaki podobne do jastrzębio-nietoperzy. Pikowały spod sklepienia na stonogi i chwytaly w dzioby coś z ich grzbietów. Dopiero kiedy Han wyciągnął makrolornetkę i skierował obiektyw na zaatakowaną stonogę, uświadomił sobie, że ptaki wydziobują młode stonogi podróżujące na grzbietach dorosłych osobników.

Grzyby także padały łupem zwierzęcych form życia. Stonogi wgryzały się w brzegi kapeluszy, ale grzyby też miały swoje systemy obronne. Kiedy jedna z zielonych stonóg pełzła po kapeluszu grzyba, ten nagle zwinał się i uwięził stworzenie. Nie otworzył się ponownie, dopóki Han na niego patrzył. Z obrzydzeniem pomyślał o procesie trawiennym, jaki musi tam zachodzić. Poprzysiągł sobie, że nawet nie dotknie kapelusza żadnego grzyba.

Dwa kilometry dalej zauważył energożernego pająka. Zatrzymał się nagle i wypuścił powietrze z płuc. Leia musiała wyczuć jego niepokój, bo odwróciła się i popatrzyła najpierw na niego, a potem w miejsce, gdzie kierował spojrzenie.

W odległości kilkudziesięciu metrów zauważyła cielsko rozmiarów powietrznego śmigacza, które wyłoniło się spośród grzybów. Było szkliste i przezroczyste, miało przynajmniej po piętnaście kończyn z każdego boku i potężne szczytce z przodu.

Potwór pokręcił głową, badając otoczenie. Powoli, żeby nie zwrócić na siebie jego uwagi, Han zdjął z ramienia miotający pociski karabin. Postawił go na skalistym dnie pieczary i położył dłonie na wyrzutni granatów. Zamierzał posłać najpierw granat wabiący, a jeżeli to nie odniesie pożądanego skutku, zacznie posyłać granaty eksplodujące. Dopiero kiedy pająk podejdzie blisko, zrobi użytek z karabinu.

Potwór zrobił kilka kroków w ich stronę i wspiał się na kapelusz szczególnie wysokiego grzyba, jakby szukał najwyżej położonego punktu obserwacyjnego.

Rozsiadł się wygodnie, a grzyb pod jego cielskiem szerniał i obumarł.

- Żywi się tym grzybem - stwierdziła Leia. - I wcale nie zachowuje się agresywnie. W przeciwieństwie do ciebie.

- To co innego. - Teraz, kiedy początkowa panika zaczęła mijać, Han zaczął dostrzegać różnice między tym stworzeniem a energożernymi pajakami, które widywał wcześniej albo o których czytał w komunikatach Niena Nunba. To zwierzę nie było niebieskie, tylko czerwone, a pod transpatalopodobną skórą nie pojawiały się krótkie błyski. Odnóża nie kończyły się pazurami jak u pajaków przyprawowych.

No i najważniejsze, ten pająk go nie zaatakował.

- To jakiś ich krewniak. Może jest roślinożerny - podsunęła Leia, która ani chwilę nie okazywała strachu.

- Albo wszystkożerny i właśnie zamierza nas dodać do swojego jadłospisu. - Han zarzucił karabin na ramię. - Tak czy owak, lepiej się stąd wynośmy - zdecydował. - Może ten drapieżnik hołduje zasadzie, że czego nie widzi, tym się nie interesuje.

- No to chodźmy - zgodziła się księżniczka.

Kiedy zawrócili, Han cały czas obserwował pajaka. Stworzenie nie zeszło nawet z grzędy, na której się pożywiało, i nie odwróciło się w ich stronę. Nie zwracało też uwagi na stonogi pełzające po kapeluszach sąsiednich grzybów. Han doszedł więc do wniosku, że pająk nie interesuje się takimi formami życia.

Przeszli kolejny kilometr, kiedy Leia zauważyła, że ze srebrzystoszarego urządzenia wielkości domu, w którym oboje Solo mieszkali na Coruscant, wyłonił się kolejny straszak. Na ciemnym tle jego płyty czołowej migotały fioletowe i czerwone światełka. Straszak wydawał melodyjne odgłosy; zupełnie jak harfa, której struny trąca kowakiańska małpojaszczurka, pomyślał Han.

Leia bez wahania podeszła do straszaka i dotknęła zewnętrznej powierzchni świetlistego bąbla. Podobnie jak poprzednio, rozległ się trzask jak po wyładowaniu elektrostatycznym, a włosy księżniczki stanęły dęba jak od porażenia prądem.

- Hej, odezwij się - zaniepokoił się jej mąż. - Muszę wiedzieć, że nie straciłaś przytomności.

- Widzę - przemówiła głuchym głosem Leia. - Zmienne. Niewyobrażalna liczba. Utrzymuję.

- Co utrzymujesz? - Han odwrócił się plecami do żony i straszaka, żeby obserwować morze grzybów i przemykające między nimi formy życia.

- Nie wiem... Dane zostaną stracone. Cykl się kończy. Cykl się zwiija.

Zabrzmiało to złowieszczo, ale Han akurat zauważył coś w oddali. Gdyby podążali nadal wzdłuż ściany ciągnącej się z północy na południe - chociaż ten kierunek był czysto umowny, bo sensory śmigacza dawno odmówiły posłuszeństwa - potem skęcili i pokonali jeszcze z kilometr... Tam, na środku pola grzybów, Han wypatrzył dziwny kopiec. Wyglądał jak sterta powiązanych razem stalowych beczek. Może to prowizoryczny magazyn paliwa? Może obóz wojenny?

- Centerpoint... - wykrztusiła Leia. Han odwrócił się i zauważył, że żona się chwieje, a wydający melodyjne odgłosy straszak znika w kamiennym dnie pieczary pod jej stopami.

Chwycił ją i podtrzymał, żeby odzyskała równowagę.

- Dlaczego powiedziałaś „Centerpoint”? - zapytał.

- Bo zobaczyłam stację Centerpoint - wyjaśniła Leia. - Tak wyraźnie, jakbym oglądała hologram. - Rozejrzał się niespokojnie, jakby usiłowała przypomnieć sobie wszystko, czego właśnie doświadczyła. - Hanie, ta wizja, którą miałam przedtem... te miliony przypadkowych częstotliwości...

- Ta-a? - podchwycił Solo.

- To były grawitacyjne studnie. Jestem tego pewna - odparła księżniczka. - Galaktyka pełna grawitacyjnych studni.

- Hm - mruknął Han. - Czy to mogło być gigantyczne obserwatorium astronomiczne?

- Możliwe. - Leia odzyskała już całkiem równowagę, ale nie uwolniła się z jego objęć. - Tylko jaki to miało cel?

- Stacja Centerpoint wpływała na ciążenie. Jej superpromień ściągający działał za pomocą grawitacji. - Han powiódł spojrzeniem po ciągnących się jak okiem sięgnąć rzędach urządzeń. - Czy to możliwe, żeby te rzeczy zainstalowały tak zwane Istoty Nieziemskie? Ten sprzęt nie wygląda aż tak staro.

- Centerpoint też nie wyglądała na starą - przypomniała Leia.

Han wskazał odległy stos beczek.

- Popatrz, tamta sterta wygląda zupełnie inaczej niż cała reszta - zauważył. - To coś innego. Powinniśmy to obejrzeć z bliska.

- Przedtem coś zjedzmy - zaproponowała Leia. - Komunikacja z energetycznymi bąblami to ciężka

praca.

Pół godziny później, po posiłku złożonym z racji żywnościowych, dotarli do sterty.

Przedzieranie się przez las grzybów nie było bezpieczne. Większość form życia uciekała, kiedy się do nich zbliżali, ale czerwono-żółte stonogi były agresywne i szybkie. Na szczęście robiły także sporo hałasu, przemykając między grzybami z energią dwulatka lecącego skuterem raketowym. Han zastrzelił dwie stonogi, zanim zbliżyły się za blisko, a Leia przecięła inną na pół klingą świetlnego miecza, kiedy stanęła przed nimi wyprostowana nad kapeluszem grzyba.

W końcu stanęli u stóp stosu, który z oddali wypatrzył Solo.

Stos spoczywał na okrągłej płycie z materiału podobnego do durastali, mającej ze sześć metrów średnicy i najwyżej metr grubości. Ze środka płyty wznosił się maszt z przytwierdzonym na wierzchołku urządzeniem podobnym do szerokopasmowej anteny parabolicznej. Antena miała kształt talerza i była tak zamontowana, że mogła się obracać. Do tylnej powierzchni anteny przytwierdzono metalowymi linami pojemniki o beczkowatym kształcie. W każdym z nich mógłby się zmieścić dorosły banth. Cała konstrukcja wznosiła się na jakieś piętnaście metrów.

Leia spojrzała na Hana, ale mąż tylko wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, co to takiego - powiedział. - Hej, zaczekaj !

Leia zgasiła klingę świetlnego miecza i skierowała broń w stronę aparatury, nachylając się w tamtą stronę, jakby zamierzała skoczyć.

Han odniósł wrażenie, że jego broń i plecak zostały nagle schwyte przez promień ściągający, który przyciąga go do urządzenia.

To przyciąganie ustało tak nagle, że Han i Leia odskoczyli w przeciwną stronę.

Leia się wyprostowała.

- To był impuls magnetyczny - zdecydowała. - Dlaczego nie mielibyśmy...

- Odsunąć się jeszcze dalej, co? - domyślił się Han. - Dobry pomysł.

Cofnęli się jeszcze kilka kroków, aż osiągnęli odległość, którą uznali za bezpieczniejszą: trzydzieści metrów.

Han się nie zdziwił, kiedy z podstawy urządzenia wyłonił się jeszcze jeden straszak. Spojrzał na żonę.

- Wzywa cię, kochanie - powiedział.

Leia posłała mu rozbawione spojrzenie i podeszła do stworzenia.

- Zapytaj go, do czego to wszystko służy i czy znajdziemy gdzieś w pobliżu dobre bary albo kluby - powiedział.

- Słyszę, że wraca ci dobry humor... oj! - Pisnęła, kiedy jej dłoń dotknęła powierzchni straszaka. Jej naelektryzowane włosy znów uniosły się do góry.

- Wciągnąć - powiedziała. - Odepchnąć. Zdezaktywować. Następne. Następne. Następne. Przyspieszenie. Interakcja. - Mówienie sprawiało jej wyraźny ból, ale nie przerwała kontaktu.

- Leio... - zaczął Han.

- Nie teraz, Hanie - ucięła księżniczka. - Widzę sekwencje. Wszędzie. To jest... ogromne. Zaraz to ocenię, ale... skończyło się.

Cofnęła się, zachwiała i runęła plecami na porośnięte grzybami dno pieczary. Oczy miała otwarte i szkliste.

- Leio! - Han uklęknął obok niej. Nie wiedział, czy najpierw powinien się upewnić, że nic się jej nie stało, czy uważać na stonogi. Stwierdził wreszcie, że stonogi usłyszy w porę, więc pochylił się nad żoną.

Księżniczka ciężko dyszała, a wskaźnik na jej masce do oddychania dowodził, że zużywa dużo tlenu. Na szczęście odzyskiwała ostrość spojrzenia. Po chwili usiadła równie nagle, jak przedtem upadła.

- Musimy się stąd wynosić - oznajmiła.

- Dokąd? - zapytał Solo.

- Na powierzchnię.

- Dawno to mówiłem. - Zakielkowało w nim niejasne podejrzenie. - Zaraz, zaraz... a dlaczego?

- Bo ta pieczara wyleci w powietrze, a po niej następne... i to będzie oznaczało koniec Kessel - odparła Leia.

- Ta antena to elektromagnes. Superelektromagnes - wyjaśniła Leia, gdy biegli do wyjścia. - Kiedy zaczniesz się obracać, będzie wyrywać wszystkie urządzenia ze ścian i przyciągać je do siebie.

- Niemożliwe - sprzeciwił się Han. - Nawet te oddalone o wiele kilometrów?

- Pamiętaj, że to miejsce stworzyły prawdopodobnie te same istoty, które skonstruowały stację Centerpoint - przypomniała księżniczka. - A wiesz, jaka była potężna? - Generator grawitacyjnego promienia ściągającego stację Centerpoint mógł, przynajmniej w teorii, przyciągać nawet planety i słońca. Mógł niszczyć całe systemy słoneczne. Han uznał, że raczej mu nie brakuje obecności stacji

we wszechświecie.

- Wiem, wiem - rzucił. - To była superniszczycielka.

- To tylko początek. - Biegli między grzybami, prawie się nie przejmując zagrożeniem ze strony stonóg. Leia z zapaloną klingą świetlnego miecza przecinała na pół atakujące ją czerwono-żółte paskudztwa. Przebiegli obok grzyba, na którego kapeluszu usadowił się czerwonawy energożerny pająk. Han poczuł przyływ adrenaliny i raptownie przyspieszył, ale pająk nie zamierzał ich gonić.

- W tych baryłkach są materiały wybuchowe - tłumaczyła Leia. - Nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie działają; czy mają ładunki protonowe, nuklearne, czy jeszcze coś innego, czego nawet nie znamy, ale kiedy wszystkie zetkną się z anteną, dojdzie do eksplozji i pożaru... I wtedy pieczara się zawali.

- A więc wydostanie się stąd jest naprawdę dobrym pomysłem - mruknął Solo. Dotarli do ściany obstawionej urządzeniami, obok których przeszli, zapuszczając się w głąb pieczary. Puścili się biegiem w kierunku wyjścia, od którego dzieliło ich nadal kilka kilometrów. - Ile czasu zostało do tej eksplozji? - Kilka minut? - chciał wiedzieć Han.

Leia jeszcze bardziej przyspieszyła. Z doświadczenia Han wiedział, że kiedy Jedi biegną, żeby ocalić życie, normalni ludzie powinni za wszelką cenę dotrzymać im kroku.

Tymczasem antena, którą dało się już dojrzeć tylko przez makrolornetkę, zaczęła wirować. Na szczęście oboje Solo zdążyli dotrzeć do wyjścia z pieczary. Han zauważył, że fragment jednego z urządzeń, rozmiarów niewielkiej stacji paliwowej, wyskoczył ze ściany i, ciągnąc za sobą kable i chmurę szczątków, przetoczył przez las grzybów, poderwał się w powietrze i zdeformowany, przylgnął do anteny.

Antena nawet nie zmieniła tempa wirowania, chociaż wielka bryła metalu prawie ją zasłaniała. Nadal się kręciła, a resztki urządzenia obracały się na jej szczycie. Kiedy antena zwróciła się w stronę wyjścia z pieczary, Han szarpnął się ciągnięty przez plecak i metalowy sprzęt. Siła przyciągania nie dała mu rady, ale i tak musiał się zaprzeć ze wszystkich sił, żeby nie upaść.

Przyciąganie ustało, bo antena zwróciła się w inną stronę.

- Masz jakieś pomysły, młoda damo? - zapytał Han.

- Owszem. - Leia zdjęła plecak i wyciągnęła z niego niewielką holokamerę, którą dał im Lando. - Masz gdzieś rolkę samoprzylepnej taśmy? - zapytała.

- Chyba żartujesz - zachnął się Solo.

- Zamierzam nastawić kamerę, żeby rejestrowała i przekazywała zarejestrowane obrazy - oznajmiła księżniczka. - Jeżeli na powierzchni zobaczą, co się tu dzieje, może damy radę przekonać Landa, co mu zagraża.

Han postawił plecak na dnie pieczary i zaczął w nim grzebać.

- A co właściwie się dzieje? - zapytał.

- Coś powoduje, że cały ten kompleks... a pamiętaj, że się ciągnie pod całą powierzchnią... przestaje działać jak sieć sensorów. Systematycznie, jedna po drugiej, te pieczary zaczną ulegać autodestrukcji. Te eksplozje to dopiero początek, coś w rodzaju próby generalnej. Ktoś się chce upewnić, że prastary program jest wciąż dostępny.

- A ty dowiedziałaś się tego wszystkiego, nurkując w bąblu świecącej mgły? - zadrwił Solo.

Księżniczka spiorunowała go spojrzeniem.

- Po prostu tym razem zadawałam bezpośrednie, konkretne pytania - powiedziała. - A poza tym nabrałam już wprawy w komunikowaniu się ze straszakami. Tak czy owak, w ramach tych testów zawali się jeszcze kilka kolejnych pieczar, ale w końcu wysadzą w powietrze wszystkie pozostałe, co w rezultacie rozłupie tę planetę na kawałki.

- Żartujesz, prawda? - domyślił się Solo.

- Niestety, nie. Planecie Kessel pozostał niecały tydzień -rozczarowała go księżniczka.

Leia przytwierdziła holokamerę do skalnej ściany, skierowała obiektyw mniej więcej w stronę środka jaskini i nastawiła go na maksymalne zbliżenie, po czym przełączyła urządzenie na nadawanie.

Han potwierdził, że odbiera sygnał na ekranie swojej holokamery. Znowu ruszyli biegiem. Dzięki niewielkiej sile ciężenia planety mogli posuwać się wielkimi susami i szybko oddalać się od miejsca przyszłej eksplozji.

- Masz pomysł, jak się stąd wydostać? - zapytał Han, z trudem łapiąc oddech.

Leia skinęła głową.

- Sensory wiodą na samą powierzchnię - wyjaśniła. - Szyby na górze mogą być zablokowane, ale wiem, czego wypatrywać tu, na dole. Jeżeli przeżyjemy.

Minęli stertę z odłamków skał, a zaraz potem wrak śmigacza.

Han nagle poczuł na plecach ciepło. Zauważył, że na ściany tunelu pada światło, przedzielone cieniem skalnego kopca. Chwycił Leię za rękę i pociągnął ją do tyłu. Upadli na kamienne dno tuż przed dziobem śmigacza.

Rozległ się grzmot, jakiego nigdy dotąd nie słyszeli. Zawodzący wicher podrywał w powietrze

kamienie i odłamki skał, kołyszając rozbitym pojazdem.

Allana obudziła się przerażona. To wszystko przez sen, którego nie potrafiła sobie przypomnieć. Otuliła się szczelniej kocem i wyjrzała przez okno. Zobaczyła niebo nad planetą Kessel, usiane miliardami świecących gwiazd, sierp księżyca i puste miejsce, w którym znajdowała się Otchłań.

R2-D2, czuwający u stóp jej łóżka, pytająco zaświergotał.

Dziewczynka nie miała pojęcia, co robot powiedział, ale wyczuła jego intencję.

- Nie wiem - powiedziała. - Ale to nie jest nic dobrego.

Kilka minut później, kiedy położyła się i usiłowała zasnąć, poczuła pierwszy wstrząs gruntu.

Z początku był to tylko pomruk i leciutkie drżenie. Czuwający w sąsiednim pokoju C-3PO jęknął:

- O rety!

Potem Allana usłyszała serię trzasków dochodzących z różnych miejsc budynku i domyśliła się, że to przedmioty spadają z półek na podłogę, a meble się przewracają. Ściany się zatrzęsły, a z płytek sklepienia posypał się kurz. Dziewczynka naciągnęła prześcieradło razem z kocem na głowę i zasłoniła dłońmi uszy. Chciała, żeby to się już skończyło. Marzyła, by znaleźć się we własnej małej koi na pokładzie „Sokoła”. Byłaby tam bezpieczna, nawet gdyby nie było z nią Hana i Leii. Lubiła Landa i Tendrę, ale byli dla niej prawie obcy. Wolałaby przebywać z rodziną.

Zanim pomruk ucichł, drzwi jej sypialni z trzaskiem się otworzyły i do środka przedostało się światło, tak mocne, że przeniknęło nawet przez koc. Dziewczynka odrzuciła przykrycie i zobaczyła rozspanego i rozczochranego Landa. Miał na sobie tylko spodnie od piżamy, ozdobione symbolami firmy Tendrando Arms.

- Nic ci się nie stało? - zapytał ochrypłym głosem.

Dziewczynka pokręciła głową.

- Czy będę mogła sypiać na pokładzie „Sokoła”? - zapytała.

Lando zastanowił się nad jej propozycją.

- Chyba możesz - odparł w końcu. - Prawdę mówiąc, żałuję, że ja sam nie mogę tego zrobić. - Wycofał się, zamykając drzwi za sobą.

- Dobranoc, wujku Lando - odezwała się Allana.

- Dobranoc, kochanie - odparł Calrissian.

ROZDZIAŁ 18

Miasto Dor'shan, Dorin

Rankiem drugiego dnia szkolenia Luke'a pogoda była pochmurna i bardzo wietrzna. Ben zauważył, że Kel Dorowie na ulicach byli jakby podenerwowani; chodzili żwawym krokiem, niewiele ze sobą rozmawiali i niemal nie zwracali uwagi na ludzi.

Kiedy razem z Lukiem znaleźli się o jedną przecznicę od świątyni Baran Do, Ben zrozumiał dlaczego. Z różnych miejsc w mieście zaczęło dobiegać mechaniczne, niepokojące wycie. Kel Dorowie rzucili się do najbliższych drzwi i bram. Ben domyślił się, że nie wchodzi do własnych domów; wybierali pierwsze lepsze budynki, a ich mieszkańcy otwierali drzwi i ponaglali nadbiegających. Niektórzy machali na Luke'a i Bena, zapraszając ich do środka. Z komunikatorów obu Skywalkerów rozległo się publiczne obwieszczenie w języku Kel Dorów.

Luke i Ben pognali w stronę świątyni. O dziwo, ogrodzenie zniknęło, pozostawiając kompleks pozornie niechroniony. Wbiegli do przedsionka głównego budynku, mijając Tisturę Paan, która pełniła dyżur przy drzwiach frontowych: wyglądała na zewnątrz i przywoływała przechodniów.

Teraz przekazywano komunikat w basicu, wygłaszany przez kobietę o wyraźnym koreliańskim akcencie.

- Ogłasza się, że do miasta Dor'shan zbliża się front burzowy czwartego stopnia. Wszyscy mieszkańcy i turyści powinni niezwłocznie poszukać schronienia. Burza zbliża się od południa i dotrze do obrzeży Dor'shanu w ciągu siedmiu standardowych minut. Wszelki ruch w porcie kosmicznym na czas trwania burzy zostaje wstrzymany. Spodziewany jest wiatr dochodzący do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, tornada występujące w skupiskach budynków oraz gwałtowne wyładowania atmosferyczne.

Nie było nic o deszczu, ale widoczne za drzwiami niebo poczerniało, a ściana ulewy spadła nagle niczym kurtyna wody. W jednej chwili było sucho, a w następnej deszcz bombardował ścieżkę i pobliską ulicę z taką siłą, że krople zdawały się eksplodować. Ben zauważył śmigacz, który leciał ruchem wirowym, jakby rzucony przez rancora.

Chłopiec aż gwizdnął.

- Lepiej nie zadzierać z waszymi burzami, co? - zagadnął Tisturę Paan.

- Dawniej tylko mędrcy ostrzegali przed burzami - powiedziała. - Teraz są stacje meteorologiczne i satelity, ale burza potrafi nadciągnąć w ciągu kilku chwil. Czasami mędrzec wie wcześniej niż najnowocześniejsza aparatura.

- Opuściliście ogrodzenie, żeby go nie zdmuchnęło?

- Tak. Na ogół ma powstrzymywać przechodniów od szwendania się po terenie, ale w takich chwilach chcemy, żeby mogli jak najszybciej dotrzeć pod dach. Takie ogrodzenie jest jak wielki żagiel. Jeden porządny podmuch i cały segment może pofrunąć, choćby nie wiem jak mocno był przyspawany. A nikt nie chciałby się znaleźć tam, gdzie wylądaje.

Tistura Paan cały czas wypatrywała potrzebujących schronienia. Jednak słabo teraz oświetlona ulica była pusta.

Boczne przejście, którym zostali wprowadzeni pierwszego dnia, otwarło się również teraz przed Skywalkerami. Luke udał się na swoją lekcję. Ben trafił do holu pełnego Mędrców, Było tu też kilku uwięzionych przechodniów. Na dużym ściennym monitorze wyświetlano na przemian satelitarne zdjęcia frontu burzowego i holonagrania szkód, jakie wyrządził wokół stolicy.

Ten widowiskowy spektakl ciągnął się godzinami. Pioruny uderzały na ogół w piorunochrony i osłonięte anteny, nie powodując żadnej szkody, jednak czasami trafiały w wysokie liściaste rośliny, które Kel Dorowie uważali za drzewa; takie uderzenie rozgrzewało soki rośliny powyżej temperatury wrzenia, co z kolei powodowało spektakularny wybuch, rozbryzgujący na wszystkie strony płonąca celulozę. Kominy burzowe stykały się w paru miejscach z powierzchnią planety i tańczyły po ulicach i dachach, na ogół nie burząc budynków; tylko pewien wyjątkowo silny komin przetoczył się przez duży teatr, krusząc go na odrębne kawały permabetonu, niszcząc ozdobne tkaniny i wyściełane fotele, zasypując gruzem okoliczne ulice. Jeden z Kel Dorów, który nie należał do mędrców, powiedział coś w swoim języku, po czym przetłumaczył to z myślą o Benie:

- Mam nadzieję, że zdążyli zejść do piwnic.

Ben pokiwał głową.

- Ja też.

Po południu front burzowy się oddalił. Odnotowano kilka przypadków obrażeń, jednak żadnych ofiar śmiertelnych. Goście świątyni Baran Do podziękowali swoim gospodarzom i powrócili do swoich spraw.

Luke zastał Bena szwendającego się po holu.

- Załatwione - oznajmił.

- Opanowałeś już tę technikę?

- Nawet zacząłem uczyć się innych technik „piorunochronu”. A propos, jesteśmy zaproszeni na uroczystość pożegnania Charsae Saala. Masz ochotę się tam wybrać?

- Chyba tak. - Ben zmarszczył brwi. - Trochę o tym rozmawiano podczas tej relacji z burzy. Wydawało mi się to dość dziwne.

- To znaczy?

- Jego uczniowie, jak Tistura Paan, okazywali smutek. Mistrzowie Baran Do także, ale inaczej.

- Oczywiście. Mistrzowie mają zwykle bardziej filozoficzne podejście i lepiej rozumieją takie sprawy...

- Tato, oni byli po prostu bardziej zmartwieni.

To przykuło uwagę Luke'a.

- Co takiego?

- Odniosłem wrażenie, że Mistrzowie czują głębszy żal.

- Ciekawe. - Luke zmarszczył brwi, rozmyślając o tym. - Teraz jestem pewien, że powinniśmy się tam wybrać.

Uroczystość odbywała się o zmierzchu. Za główną świątynią, na rozległym utwardzonym terenie, wznosiło się palenisko otoczone metalową obręczą w kolorze brązu. Nad paleniskiem zbudowano stos. Nie użyto drewna, jako że drewno nie paliło się w pozbawionej tlenu atmosferze Dorina; zamiast niego wykorzystano brykiety z samowystarczalnego paliwa stałego, wzbogaconego tlenem.

Przez pierwszą godzinę, kiedy podczas zachodu słońca zbierali się Baran Do i przyjaciele, Charsae Saal krążył, witając gości. Jak na Kel Dora był niski i przysadzisty, co oznaczało, że w oczach Bena wyglądał na nieco mniej wychudzonego od innych. Prawdopodobnie był dość stary, jednak poruszał się żwawo i bez wysiłku; ćwicząc poprzedniego dnia z Benem, zademonstrował bez wątpienia nieprzeciętne umiejętności bojowe. Miał na sobie prostą, czarną drapowaną szatę z wiszącym na plecach kapturem.

Podano przekąski i napoje. Luke i Ben, którzy jako jedyni spośród obecnych nie byli Kel Dorami, nie skorzystali.

W końcu Charsae Saal stanął na podwyższeniu, również wykonanym z łatwopalnego materiału, i zwrócił się do zebranych. Mówił w języku Kel Dorów, ale Tistura Paan, stojąca blisko Skywalkerów, tłumaczyła jego słowa na basie.

- Dziękuję wszystkim za przybycie. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż myśl, że można umrzeć w samotności; nie ma bardziej krzepiącej myśli niż świadomość, że można odejść łagodnie, wśród przyjaciół. Zamierzam wykonać teraz ten krok. Odsunę się, aby inni mogli zająć moje miejsce. Modłę się, abyście dobrze mnie wspominali. Ja wszystkich was zachowam w czułej pamięci.

Mówiąc to, naciągnął kaptur, tak że zasłonił mu oczy. Położył się na podwyższeniu, na którym stał. Splótł dłonie na piersi.

Obecni obserwowali to w milczeniu. Oddech Charsae Saala był coraz wolniejszy. Ben czuł w Mocy jego silną, żywotną obecność.

Nagle ta obecność zaczęła zanikać, zmniejszać się. Po chwili znikła całkowicie, chociaż ciało wciąż leżało na podwyższeniu.

Czterech Kel Dorów podeszło bliżej. Nieśli coś, co wyglądało jak trumna wykonana z tego samego łatwopalnego materiału. W pierścieniu po bokach trumny wsunęli dwa drągi; każdy z Kel Dorów trzymał po jednym końcu. Unieśli trumnę nad ciało Charsae Saala i ostrożnie ją opuścili. Po chwili podnieśli ją razem z wierzchnią warstwą podwyższenia. Teraz przenieśli trumnę i umieścili ją na szczycie stosu, wysunęli drągi i cofnęli się.

Mistrzyni Tila Mong podeszła do stosu. Wyciągnęła rękę i z czubków jej palców wyleciała błyskawica, która uderzyła w podstawę stosu. Łatwopalny materiał natychmiast zajął się dziwnym sinym ogniem, który szybko się rozprzestrzenił.

Ogień stawał się coraz bardziej intensywny, aż obecni musieli się cofnąć, żeby nie spłonąć. Fioletowe płomienie strzelały w niebo, wzbijając się niemal na wysokość dachu świątyni. Uczestnicy ceremonii niewiele mówili; przyglądali się z powagą, jak ogień trawi ciało ich przyjaciela.

A potem stos się zawalił. Resztki trumny runęły w środek płonącej masy. Ogień wciąż był silny, ale już przygasał. Jeden po drugim Kel Dorowie odwracali się i odchodzili.

Zanim ostatni z Baran Do się oddalił, Luke podziękował Tili Mong i pociągnął Bena drogą wokół budynku, w kierunku głównej bramy.

- Trochę to smutne - doszedł do wniosku Ben. - Był całkiem miły. Dobry wojownik, chociaż nie miał wielkiego doświadczenia z bronią. Głównie z kijem.

- Nie znoszę, kiedy ktoś mnie okłamuje - odezwał się łagodnie Luke.

- Nie okłamałem cię, tato.

- Co? - Luke wyglądał na zaskoczonego. - Nie, nie ty. Oni.

- Co masz na myśli?

Minęli bramę, zamiast jednak skręcić na południe, w stronę kosmoportu, Luke skierował się na północ, ku dzielnicy handlowej.

- Z tym Charsae Saalem to oszustwo. On nie umarł i nie skremowali go.

- Żartujesz? Czuję, jak umiera.

- Czuję, że znika w Mocy... ja również. Takie stopniowe zanikanie dla wrażliwych na Moc obserwatorów nie różniło się zbytnio od śmierci. Ben, spotkałeś kiedyś kogoś, kto potrafił ukrywać

się w Mocy?

Ben uśmiechnął się szeroko.

- Oprócz mnie? I Jacena? I ciebie? I...

- Położyli na tym stosie pustą trumnę i spalili ją. Zwykle nie wtykam nosa w czyjeś tajemnice, ale to może mieć jakiś związek z tym, czego nauczył się tu Jacen, więc musimy się dowiedzieć wszystkiego. Poszukamy jakiejś restauracji dla oddychających tlenem, zjemy porządny posiłek bez masek, a potem tu wrócimy. I poznamy prawdę.

Dwie godziny później wrócili, jednak już nie jako oficjalni goście. Nie szli po prostu ulicą; przemieszczali się w znany tylko Jedi sposób - z jednego mrocznego miejsca w drugie, wysyłając do umysłów przechodniów sygnały odwracające ich uwagę, dzięki czemu mogli pozostać niezauważeni. Pomagały im w tym ciemne stroje, tak samo jak późna pora i złowieszczą warstwa chmur, która przesłaniała światło gwiazd i księżyca.

Wkrótce znaleźli się pod otaczającym świątynię ogrodzeniem z durastali i transpastali. Luke ocenił wysokość i wybił się w górę. Przysiadł bokiem na transpastalowej krawędzi i wyciągnął rękę w kierunku syna.

Ben skoczył, pozwalając, żeby niosła go Moc. Wylądował na szczycie obok Luke'a obiema nogami, i uśmiechnął się do ojca. Razem zeskoczyli na teren świątyni.

Stanęli przy palenisku, na którym teoretycznie spłonął Charsae Saal. Pogorzelnisko już uprzątnięto; nie było żadnych popiołów.

Luke zainteresował się podwyższeniem, na którym Kel Dor stał, wygłaszając mowę, a potem położył się, żeby umrzeć.

- Jeśli przyjmujemy, że zniknął w ten sposób, musi tu być jakiś mechanizm - doszedł do wniosku.

- Albo sensor - odparł Ben. - Może właśnie nas obserwują, planując zamach na nasze życie.

- Oglądasz za dużo holofilmów. - Luke przesunął dłoń po powierzchni podwyższenia.

- Wcale nie trzeba obejrzeć zbyt wielu, żeby poznać zasady.

Luke zatrzymał się nad jednym punktem.

- Jeśli sam uruchomił mechanizm, musiał to zrobić przy użyciu Mocy.

- Wyczulibyśmy to.

- Słusznie. A więc musiał to zrobić jego współnik. - Luke pstryknął palcami i fragment

podwyższenia przesunął się, odsłaniając otwór na tyle duży, że bez trudu zmieściłby się w nim rosły człowiek albo Kel Dor. - Wchodzimy?

- Mistrzowie przodem.

Użyli bosaka i liny Luke'a; nie nosił ich już przy pasku, ale wciąż należały do jego wyposażenia. Dziesięć metrów niżej dotknęli stopami kamiennej podłogi. Luke wycelował palcem w górę, a bosak wpadł w jego drugą rękę; kolejnym gestem zamknął prostokątny otwór nad ich głowami.

Znajdowali się w jakimś magazynie. Stały tam metalowe półki, a na nich skrzynie z napisami w języku Kel Dorów. Było tam również kilka dużych kontenerów, wyglądających trochę jak trumny - tyle że srebrzyste, nowoczesne i w kształcie rombu. Wszystko było słabo oświetlone prętami jarzeniowymi o niskim natężeniu.

Stali na czymś w rodzaju hydraulicznej platformy, która, opuszczona tak jak teraz, była niemal na poziomie podłogi; gdyby ją podnieść sięgałaby sufitu i ukrytego wejścia.

- Całkiem proste - wyszeptał Ben.

Luke schował bosak i linę. Wskazał na jedyne drzwi wychodzące z pomieszczenia.

Stanęli przy tych drzwiach, przenikając przez nie percepcją pozazmysłową. Ben wyczuwał za nimi żywe istoty, jednak niezbyt blisko.

Luke użył Mocy. Drzwi rozsunęły się gładko z tak głośnym sykiem, że Ben aż się wzdrygnął. Trudno jest zachować ciszę, kiedy trzeba polegać na obcych urządzeniach, pomyślał.

Ruszył za ojcem surowym, permabetonowym korytarzem. Pod jedną ze ścian stał duży wózek; wzdłuż całego korytarza rozmieszczono kolejne drzwi. Istoty, które Ben wyczuł w Mocy, znajdowały się za drzwiami na końcu korytarza, po lewej stronie.

Luke doszedł do takiego samego wniosku. Razem podeszli do drzwi. Były wykonane z solidnej durastali i zbyt grube, żeby można było przez nie cokolwiek usłyszeć.

Luke spojrział na Bena i wzruszył ramionami.

- Możemy po prostu wparować do środka - wyszeptał.

- To w końcu Mędracy Baran Do - zauważył Ben. - Przecież nie będą chcieli nas zabić za wałęsanie się po ich piwnicy. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Luke się uśmiechnął i uruchomił drzwi, które uniosły się do góry.

Pomieszczenie, które się za nimi znajdowało, nie było duże. Dwie lśniące metalowe szyny na wysokości mniej więcej metra prowadziły do okrągłego otworu w ścianie; na szynach spoczywał jeden z przypominających trumny kontenerów w kształcie rombu. Przy kontenerze stali Mistrzynie Tila Mong, Mistrz Charsae Saal i dwóch innych Mistrzów, których imion Ben nie znał. Cała czwórka

odwróciła się, zaskoczona wtargnięciem intruzów.

- Przepraszam za najście - powiedział Luke. - Mistrzu Charsae Saal, świetnie wyglądasz jak na kogoś, kto niedawno zmarł.

Tila Mong miała bardzo niezadowoloną minę.

- To niewybaczalny nietakt z waszej strony - syknęła.

- Niestety, wyjaśniłem ci już moją sytuację. Muszę zdobyć wszelką możliwą wiedzę na temat Jacena Solo, co zmusza mnie do pewnych... hm... niezręcznych zachowań. Takich jak zakłócenie waszych rytuałów. Rzecz w tym, że kiedy zrozumiałem, że Charsae Saal nie umarł, pomyślałem, że być może Koro Ziil również żyje. To prawda?

Tila Mong zacisnęła usta i nic nie odpowiedziała.

Zamiast niej przemówił Charsae Saal.

- Za chwilę wsiądę do tego pojazdu - wskazał na srebrny romb - który mnie stąd zabierze i nigdy więcej nie zobaczę słońca, świątyni ani swojej rodziny. Wówczas Charsae Saal naprawdę będzie martwy.

- Charsae Saal tak - odparł Luke. - Ale ty nie.

Charsae Saal się zawahał.

- Przyjmę nowe imię - wyjaśnił. - Charsae Saal umrze.

- Więc Koro Ziil także przyjął nowe imię?

- Nie możemy odpowiedzieć na to pytanie - wtrąciła Tila i Mong. - To zabronione.

- Ale ja muszę porozmawiać z Koro Ziilem czy kimkolwiek on teraz jest.

Tila Mong popatrzyła na nich z namysłem.

- To dałoby się załatwić... jeśli jesteście gotowi zrobić to samo co Charsae Saal.

To zaniepokoiło Bena.

- Sfingować swoją śmierć?

- Nie. Wsiąść do pojazdu i udać się tam, gdzie wybiera się Charsae Saal.

- Ja pojedę - zdecydował Luke. - Ben może tu zostać.

- Albo obaj, albo żaden - powiedziała Tila Mong.

Luke zmarszczył brwi, ale Ben pokiwał głową.

- Wchodzę w to.

Ojciec zerknął na niego.

- Ben...

- Tato, pamiętasz Jacen. Coruscant. Odpowiedzi.

Luke się skrzywił.

- Nie podoba mi się to, że potrafisz mnie przekonać, nie używając czasowników.

Ben tylko się uśmiechnął.

Charsae Saal wsiadł do swojego pojazdu. Zamknięto za nim wieko i Tila Mong popchnęła pojazd po szynach, aż schował się w otworze w ścianie. Wówczas kontrolę nad nim przejęła grawitacja, napęd magnetyczny lub jakaś inna siła, której Ben nie potrafił zidentyfikować. Pojazd zniknął, pędząc z terkotem w głąb planety.

Dwaj Mistrzowie Baran Do wrócili, pchając na wózkach pojazdy. Wstawili jeden z nich na szyny. Luke wsiadł do środka i rzucił Benowi ostatnie pocieszające spojrzenie. Mistrzowie przykryli go wiekiem i wypuścili po szynach do tunelu.

Kiedy ustawiali na szynach jego pojazd, Ben był ciekaw, w co się pakuje tym razem - i czy nie uzna wkrótce, że w porównaniu z tym czas spędzony na powierzchni Dorina był jak wakacje.

Kopalnie Calrissiana-Nunba, Kessel

Jedli śniadanie w sali konferencyjnej, gdzie wcześniej Lando, Tendra i Nien Nunb rozmawiali z Hanem i Leią, jednak teraz nie było tam nikogo z dorosłych. Nanna podawała do stołu, C-3PO trajkotał, Fuks traktował swoje jedzenie jak zabawkę, a Allana siedziała osowiała i prawie nie tknęła swojego.

Nagle z odrętwienia wyrwał ją triumfalny okrzyk Landa. Otworzyła szeroko oczy, gdy Calrissian wpadł do sali konferencyjnej w krzywo włożonej pelerynie uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Zakładaj maskę do oddychania - powiedział. - Lecimy „Ślicznotką”, moim jachtem, po twoich rodziców.

Dziesięć minut później Lando, Tendra, Allana i Nien Nunb, stłoczeni w kabinie „Ślicznotki”, wylądowali na solnej równinie wiele kilometrów od kopalni. Han i Leia stali tam w szczerym polu, a

spod masek do oddychania widać było, że się uśmiechają. Byli brudni, podrapani, zmęczeni i zmarznięci, ale według Allany nigdy nie wyglądali lepiej.

- Tak to już jest z twoimi staruszkami - zwrócił się do dziewczynki Lando. - Już wszystko w porządku.

ROZDZIAŁ 19

Kopalnie Calrissiana-Nunba, Kessel

Po powrocie Hana i Leii wypadki potoczyły się szybko. Raptem kilkanaście minut po wysłuchaniu ich opowieści Lando, Tendra i Nien Nunb złożyli w firmie Trang Robotics pilne zamówienie na kilkadziesiąt małych, latających, zdalnie sterowanych sensorów, takich jakich używano w czasie operacji wojskowych do rozpoznania dużego obszaru. Dwa dni później nadeszła pierwsza dostawa dziesięciu sensorów. Tendra miała dla nich gotowe oprogramowanie. Potem Han i Lando przetransportowali je „Sokołem” do tunelu, którym małżonkowie wydostali się z podziemia. Wpuścili sensory do szybu, umieścili gdzie trzeba aparaturę do transmisji danych i wrócili do kopalni.

W ciągu paru godzin sensory przekazały tyle danych, że można było zacząć łączyć je w jedną całość. W sali konferencyjnej, która służyła teraz jako baza operacyjna zespołu Calrissian-Nunb-Solo, Tendra wyświetliła schemat całej planety w postaci zielonej siatki.

- No dobra, odpalamy ścigacze. - Tendra wcisnęła guzik na konsolcie i na planie pojawiła się misterna pajęczyna żółtych linii, ciągnąca się setki kilometrów od wyrobiska kopalni. Proste linie krzyżowały się, tworząc pękate węzły.

Leia nachyliła się bliżej, wpatrując się w schemat.

- Gdzie byliśmy?

Tendra wskazała miejsce na planie - żółtą kreskę między dwiema położonymi blisko siebie żółtymi plamami.

- Tędy wydostaliście się z kompleksu. - Postukała w jeden z dwóch żółtych obszarów, usiany czarnymi kropkami. - To ta pieczara, która wybuchła.

Han aż gwizdał.

- Każda z tych żółtych łat to pieczara?

Tendra pokiwała głową.

- Każda. Wszystkie należą do tej samej ekosfery i we wszystkich występują praktycznie te same formy życia. Zresztą wiele jaskiń zostało już zniszczonych, najwyraźniej przez materiały wybuchowe i magnetyczne, takie jak te, które widzieliście pośrodku tej waszej. Czasem powodowały one całkowite zawalenie się pieczary, ale nie zawsze.

- A jeśli interpretacja Leii co do jej kontaktu ze straszakami jest prawidłowa... - Lando uniósł rękę, uprzedzając protesty księżniczki - ...a jestem pewien, że tak, to mamy bardzo niewiele czasu,

żeby znaleźć sposób na rozbrojenie reszty tych urządzeń, zanim wszystkie wybuchną i rozwalą Kessel na kawałki. - Skinął na żonę. - Pokaż im resztę.

- No, pięknie - mruknął Han. - A więc jeszcze nie koniec.

Tendra wstukała następane polecenie i na plan Kessel nałożyły się kolejne schematy. W kilku miejscach na powierzchni planety pojawiły się skomplikowane, choć drobne czerwone wzory; oprócz tego grube pomarańczowe linie, postrzępione i chaotyczne, zdawały się wic przez środek planety, biegnąc od jednego bieguna do drugiego.

- Czerwone to kopalnie - wyjaśnił Lando i postukał w tę, która była najbliżej miejsca wskazanego chwilę wcześniej przez Tendrę. - Jesteście tutaj. To pomarańczowe to ogromny uskoku. Sejsmolodzy odkryli go, kiedy badali zjawisko trzęsień gruntu. Poleciliśmy im wykonać stosowne obliczenia i wynika z nich niezbicie, że jeśli odpowiednio dużo tych jaskiń wybuchnie w tym samym czasie, spowoduje to pęknięcie uskoku i Kessel praktycznie rozpadnie się na kawałki.

Nien Nunb wygłosił jakąś uwagę w swoim języku. Lando przetłumaczył ją na basie:

- Mówi, żeby Han nawet nie wspominał o ewakuacji. Chcemy ocalić tę planetę.

Han się skrzywił.

- Nie znoszę, kiedy mam być jedynym głosem rozsądku. To groźny precedens. Ale jeszcze gorzej, kiedy nikt nim nie jest.

Leia zbyła jego protesty machnięciem ręki i zwróciła się do Landa i Tendry.

- Powiedźcie, jak mamy dotrzeć do tych materiałów wybuchowych, zbadać je, a potem rozbroić w tak krótkim czasie?

Lando miał nieszczęśliwą minę.

- W tym cały problem. I tak już z powodu straszaków tracimy sensory. Podlatują za blisko, straszaki wylazą, żeby im się przyjrzeć, następuje kontakt i sensory psują się tak samo jak wasz śmigacz. Już sześć z dziesięciu zdechło w ten sposób i tylko dwa odzyskały sprawność na tyle, żeby kontynuować swoją misję. Nie wiem, jak się uda sprowadzić tam ekipę saperów i naukowców, zapewnić im bezpieczeństwo i dostatecznie dużo czasu, żeby mogli znaleźć sposób na rozbrojenie ładunków... To wydaje się wręcz niemożliwe.

Han otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Leia zerknęła w jego stronę.

- Wyczułam to.

- Nieprawda.

- Masz jakiś pomysł.

- Ziewałem tylko.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Wiem, że według ciebie galaktyka byłaby lepsza, gdyby nie było w niej Kessel, ale nie każdy się z tym zgadza.

- No, stary. - W głosie Landa zabrzmiała błagalna nuta. - Jeśli masz jakiś pomysł, to powiedz.

Han westchnął.

- No dobra. Mój pomysł jest taki, żeby w ogóle nie próbować rozbrajać tych ładunków, tylko je zdetonować.

Lando uniósł brwi.

- Mam nie czekać, aż wysadzą mój świat, tylko zrobić to samemu?

- Nie o to chodzi - Han wskazał na żółte plamy na ekranie monitora. - Problemem nie jest sam fakt, że jaskinie mogą i wybuchnąć, ale to, że mogą to zrobić równocześnie, tak? Więc jeśli zdetonujemy je w jakiejś kolejności, może nie spowoduje pęknięcia tego wielkiego uskoku...

Twarz Landa się rozjaśniła.

- Han, właśnie zapewniłeś sobie udziały w kopalniach Calrissiana-Nunba.

- Dzięki, ale wolałbym chyba mieć udziały w firmie produkującej zgniatacze śmieci dla stacji kosmicznych.

- Mogę ci to załatwić. - Lando odwrócił się z powrotem w stronę mapy. - Weźmiemy jeden z tych wielkich rozdrabniaczy tunelowych, taki, który nie rozgniata już minerałów, i wykopujemy szyb prowadzący prosto do tunelu znajdującego się najbliżej powierzchni. To nam zapewni bezpośrednie dojście, wystarczająco szerokie dla niewielkich pojazdów. Będzie nam potrzebna ekipa saperów, która potrafiłaby bezpiecznie zdetonować te ładunki.

- Jedi mogą pomóc - zaproponowała Leia.

- Wykluczone - sprzeciwił się Han, a pozostali mu zawtórowali.

- Dlaczego nie?

- Jedi mają teraz rządowych obserwatorów, zapomniałaś? - zauważył Han. - Ten świat reprezentuje potężną i przerażającą technologię, tak jak kiedyś stacja Centerpoint. A więc rząd mógłby chcieć to zbadać. Jak tylko się o tym dowiedzą...

Leia pokiwała smutno głową.

- To prawda. Zablokują wszelkie działania do czasu, aż ustalą, co według nich należy zrobić, a wizja nowej technologii spowolni proces podejmowania decyzji. Będą to odwlekać, aż wszystko wybuchnie i Kessel zamieni się w chmurę asteroid.

- A więc żadnych Jedi - zawyrokował Lando. - Poza tobą, rzecz jasna.

Leia westchnęła.

- Zgoda.

Tendra ocknęła się z zamyślenia.

- Na początek powinniśmy chyba zastanowić się, co możemy zrobić, żeby zdetonować te ładunki w wybranym przez nas momencie.

Głęboko pod powierzchnią Dorina

Chociaż Ben spodziewał się, że podróż potrwa sekundy, a najwyżej minuty, jazda ciemną trumną zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Od czasu do czasu zerkał na swój chronometr - na szczęście jego małe ekraniki były oświetlone - więc widział, jak powoli upływa dziesięć minut, potem dwadzieścia, potem godzina...

Nie słyszał nic poza sporadycznym stukotem, kiedy zaczepy kontenera najeżdżały na gruz albo miejsca, w których łączyły się dwa fragmenty szyn. Dwa razy próbował wołać ojca, jednak Luke był najwyraźniej za daleko, by go usłyszeć. Ben jednak wyczuwał Luke'a i wiedział, że jest spokojny, więc on sam również nie miał powodów do obaw.

Tyle że się nudził.

Po dwóch godzinach i pięciu minutach jazdy kontener zwolnił. Ben odetchnął z ulgą. Kontener cały czas wytracał prędkość i w ciągu minuty całkowicie się zatrzymał. Chłopiec widział światło przebijające wzdłuż krawędzi wieka. Po chwili usłyszał głosy mówiące w języku Kel Dorów i wieko się otworzyło. Oślepił go nagły blask.

Oślepiony czy nie, przygotował się na kłopoty, posługując się innymi zmysłami, jednak nie wyczuł wrogich zamiarów u trzech istot, które się nad nim nachyliły. Pozwolił jednej z nich wziąć się za rękę i pomóc sobie wysiąść z kontenera. Obmyło go ciepłe, wilgotne powietrze - poza twarzą, która wciąż była ukryta pod maską do oddychania. Zeskoczył na skalistą nawierzchnię.

Kiedy Ben odzyskał wzrok, zobaczył, że znajduje się w kamiennym tunelu, niewątpliwie wypalonym, a nie powstałym w wyniku naturalnych procesów; ściany były ze stopionej skały, co wskazywało na zastosowanie urządzeń korzystających z wysokiej temperatury, jak na przykład wiertła laserowe. Jeden z końców tunelu zwężał się w otwór o średnicy dopasowanej dokładnie do rozmiaru kontenerów. Wyłaniały się z niego szyny, które ciągnęły się przez całą długość tego

sześćdziesięcio-metrowego tunelu i kończyły zadartą do góry pętlą.

Kontener Charsae Saala zatrzymał się przed pętlą. Pięć metrów dalej znajdowały się pancerne drzwi. Charsae Saal stał obok swojego kontenera, rozmawiając nerwowo z trzema osobami, dwiema płci męskiej i jedną żeńskiej - wszyscy byli Kel Dorami, ubranymi podobnie do niego. Zerkali co chwila w kierunku Luke'a, który stał w połowie drogi między nimi a Benem, opierając się nonszalancko o swój kontener. Obok niego stał jeszcze jeden Kel Dor.

Dwóch z witających Bena Kel Dorów podeszło do grupy Charsae Saala; trzecia osoba została z tyłu, przyglądając się uważnie Benowi.

Luke spojrzał w stronę syna.

- Przyjemna podróż?

- Minuty ciągnęły się jak godziny. - Ben się przeciągnął i popatrzył na stojącą przy nim Kel Doriankę. - Mówisz w basicu?

- Oczywiście. - Wydawała się lekko urażona.

- Jestem Ben Skywalker.

- Byłeś. Już nie jesteś.

Ben zmarszczył brwi z zakłopotaniem.

- Słucham?

- Będziesz musiał tutaj wybrać sobie nowe imię.

- Dlaczego?

- Ponieważ Ben Skywalker nie żyje.

Po naradzie ubrani na czarno Kel Dorowie, wśród których był Charsae Saal, przeprowadzili Luke'a i Bena przez pancerne drzwi. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było mniej więcej okrągłe i miało jakieś dwadzieścia metrów średnicy. W ścianach w regularnych odstępach rozmieszczono pancerne drzwi, pośrodku zaś stał filar z czarnego kamienia. Kel Dorowie nie traktowali Jedi jak więźniów; zachowywali się uprzejmie, choć niepewnie.

Jedne z drzwi otworzyły się, odsłaniając tunel, który prowadził do znacznie większego pomieszczenia - o średnicy co najmniej czterdziestu metrów i wysokości dziesięciu metrów w centralnym punkcie, z ośmioma kolumnami tworzącymi okrąg w połowie drogi między ścianami a środkiem sali. Pod przeciwległą ścianą Ben zobaczył coś, czego na próżno szukał w świątyni Baran Do - podwyższenie z dużym, imponującym fotelem przypominającym tron. Fotel wyglądał na

wyrzeźbiony z białego kamienia, a siedzisko i oparcie miał wyściełane białymi poduszkami.

Siedział na nim Kel Dor płci męskiej, wyższy od innych. Miał więcej zmarszczek wokół oczu i kącików ust niż większość spośród Kel Dorów, których Ben widział. Poza faktem, że siedział na tronie, nic nie wskazywało na jego wyższą pozycję; szaty miał równie proste i ciemne jak wszyscy inni. Luke i Ben zostali zaprowadzeni przed jego oblicze.

Patrzył na nich, lekko zdumiony. Głos miał piskliwy, ale nie słaby.

- Co tu robicie? - zapytał.

Luke skinął głową na powitanie.

- Szukamy odpowiedzi.

- Ach, tak? - Siedzący na tronie Kel Dor pokiwał głową, jakby usatysfakcjonowany. - Stosowny cel na koniec życia.

Luke zmarszczył brwi.

- Chcecie nas zabić? Za co?

- Ależ skąd. Dotarliście w miejsce po życiu. Pod światem, po świecie. Już jesteście martwi.

Ben zerknął na pozostałych Kel Dorów. Żaden z nich nie zareagował na to stwierdzenie.

Luke najwyraźniej postanowił na razie nie drażnić tego tematu.

- Czy słusznie przypuszczam, że jesteś Mistrzem Koro Ziilem?

- Byłem, za życia. Teraz jestem *hu 'aac-du 'ul-staranjan*.

Luke zrobił zdziwioną minę.

- To nie brzmi jak nazwisko, zwłaszcza keldoriańskie.

Ben odniósł takie samo wrażenie. Nazwiska Kel Dorów tworzone były z reguły według podobnego schematu jak nazwiska ludzi z Coruscant - najpierw imię, potem nazwisko klanowe. Zarówno imię, jak i nazwisko były krótkie, zwykle jedno- lub dwusylabowe; trzysylabowe i dłuższe były rzadkością. Kel Dorowie, których Ben do tej pory spotkał, zawsze zwracali się do siebie nawzajem pełnym imieniem i nazwiskiem, często podając tytuł i nazwisko klanowe.

- W naszym języku to znaczy „ten, który mieszka w ciemności”. Lub też „ukryty”. To mój tytuł, gdyż nie mam żadnego imienia. Porzuciłem nie tylko życie, ale i tożsamość. Wy także będziecie musieli wybrać sobie nowe imiona, skoro znaleźliście się wśród nas.

Luke spojrział na niego w sposób sugerujący, że nie chce być nieuprzejmy.

- Nie mamy zamiaru tu zostać.

Dawny Koro Ziil się uśmiechnął. Nie był to uśmiech okrutny, raczej pełen współczucia.

- Stąd nie można odejść. Zostaniecie z nami na zawsze. Szukajcie odpowiedzi pośród nas, ale pogódźcie się z faktem, że nigdy ich stąd nie wyniesiecie.

Świątynia Jedi, Coruscant

Przeklinając pod nosem, Jaina włożyła szlafrok i skierowała się do drzwi swojej kwatery. W ciemności potknęła się o pojemnik na śmieci i ucieszyła się, że jej obserwator tego nie widział; nie byłoby dobrze, gdyby się rozniosło, że Jedi może być niezdara tak samo jak każdy.

W przedpokoju, przy drzwiach wychodzących na korytarz, wcisnęła guzik zapalający światło, a następnie drugi, który otwierał drzwi. Drzwi uniosły się, odsłaniając Jedi Tekli w chwili, gdy po raz trzeci naciskała przycisk dzwonka.

Nie czekając na zaproszenie, Jedi rasy Chadra-Fan - pokryta futrem, o dużych uszach i wystających górnych siekaczach, które nadawały jej wygląd uroczonego zwierzaka, przysparzając nieustających kłopotów ze strony dzieci - wparowała do środka.

- Ciemnospójnia, ciemnospójnia - powiedziała.

To słowo sprawiło, że Jainę przeszył lodowaty dreszcz. „Ciemnospójnia” była słowem wymyślonym przez nią samą w ramach planu, który zaczęła wcielić w życie po swojej ostatniej rozmowie z Mistrzem Hammerem. Zaledwie kilku Jedi, którym Jaina ufała i którzy nie byli Mistrzami, znało to określenie i wiedziało, że odnosi się ono do skupionej wokół JAINY nowej grupy spiskowców. Wśród nie-Jedi słowo znane było jeszcze mniejszej liczbie osób.

Jaina jeszcze raz wcisnęła guzik, żeby zamknąć drzwi.

- O co chodzi? - spytała szeptem, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru.

Tekli stanęła przy biurku JAINY, przenosząc ciężar ciała to na jedną, to na drugą nogę w mimowolnym tańcu zdradzającym wzburzenie.

- Widziałam go.

- Kogo?

- Byłam w więzieniu. Mistrzynie Cilghal ma plan; chce cały czas wywierać nacisk na władze, żeby pozwolili nam przebadać Valina. Chodzi tam raz dziennie i siedzi przez dwie godziny, żeby ich zdenerwować, a ja robię to samo wieczorami.

- A więc widziałaś Valina.

- Nie, Jedi Hellina.

Jaina zamrugała z wrażenia.

- Seffa Hellina? Jest w więzieniu?

- Nie, na zewnątrz. Był ubrany jak robotnik i schodził do podziemia przez właz dla robotników.

Jaina zagwizdała.

- Pewnie sprawdzał zabezpieczenia więzienne, żeby wyciągnąć Valina.

- Też tak pomyślałam. Nie widział mnie. Chyba nawet mnie nie wyczuł. Nie używałam Mocy. Poczułam zaskoczenie, kiedy go zobaczyłam, ale szybko je w sobie stłumiłam. Nie zrobił nic, co świadczyłoby o tym, że cokolwiek poczuł. Chyba zdołałam się wymknąć niepostrzeżenie. Przybiegłam prosto tutaj, prosto do ciebie. - Tekli zaczęła chodzić po pokoju, gestykulując. - Musimy go schwytać. Nie możemy przebadać Valina, ale jeśli zdobędziemy Seffa, będziemy mogli go zbadać, tak żeby rząd się nie dowiedział, że go mamy...

- Czekaj, czekaj. - W głowie Jaina kłębiły się myśli. - Musimy mieć pewność, że on cierpi na tę samą przypadłość co Valin.

- Wszystko na to wskazuje. Co więcej, wrócił na Coruscant, nie zawiadamiając o tym Świątyni, a teraz obserwuje obiekt, gdzie jest przetrzymywany jedyny Jedi, który zachowuje się tak samo jak on. Zresztą jeśli się okaże, że się myliliśmy, możemy go wypuścić.

- Racja. - Jaina spojrzała na swój chronometr. Minęły raptem dwie godziny, odkąd Dab ją obudził, żeby skontrolować jej aktualne położenie. To oznaczało, że według wszelkiego prawdopodobieństwa miała kilka godzin na działanie przed kolejną kontrolą. Powinna zdołać się wymknąć na trochę. - W porządku. Zmobilizuję parę osób, z którymi kontaktowałam się w sprawie naszego małego spisku. Ty musisz tutaj wszystko przygotować; musimy mieć jakieś tajne miejsce, w którym będziemy mogli umieścić i zbadać Seffa, kiedy go przywieziemy, czy to będzie dzisiaj, czy później.

- Rozumiem, rozumiem. - Tekli pokiwała głową tak szybko, że jej futro zafalowało, a Jaina zastanowiła się, co by się stało, gdyby Chadra-Fanka wypila w tym stanie kilka filiżanek kawy.

Tekli podeszła do drzwi i wyciągnęła rękę, żeby dosięgnąć przycisku.

- Przepraszam, że cię obudziłam.

- Nie szkodzi. Warto było.

Ubrani w nierzucające się w oczy stroje, jakie chętnie nosili przedstawiciele klasy średniej w czasie podróży, spotkali się w kafejce oddalonej o kilometr od więzienia Valina - Jaina, Jag, Tahiri oraz szczupła kobieta o białych włosach i subtelnym rysach, niezdradzających wieku. Jaina

przedstawiła tę ostatnią:

- Jag, to Winter Celchu, moja dawna opiekunka. Winter, to Jagged Fel, przywódca Szczątków Imperium.

- Przywódca Imperium Galaktycznego - poprawił z roztargnieniem Jag. - Jesteś żoną generała Tycha Celchu?

Winter skinęła głową.

- I była agentką wywiadu, nie tylko była opiekunką do dzieci, prawda?

Uśmiechnęła się blado.

- Nie znoszę, kiedy ktoś o mnie tyle wie.

- No cóż, twój mąż i mój wujek są najlepszymi przyjaciółmi. To nie sprzyja utrzymywaniu pewnych rzeczy w tajemnicy.

Jaina zamachała ręką, żeby przyciągnąć ich uwagę.

- Powiem krótko - zaczęła. - Jako Jedi dysponuję pewnymi środkami i mogę wchodzić i wychodzić ze Świątyni, ale mam ograniczoną swobodę działania ze względu na obserwatora. Jag, ty posiadasz nieograniczone środki finansowe, przynajmniej jak na nasze warunki.

Jag pokiwał głową.

- Nie byłbym prawdziwym despotą, gdybym nie trwonił pieniędzy Imperium.

- Tahiri, ty dysponujesz pełnym wachlarzem zdolności Jedi, których będziemy potrzebowali, żeby poradzić sobie z Seffem, i nie masz uwieszonego na szyi obserwatora. - Jaina nie wypowiedziała swojej następnej myśli: że Tahiri dała się dziwnie łatwo namówić do pomocy przy tym zadaniu. Tahiri nie mogła naprawić wielu szkód, które wyrządziła, pozostając w służbie Jacena. Najwyraźniej wiele znaczyło dla niej to, że może teraz pomóc zażegnać kłopoty wywołane przez innego Jedi. - Winter, ty masz umiejętności wywiadowcze i kontakty. Nasza czwórka tworzy trzon tej operacji. Musimy zorganizować obserwację Seffa, dyskretnie go schwytać przy pierwszej nadarzającej się okazji i przewieźć do Świątyni, żeby Tekli mogła go zbadać.

Pozostali pokiwali głowami.

Tahiri jednak nie wyglądała na przekonaną.

- Musimy to zrobić tak, żeby się nie zorientował. On jest Rycerzem Jedi. To nie będzie to samo co dozоровanie oskarżonego zwolnionego za kaucją.

- Nie ma problemu. - Winter uniosła swój datapad. - Tutaj jest lista zakupów. Wysokie miejsca zajmują na niej kamdroidy i holokamery monitoringu. Jeśli będą go obserwować głównie

holokamery, to nie wyczuje tego w Mocy.

Tahiri pokręciła głową.

- Jest problem. On może znać technikę pozwalającą mu wymazać na chwilę obraz z holokamery, kiedy ją mija.

Jaina posłała jej uspokajający uśmiech.

- Nie, nie ma problemu. Wciąż mamy oprogramowanie, które wykorzystaliśmy, żeby namierzyć Alemę Rar, kiedy używała tej techniki, skradając się na pokładzie „Błędnego Rycerza”. Możemy śledzić ruchy Seffa, nawet jeśli będzie tak robił.

Jag przesunął po stole kartę kredytową, która zatrzymała się na przedramieniu Winter.

- To powinno wystarczyć na twoje zakupy. Daj znać, gdybyś potrzebowała więcej.

Winter schowała kartę do kieszeni.

- Nikt nie trafi po niej na twój trop?

Pokręcił głową.

- Upewniłem się, że jest czysta. Miała być rzekomo przeznaczona na podarunki i niespodzianki dla Jainy, jednym słowem rzeczy, które nie powinny być kojarzone z funduszem reprezentacyjnym głowy państwa.

Jaina wyglądała na zawiedzioną.

- Nie dostanę prezentów?

Pozostali spojrzeli na nią. Nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Masz szczęście, że jestem tania w utrzymaniu - oświadczyła Jagowi.

- To już wiem.

ROZDZIAŁ 20

Kopalnie Calrissiana-Nunba, Kessel

W ciągu dwóch dni Han, Leia, Calrissianowie i Nien Nunb zebrali znacznie więcej danych i sporo przydatnych informacji.

Sensory, których liczba powiększyła się o drugą dostawę, w dalszym ciągu kreśliły sieć tuneli i pieczar w głębi Kessel, potwierdzając, że ten kompleks obejmuje całą planetę.

Sześć droidów bojowych ZYV 1, przybyłych wprost z montowni Tendrando Arms, zostało natychmiast zaprzęgniętych do pracy. Przetransportowane do zespołu pieczar przez wykryte dzięki sensorom połączenia z kopalniami, rozpoczęły badanie skupisk materiałów wybuchowych.

Wysłane dwójkami, na początku odkryły, że gdy tylko zbliżały się do ładunków, zjawiały się straszaki, żeby się im przyjrzeć. Straszaki za każdym razem przelatowały przez nie, powodując awarie systemów droidów. Automaty, w przeciwieństwie do sensorów, ostatecznie dochodziły do siebie po tym elektronicznym maltretowaniu, jednak kiedy ponownie próbowały zbliżyć się do ładunków, straszaki powracały. Nie mogąc dotrzeć do celu, droidy ZYV wycofały się na bezpieczną odległość.

Jedna para, przydzielona do jaskini wybranej jako ta, którą można bezpiecznie zniszczyć, użyła wojskowej wyrzutni pocisków raketowych dalekiego zasięgu, żeby zdetonować ładunki ze stosunkowo bezpiecznej odległości, spod samego wejścia. Han, Leia, Calrissianowie i Nien Nunb obserwowali na monitorze Tendry w kopalni, jak pierwszy ładunek, pocisk udarowy, wylatuje z lufy broni ledwo widocznej u dołu ekranu. Jasny błysk jego silnika nikał w oddali, zakreślając łuk, by uderzyć w ziemię zaledwie parę metrów od sterty materiałów wybuchowych.

Pocisk eksplodował. Oglądający to w dużym powiększeniu, dzięki czujnikom wzrokowym droidów ZYV, ludzie i Sullustanin zobaczyli, jak eksplozja wzbija tumany kurzu i rozrywa na strzępy grzyby. Urządzenie w kształcie anteny nawet się nie zakotyło. Beczki w stercie materiałów wybuchowych poruszyły się lekko, jednak poza tym nic się nie wydarzyło.

Lando miał ponurą minę.

- Niezbyt zachęcające.

Tendra aktywowała komunikator na pulpicie sterowniczym.

- Następny ładunek, proszę. - Wyłączyła mikrofon i odchyliła się do tyłu. - To będzie detonator termiczny, jeden z mniejszych w podstawowym wyposażeniu droidów ZYV.

- Gadasz jak sprzedawca śmigaczy - mruknął Han.

Na monitorze widać było ręce droida, które załadowały inny, miniaturowy pocisk do wyrzutni, a następnie wycelowały. Pocisk ponownie zakreślił łuk zgodnie ze swoją balistyczną trajekcją i wylądował metr od sterty ładunków wybuchowych. I on także eksplodował...

Obraz na monitorze zrobił się zupełnie biały. Tendra i pozostali nachylili się do przodu w nadziei, że to nie są tylko zakłócenia na łączach. Przez długą chwilę ekran pozostawał pusty i niemy; następnie przekaz wizualny i dźwiękowy z holokamery zaczął stopniowo powracać, najpierw w postaci szumów i trzasków, a później fonii i obrazu w pełnej rozdzielczości. Na ekranie ukazała się pieczara, której centralna część stała w płomieniach, a z wypalonego w jej podstawie krateru unosiła się chmura czarnego dymu w kształcie grzyba; na stropie ponad nią widać było analogiczny wypalony obszar. Gdy droid ZYV obrócił głowę, widzowie zobaczyli roztrzaskaną maszynię pod ścianami pieczary, stojącą częściowo w płomieniach... jednak skala zniszczeń nie była nawet w przybliżeniu tak wielka jak w jaskini, której zniszczenie widzieli Han i Leia.

Lando gwizdnął z wrażenia.

- Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że to zadziała.

- To kwestia jakiejś różnicy w wybuchowych właściwościach detonatorów termicznych. - Głos Hana przypominał odległy szmer. - Pewnie chodzi o temperaturę.

- Dobra nasza. - Tendra odetchnęła z ulgą. - Gdybyśmy musieli uciec się do torped protonowych, nie wiem, ile zdołalibyśmy załatwić na czas. A te detonatory termiczne sami produkujemy. Możemy mieć tyle, ile tylko będziemy potrzebowali, i to szybko.

Leia nachyliła się nad monitorem.

- Tam, w oddali. Patrzcie na straszaki. - Piętnaście czy dwadzieścia z nich kłębiło się w pobliżu krateru. Nagle w postaci wirującej chmury ruszyły w stronę droidów ZYV.

- O-o, ale numer. - Lando chwycił mikrofon z pulpitu sterowniczego. - Piątka i Szóstka, wycofać się. Natychmiastowy odwrót. Powrót do punktu zbornego.

Droidy wykonały polecenie. Holokamera wykonała gwałtowny obrót i skierowała się na kamienny tunel, który kołysał się w rytm kroków uciekających robotów.

Minęło trzydzieści sekund i monitor w większości pociemniał. W ramach diagnostycznych po bokach zaczęły migać czerwone wskaźniki sygnalizujące awarię.

Tendra posmutniała.

- Oba nie działają.

- Mimo wszystko, skarbie, to była udana próba. - Lando zacierał ręce. - Ściągniemy tam wystarczająco dużo droidów bojowych i się uda.

Han z powagą pokręcił głową.

- Ile to jest wystarczająco dużo, stary? Setka? Tysiąc? Ile możesz tu ściągnąć w dzień albo dwa?

- Nie, nie tyle.

- Możemy natomiast zrobić coś innego... - Han zmarszczył w skupieniu brwi. Przysunął się do monitora i wpisał polecenie, żeby wyświetlić schemat Kessel i tuneli. - Zrobimy tak: zmodyfikujemy „Sokoła” i „Ślicznotkę” tak, żeby mogły wystrzeliwać detonatory termiczne zamiast pocisków udarowych...

Nien Nunb wypowiedział kilka słów pełnym oburzenia tonem.

Han nie potrzebował tłumaczenia.

- Tak, „Pół Gwiazdy” też. I chyba znamy paru zrzędliwych emerytów, którzy mają swoje myśliwce i mogliby się tu niezwłocznie zjawić.

Twarz Tendry rozjaśnił uśmiech.

- Dobrze. Wytyczymy najlepsze trasy przez tunele.

- Nic z tego - wtrąciła Leia. - Jeśli myśliwce będą przelatywać i wystrzeliwać detonatory, eksplozje nastąpią właśnie w takiej kolejności, w jakiej nie powinny. - Nagle jej twarz się rozjaśniła. - Chyba że ustawimy detonatory termiczne tak, żeby nie wybuchały przy uderzeniu, tylko pod wpływem regulatora czasowego.

- Tak, tak. - Lando wodził wzrokiem tam i z powrotem, najwyraźniej dostrzegając coś innego, niż faktycznie miał przed oczami. - Mechaniczne regulatory, tak myślę, a nie elektroniczne, żeby straszaki ich nie uszkodziły. To się może udać. - Nagle dziwnie posmutniał.

- Co się stało, kochanie? - spytała Tendra.

- Trzeba będzie wydać dużo więcej kredytów.

Pieczary Ukrytego, Dorin

Inni Baran Do, żyjący w pieczarach głęboko pod powierzchnią Dorina, nazywali go Ukrytym i nie mówili o nim ściszymi głosami, co Ben uznał za dobry znak, świadczący o tym, że nie bali się go jak boga czy tyrana. Jednak Ukryty był obecnie zbyt zajęty zarządzaniem tym maleńkim podziemnym królestwem, żeby zawracać sobie głowę takimi czasochłonnymi i prozaicznymi zadaniami, obowiązek oprowadzenia Skywalkerów spadł więc na mędrca, który towarzyszył im w drodze do tych jaskiń, instruktora sztuk walki, Charsae Saala. Jego pierwsza wycieczka po pieczarze była też pierwszą wycieczką Skywalkerów.

Oczywiście teraz to już „były” Charsae Saal. Nazywał sam siebie Chara i nalegał, żeby Skywalkerowie zwracali się do niego tak samo.

Wszyscy trzej zwiedzali kolejne pomieszczenia, nie niepokojeni przez innych Kel Dorów. Benowi wydawało się, że naliczył jak dotąd dwudziestu różnych Kel Dorów w dziesięciu komnatach i tunelach, ale ponieważ wszyscy byli ubrani tak samo, nie miał pewności. Poza tunelem, w którym znaleźli się po przyjeździe, i salą Ukrytego mijali galerię z otworami prowadzącymi do prywatnych kwater, duże pomieszczenie, gdzie w okrągłych hydroponicznych kadziach rosły wszelkiego rodzaju warzywa i zboża, oraz schowek, w którym wisiały prymitywne narzędzia do kopania, takie jak kilofy i łopaty. Teraz szli przez dużą komnatę wypełnioną sprzętem do recyklingu - urządzeniami do utylizacji odpadów i uzdatniania wody, dekompozytorami polimerów, maleńkimi odlewniami durastali i transpastali.

- Oczywiście - odezwał się Luke - wiedziałeś o tym miejscu, zanim tu przybyłeś.

- Oczywiście. - Chara pokiwał głową. - To było prawie dwadzieścia lat temu, kiedy Mistrz Koro Ziil, przeczuwając, że mogę być predysponowany do tego bytu, przyszedł do mnie. Zobowiązał mnie do dochowania tajemnicy i powiedział mi o Ukrytym, którym wówczas był „były” Tokra Hazz.

Ben prychnął, aż wewnątrz jego maski do oddychania wytworzyła się odrobina skroplonej pary, która jednak szybko wyparowała.

- A ty po prostu nie potrafiłeś się oprzeć pokusie zamieszkania w dziurze wykopanej w ziemi i udawania zmarłego.

Luke rzucił Benowi spojrzenie mówiące: „Nie czas na drwiny”.

Chara nie wyglądał na urażonego.

- Tu nie chodzi o naszą przyjemność. Chodzi o służbę. Służbę Baran Do i służbę wiedzy. - Zakończywszy obchód pomieszczenia, wyprowadził ich przez pancerne drzwi na korytarz. - I w pewnym sensie wy, Jedi, jesteście za to odpowiedzialni.

Luke się uśmiechnął.

- Nie przypominam sobie, żebym postulował tego rodzaju rozwiązania.

- Nie ty osobiście. To nastąpiło wcześniej. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy to się stało. W dniu, kiedy Jedi zniknęli z galaktyki.

- Rozumiem. - Luke spoważniał. - Czystka.

- Tak. - Kolejne pomieszczenie nie było odgrodzone pancernymi drzwiami; wejście zasłaniała jedynie kotara. Chara odsunął czarną tkaninę i wszedł do środka. Obmacał ścianę po jednej stronie, potem po drugiej; wreszcie znalazł włącznik pręta jarzeniowego. Światło rozlało się po suficie, odsłaniając wieszaki pełne przygnębiająco identycznych czarnych płaszczy. - Proszę. Będą wam potrzebne, chociaż trzeba będzie je dopasować do waszego niskiego wzrostu.

Ben się skrzywił.

- Niskiego?

Chara wyłączył światło i wyprowadził ich z powrotem na korytarz.

- W każdym razie Mistrz Tokra Hazz był przerażony tym wydarzeniem. Podobnie zresztą jak wszyscy Baran Do, jednak Tokra Hazz był najgłębiej wstrząśnięty. Być może czuł śmierć Jedi w Mocy. Tokra był zrozpaczony nie tyle śmiercią jednostek, co utratą wiedzy. Pamiętajcie o jednym: wówczas sądzono, że zginęli wszyscy Jedi, że cały Zakon został wymordowany. Obawiając się, że ludobójcze skłonności nowego Imperatora mogą dotknąć także innych zakonów wrażliwych na Moc, Tokra Hazz kazał się ukryć wielu Mistrzom Baran Do i zaczął przemyśliwać, co dalej.

Ben rozejrzał się z powątpiewaniem.

- I wymyślił, że trzeba wykopać dziurę w ziemi.

- Właśnie. - Kolejne pomieszczenie, również ukryte za kotarą, okazało się spiżarnią z konserwowanym jedzeniem w butelkach i puszkach. Ben rozpoznał marki dorińskich producentów. - To miała być skarbnica wiedzy - ciągnął Chara. - Gdyby Imperium postanowiło zniszczyć zakon, przetrwałaby ukryta głęboko pod ziemią komórka, która mogłaby... przekazywać swoje nauki tym na powierzchni.

Luke zmarszczył brwi.

- Przekazywać? Jak?

- Szyny, które nas tu przywiodły, stanowią także bezpośrednie łącza z powierzchnią planety. Nie tylko ze świątynią, ale i z innymi miejscami. A gdyby szyny zostały zniszczone, to Ukryty zna technikę Mocy, pozwalającą na komunikację między umysłami.

- Telepatia. - Luke nie wydawał się przekonany.

- Tak.

- Ciekawe. Zdarzało mi się porozumiewać poprzez Moc z bliskimi mi osobami, które były oddalone o lata świetlne, jednak zwykle był to przypływ emocji, może parę słów albo wizja... Wymiana czegoś więcej niż emocje i ogólne wrażenia jest w dłuższym wymiarze czasowym niemożliwa. To nie jest taki rodzaj komunikacji, za pomocą którego moglibyście kogoś nauczyć wszystkich swoich technik.

Chara wzruszył ramionami.

- Ta technika jest znana jedynie Wysokim Mistrzom Baran Do.

Luke się zamyślił.

- Bardzo chciałbym się jej nauczyć. Będę musiał porozmawiać z Koro Ziilem.

- Koro Ziil nie żyje. Będziesz musiał porozmawiać z Ukrytym.

- Dobrze.

Ben spróbował nakierować rozmowę z powrotem na opowieść Chary.

- A więc ten dawny Mistrz, Tokra Hazz, ostatecznie postanowił stworzyć tę podziemną kryjówkę.

Chara pokiwał głową.

- Za pomocą sprzętu do drążenia tuneli wykopał tunel, którym się tu dostaliśmy. Jest bardzo długi i kręty, ma jakieś dwieście kilometrów. W końcu dotarł do naturalnych grot, które postanowił wykorzystać jako centralny punkt swojego kompleksu. Wykopanie pierwszego tunelu trwało wiele lat, a kolejne lata zajęła modyfikacja grot.

Minęli wspólną łaźnię. Kolejne pomieszczenie wyglądało na jakiś rodzaj sauny, obecnie nieużywanej.

- Po co taki długi tunel? - spytał Luke.

- Ze względów praktycznych. Zamiarem Tokry Hazza było rekrutowanie jedynie tych Baran Do i ich sług, którzy byli całkowicie oddani sprawie. Gdyby jednak ktoś zmienił zdanie... cóż, żaden Kel Dor ani człowiek nie mógłby się wydostać tym tunelem. Czołgać się przez dwieście kilometrów... nie da się zabrać wystarczającej ilości jedzenia i picia, żeby przeżyć. A gdyby ktoś znalazł skuteczny sposób na pokonanie tunelu, jak na przykład niewielkie pojazdy poruszające się po szynach, które wykorzystywano w trakcie budowy do przemieszczania się w górę i w dół, Ukryty może jednym przyciskiem lub specjalnym poleceniem wydanym poprzez Moc wywołać serię eksplozji na całej długości tunelu, zasypując go na zawsze.

Ben poczuł lekkie ukłucie niepokoju.

- Więc w jaki sposób tata i ja stąd wyjdziemy?

- Przecież już wam powiedziano. Nie wyjdziecie. - Chara popatrzył na nich pogodnie, ale ze współczuciem. - Tak jak my wszyscy, zostanieie tu na zawsze. Dla własnego dobra musicie pogodzić się z myślą, że jesteście już martwi, że istniejecie teraz jedynie dla zachowania wiedzy.

W okolicy zakładu karnego im. Armanda Isarda, Coruscant

Winter, pod przybranym nazwiskiem, wynajęła kwatere w budynku mieszkalnym położonym najbliżej więzienia, w którym przetrzymywany był Valin - a raczej „przechowywany”, bo przecież ktoś zamrożony w karbonicie wymagał jedynie dozoru, a nie celi i pożywienia.

Samo więzienie było reliktem architektury z epoki wczesnego Imperium. Otoczone stosunkowo wąskim placem, który miał służyć jako strzelnica dla strażników w przypadku ucieczki któregoś z

więźniów, składało się z jednego wysokiego budynku, wokół którego urządzono spacerniak otoczony piętnastometrowymi murami, a wszystko to z czarnego syntetycznego kamienia. W rogach wznosiły się wieże z takiego samego kamienia ze stanowiskami snajperów; na szczytach tych wież i wzdłuż murów rozmieszczono reflektory, tak silne, że mogły wywołać oparzenia z odległości pięćdziesięciu metrów. Oprócz nich jedyne jasne punkty można było dostrzec na górze budynku, gdzie rozświetlone iluminatory wskazywały na kwatery naczelnika i starszych oficerów. Było to miejsce ciemne i pełne nieszczęścia, a nowa kwatera spiskowców Ciemnospójni wznosiła się pół kilometra ponad nim.

W iluminatorach zespół Jainy umieścił holokamery z funkcją potężnego zbliżenia. Na stołach i biurkach stały rzędy monitorów wyświetlających obrazy z holokamer przeznaczonych do obserwacji Seffa Hellina.

Akcja przyniosła całkiem zadowalające rezultaty. Wykorzystując myszoboty wyposażone w holokamery, umieszczone ukradkiem na rządowych budynkach wokół więzienia, zespół zdołał nie tylko zaobserwować, jak Seff realizuje swój plan w przebraniu robotnika, ale także wysłać myszobotą, który podążył za niesfornym Jedi do jego tymczasowej kwatery, oddalonej o kilometr od ich własnej kryjówki. Wszyscy należący do Ciemnospójni spiskowcy pełnili dyżury w kwaterze - nawet Jaina, kiedy uważała, że może wymknąć się bezpiecznie Dabowi na parę godzin.

Tak właśnie zrobiła tej nocy i teraz razem z Jagiem pełnili dyżur przy monitorach.

Jaina podniosła wzrok znad ekranu, na którym wyświetlone były notatki sporządzone przez innych.

- Jest punktualny jak transport publiczny na Kuacie.

Jag pokiwał głową, rozsiadając się z zamkniętymi oczami w fotelu.

- Na to wygląda. Osiem godzin przed świtem spędza w przebraniu robotnika, głównie w podziemiu przed więzieniem. Kolejne osiem godzin w swojej kwaterze, prawdopodobnie śpiąc. Nie wiemy jeszcze dokładnie, co robi przez kolejne osiem, ale wygląda na to, że przez ten czas gromadzi sprzęt i być może kontaktuje się ze współnikami.

- Musimy się dowiedzieć, co on tam robi, pod tym więzieniem. Kopie tunel? Podkłada materiały wybuchowe? Chyba nie jest aż tak szalony.

- Musimy. - Jag przetarł oczy i spojrzał na Jainę. - Armand Isard. To jakiś krewny Ysanne Isard?

- Jej ojciec. Wsadziła go do więzienia, ale nie do tego. - Ysanne Isard była jednym z oficerów, którzy pełnili funkcje tymczasowych władców Imperium po śmierci Palpatine'a. Wcześniej wygrała prywatną walkę o władzę ze swoim równie podstępny ojcem. Został stracony, a ona zastąpiła go na stanowisku szefa imperialnego wywiadu. - To był raczej złośliwy żart niż akt skruchy z jej strony, że nazwała to więzienie jego imieniem. A biurokratyczna inercja nie pozwoliła go przemianować. Ani przemałować. Ani zburzyć.

- No cóż, Nowa Republika zdobyła Coruscant dopiero... ile? Trzydzieści sześć lat temu? Stulecie jeszcze młode. - Zakończył temat machnięciem ręki. - O świcie, kiedy Seff wyjdzie, Winter i ja

zrobimy to, co mówiłaś. Zobaczymy, co on tam robi.

- Dobrze.

- Mam pytanie.

- W porządku.

- Co sądzisz o tym, żeby wciągnąć w to Mirax?

Jaina rozsiadła się wygodniej w fotelu i się zastanowiła.

- No cóż, ma umiejętności, przydatne kontakty, pewne fundusze i silną motywację.

- Zgadza się.

- Ale musiałyby utrzymywać to w tajemnicy przed Corranem. A on jest jej mężem, byłym oficer śledczym i Mistrzem Jedi. Trudno coś przed nim ukryć.

- Też prawda.

- A poza tym ona i Corran są teraz bardzo zajęci. - Było to ogólnie powiedziane. Oboje rodzice Valina robili wszystko, co tylko się dało, żeby uwolnić go z karbonitowego zniewolenia i oddać z powrotem do Zakonu Jedi w celu przebadania. Corran wykorzystywał swoje znajomości z czasów, zanim przystąpił do Jedi: weteranów koreliańskiej służby bezpieczeństwa i Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców. Ci drudzy rokowali większe nadzieje na sukces, jako że wielu kolegów Corrana z okresu jego kariery pilota było teraz wysokimi rangą oficerami w armii Galaktycznego Sojuszu. Na razie jednak wykazywali niewielką skuteczność, ponieważ oficerowie i inni rządowi promineneci, popierający wyrok skazujący Valina, mieli jeszcze większe wpływy. Mirax również robiła użytek z kontaktów, jakie nawiązała przez lata, głównie z handlarzami i przemytnikami, jednak miała jeszcze mniej szczęścia niż Corran. Jaina od czasu skazania Valina widziała parę razy Corrana w Świątyni i nie ulegało wątpliwości, że chociaż stara się oszczędzić innym Jedi swojego bólu, bardzo cierpi. Mirax musiała być w podobnym stanie.

To zaważyło na decyzji Jainya.

- Trzymajmy ją w odwodzie, tak na wszelki wypadek. Może niech Winter z nią wstępnie porozmawia.

Jag pokiwał głową.

Komunikator Jainya wydał z siebie znajomą, niepożądaną serię odgłosów - dwa melodyjne dźwięki, pauza i kolejne dwa.

Jaina zamarła.

- O, nie.

- Mówiłaś chyba, że sprawdzał cię raptem godzinę temu.

- Owszem. - Miała zboląły wyraz twarzy. - To powinno mi dać przynajmniej trzy albo cztery godziny. Nie słyszałam, żeby któryś z obserwatorów przeprowadzał swoje kontrole w godzinnych odstępach. - Wyciągnęła komunikator i spojrzała na niego gniewnie.

- Jak szybko możesz dostać się do Świątyni i wślizgnąć się do środka?

- Nie dość szybko. On nie odpuści...

Rzeczywiście komunikator znów zadzwieczał, powtarzając te same tony.

Jaina się skrzywiła.

- Pewnie uzna, że tak mocno śpię, że go nie słyszę. Zejdzie do mojej kwatery, co zajmie mu tylko minutę, i zacznie dzwonić do drzwi.

- A jeśli nikt nie odpowie, to co wtedy?

- Wezwie Mistrza pełniącego dyżur i otworzą drzwi siłą. Ale jest jedna szansa. - Pogrzebała w torbie przy pasku i wyciągnęła drugi komunikator. - Podłączyłam interkom przy drzwiach do komunikatora, który jest sparowany z tym. Mogę z nim rozmawiać tak, jakbym była w swojej kwaterze. Może uda mi się jakoś wyłgać. Może zdołam go przekonać, że wcale nie musi mnie widzieć. - Wiedziała, że nie zabrzmiało to przekonująco. Sama też nie była przekonana.

- A jeśli nie?

Westchnęła.

- Zostanę przyłapana na wymykaniu się ze Świątyni bez mojego obserwatora. Mistrz Hamner będzie mnie musiał jakoś ukarać. Na przykład nauczaniem młodzików w Ulotnych Mgłach podstaw telekinezy. Jeśli oczywiście rząd nie wniesie oskarżenia, a mogą to zrobić.

- Na pewno zrobią. W tej chwili nie mają dla Jedi żadnej litości.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Dzięki. Od razu mi lepiej.

Odezwał się drugi komunikator, który miał sygnał identyczny jak urządzenie w kwaterze Jaina w Świątyni. Wzięła głęboki oddech, po czym wcisnęła guzik. Starła się sprawiać wrażenie zaspanej.

- O co chodzi?

- Witam, Jedi Solo. Tu Dab. Rutynowa kontrola.

- Przecież sprawdzałeś... która jest godzina?

- Przepraszam. Tak, to było godzinę temu. Mój generator losowych sygnałów znów wysiadł.

- Dab, idź sobie. Jestem zmęczona, leżę w łóżku. Przecież wiesz, że tu jestem.

- Muszę zobaczyć cię osobiście. Znasz zasady.

Jaina wyłączyła komunikator i wypowiedziała bezgłośnie przekleństwo.

- Już po mnie.

- Może nie. Może Imperium uratuje Jedi. - Wyjął jej z dłoni komunikator i uśmiechnął się, widząc jej zdziwioną minę. Włączył urządzenie. - Kto tam jest? - spytał zachrypniętym, zaspanym głosem.

Jaina wpatrywała się w niego.

- Tu Dab. Dab Hantaq - odparł Dab.

- Gdzie mój blaster?

Jaina załapała i stłumiła śmiech.

- Pod poduszką. Tam gdzie zawsze - powiedziała to samo, co tyle razy słyszała z ust swojej matki.

- Dobra, wpuść go. Wypalę mu dziurę dokładnie między oczami.

- Jag, on tylko wykonuje swoje obowiązki...

- Chrzanić jego obowiązki. A właściwie to chrzanić też tę elegancką dziurkę między oczami. Wypalę mu całą twarz. Pogrzeb z zamkniętą trumną dla niego, a dla mnie immunitet dyplomatyczny. Dawaj go tu.

- Eee, Jedi Solo... - dobiegł z komunikatora głos Daba. - Wystarczy, że wiem, że tam jesteś. Odznaczę to po prostu jako potwierdzone.

Jaina westchnęła cicho z wyraźną ulgą.

- Dziękuję, Dab. Dobranoc.

- Dobranoc.

Wzięła komunikator od Jaga i wyłączyła.

- Dzięki temu, że cały czas musisz mieć się na baczności przed moffami, zachowujesz bystrość umysłu.

Ubrani w robocze kombinezony, podobne do tego, który nosił Seff, Jag i Winter zeszli do

podziemia przez właz na poziomie ulicy, tuż przed więzieniem Valina. Jag zamknął za nimi klapę.

Znaleźli się w dobrze utrzymanym labiryncie permabetonowych tuneli, metalowych rur, włazów i maszynarii. Niektóre jego elementy były bardzo stare. Żaden z tuneli nie prowadził jednak w kierunku więzienia.

- I nic dziwnego - stwierdziła Winter. - Tunele prowadzące do i z więzienia zwiększyłyby procent ucieczek.

Jag popatrzył na korytarze odchodzące od włazu.

- Więc co Seff tu robi? Nie widzieliśmy, żeby usuwał jakiś gruz.

- Przekonajmy się.

Półgodzinne poszukiwania pozwoliły im dowiedzieć się co nieco o zamiarach Seffa. Podejrzenie czysta skrzynka przyłączeniowa zawierała duży i bardzo mocny datapad, który niedawno został podłączony do jej elektronicznych podzespołów. Winter włączyła go, spędziła parę minut na omijaniu jego prostych zabezpieczeń, a następnie zaczęła przeglądać zapisane w nim dokumenty. Każdy z nich przedstawiał fragment permabetonowego tunelu o ścianach pod kątem prostym w stosunku do niemal nieskazitelnej podłogi, słabo oświetlonego rzędami prętów jarzeniowych umieszczonymi w poprzek sufitu. Jeden z dokumentów zawierał prosty schemat podziemia z zaznaczoną granicą więzienia i punktem oddalonym od niego o ćwierć kilometra, który połączony był z nim jakimś tunelem.

- Już wiem - powiedziała Winter. - To tunel do tłumienia rozruchów.

- To znaczy?

- Tunel, który ma dwa wejścia. Jedno jest w więzieniu i nie da się go otworzyć od strony więzienia. Pewnie nawet nie jest widoczne z tamtej strony; zamaskowane jako permabetonowa ściana, może gdzieś w magazynie. Drugi koniec prowadzi prosto do jakiegoś posterunku oddziałów prewencji i może być otwarty tylko od strony posterunku. W razie gdyby doszło do zamieszek wśród więźniów albo masowej ucieczki, władze mają szybkie tajne dojście do więzienia.

Jag się zamyślił.

- A więc włamał się do holokamer obserwujących tunel i prawdopodobnie zakłócił ich działanie. Może nawet wydrążył już dojście do samego tunelu. Teraz powinien pracować nad obejściem drzwi od strony więzienia.

- Właśnie. W ten sposób wejdzie tędy do więzienia, rozmrozi Valina i wyprowadzi go tą samą drogą przy minimalnym zamieszaniu. Ale jak go znajdzie?

- Poprzez Moc. Jaina też twierdzi, że go wyczuwa, nawet w jego obecnym stanie. Ale ważniejsze jest to, jak się dowiedział o tym tunelu.

Winter pokręciła głową.

- Nie wiem. W czasach Starej Republiki Jedi pomagali czasom władzom w tłumieniu takich zamieszek. Może znalazł wzmiankę o takim wydarzeniu w archiwach Jedi?

- Poproszę Jainę, żeby to zbadła... Czy możesz wyłączyć holokamery Seffa? Jeśli jest jakieś dojście do tego tunelu, musimy tam zejść.

- Mogę.

Znaleźli dojście Seffa bez trudu. Arkusz durastali ze śladami spawania wzdłuż wszystkich krawędzi wyglądał jak łąta na uszkodzonej ścianie, jednak, jak się okazało, trzymał się po prostu na czterech dużych kroplach kleistej substancji. Za metalowym arkuszem znajdowała się nierówna okrągła dziura, ewidentnie wycięta mieczem świetlnym, która prowadziła do tunelu widocznego na monitorze Seffa.

Jag i Winter weszli do tunelu i przeszli całą jego długość. Od strony posterunku ochrony nie znaleźli żadnych śladów sabotażu; Seff wyraźnie za to pracował nad końcem więziennym.

Do konsoly sterującej pancernymi drzwiami była podłączona skomplikowana aparatura. Winter włączyła ją i przejrzała jej pamięć. Okazało się, że aparatura sprawdzała tysiące możliwych kodów aktywujących w takim tempie, żeby centralny komputer na stanowisku ochrony nie sygnalizował tego jako prób włamania.

- To nie zajmie mu dużo czasu - poinformowała Jaga Winter. - Jeszcze parę godzin, dzień, może dwa.

W odpowiedzi wskazał na górę. Spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła, co odkrył - dwa niewielkie detonatory termiczne: jeden przytwierdzony do sufitu nad mechanizmem sterującym pancernymi drzwiami, drugi w suficie dwadzieścia metrów dalej.

- Wyciągnie Valina, zamknie drzwi, jeśli będzie mógł, a jeśli zaczną go gonić, odpali detonatory - wyjaśnił Jag. - A wtedy sufit się zawali, odcinając pościg. Jest jeszcze jeden detonator, za tą wyciętą przez niego dziurą, który powinien powstrzymać załogę posterunku.

Winter pokiwała głową.

- A więc taki jest jego plan. A jaki jest nasz?

- Ten tunel to idealna pułapka. Przyjdziemy tu za nim, nas dwoje i Tahiri. Schwytamy go i zabierzemy do Świątyni Jedi.

- Proste i genialne, o ile wszystko pójdzie jak trzeba. A teraz zabierajmy się stąd i zacznijmy obmyślać plan na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Jag westchnął.

- A myślałem, że skoro skończyłem z zawodowym lataniem, to mam z głowy obmyślanie planów.

- Chciałbyś.

ROZDZIAŁ 21

Kopalnie Calrissiana-Nunba, Kessel

Przy stole siedziały wszystkie najważniejsze postaci historii pilotażu z epoki Nowej Republiki. Leia była tak rozradowana, widząc ich wszystkich, że nie mogła przestać się uśmiechać.

Na prawo od Hana siedział Wedge Antilles. Bardziej rozluźniony, odkąd przeszedł na emeryturę, położył nogi na stole - zdarte, stare buty na eleganckim kamiennym blacie - czym wywołał niewypowiedziane oburzenie Landa. Wedge sączył ze szklaneczki koreliańską brandy. Szczupły i siwiejący, wciąż miał te same ostre, kanciaste rysy i przenikliwe spojrzenie co w młodości. Był ubrany w mundur pilota X-winga z floty Nowej Republiki - pomarańczowy kombinezon i białe oporządzenie - ale też większość z obecnych pilotów miała na sobie mundury odpowiadające myśliwcom, którymi przylecieli, a nie wszyscy mieli czas, żeby przebrać się w cywilne ubrania. Nie wszyscy zresztą chcieli.

Obok Wedge'a siedział Derek „Hobbie” Klivian o nieodmiennie posępnej - jak niektórzy twierdzili, smutnej - powierzchowności, który zrobił sobie krótką przerwę w pracy coruskańskiego rzecznika koncernu Zaltin, producenta bacty.

Obok Hobbiego zajęła miejsce Inyri Forge, była pilotka Eskadry Łotrów, urodzona na Kessel - jej rodzice i rodzeństwo znajdowali się wśród osób, które ewakuowano z planety, kiedy trzęsienia gruntu przybrały na sile. Zostali tymczasowo zakwaterowani w dawnych imperialnych koszarach na księżycu garnizonowym. Ta kobieta o brązowych włosach i cienkich kościach wydawała się niemal zbyt delikatna na pilotkę, jej osiągnięcia jednak zadawały kłam tym podejrzeniom.

Na drugim końcu stołu siedział Kell Tainer. Ten postawny mężczyzna, mniej więcej w wieku Leii, z łysiną na czubku głowy, miał długie siwe włosy związane w kucyk i obwisłe wąsy. Wyglądał bardziej na pirata niż byłego członka Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców Nowej Republiki, jednak ze względu na swoje doświadczenie jako pilota, specjalisty od materiałów wybuchowych i mechanika był nieoceniony w procesie przerabiania detonatorów termicznych na głowice do pocisków innego typu.

Następna była Cheriss ke Hanadi, adumariańska pilotka, o której mówiło się, że jest bardziej niebezpieczna z wibroostrzem niż z myśliwcem; niska, ciemnowłosa i piegowata, wyglądała jak kierowniczką sklepu z artykułami rolnymi.

Obok Cheriss siedział Nrin Vakil, Quarren, którego wodoszczelny kombinezon lotniczy chlupotał, ponieważ był napełniony słoną wodą, utrzymywaną w ciągłym obiegu przez procesor umieszczony na plecach. Przy nim siedziała Rhysati Ynr, kobieta mieszkająca na Coruscant; jej mężem był Nawara Ven, najgłośniejszy obecnie coruskański adwokat. Wydawała się nieco skępowana, siedząc obok Maareka Stele'a, który był wciąż zamyślony, ale pełen życia pomimo całkowitej utraty włosów; ten emerytowany żołnierz imperialny służył między innymi jako oficer na księżycu garnizonowym Kessel,

a później jako pilot myśliwca TIE w słynnym 181. Imperialnym Pułku Gwiezdnych Myśliwców.

No i, jak zauważyła Leia, piloci siedzący razem z nią i Tendrą na szczycie stołu - Han, Lando i Nien Nunb - też nie byli jakimiś ofermami.

Lando postukał w stojącą na stole szklanę, żeby przerwać pogaduszki i skupić na sobie uwagę zebranych.

- A zatem mamy mieszankę myśliwców: X-wingi, A-wingi, jeden Blade-36, jedna Eta-Piątka, zdobyta w okolicznościach, o których nie będę wspominał, i bombowiec TIE, którego właściciel chciałby zachować go w obecnym idealnym stanie, więc niech wam nawet nie przyjdzie do głowy choćby zarysować mu lakier. Następne dwie ekipy pilotów, którym będę przekazywał instrukcje w tym miejscu, to piloci pojazdów ratunkowych i poddźwiękowych. To te śmigacze, które widzieliście na zewnątrz. Każdy z was będzie działał w parze z jednym z nich. Oni mają wlecieć przed wami do pieczary, włączyć potężne systemy dźwiękowe zamontowane na ich śmigaczach i wykurzyć wszystkie zwierzęta. Czasem będą to robić podczas waszego przelotu lub tuż po nim, jeśli będziecie odpalać detonatory z regulatorem czasowym. Jeśli wasz detonator ma wybuchnąć przy uderzeniu, oni będą lecieć przed wami.

Wedge upił kolejny łyk swojego drinka.

- Kto będzie pełnił rolę kontroli lotów?

- Tendra...

Tendra popatrzyła na męża i pokręciła głową.

- ...albo ktoś inny - dokończył Lando. - Na pewno ktoś z dużym doświadczeniem. O nikim nie zapomnimy.

- Piloci poddźwiękowców będą latać więcej od innych -wtrącił Han. - Muszą robić po kilka przelotów w każdej pieczarze, wypędzając zwierzęta w jednym kierunku. Powiadomią kontrolę lotów za każdym razem, kiedy któraś z pieczar będzie przygotowana.

Cheriss podniosła rękę.

- A jeśli straszaki strącą któryś z poddźwiękowych śmigaczy?

- To nieuniknione - potwierdziła Leia. - Mamy tam całą sieć sensorów. Jeśli którykolwiek z pojazdów spadnie, nasz komputer oznaczy go jako uszkodzony. Wtedy wyślemy pojazd ratunkowy. Ponieważ detonatory są programowane za pomocą regulatorów mechanicznych, których nie możemy wyłączyć, postaramy się, żeby między końcem przelotu poddźwiękowca a detonacją było wystarczająco dużo czasu na wyciągnięcie strąconych pilotów. Chcemy uratować jak najwięcej zwierząt, ale naszym nadrzędnym celem jest ocalić Kessel, nie tracąc żadnego z pilotów.

Wedge rzucił Landowi złośliwy uśmiezek.

- Sto do jednego, że nie udało ci się wykupić ubezpieczenia na tę operację.

- Fakt. - Lando zrobił zasmuconą minę. - Nawet nie próbowałem.

- Więc jeśli jakiś myśliwiec spadnie i wybuchnie, to płacisz za niego z własnej kieszeni, zgadza się?

Wyraz twarzy Landa zmienił się ze smutnego w żalony.

- Unikanie straszaków będzie najlepszym rozwiązaniem dla nas wszystkich. Chcę to podkreślić z całą mocą.

Tendra nachyliła się do przodu.

- Każdy z was będzie miał za zadanie trafić w dwadzieścia do trzydziestu ładunków wybuchowych. W większości przypadków macie celować w miejsce w pobliżu ładunku, a głowica nie wybuchnie przy trafieniu. Zostanie zdetonowana za pomocą regulatora czasowego. Czasami jednak będzie wybuchać przy uderzeniu. Postaramy się uprzedzić was, która jest która.

- Miło z waszej strony - zauważył Hobbie.

- Jeśli któryś z was spadnie - kontynuował Lando - to znaczy, któryś z nas, boja będę robił to samo w „Ślicznotce”, a Han w „Sokole”... wówczas jego cele przechodzą na innych pilotów, tych, którzy będą najbliżej. Start wyznaczony jest na jutro, na godzinę szóstą czasu lokalnego.

Chociaż ci weterani byli o dwadzieścia, trzydzieści albo nawet czterdzieści lat starsi od rekrutów, jęknęli zupełnie jak świeżo upieczeni piloci.

Lando posłał im promienny uśmiech.

- Jakoś przecierpicie. Ja mam małe dziecko, więc i tak będę na nogach. Do zobaczenia rano. I jeszcze raz naprawdę dziękuję.

- Nie - powiedziała Allana.

Leia była niewzruszona, przynajmniej na oko. Patrząc na zaniepokojoną buzię Allany, nie czuła się wcale tak stanowcza.

- Tylko na parę godzin. Fuks też tam będzie, razem z Nanną.

Han, stojący za fotelem Leii, ścisnął żonę za ramię, żeby dodać jej otuchy.

- Leia i ja nie będziemy mogli zapewnić ci bezpieczeństwa, odpalając bomby w pieczarach. Musisz polecieć na księżyc garnizonowy. Zwłaszcza gdyby miały być kolejne wstrząsy.

- Nie.

Leia wzięła głęboki oddech. Dyskusje z Allaną przypominały dyskusje z Jacenem, kiedy był dzieckiem. Była bystra i myślała bardzo racjonalnie, jak ktoś o wiele doroślejszy. Czasami Leia mogła z nią wygrać jedynie dzięki sile woli.

- Allano, to nie jest sprawa do dyskusji. Han i ja już postanowiliśmy.

- Księżyc garnizonowy jest w kosmosie. Tam coś na mnie czeka.

Leia spojrzała na Hana, ale mąż wydawał się równie skonsternowany jak ona. Odwróciła się z powrotem w stronę Allany.

- Jakie coś?

- Coś strasznego.

- Allano. - Głos Hana nie brzmiał ostro, jednak był w nim ton ostrzeżenia. - Nie powinnaś zmyślać, żeby wymigać się od czegoś, na co nie masz ochoty.

Leia nauczyła się nie okazywać emocji. Ileż to razy Han unikał rzeczy, na które sam nie miał ochoty, oszukując... wprowadzie nie Leię, ale niemal wszystkich poza nią!

- Nie zmyślam! Tam naprawdę coś jest. Mówiło do mnie.

Leia zmarszczyła brwi.

- Kiedy?

- Kiedy... kiedy byłam przed głównym budynkiem. Któregoś dnia, jak wy byliście pod ziemią.

- I co mówiło?

- Pytało, kim jestem. Było smutne, ale straszne.

- Czy ktoś jeszcze to słyszał?

Allana pokręciła głową. Zniżyła głos do szeptu.

- Mówiło przez Moc. -Szukając wzroku dziadków, ciągnęła coraz bardziej rozpaczliwym tonem: - Potrafię rozpoznać, co jest prawdziwe, a co nie. To było prawdziwe.

- Poczekaj tu chwilę. - Han dał znak Leii, żeby wyszła z nim na zewnątrz tymczasowej sypialni Allany.

- Co o tym sądzisz? - wyszeptał Han, kiedy znaleźli się w korytarzu, za zamkniętymi drzwiami.

- Mówi prawdę, tak jak ją rozumie. To oznacza, że naprawdę może tam coś być. - Leia wzruszyła bezradnie ramionami. -Biorąc pod uwagę to, ile zostało nam czasu, mamy trzy wyjścia i żadne z nich

nie jest dobre. Zostawić ją tutaj, w głównym budynku, co może być niebezpieczne, jeśli w trakcie naszej operacji wstrząsy przybiorą na sile, a jest to bardzo możliwe. Zabrać ją na pokład „Sokoła”, gdzie będziemy mieć do czynienia z materiałami wybuchowymi, potencjalnie groźnymi zwierzętami, straszakami i być może walącymi się pieczarami. Albo wysłać ją na księżyc garnizonowy, gdzie, jeśli ma rację, coś może na nią czyhać.

Han zastanowił się, zafrasowany.

- Jeśli mamy wybrać jedną z tych możliwości, to ja wybrałbym tę, która pozwoli nam mieć ją na oku.

- Ja też.

Han wcisnął guzik i drzwi odsunęły się na bok.

Allana stała tuż za progiem i patrzyła na nich z rozpromienioną twarzą, tak jakby słyszała całą rozmowę.

- Mogę lecieć?

Han schylił się, żeby ją podnieść. Wyprostował się bez żadnego udawanego stęknienia ani uwagi w rodzaju: „Ale jesteś ciężka”.

- Możesz - powiedział. - Jeśli obiecasz, że będziesz wzorowym członkiem załogi. To oznacza wypełnianie wszystkich rozkazów, nawet takich, które ci się bardzo nie podobają.

- Obiecuję.

- W porządku.

- My przecież ciągle zmyślamy. Za każdym razem, jak mówicie do mnie „Amelia”, to jest zmyślanie, prawda?

Han popatrzył na nią gniewnie.

- Nie myl pojęć. Leia ciągle to robi, a ja tego nie znoszę.

Zakład karny im. Armanda Isarda, Coruscant

Seff Hellin przeszedł przez otwór, który wypalił w permabetonie parę dni wcześniej, i wstawił metalowy arkusz z powrotem na miejsce. Zakładając, że wszystko pójdzie dobrze, robił to po raz ostatni.

Był tak blisko celu, że jego ciałem wstrząsały dreszcze. Osamotnienie, które czuł od tak dawna, mogło się wreszcie zakończyć. W dalszym ciągu nie wiedział, w jaki sposób rozpoznał Valina na

holonagraniach z procesu i jakim cudem od razu się zorientował, że to prawdziwy Valin, a nie jakiś sobowtór - ale tak było.

Wkrótce uwolni drugiego, obok siebie, ocalałego Rycerza Jedi. I może Valin będzie znał odpowiedzi, których Seff szukał.

Tunel wyglądał tak samo jak ostatnio. W bliższym końcu wciąż była rozstawiona jego aparatura. Coś jednak się zmieniło i dostrzegął to nawet z odległości dwudziestu metrów - główna lampka kontrolna na konsolce świeciła teraz na zielono, a nie na czerwono. Urządzenie zakończyło pracę; złamało kod dostępu do drzwi. Seff odetchnął z ulgą i ruszył w tym kierunku.

Coś jeszcze się zmieniło. Był w połowie drogi między swoim wejściem a drzwiami, kiedy to poczuł: lekkie zawirowanie w Mocy, znacznie bardziej delikatne niż większość z tych, jakie wyczuwał w ostatnim czasie. Ktoś był w pobliżu. Nie byli to robotnicy w sąsiednich tunelach ani personel więzienny za drzwiami; czuł, że ten ktoś czeka właśnie na niego.

Zatrzymał się i powoli odwrócił, rozpinając swój kombinezon robotnika, spod którego wyciągnął miecz świetlny.

Metalowa pokrywa, którą zasłonił wejście, zniknęła; zdjęto ją na tyle cicho, że tego nie słyszał. Patrząc pod tym kątem, Seff nie widział zbyt wiele po drugiej stronie, jednak intruz nie czekał i po chwili ukazał się jego oczom.

Poznał go, a właściwie ją. Była to Tahiri Veila, a raczej jej sobowtór. Nie była ubrana jak Jedi; miała na sobie obcisły czarny kombinezon, niczym się niewyróżniający. Nie była też boso. W dłoni trzymała niezapalony miecz świetlny. Miała poważny wyraz twarzy.

Seff rzucił jej pogardliwe spojrzenie.

- Mogłaś się bardziej postarać. Zadbać przynajmniej o odpowiednie obuwie, a raczej jego brak.

- Zupełnie jak Valin - powiedziała cicho. Z kocią gracją przesunęła się w bok, tak że znalazła się na środku tunelu.

- I dlatego trzeba mnie zatrzymać, tak?

- Tak, absolutnie.

- Zawołaj swoich kompanów. Chcę zobaczyć, kogo udają.

Falszywa Tahiri spojrzała w stronę dziury i skinęła głową. Do tunelu wszedł mężczyzna, jednak Seff go nie rozpoznał; nie był wysoki, za to przysadzisty. Miał na sobie czarne luźne spodnie i tunikę, a z rękawów wystawały mu srebrne matowe rękawice. Na głowie nosił czarny kaptur, który rzucał cień na twarz. Wyglądał na nieuzbrojonego, ale pod tuniką mógł ukrywać mnóstwo broni.

Kiedy przyjrzał mu się lepiej, Seff stwierdził, że jego tęga postura wygląda nienaturalnie. Był przekonany, że mężczyzna ma pod ubraniem jakiś napierśnik. Kiedy przechodził przez dziurę w

ścianie, nie zgiął się w pasie jak należy; miał sztywne ruchy.

Dreszcz niepokoju przebiegł Seffowi po plecach.

- Mando. Oczywiście, nasłali na mnie Mando.

Zakapturzony mężczyzna nic nie powiedział. A ktokolwiek był po drugiej stronie dziury, na razie się nie pokazywał.

Przy przewadze liczebnej wroga - co najmniej troje na jednego - liczyły się szybkość i agresja. Nie czekając na żadne oświadczenia ani riposty przeciwników, Seff uniósł rękę, uzewnętrzniając swoją wolę poprzez Moc. Fałszywa Tahiri zmrużyła tylko oczy i, korzystając z własnych zdolności, przywarła do permabetonu za swoimi plecami, za to nieznany Mando zatoczył się i poleciał wiele metrów do tyłu, wymachując rękami. Może jednak wcale nie był Mandalorianinem; wyglądał zbyt niezdarnie.

Fałszywa Tahiri zaczęła jeszcze chwilę, aż napór Seffa osłabł, po czym zapaliła miecz świetlny i ruszyła na niego. Seff także zapalił swoją klingę.

- Seff, byłoby dużo lepiej, gdybyś się po prostu poddał. - Wykonała fintę, próbując skłonić go do przedwczesnego ataku.

Seff udał, że dał się na to złapać, atakując klasycznym ciosem, który mógłby rozłupać ją na pół, zatrzymał jednak klingę, zanim doszła celu, i skierował ją pod kątem w lewy bok przeciwniczki. Tahiri, która przygotowywała się na spodziewany cios, musiała odskoczyć rozpaczliwie do tyłu i ustawić własną klingę tak, żeby sparować atak. To jej się udało, jednak zachwiała się i musiała się wycofać.

- Masz szczęście - poinformował ją Seff. Natarł ponownie, wyprowadzając serię ataków, żeby nie pozwolić jej odzyskać równowagi. - Kimkolwiek jesteś, czuję do ciebie znacznie mniejszą pogardę niż do prawdziwej Tahiri. Morderczyni, zdrajczyni, żalosna niewolnica własnych emocji... oto, kim ona jest.

Seff zdziwił się, wyczuwając przyływ gniewu i bólu ze strony przeciwniczki. Czy to możliwe, żeby tak silnie utożsamiała się z kobietą, której twarz nosiła? Ciekawe. Nie zwalniał tempa ataku.

Poczuł, że Mando powraca do walki, zanim jeszcze dało się to zauważyć. Mężczyzna w czerni wspierał się na jednym łokciu, jakby był ranny i usiłował wstać. Potem Seff zobaczył, że mężczyzna wyciągnął pistolet blasterowy, na tyle duży, żeby można go było obsługiwać opancerzoną rękawicą, ale zasłonił go rękawem drugiej ręki. Nagle Mando odsunął rękę i wystrzelił; błękitna ogłuszająca wiązka pomknęła w kierunku Seffa.

Seff poczuł przyływ radości. Odbił wiązkę swoją klingą i skierował ją na nogę fałszywej Tahiri. Oczy Tahiri rozszerzyły się na ułamek sekundy i zaraz skierowały ku górze. Kobieta poleciała do tyłu.

Teraz trzeba było wykorzystać sytuację, zanim wrogowie zdążą się przegrupować. Seff rzucił się

do pancernych drzwi prowadzących do więzienia i wcisnął dwa guziki - jeden, żeby otworzyć drzwi, a drugi, żeby odpalić detonator termiczny na środku korytarza.

Nic się nie stało. Nie był specjalnie zaskoczony. Jeśli wrogowie znaleźli efekty jego pracy tutaj, to mogli bez trudu włamać się do jego komputera i dokonać sabotażu.

Obejrzał się za siebie. Mando już wstał i zmierzał w stronę Seffa z pistoletem w ręce.

Seff spojrzął w kierunku miejsca, gdzie przymocował najbliższy detonator termiczny. Wyrwał go za pomocą telekinezy i rzucił na podłogę tunelu. Urządzenie, spadając, wydało metaliczny odgłos. Upewnił się, że przycisk zapalnika jest widoczny, a następnie posłał niewielki cylindryczny pojemnik w stronę leżącej Tahiri.

Mando zatrzymał się gwałtownie przy Tahiri. Schylił się i podniósł nieprzytomną kobietę, po czym odwrócił się i pobiegł, osłaniając ją własnym ciałem.

Seff z szerokim uśmiechem obserwował, jak detonator toczy się za nimi; kazał mu nawet podskoczyć raz czy dwa, żeby narobił większego hałasu.

Pozwolił jednak Mandalorianinowi uciec przed turlającą się bronią. Jego celem nie było zabicie tych wrogów.

Kiedy detonator był w połowie tunelu, a Mando i nieprzytomna kobieta znaleźli się na tyle daleko, że wybuch nie mógł ich zabić, Seff przykucnął, odwrócił się tyłem do detonatora, zasłonił rękami uszy i za pomocą telekinezy wcisnął guzik zapalnika.

Po krótkiej chwili świat rozbłysnął na czerwono i biało. Ściany i podłoga się zatrzęsnęły, a uszy Seffa mało nie pękły, jakby trzepnął go w nie rancor. Mimo że był przygotowany na eksplozję, fala uderzeniowa rzuciła go na pancerne drzwi. Zasypały go rozgrzane do czerwoności kawałeczki permabetonu, z których jeden poparzył mu bok i sprawił, że jego kombinezon zajął się ogniem. Zgasły światła, a powietrze wypełnił dym.

Stanął na drżących nogach, poklepując się, żeby ugasić ogień, który trawił część jego ubrania. Otaczała go teraz całkowita ciemność - przynajmniej, dopóki nie zapalił swojego miecza świetlnego.

W blasku klingi zobaczył zawalony tunel i gruz wypełniający go jakieś dziesięć metrów od niego. Z jego komputera pozostały tylko szczątki.

Drzwi pancerne były nienaruszone, przynajmniej na razie.

Jeśli dobrze wszystko obliczył, na pustym placu powyżej powinien być teraz krater. Personel więzienia został zapewne postawiony w stan pogotowia; raczej jednak podejrzewa, że doszło do wypadku z paliwem w pobliżu więzienia lub, w najgorszym razie, że ktoś próbuje dostać się do więzienia z zewnątrz. Jego wejście powinno na razie pozostać tajemnicą.

Jego wrogowie zaś, o ile jeszcze żyli, byli uwięzieni po drugiej stronie gruzowiska.

Zabrał się do roboty. Przycisnął koniec klingi do pancernych drzwi, tuż przy spawie, patrząc, jak durastal zaczyna się żarzyć czerwono, potem pomarańczowo, aż wreszcie przybiera jaskrawożółty kolor.

ROZDZIAŁ 22

Jag ściągnął z głowy kaptur i hełm, z trudem łapiąc powietrze. Siła wybuchu rąbnęła go niczym metalowy wał w klatkę piersiową, odbierając dech. Wiedział, że byłoby znacznie gorzej, gdyby nie miał na sobie swojego mandaloriańskiego napierśnika.

Podźwignął się na kolana i wyciągnął pręt jarzeniowy. W jego niebieskim świetle dostrzegł Tahiri leżącą obok niego na brzuchu i ogromną stertę gruzów za nimi. Jego pistoletu blasterowego nie było nigdzie widać. Ściągnął lewą rękawicę i przycisnął palce do szyi Tahiri. Wyczuł jej tętno i zaraz zobaczył, jak jej usta rozchylają się, wydając ledwie słyszalny jęk.

Zdał sobie sprawę, że z jego hełmu dobiegają ciche głosy. Przyłożył hełm do ucha.

- Rękawica, Piasek, tu Hoth. Zgłoście się. - Głos był mechanicznie zniekształcony i obniżony, tak że trudno było w nim rozpoznać głos ludzki, ale niewątpliwie była to Winter, posługująca się uzgodnionymi kryptonimami. - Rękawica, Piasek, zgłoście się. - Pomimo zniekształcenia słychać było niepokój w jej głosie.

- Hoth, tu Rękawica. - Mówienie sprawiało mu ból. Jag przerwał, żeby z trudem wziąć oddech. - Piasek jest nieprzytomna, ale dochodzi do siebie. Wściekły Nek odseparowany od nas, kontynuuje swoją misję. Nic ci nie jest?

- Rękawica, tu Hoth. Nic poważnego.

Jag spojrział na stertę gruzów. Przełączył pręt jarzeniowy na snop światła i poświecił nim na szczyt gruzowiska. Dostrzegł w nim luki. Byłoby to ryzykowne i niebezpieczne, ale może dałoby się przejść na drugą stronę.

- Wezwij resztę Ciemnospójni. Ściągnij, kogo się da. Niech będą w pobliżu i czekają w gotowości. Przy odrobinie szczęścia może to nie będzie totalna klapa.

- Zrozumiałam. Bez odbioru.

Tahiri otworzyła oczy. Nie było w nich konsternacji, tylko gniew. Spróbowała poruszać głową, a następnie przetoczyła się na plecy.

- Musiał mnie walnąć całym frachtowcem? - Jej głos brzmiał prawie normalnie; Jagowi wracał słuch.

Naciągnął z powrotem opancerzoną rękawicę.

- Jak widać, chociaż jest szalony, nie znaczy, że jest niezdarny. Kto by pomyślał? - Założył znów hełm.

Tahiri wstała.

- Gdzie mój miecz świetlny?

Jag także wstał, spoglądając na rumowisko.

- Pewnie gdzieś pod spodem.

Kobieta zrobiła kwaśną minę.

- Coraz lepiej.

Seff wyrzwał zza kolejnego rogu na jednej z podziemnych kondygnacji i dostrzegł holokamerę monitoringu w korytarzu. Sprawił, że rejestrowany przez nią obraz stał się na chwilę zamazany, kiedy przed nią przebiegał.

Nikt go nie gonił; nic też nie wskazywało na to, żeby wewnętrzne siły bezpieczeństwa więzienia zdawały sobie sprawę z jego obecności. Teraz czuł już Valina - słabe, przyćmione światełko w Mocy - bardzo blisko, jeden albo dwa poziomy wyżej i nie więcej niż czterdzieści metrów w bok od niego.

Wystarczyło proste obejście, żeby otworzyć drzwi turbowindy na tym poziomie. Projektanci więzienia nie ułatwili mu zadania, projektując szyby wentylacyjne zdecydowanie za wąskie, żeby mógł się przez nie przeczołgać dorosły człowiek. Jednak nie była to jedyna droga. Wpatrywał się teraz w górę na część szybu turbowindy. Sama kabina windy stała nieruchomo, wysoko ponad nim. Seff podejrzewał, że stan pogotowia po wybuchu skutkowało zablokowaniem wszystkich turbowind na określonym poziomie. Tym lepiej dla niego. Przeskoczył na drabinkę w głębi szybu i zaczął się wspinać.

Drzwi znajdujące się dwie kondygnacje wyżej stanowiłyby jeszcze łatwiejszą przeszkodę - jeśli chciało się je sforsować od strony niechronionego wnętrza szybu, a nie z zewnątrz - gdyby nie fakt, że musiał jedną ręką wykonywać delikatną elektroniczną robotę, drugą uwieszony na skrzynce z aparaturą sterującą drzwiami. W końcu jednak drzwi dały za wygraną.

Po drugiej stronie stało trzech uzbrojonych i opancerzonych strażników. Stali tyłem do windy, ale kiedy drzwi się odsunęły, odwrócili się ze zdziwieniem.

Seff wskoczył pomiędzy nich.

- Przepraszam - powiedział, po czym kopnął brutalnie tego po lewej kolanem w brzuch, a jednocześnie przyłożył łokciem w skroń temu po prawej, rozbijając mu hełm.

Ten, który stał pośrodku, cofnął się, unosząc karabin blasterowy. Wystrzelił, ale Seff wyczuł jego zamiary - tamten celował w klatkę piersiową - i się uchylił. Wiązka przeleciała tak blisko jego pleców, że przypiekła mu łopatki.

Seff zapalił swój miecz świetlny i przeciął karabin blasterowy u podstawy lufy. Strażnik cofał się dalej z otwartymi szeroko oczami, a kiedy sięgnął po komunikator, Seff kopnął go prosto w szczękę.

Strażnik padł nieprzytomny z niepokojąco przekrzywioną żuchwą.

Seff rozejrzał się dookoła. Ten poziom więzienia, znajdujący się jeszcze pod powierzchnią planety, był słabo oświetlony i cichy. Na lewo i prawo od turbowindy prowadził wysoki główny korytarz o metalowych ścianach. Było w nim wiele drzwi - niektóre z nich bardzo duże, a wszystkie zamknięte. Seff pokiwał głową. Był to zapewne poziom magazynowy i można było się spodziewać, że właśnie tu umieścili bezbronnego Valina Horna.

W rogu pod sufitem była zamontowana holokamera, wycelowana prosto w niego - dokładnie w miejsce, gdzie wsiadało się i wysiadało z turbowindy. Jeśli ktoś obserwował w tej chwili obraz z tej holokamery, musiał go widzieć. Z nadzieją, że nie został jeszcze zauważony, Seff wywołał zakłócenia na parę chwil, które zajęło mu zamknięcie drzwi turbowindy i przeciągnięcie trzech nieprzytomnych strażników poza pole widzenia holokamery. Potem pozwolił jej powrócić do normalnego działania.

Ruszył korytarzem w lewo, przesuwając palcami po każdym mijanych drzwiach i zamazując obraz z każdej holokamery, gdy tylko znajdował się w jej zasięgu.

Zaskoczył go fakt, że w więzieniu nie zjawiała się cała armia fałszywych Jedi. Każda siła zdolna do infiltracji Zakonu Jedi i zastąpienia jego członków sobowtórami dokonałaby tego łatwiej przy współpracy rządu, co oznaczało, że rząd i Jedi powinni stać ramię w ramię. To zaś z kolei ułatwiłoby im wysłanie tu za nim fałszywych Jedi. A jednak zjawiała się jedynie fałszywa Tahiri. Dlaczego? Czyżby rząd oparł się jakoś sobowtóróm? Seff poczuł iskierkę nadziei.

Z drugiej strony mogły być może były dwie grupy sobowtórów - które w dodatku wcale ze sobą nie współdziałały. Jedna mogła przeniknąć do Zakonu Jedi, druga do rządu. Tak, to miałoby sens.

Gdy podszedł do najbliższych większych drzwi, wyczuł pulsację w Mocy. Z całą pewnością Valin, choć osłabiony, był w środku. Zabrał się do rozpracowywania systemu zabezpieczeń drzwi. Panel zabezpieczeń okazał się nowy i bardzo skomplikowany, niewątpliwie zainstalowany ze względu na znaczenie przetrzymywanego tu więźnia.

Seff zapalił miecz świetlny i zanurzył go w durastalowych drzwiach. W niecałą minutę, jako że nie były one tak trwałe jak drzwi pancerne, wyciął w nich dużą dziurę.

W głębi korytarza drzwi turbowindy ponownie się otworzyły i pojawiła się w nich fałszywa Tahiri. Twarz zakrywał jej kaptur. Nie miała miecza świetlnego.

Zauważyła Seffa, ale zamiast ruszyć ku niemu, odwróciła się i popatrzyła na holokamerę skierowaną na turbowindę. Zaczęła podskakiwać, machając do holokamery.

Seff westchnął. Postanowiła wykorzystać przeciwko niemu siły więzienia. To mogło utrudnić mu zadanie.

Wślizgnął się do środka przez świeżo zniszczone drzwi. Był to magazyn, wypełniony starymi meblami, zepsutym sprzętem do ćwiczeń, komputerami pamiętającymi czasy Starej Republiki... i

ogromnym stelażem na kółkach, na którym wisiało karbonitowe więzienie Valina Horna.

Valin był niewątpliwie skrupowany, kiedy poddano go zamrożeniu. Stał z rękami z tyłu, z wyrazem bólu i oburzenia na twarzy - ciemnoszara nakrapiana statua, zamknięta w prostokątnej płycie. Wzdłuż prawej krawędzi karbonitu umieszczono panel kontrolny.

Seff łypnął do niego i wstukał pospiesznie serię poleceń. Na maleńkim ekraniku pojawił się napis: „Błąd. Wprowadź kod dostępu”.

Seff spojrział gniewnie na urządzenie. Nadszedł czas, żeby zmierzyć się z ostatnią warstwą zabezpieczeń.

Powietrze przeszył ostry dźwięk alarmu. Po chwili sztuczny Mando przecisnął się przez dziurę w drzwiach.

Seff ruszył ku niemu, zapalając ponownie swój miecz. Zamachnął się już, żeby zabić natrętnego wroga, jednak mężczyzna przyjął cios na umiejętnie nadstawioną rękawicę. Cios nie doszedł celu. Nie ulegało wątpliwości, że przeciwnik nosi prawdziwe mandaloriańskie rękawice, wykonane z beskaru.

Seff obrócił się i skierował klingę na ramię fałszywego Mando. Ten sparował cios drugą rękawicą- niewątpliwie miał jakieś doświadczenie w obronie przed mieczem świetlnym - ale Seff uniósł rękę i, wykorzystując mankiet rękawicy jako punkt oparcia, opuścił klingę, która trafiła przeciwnika w ramię. Cios okazał się jednak zbyt lekki.

Tunika fałszywego Mando przepaliła się w miejscu trafienia, a brzegi tkaniny zajęły się ogniem. Seff, cofając się, dostrzegł, że napierśnik pod spodem także jest zrobiony z beskaru.

W porządku. Następnym jego celem powinna być szyja. Rzucił się do przodu, kreśląc klingą łuk w oszałamiającym wizualnie ataku...

...gdy nagle coś wyrwało mu miecz świetlny z ręki. Broń poszybowała w powietrzu; jej czubek musnął kaptur fałszywego Mando, odsłaniając metalowy hełm, rękę zaś wylądowała w dłoni nie-Tahiri, która przechodziła właśnie przez dziurę w drzwiach. Kobieta natychmiast wyłączyła miecz i odkręciła głowicę, przez co broń stała się bezużyteczna. Przynajmniej na razie.

Seff spojrział na karbonit, w którym uwięziony był jego kolega.

- Wybacz, Valinie. Nie tym razem.

- Raczej nigdy - powiedziała fałszywa Tahiri.

Seff posłał gestem stelaż, na którym zawieszony był Valin, w kierunku swoich przeciwników. Nie-Tahiri zdążyła uskoczyć. Fałszywy Mando był zbyt wolny; staranowany przez stelaż, poleciał na bok.

Gdy karbonit zbliżał się do niego, Seff uniósł go dwa metry w górę, pozwalając mu uderzyć o drzwi. Sam pobiegł za nim, przeskoczył przez wyciętą przez siebie dziurę, a następnie spuścił za

sobą stelaż, który spadł na podłogę, tarasując chwilowo wyjście.

Seff popędził korytarzem w kierunku swojego wyjścia. Drzwi turbowindy, które miał przed sobą, były wciąż otwarte, ale słyszał odgłos zbliżającej się kabiny.

Nie było czasu, żeby ocenić jej prędkość ani odległość, jaka została do przebycia. Jeśli będzie miał szczęście, to przeżyje i ucieknie. W przeciwnym razie zginie. Słyszał, jak ktoś odsuwa karbonit z Valinem; rozpędził się, pomagając sobie Mocą, i wskoczył do szybu turbowindy. Dosięgnął szczebli drabinki na jego tylnej ścianie, ale nie złapał się ich, tylko poleciał w dół.

Nadjeżdżająca kabina windy zatrzymała się tuż nad jego głową. Chwycił szczeble parę metrów niżej i zawisł, wsłuchując się w rozkoszny hałas więziennych wybiegających z windy. Uśmiechnął się. Nie mogli zatrzymać wytrenowanego Jedi ani nawet tak dobrego imitatora, jak fałszywa Tahiri, ale mogli opóźnić fałszywą Tahiri i jej kompana na tyle, żeby on zdążył uciec.

Rzucił się znów w dół i złapał kolejny szczebel pięć metrów niżej, a następnie zaczął schodzić w dół szybu.

- Skąd ten pośpiech? - Dab potarł zaspane oczy i aż się skulił, kiedy Jaina podprowadziła śmigacz na odległość kilkudziesięciu centymetrów od szybko lecącej ciężarówki repulsorowej, zboczyła ze swojego pasa ruchu, tak że znaleźli się w jednej linii ze śmigaczami nadlatującymi z naprzeciwką, wyprzedziła ciężarówkę i wróciła na właściwy pas, mijając większy pojazd o długość dłoni. Inne śmigacze skręcały gwałtownie i chygotały się lekko w nerwowym oczekiwaniu na kolejny szalony manewr pojazdu Jainy.

- Żaden pośpiech - skłamała Jaina. - To tylko zemsta.

- Zemsta za co?

- Za obudzenie mnie w środku nocy trzy razy w ciągu ostatnich paru tygodni.

- Taką mam pracę. Nie sprawia mi to żadnej przyjemności.

- Za to mnie sprawiają przyjemność takie numery. - Jaina posłała śmigacz w prawo, w wąską arterię. Zanurkowała stromo w dół, pokonując niezgodnie z przepisami trzy poziomy ruch powietrznego, zanim zeszła na pas ruchu znajdujący się najbliżej powierzchni.

Wszędzie dookoła widać było światła pasaży dla pieszych. W tej okolicy, podupadłym, niszczącym rejonie, gdzie budynki mieszkalne stopniowo ustępowały miejsca starym, źle utrzymanym gmachom rządowym, ruch powietrzny był niewielki, a przechodnie nieliczni.

Trzeba było Dabowi przyznać, że nie wrzeszczał ani nie trzymał się pasów bezpieczeństwa. Pokręcił tylko głową, pogodzony z losem.

- A więc lecisz się spotkać z Jaggedem Felem?

Jaina otworzyła szeroko oczy. Zrozumiała, że Dab nie miał pojęcia o prawdziwym celu tej wycieczki - którym było wsparcie Jaga, Tahiri i Winter, gdyby było to absolutnie konieczne -i sądził, że chodzi o romantyczną schadzke. No i najwyraźniej sądził, że Jaina rozpaczliwie jej potrzebuje.

Wściekła na niego, włączyła ciąg wsteczny silników, tak że cisnęło nimi o pasy bezpieczeństwa, po czym skręciła ostro w prawo, w boczny korytarz powietrzny.

Wciśnięty z powrotem w fotel przez normalne przyspieszenie, Dab potarł obolałą klatkę piersiową.

- Au - stęknął.

- Nie lecę spotkać się z Jagiem, a dla ciebie to jest przywódca Imperium Fel.

- W porządku!

- Jest tu taki mały park na dachu, który lubię.

- Oczywiście. O tej porze...

Gdy zbliżyli się do wyjątkowo dużego bloku mieszkalnego, Jaina poderwała ostro śmigacz i posłała go zupełnie pionowo w górę. Kątem oka widziała rysy Daba ściągnięte w grymasie spowodowanym przyspieszeniem.

W końcu dotarli do szczytu budynku. Ustawiła śmigacz równo z dachem, po czym wylądowała błyskawicznie na szerokim trawniku. Był to faktycznie park ze starannie rozmieszczonymi stawami, drzewami i klombami, zajmujący całą powierzchnię tego dachu oraz kilku okolicznych budynków. Transport pomiędzy dachami zapewniały odkryte turbowindy zabezpieczone barierkami.

Dab odetchnął z ulgą.

- Rozumiem.

- Czyżby?

Pokiwał głową.

- Przyjeżdżasz w środku nocy do tej zapuszczonej dzielnicy, ubrana w niepozorne brązowe ubranie, i chodzisz sobie po parku z nadzieją, że ktoś cię zaatakuje, a ty będziesz mogła go pobić. W ten sposób rozładowujesz stres i masz okazję dorwać paru groźnych przestępców.

Popatrzyła na niego. Była to genialna wymówka i zrobiło jej się głupio, że sama na to nie wpadła.

- Masz absolutną rację.

- No cóż, to chyba odpowiednie zajęcie dla Jedi.

- Prawda? - Odpięła pasy i wyskoczyła ze śmigacza. Wskazała na miejsce, gdzie drzewa były najgęstsze. - Pochodzę sobie ścieżką za tymi drzewami.

Dab także rozpiął pasy.

- Idę z tobą.

- O, nie. Jest niniejsza szansa, że ktoś mnie zaatakuje, jeśli będzie nas dwoje.

- Za to większa, że mnie ktoś zaatakuje, jeśli będę sam jeden.

- Fakt. - Wskazała na kępę krzaków oddaloną nieco od jej drzew. - Schowaj się tam i czekaj na mnie. - Pobiegnęła w stronę drzew.

Oczywiście nie był to wcale jej ulubiony park. Po prostu znajdował się na dachu budynku, w którym Winter wynajęła kwatery dla zespołu Ciemnospójni. Z tego miejsca słyszała syreny pojazdów służb porządku publicznego daleko w dole, przybywających, żeby zająć się kraterem, jaki pojawił się na placu kilkadziesiąt minut wcześniej.

Za drzewami znalazła wejście do turbowindy i zjechała na poziom gruntu.

Seff przeskoczył przez dziurę, którą wyciął w drzwiach pancernych, zrobił salto i wylądował na nogach po drugiej stronie. W tunelu zobaczył stertę gruzu, powstałą w wyniku wybuchu detonatora termicznego; między nią a nim stało sześciu zaskoczonych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa Sojuszu.

Seff westchnął. Oczywiście otworzyli swoje wejście do tunelu, żeby sprawdzić, co się stało. I oczywiście trafili tutaj.

Oczywiście najwyższy stopniem z funkcjonariuszy krzyknął:

- Stać! Ręce do góry!

Seff uniósł ręce - tyle że wierzchem dłoni w ich stronę - wykonał gest chwytania i szarpnął.

Gruzy, kawałki metalu i permabetonu oderwały się od sterty i pomknęły w jego kierunku.

Funkcjonariusze stojący z tyłu, słysząc hałas, odwrócili się i w tej samej chwili spadł na nich lecący z ukosa deszcz odłamków, który zasypał im piersi i twarze. Pierwsze fragmenty kamiennej konstrukcji i durastalowych wsporników powaliły ich, a kolejne zaskoczyły trzech funkcjonariuszy na przedzie. Jeden z nich, trafiony, mimowolnie wystrzelił; wiązka minęła Seffa o metr.

Seff ruszył naprzód, atakując kopniakami dwóch funkcjonariuszy, którzy jeszcze się ruszali. Obaj legli w końcu nieruchomo. Wyrwał jednemu karabin blasterowy, a drugiemu pistolet. Upewnił się, że oba są ustawione na ogłuszanie.

Jego wejście nie było zasypane gruzem, ale metalowa pokrywa tkwiła z powrotem na swoim miejscu. Seff wyciągnął rękę, żeby ją odsunąć, ale zawahał się, czując dziwny niepokój.

Ponownie wykonał gest, tym razem posyłając wielki kawał ukraszonego permabetonu prosto w metalową pokrywę. Uderzenie zerwało metal, który owinał się wokół bryły. Rozległy się elektryczne trzaski i skwierczenie. W dziurze wisiał teraz fragment kabla.

Seff się uśmiechnął. Odsunął gestem kabel i lekko przeskoczył na drugą stronę.

Nie musiał się rozglądać. Wyprostował się, wycelował karabin blasterowy i strzelił. Ogłuszająca wiązka trafiła w cel, zanim jeszcze Seff zdążył mu się przyjrzeć.

Była to kolejna kobieta, również w obcisłym czarnym stroju, z twarzą ukrytą pod kapturem. Upadła na podłogę z zamkniętymi oczami.

Zatrzymał się na chwilę, żeby ocenić sytuację. Wyczuwał w Mocy wiele żywych istot w tunelu i kolejne nadciągające z obu stron. Czuł także żywe istoty ponad sobą i ich liczba ciągle rosła.

Popędził w stronę szybu prowadzącego na powierzchnię, mając nadzieję, że się nie zawalił.

ROZDZIAŁ 23

Mirax Horn, siedząc za sterami śmigacza, który ukradła zaledwie kilkanaście minut wcześniej z parkingu przed hotelem Wymarzone Wakacje u Kallada, krążyła kilometr od zakładu karnego imienia Armanda Isarda. Przed oczami migwały jej błyskające światła pojazdów uprzywilejowanych wokół krateru, który zdominował krajobraz niewielkiego placu przed więzieniem.

Winter nie powiedziała jej zbyt wiele. Musiała koniecznie pomóc Jedi; okej. Miało to związek z sytuacją jej syna; okej. Niezwykle ważne było też, żeby nie została rozpoznana; na szczęście tej zasady trzymała się, odkąd była nastolatką. Miała czekać w pobliżu i być w pogotowiu; okej. Wszystko to było jej drugą naturą. Chociaż obecnie działała przeważnie w zgodzie z prawem, była córką zbrodniarza, a swego czasu przemytniczką i rebeliantką. Potrafiła załatwić broń i amunicję, kiedy była taka potrzeba. Wiedziała, jak nie zostawiać śladów. I chętnie z tej wiedzy korzystała, jeśli wiedziała po co.

- Moneta, tu Siekacz. Czy mnie słyszysz?

Nowym kryptonimem Mirax była Moneta; zmarszczyła brwi, zastanawiając się, dlaczego Winter utożsamiała ją tylko z forszą. Ta kobieta praktycznie wychowała trójkę dzieci Leii i Hana Solo - musiała więc wiedzieć, jak bardzo Mirax przeżywa to, co działo się z Valinem, zarówno jego chorobę - jeśli była to choroba - jak i jego straszliwe uwięzienie.

I kim był Siekacz? Głos, chyba kobiety, wydawał się zniekształcony. Mirax podniosła do ust komunikator.

- Siekacz, tu Moneta. Mów.

- Nasz cel prawdopodobnie wychodzi teraz przez właz dla robotników przed samym więzieniem. Za wszelką cenę, powtarzam, za wszelką cenę musimy go zgarnąć.

- Zrozumiałam. - Mirax ustawiła się w korytarzu powietrznym prowadzącym prosto do krateru. Zbliżając się do niego z tej strony, musiała przelecieć nad więzieniem, co było zdecydowanie nielegalne, i zanurkować ostro w dół. - Jak powinnam go zgarnąć?

- Nie mam pojęcia. Może spróbuj go tylko nękać. On jest uzbrojony i bardzo, bardzo niebezpieczny.

- Aha, świetnie. Kto mi zapewni wsparcie?

- Wszyscy, jak tylko tam dotrzemy.

- A w tej chwili?

- Nikt.

Mirax zamilkła. Nie chciała zadawać kolejnych pytań, by nie dostawać złych odpowiedzi.

Na jej drodze pojawił się pojazd Służby Bezpieczeństwa Sojuszu, który nadawał na wszystkich kanałach komunikaty dla pojazdów cywilnych, nakazujące opuścić tę strefę. Mirax zanurkowała i przeleciała pod nim, tak blisko, że odruchowo schyliła głowę. Była prawie pewna, że pilot zdążył jej się dobrze przyjrzeć, co byłoby dla niego jeszcze jedną wskazówką, że coś jest nie tak; Mirax miała arkusz transpystalowej folii owinięty wokół twarzy, który zakrywał wszystko poza oczami i nosem, zniekształcając nie do poznania jej rysy.

Znajdowała się teraz nad więzieniem. Reflektory, które się uniosły, żeby ją oświetlić, niemal ją oślepiły. Wyraźnie słyszała wycie alarmów wewnątrz budowli. Wprowadziła śmigacz w lot nurkowy.

Zobaczyła krater, który przypominał ślad po uderzeniu asteroidy, otoczony przez pojazdy rządowe. Kobiety i mężczyźni na dole gapili się teraz na nią. Nigdzie nie było widać...

Chociaż nie, był tam - rozchochraną mężczyzną w szarym kombinezonie robotnika, z karabinem blasterowym w rękach, wyłączający niepostrzeżenie z szybu serwisowego. Mirax pokiwała głową. Jej cel był w polu widzenia. Pozostawało pytanie, jak go dorwać.

Najlepsza taktyka na tę chwilę: przelatywać nad nim i zmuszać do ucieczki do czasu, aż zjawi się wsparcie. I spróbować nie dać się przez ten czas zestrzelić.

Wyrównała lot tuż nad powierzchnią, ignorując kolejne reflektory wymierzone w nią z kilku pojazdów Służby Bezpieczeństwa Sojuszu, i skierowała się w stronę swojego celu, gdy nagle uderzyła głową w lewy iluminator. Ktoś ją staranował? Zaskoczona, lekko zamroczone, odbiła w prawo, wprost na rządowy biurowiec, którego iluminatory były w większości ciemne.

Wykonała ostry skręt i pomknęła wzdłuż fasady budynku, pod kątem prostym względem powierzchni planety; repulsory ledwie uchroniły ją przed zaryciem w ścianę gmachu, a ich siła wybiła kilka iluminatorów. Po chwili Mirax, oddalając się od fasady budynku, ponownie zaczęła wyrównywać lot, masując sobie skronie.

Pokręciła głową i wykonała ciasną pętlę, kierując się z powrotem w stronę swojego celu. Co się właściwie stało?

Biegając w kierunku kordonu sił bezpieczeństwa otaczającego więzienie, wokół którego zebrał się tłum przechodniów i dziennikarzy, Jaina obserwowała rozwój wypadków. Duży cywilny śmigacz w jaskrawoczerwonym kolorze, zupełnie niepasującym do tajnych operacji, pędził za Seffem, który wyszedł z szybu serwisowego. Pojawił się jednak jeszcze jeden pojazd - niewielka szybka ciężarówka repulsorowa, która nadleciała z lewej strony czerwonego śmigacza. Przez przednią szybę udało się rozpoznać pilota - była to Zilaash Kuh, łowczyni nagród. Jaina zaklęła pod nosem.

Ciężarówka uderzyła bokiem w śmigacz, spychając go z kursu, a następnie kontynuowała ślizg

boczny, tak żeby znaleźć się z boku nad Seffem Hellinem. Quarren, Dhidal Nyz, wychylił się z platformy ciężarówki i ze swojej ogromnej broni strzelił do Seffa.

Seff uskoczył w bok ze zręcznością doświadczonego Jedi, jednak siatka Quarrena miała zbyt duży zasięg. Owinęła się wokół niego tak samo, jak niedawno wokół Jaina. Kiedy sznur łączący ją z bronią naprężył się, Quarren omal nie przeleciał nad barierką, ale był przygotowany na szarpnięcie. Poderwał Seffa do góry i pociągnął za pojazdem.

Jaina się skrzywiła. Seff musiał doświadczać takich samych elektrowstrząsów jak wcześniej ona. Stwierdziła, że bardzo nie lubi tego Quarrena.

Ale ciężarówka repulsorowa leciała teraz prosto na nią.

Czerwony śmigacz kręcił się w kółko. Jaina sięgnęła po miecz świetlny i włączyła komunikator.

- Moneta, tu Siekacz. Twoja paczka jest w sieci. Leć za nią.

- Zrozumiałam. - Pomimo zniekształceń w głosie Mirax słysząc było irytację.

Kiedy ciężarówka repulsorowa ją mijala - niezupełnie nad jej głową - Jaina zapaliła miecz świetlny i cisnęła nim, nadając mu kierunek i prędkość dzięki Mocy. Jego jaskrawa klinga przecięła metalowy sznur. Jaina ustawiła się pod swoją spadającą bronią, ale swoje telekinetyczne wysiłki przeniosła na Seffa, spowalniając jego opadanie.

No, w pewnym stopniu. Nie wiedziała, na ile ładunki elektryczne w sieci obezwładniły Seffa. Pozwoliła mu dosyć mocno uderzyć o permabeton i usłyszała jego głośny jęk, kiedy wyładował. Ciężarówka repulsorowa pędziła dalej, a Dhidal Nyz wpatrywał się w nich ze zdziwieniem; po chwili Quarren odwrócił się i zaczął walić pięścią w tył kabiny pilota.

Jaina złapała swój miecz świetlny, wyłączyła go i popędziła do Seffa. Stała przy nim, depcząc i rozgniatając zasilacz sieci.

Seff spojrział na nią, oszołomiony.

- No, nie. Jeszcze i ty?

- Przykro mi. - Rąbnęła go w głowę rękojeścią miecza świetlnego. Prymitywne, mało eleganckie uderzenie, ale wywołało zamierzony efekt. Seff osunął się na ziemię.

Śmigacz Mirax wyładował obok niej. Wykorzystując Moc, żeby zwiększyć swoją siłę, Jaina podniosła Seffa i rzuciła go na tylne siedzenie, a następnie wskoczyła na miejsce obok niego.

W odległości niecałych stu metrów pojazdy rządowe wokół krateru odrywały się od ziemi i kierowały w ich stronę. Jaina popatrzyła na Mirax.

- Szybki jest?

- Kradnę tylko najlepsze.

- Leć, leć.

Śmigacz przyspieszył i błyskawicznie się ulotnił.

Funkcjonariuszka sił bezpieczeństwa stojąca przy swoim pojeździe patrzyła, jak cztery jednostki jej kolegów ruszają w pościg za czerwonym śmigaczem. Musiała jednak przeczuwać jakieś niebezpieczeństwo. Odwróciła się, chwytając za pistolet blasterowy, ale w tej samej chwili Tahiri uderzyła ją otwartą dłonią w podbródek, omijając hełm. Funkcjonariuszka poleciała na swój śmigacz, po czym osunęła się na ziemię.

Podążający za Tahiri Jag, z Winter na ramieniu, schylił się, żeby maszyna osłoniła go przed spojrzeciami innych funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa, ale wszyscy oni patrzyli na uciekający śmigacz. W tłumie alarmów i syren nikt nie słyszał ataku Tahiri.

- Ja poprowadzę - zaproponował Jag.

- Ja poprowadzę - warknęła Tahiri, wskakując na fotel pilota. - W tej skorupie jesteś zwrotny jak nerf w foteliku dziecięcym. Wątpię, żebyś poradził sobie ze sterami.

- Latałem myśliwcem w tym stroju. - Jag otworzył tylny właz i ostrożnie ułokował Winter w środku, a potem wsiadł sam. - Leć...

Zanim dokończył zdanie, Tahiri poderwała już śmigacz z ziemi, włączyła światła, syreny i dołączyła do pościgu. Jag ledwie zdołał zatrzasnąć właz.

Mirax zerknęła na Jainę.

- Ty jesteś Siekacz?

- A co miałby robić Miecz Jedi, jeśli nie siekać? - Jaina wskazała na pojazd łowców nagród, który zawrócił i zmierzał w ich stronę. - Uważaj, żeby nie znaleźć się na linii ognia. Nie wiadomo, do czego zdolna jest broń tego Quarrena.

- Taa. - Jaina nie wiedziała, czy było to potwierdzenie, czy informacja o wyborze trasy, ale Mirax skręciła nagle w prawo, w wąski korytarz używany normalnie przez śmieciarki i ekipy konserwacyjne. Był to tunel na poziomie gruntu z wylotem przy każdym skrzyżowaniu z arterią. Manewr był na tyle gwałtowny, że Jaina poleciała na Seffa i wpadła na właz po lewej stronie. Seff cały czas pozostawał nieprzytomny.

Za nimi podążyło pięć śmigaczy sił bezpieczeństwa i pojazd łowców nagród - jako trzeci w kolejności.

- Mamy mało czasu. - Głos Tahiri nabrał przenikliwych tonów. - Jak wysłą za Jainą więcej pojazdów, może to być dla nas przegrany wyścig.

- Hoth jest ciągle nieprzytomna. A teraz będziemy musieli wyrwać rejestrator z tego pojazdu, skoro używasz prawdziwych imion.

- Racja, przepraszam. Kiedy podlecę do tej ciężarówki, dasz radę ją uszkodzić?

Jag odwrócił wzrok od Winter i się wyprostował. Spojrzał ponad ramieniem Tahiri. Znajdowali się teraz w połowie tunelu i nabierali prędkości. Ich śmigacz leciał na końcu i nic nie wskazywało na to, żeby któryś z funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa biorących udział w pościgu zdawał sobie sprawę, że ostatni z pojazdów znajduje się w rękach wroga.

- Straciłem blaster. Mam tylko parę granatów ogłuszających... Nie, czekaj. Podlec od dołu, tak żebym mógł dosięgnąć podwozia. - Oczekiwać czegoś takiego od zwykłego pilota byłoby szaleństwem, jednak Jedi byli z reguły równie niezwykli jak sam Jag.

Tahiri pokiwała głową i przyspieszyła. Minęła czwarty śmigacz sił bezpieczeństwa, lecąc tak nisko nad podłożem tunelu, że Jag czuł nacisk repulsorów odpychających ich od permabetonu; widział odłamki na poziomie drogi, wyrzucane we wszystkich kierunkach przez ich siłę ciągu. Następny śmigacz przed nimi leciał zbyt nisko, żeby Tahiri mogła wykonać ten sam manewr, więc podleciała wyżej, ocierając się o dziób tego, który przed chwilą minęła. Wzbiła się pod samo sklepienie tunelu, ponad lecący przodem śmigacz.

Nagły odrzut repulsorów zepchnął śmigacz w dół i w lewo. Jag usłyszał, jak ociera się o ścianę tunelu, i po chwili był już za nimi; koziolkował po powierzchni, sypiąc iskrami. Jag wzdrygnął się. Miał nadzieję, że funkcjonariusze w środku, którzy niczym nie zawinili w tym całym zamieszaniu, wyjdą z tego cało.

Pojazd łowców nagród był teraz bezpośrednio przed nimi, a stojący na jego platformie Quarren koncentrował się na śmigaczu Mirax. Tahiri znów obniżyła lot, ustawiając się tuż pod ciężarówką, tak blisko niej, jak tylko pozwalała na to siła ciągu jej repulsorów.

Jag zamknął osłonę swojego hełmu, opuścił transpastalową szybę w iluminatorze i wyciągnął rękę w stronę podwozia ciężarówki, jednak siła ciągu repulsorów odrzuciła jego rękę. Zdołał przezwyciężyć ten nacisk, ale wciąż nie mógł dosięgnąć podwozia pojazdu; brakowało mu paru centymetrów.

Zaklął i otworzył właz. Trzymając się jedną ręką dachu śmigacza, sięgnął jak najwyżej. Musiał zmagać się z naporem repulsorów, które dociskały go w dół.

Nagle mignęły im światła ruchu powietrznego, gdy razem z całą kawalkadą minęli skrzyżowanie odsłaniające na chwilę niebo, a potem znów znaleźli się w tunelu.

Jag chwycił się lewą ręką maszynerii na podwoziu ciężarówki. Wyteżając siły, wspomagane przez serwomechanizmy w rękawicy, zgniótł dysze repulsorów. Potem złapał wylot silnika manewrowego i zniekształcił go w podobny sposób. Dalej było dodatkowe ogniwo energetyczne...

...które eksplodowało, kiedy je ścisnął. Niewielki wybuch zasypał go drobnymi kawałeczkami metalu, aż poczuł ukłucia na szyi i ramionach. Z uszkodzonego miejsca zaczął się wydobywać dym.

Ciężarówka repulsorowa zwolniła i została w tyle za śmigaczem Tahiri. Jag widział Zilaash Kuh, która wpatrywała się w pulpity sterownicze i waliła w drążek. Po chwili podniosła wzrok i zauważyła go.

Gdyby to był ktoś inny, pewnie wykonałby jakiś nonszalancki gest, ale Jagged Fel znany był wśród pilotów i Jedi z tego, że zupełnie nie miał poczucia humoru...

Chociaż w tej chwili nie był Jagiem Felem. Był tajemniczym mężczyzną, który nie powinien nigdy zostać powiązany z Jagiem Felem. Posłał więc Zilaash Kuh całusa, usiadł z powrotem w fotelu i zatrzasnął właz. Pojazd Kuh został jeszcze bardziej z tyłu, aż w końcu zniknął w oddali.

Mirax musiała krzyczeć, żeby Jaina ją usłyszała.

- Dwa pojazdy odpadły.

- Przedostatni jest nasz - odkrzyknęła Jaina. - Tahiri i Jag nim lecą. - Wróciła do swojego zajęcia. Wyciągnęła opakowanie środków uspokajających, które nosili przy sobie wszyscy członkowie Ciemnospójni biorący udział w tej misji, i wstrzyknęła Seffowi jego zawartość. Była to żmudna praca; powietrzne akrobacje Mirax sprawiały, że nawet najprostszy zabieg medyczny był niemal niewykonalny.

W końcu się udało. Upewniła się, że kaptur zakrywa jej twarz i odwróciła się w kierunku pogoni.

Nawet w przypadku doświadczonego Rycerza Jedi przestawienie śmigacza za pomocą telekinezy wymagało koncentracji, zwłaszcza kiedy zadanie utrudniały szybkie ruchy pojazdu. Zdołała go jednak uchwycić i pchnąć w bok - delikatnie, ale stanowczo. Śmigacz zarył prawym bokiem w ścianę tunelu, ścierając warstwę metalu. Jego wnętrze wypełniło się iskrami i dymem. Pilot nagle zwolnił i zniżył lot, rozpaczliwie próbując odzyskać panowanie nad pojazdem.

Jaina to samo zrobiła z następnym śmigaczem, a wreszcie, gdy Tahiri się zbliżyła, z ostatnim pojazdem w kawalkadzie.

Nagle nie było już za nimi wrogiego pościgu. Tahiri wyłączyła światła i syreny.

Jaina, znająca Coruscant lepiej od innych, poprowadziła Mirax do ciemnego zaułka nieopodal jednej z głównych arterii. Dwa śmigacze wylądowały tam w mroku.

Jag wyrwał urządzenie rejestrujące z pojazdu sił bezpieczeństwa i zmiażdżył je tak, żeby nie dało

się odczytać z niego żadnych danych. Teraz piątka spiskowców zebrała się w jednym miejscu. Winter wreszcie się ocknęła, choć wciąż była jeszcze oszołomiona, a jej odruchy spowolnione.

- W porządku. - Jaina popatrzyła po innych: skonsternowanej, lecz zdecydowanej Mirax, spoconym, lecz pewnym siebie Jagu, uspokojonej Tahiti; bladej, ale uśmiechniętej Winter. - Już prawie jesteśmy w domu. Mirax, pójdiesz ze mną. Musimy ukraść jeszcze jeden śmigacz. Potem podrzucisz mnie na pewien dach niedaleko od miejsca, gdzie doszło do tej całej rozróby. Jag, musisz wracać do ambasady Szczątków Imperium?

- Ambasady Imperium Galaktycznego. Tak, muszę.

- W porządku. Wysadź Jaga gdzieś w okolicy, Tahiri, potem poprowadzisz Mirax do hangaru Mistrzów w Świątyni. Tekli was wpuści.

Kiedy Jaina i Mirax się oddaliły, Winter usunęła dowody rzeczowe ze śmigacza sił bezpieczeństwa i z czerwonego pojazdu ukradzionego przez Mirax. Jag zdjął swoją zbroję i ubrał się ponownie w absurdalnie teraz obszerną czarną tunikę. Gdy Jaina i Mirax wróciły z nową zdobyczą - solidnym żółtym śmigaczem ze sztywnym dachem, w którym zmieściłoby się dwoje dorosłych, ośmioro dzieci i Wookie - Jag upchnął zbroję w przedziale bagażowym razem z siecią Quarrena i elementami odzieży, które mogłyby być obciążającymi ich dowodami. Pozbawiony zbroi, znów stał się dobrze zbudowanym mężczyzną normalnej wielkości.

Jaina rzuciła mu pełne niepokoju spojrzenie.

- Niewielu nie-Mando nosi rękawice i napierśniki z beskaru. Wprawdzie fakt, że ty nosisz, nie jest powszechnie znany, ale;..

Położył palec na jej ustach, żeby ją uciszyć.

- Nie martw się. Załatwiłem sobie alibi. Jak każda rozsądna głowa państwa mam dublera, który teraz ciężko pracuje w mojej kwaterze, udając mnie.

Jaina odsunęła jego palec.

- Moja matka nie korzystała z dublera.

- No cóż, najwyraźniej była szalona.

To wywołało chichot u Winter. Pozostali spojrzeli na nią.

Winter wskazała na siebie, Jainę i Jaga.

- To brzmi jak toast za nasze rodziny. Za szalone kobiety i pilotów, którzy się za nimi uganiają.

Jag uniósł w jej stronę wymaginowany kieliszek.

ROZDZIAŁ 24

Pieczary Ukrytego, Dorin

Ben nie miał szklistego spojrzenia, chociaż wolałby mieć. Godziny drażenia litej skały za pomocą kilofów zmęczyły go i rozwścieczyły. W teorii on i Luke powinni wykopać sobie stałe kwatery w galerii mieszkalnej, co mogło trwać latami; w istocie jednak Ben wiedział, że nie zostaną tutaj tak długo, co oznaczało, że każde uderzenie kilofa idzie na marne.

Ale teraz, po skończonej pracy i sanisaunie, w świeżym ubraniu - nawet jeśli były to takie same nijakie szaty, jakie nosili wszyscy w tych pieczarach - Ben czuł się nieco lepiej, idąc razem z ojcem na audiencję do Ukrytego.

Ben zerknął na ojca.

- A więc jaką masz strategię?

Luke zmarszczył brwi, zaintrygowany.

- Strategię?

- Jak chcesz go przekonać, żeby wypuścił nas z tej dziury?

- Ben, jaki jest nasz cel?

- Wydostać się!

- Chodzi mi o cel, który przywiódł nas na Dorina.

- Aaa... Dowiedzieć się czegoś o Jacenie.

- Gdybyśmy tam weszli i zażądali, żeby nas wypuścił, a on by się zgodził i jakimś magicznym sposobem przetransportował nas na powierzchnię, nie zrealizowalibyśmy tego celu.

- No, tak. Ostatecznie to jest najważniejsze.

- Ostatecznie tak. Ale ponieważ nie ciąży na nas presja czasu, róbmy wszystko w logicznej kolejności.

Ben westchnął.

Z głównego korytarza przeszli do wspólnej jadalni, która o tej godzinie, pomiędzy popołudniowym a wieczornym posiłkiem, była niemal pusta. Sala nie była zbyt wielka; w pieczarach żyło mniej niż pięćdziesięciu Kel Dorów i mogła lekko pomieścić ich wszystkich. Stoły, wycięte pieczołowicie z

kamienia i gładko oszlifowane, były ustawione w równe rzędy i otoczone podobnymi kamiennymi ławami.

Ukryty siedział przy najbliższym stole. Kiedy Skywalkerowie weszli, przywołał ich skinieniem.

Nieformalny charakter tego spotkania irytował Bena. Ukryty był praktycznie królem, choć jego królestwo było małe, a mimo to na ważnym spotkaniu z drugim Mistrzem nie towarzyszyli mu żaden doradcy.

Luke usiadł naprzeciwko Ukrytego.

- Dziękuję, że zechciałeś nas przyjąć.

Ben zajął miejsce obok ojca.

Ukryty rzucił im bezzębny uśmiech.

- To żaden kłopot. Możliwość rozmowy z tymi, którzy dopiero co przybyli ze świata na powierzchni, jest jedną z naszych nielicznych przyjemności. Jak rozumiem, chcecie dowiedzieć się czegoś na temat Jacena Solo.

- Tak.

- Przybył tutaj, to znaczy do świątyni w Dor'shanie, jakieś dziewięć lat temu; pełen życia, bardzo pewny siebie. Pragnął wiedzy na temat Mocy, zwłaszcza tego, jak pojmują ją osoby spoza jego Zakonu.

- Czy dostrzegałeś w nim jakieś oznaki... - Luke się zawahał, szukając odpowiednich słów... - tego, czym miał się później stać?

- Sądzę, że na duszy miał blizny, ale wydawały się zaleczone. Z licznych rozmów z nim wywnioskowałem, że miał niespokojne dzieciństwo i że w dużym stopniu odciął się od niego, tak jakby to była martwa część ciała, którą trzeba amputować, bo stanowi zagrożenie dla życia. - Popatrzył na Bena. - Jesteś jego kuzynem, tak? Czy z tobą jest tak samo?

Ben pokręcił głową.

- W tej rodzinie nie można mieć normalnego dzieciństwa, więc chyba coś mnie łączy z Jacenem. Obaj przez długie okresy byliśmy rozdzieleni z rodzicami. Ja też byłem torturowany, chociaż nie tak długo jak Jacen. - Zobaczył, że jego ojciec powstrzymuje grymas. - Nie wiem, czy jak będę w wieku Jacena, zechcę odrzucić swoje dzieciństwo, ale nie sądzę. Choćby dlatego, że on tak zrobił, a to nie jest dobry przykład.

- Ciekawe.

- Uczyłeś go technik piorunochronu, tak? - ciągnął Luke.

- Najpierw uczyłem go technik przewidywania pogody i umiejętności wyczuwania energii nagromadzonej w świecie natury. Można na przykład wyczuć ciepło w wodach morskich, takie ciepło, które zamienia się w cyklon. Ale on słyszał pogłoski o technikach piorunochronu i zapytał mnie o nie.

- Czy Jacen cię czegoś nauczył?

- Trenowałem z nim walkę.

Luke uniósł brwi.

- Jesteś jednym z Baran Do szkolonych w walce?

- Tak. Za życia byłem nauczycielem Charsae Saala, obecnie Chary. Baran Do, którzy uczą się sztuk walki, trenują głównie walkę wręcz i na kije, a ja chciałem się nauczyć obrony przed mieczem świetlnym.

- I jaką wyciągnąłeś z tego naukę?

- Miecz świetlny jest bronią Mocy, więc jeśli nie jesteś podobnie uzbrojony, musisz walczyć z nim Mocą.

Luke przytaknął skinieniem głowy.

- Czy miałeś wrażenie, że Jacen zmaga się z jakimś problemem, przemożnym lękiem czy zmartwieniem?

- Nie. Wydawał się spokojnym człowiekiem. Nie powiedziałbym, że był szczęśliwy, ale spokojny... tak.

Luke usiadł wygodniej i się zamyślił.

- Kiedy odlatywał z Dorina, czy powiedział ci albo dał jakieś wskazówki co do tego, dokąd się wybiera? - spytał Ben.

- Nie, nie wydaje mi się. - Oczy Ukrytego zaszły mgłą. - Mówił coś o powrocie na Coruscant. Chyba zakończył swoją pogoń za wiedzą, przynajmniej na jakiś czas. Ale było jeszcze coś... Pewnego dnia spytał mnie, co wiem na temat miejsc, gdzie energia Mocy skupia się i utrzymuje, chociaż nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje.

Luke nachylił się znów do przodu.

- Szkoliłem się w jednym z takich miejsc. To było skupisko energii Mocy na małym bagnistym świecie.

- Pod koniec swojego pobytu wykazywał nagłe zainteresowanie takimi rzeczami. Sądzę, że znalazł coś w trakcie badań źródeł pisanych, ale nie naszych. Być może przywiózł to z jednego z miejsc,

które odwiedził wcześniej.

- Ale nie wymieniał żadnych imion ani nazw?

- Nie.

Luke zerknął na syna.

- To chyba wszystko, jeśli o mnie chodzi. Coś jeszcze przychodzi ci do głowy?

- Owszem, ale w innej kwestii.

- Mów.

Ben spojrzał Ukrytemu prosto w oczy.

- Czy zabijecie Jedi, którzy zjawią się tutaj, szukając mnie i mojego taty?

Ukryty wytrzeszczył oczy.

- Czy zabijemy? My nie robimy takich rzeczy.

- Ale oni na pewno się tu zjawią. A kiedy nie uzyskają satysfakcjonujących odpowiedzi, przyślą kogoś takiego jak Mistrz Horn, który jest świetny w prowadzeniu dochodzenia. On odkryje prawdę. Dlatego pytam: ilu ich zabijecie, żeby wasz mały sekret nie wyszedł na jaw?

- To nie jest żaden mały sekret! - Ukryty wydawał się niemal zażenowany swoim wybuchem; rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt tego nie widział, i zaraz skupił uwagę z powrotem na Benie. Nachylił się do przodu. - To jest zarodek Baran Do. Zarodek, który musi wypuścić korzenie i wykiełkować, jeśli sam Zakon zginie. Nigdy nie żyłeś w czasach, w których groźba zagłady całej kultury była czymś zupełnie realnym...

Ben roześmiał się na cały głos.

- Urodziłem się w środku wojny z Yuuzhan Vongami. Pamiętasz to? Może niewiele z tego do was docierało. Moje najwcześniejsze wspomnienia są związane się z ukrywaniem się, z otaczającą ciemnością i świadomością, że jeśli nas znajdą, to wszystkich wybiją. I teraz widzę to samo. - Wskazał na szaro-czarne kamienne ściany komnaty. - Strach przed unicestwieniem przez nieznanego wroga. Wojenna trauma. Cierpią na nią zarówno cywile, jak i żołnierze. Myślę, że wy właśnie na to cierpicie.

- Ty mały potworze. - Ukryty zionął gniewem. - Czy jesteś zbyt głupi, aby zrozumieć, że Jedi stoją w obliczu nowej czystki?

Ben rzucił mu tylko pogardliwe spojrzenie.

- Oto arogancja młodych. - Ukryty zwrócił się do Luke'a. - Ty z pewnością zdajesz sobie sprawę,

że Jedi czeka kolejna czystka. Jeśli nie będą na nią przygotowani, znów mogą zniknąć, tym razem na zawsze.

Luke pokręcił głową.

- Nie sądzę. Rozmawiałem osobiście z przywódczynią Sojuszu. Nie ma w planach zagłady Jedi.

- Ona może nie. A co z jej podwładnymi? Co ze strategami wojskowymi? Wszyscy oni doszli do władzy w następstwie wojny, której przebieg był tak straszny z powodu jednego Jedi. Ostatnie wydarzenia są mi znane. Holowiadomości tu docierają. - Ukryty zaczął liczyć na palcach. - Po pierwsze, przywódca Jedi, niegdyś ogromnie popularny, zostaje zdyskredytowany. Zakon Jedi ulega osłabieniu. Po drugie, przywódca ten zostaje wygnany, pozbawiając Zakon swojej siły i mądrości. Zakon znów się osłabia. Po trzecie, każdemu Jedi zostaje przydzielony obserwator, informujący rząd o jego lub jej aktualnym położeniu. Jedi są teraz bardziej narażeni na zmasowany atak, na masową eksterminację. Kiedy Jedi zaczną nosić urządzenia namierzające? Kiedy zaczną im wszczepiać materiały wybuchowe? Wszystko to w imię bezpieczeństwa Sojuszu, tak?

Luke posłał mu twarde, nieprzejednane spojrzenie.

- Mylisz się.

- To ty się mylisz! Sam osłabiłeś własny Zakon. Los Jedi spoczywa teraz w rękach przywódców, którzy są słabsi i mniej doświadczeni od ciebie. Ten upadek będzie postępował, aż Zakon uwikła się w beznadziejną walkę z rządem i stanie się praktycznie bezbronny. I wtedy znów zginie.

Ben uśmiechnął się pogardliwie.

- A ty sprzeciwiasz się zniszczeniu Zakonu Jedi?

- Oczywiście, że tak!

- Więc czemu przyczyniasz się do niego, przetrzymując nas tutaj?

Ukryty wstał i Ben myślał przez chwilę, że Kel Dor go zaatakuje. Ukryty jednak odwrócił się i wyszedł, poruszając się tak szybko, że szaty aż wirowały wokół niego.

Kiedy zniknął im z oczu, Luke popatrzył na Bena z łagodną naganą.

- Musisz popracować nad swoimi młodzieńczymi odruchami konfrontacyjnymi.

- To nie był młodzieńczy odruch, tato. To był odruch śledczy.

Luke zrobił lekko zdziwioną minę.

- To prawda, nie okazujesz emocji, jakich spodziewałbym się po drażliwym szesnastolatku.

- Przesłuchanie nie może być zawsze uprzejme i kulturalne, tato. Nauczyłem się tego od Lona

Shevu. W pewnym momencie trzeba przycisnąć, żeby zobaczyć, jak przesłuchiwany zareaguje. - Wskazał kierunek, w którym oddalił się Ukryty. - A co wywołało u niego taką reakcję? Wrogowie. Rząd Sojuszu, który może zniszczyć Jedi. Jedi, którzy szukając nas, mogą znaleźć jego. Wszyscy są przeciwko niemu, tato.

- Innymi słowy to paranoik.

- Co najmniej. Może być bardziej szalony niż piraniożuk z gwoździem w głowie.

- Niewykluczone. Problem... - Luke się zastanowił. - Problem polega na tym, że może też mieć rację. Zakon Jedi faktycznie jest osłabiony i może mu grozić realne niebezpieczeństwo.

- Musimy sprawdzić, czy uda nam się skontaktować z Jainą albo ciocią Leią poprzez Moc.

Luke pokręcił głową.

- Próbowałem wczoraj w nocy, kilka razy. Są jakieś zakłócenia... Albo pierwszy Ukryty wybrał to miejsce dlatego, że w naturalny sposób ukrywało jego popleczników przed użytkownikami Mocy, albo Baran Do opanowali jakąś technikę, która daje taki sam efekt. Tak czy inaczej, nawiązanie kontaktu wydaje się mało prawdopodobne. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

Szyb prowadzący do podziemnego kompleksu, Kessel

- Kontrola lotów do Łotra. Zgłoś się. Odbiór.

Wedge, wiszący w swoim X-wingu zaledwie parę metrów od nowego szybu wydrążonego w białej jak kreda glebie, włączył mikrofon w hełmie.

- Tu Łotr. Jestem już na to za stary.

- Zrozumiałam, za stary. - Koyi Komad, twi'lekańska żona Nrina Vakila, która pełniła funkcję kontrolera lotów, wydawała się rozbawiona. - Rozpoczynaj spadek.

- Chyba zejście. - Wedge podprowadził swojego X-winga jeszcze kawałek, aż znalazł się dokładnie nad szybem. Pozostałe myśliwce zgromadziły się wokół niego na tej samej wysokości; ich piloci czekali na podobne polecenia Koyi.

Wedge zredukował moc repulsorów i zaczął schodzić w dół. Po chwili już otaczały go kamienne ściany, tak niedawno wydrążone, że strumień powietrza z jego repulsorów nieustannie wzbijał tumany pyłu i drobnych kamyków. Włączył reflektory lądowania, żeby móc zobaczyć przez owiewkę kabiny otchłań, którą miał pod sobą.

Przez swój zestaw łączności usłyszał kolejne komunikaty:

- Kontrola lotów do Sąsiadki, zgłoś się.

- Kontrola, tu Sasiadka. - Głos Inyri Forge brzmiał rzeczowo i czujnie, bez tego nonszalanckiego przeciągania samogłosek, które cechowało tak wielu emerytowanych pilotów, nie wyłączając Wedge'a. - Wszystko na zielono.

- Sasiadka, rozpoczynaj zejście.

Dwa kilometry w dół, jakie miał do pokonania, upłynęły Wedge'owi szybko. Spędził je, słuchając meldunków pozostałych pilotów i poleceń, jakie otrzymywali od kontroli lotów. Sygnał był cały czas mocny, jako że ekipy Landa umieściły w tunelach urządzenia wzmacniające. Wedge został jednak poinformowany, że im bardziej się oddali od wejścia, tym większe będzie prawdopodobieństwo zanikania sygnału; ekipy Landa nie miały czasu ani środków, żeby wyposażyć wszystkie tunele w aparaturę wzmacniającą.

Gdy doleciał do końca szybu, Wedge znalazł się w szerokim tunelu o wysokim sklepieniu, prostym jak trajektoria torpedy protonowej. Rzucił okiem na ekran nawigacyjny, obrócił X-winga w prawo i odpalił silniki.

Oczywiście w tym środowisku myśliwiec nie mógł zdeklasować nawet zwykłego śmigacza pod względem szybkości. Nie można było sobie pozwolić na rozwinięcie pełnej prędkości w miejscu, gdzie co kilometr albo dwa pojawiały się nagłe zakręty, rumowiska lub nawet niebezpieczne formy życia. Mając jednak na Wzglądzie obecność materiałów wybuchowych oraz rzekomych pajaków energożernych, o których mówił Han, Wedge zdecydowanie wołał mieć wokół siebie pancierz i tarcze z kompozytu niż cienką durastalową powłokę.

Podążał zgodnie z trasą wyświetlaną na pulpicie nawigacyjnym przerywaną linią, która prowadziła go daleko od wejścia. Każdy z pilotów robił to samo: kierował się do odległego punktu startowego, znacznie oddalonego od pozostałych. Następnie mieli ruszyć w jeszcze bardziej skomplikowaną drogę powrotną, zrzucając śmiertelne ładunki w każdej mijanej pieczarze. Piloci musieli także robić postoje na uzupełnienie uzbrojenia; X-wing Wedge'a mógł przenosić tylko sześć pocisków, więc czekały go jeden albo dwa takie postoje.

Wedge poczuł znajome ściskanie w żołądku i napięcie mięśni. To nie była misja bojowa, ale ktoś mógł zginąć... a w przypadku niepowodzenia całą planetę czekała zagłada.

Han i Leia, siedząc w kabinie „Sokoła”, patrzyli, jak ostatni myśliwiec, A-wing Nrina Vakila, rozpoczyna zejście. „Sokół” był następny. Han obejrzał się przez ramię na Allanę, która siedziała z tyłu.

- Jesteś dobrze przypięta, mała?

Allana pokiwała z powagą głową.

- Tak jak i ja - zapewnił siedzący obok Allany C-3PO. - Rozumiem, że nie zadał mi pan tego samego pytania, bo zakładał pan, że jestem porządnie zapięty.

Han odwrócił się z powrotem.

- Ty zawsze powinieneś być porządnie spętany, Złota Sztabo.

- Nie rozumiem, proszę pana.

Leia spojrzała na Hana z wyrzutem.

- Han chciał powiedzieć, że powinieneś być zawsze bezpieczny, Threepio.

- Oczywiście to właśnie miałem na myśli. - Han wcisnął guzik na konsolce łączności. - Gotowy, Artoo?

Z głośników dobiegł potwierdzający gwizd. R2-D2 był w przedziale serwisowym, przygotowany na ewentualne problemy techniczne.

- „Sokół Millennium”, tu kontrola lotów. Meldujcie.

- Mamy tu ubaw po pachy - zameldował Han, wywołując tym chichot Allany. - A ty?

- Chciałabym. Możecie ruszać.

Han podleciał do przodu, po czym zaczął ostrożnie schodzić w dół. Wydrążony w tym celu otwór, przestronny jak dla myśliwców, ledwie mieścił „Sokoła” i dwa statki, które leciały za nim. Han uważnie śledził odczyty informujące o odległości od przeszkód.

Wkrótce jednak ponownie znalazł się na samym dole i obrał drogę, która poprowadziła „Sokoła” na południowy wschód.

Przy pierwszych kilku pieczarach, jakie odwiedził Wedge, obyło się bez żadnych przygód. Zatrzymywał się przy wlocie do jaskini, uzbrajał system torped protonowych, celował uważnie w stos ładunków wybuchowych na środku i strzelał. Pocisk, z relatywnie tanim detonatorem termicznym zamiast drogiej głowicy torpedy protonowej, zdolnej do uszkodzenia statku, mknął w kierunku ładunków i lądował w podłożu parę metrów przed stosem. Po chwili pojawiały się migoczące kule światła - straszaki - które wyłaniały się z podłogi, sufitu lub odległych rzędów maszyn. Wedge zawracał, odpalał silniki i na tym koniec.

Zbliżając się do piątej pieczary, Wedge zobaczył w prowadzącym do niej tunelu zwierzęta - głównie pareczniki, a także jednego wielkiego szkarłatnego pająka. Zwierzęta uciekały, niekiedy atakując się nawzajem. Wedge pokiwał głową; jeden ze śmigaczy wyposażonych w systemy dźwiękowe był tu widać niedawno i wykonał swoje zadanie. Ostrożnie zbliżał się do pieczary; obecność śmigacza mogła przyciągnąć straszaki, a nie chciał, żeby któryś z nich uszkodził systemy jego myśliwca, nawet na chwilę. Jednak kiedy dotarł do jaskini, w zasięgu wzroku nie było żadnych straszaków; zobaczył tylko kilka na odczytach sensorów X-winga. Wyglądało na to, że znajdują się przy przeciwległym wejściu do pieczary.

Wedge zawisł, wystrzelił swój ładunek i zawrócił.

Tuż nad nim coś grzmotnęło i Wedge aż podskoczył, gdy przed nim, na owiewce kabiny pojawił się zielony parecznik o długości metra. Stworzenie wiło się, wałąc kolcem na ogonie o transpastał.

Nie udało mu się jednak przebić. Kilka centymetrów sześciennych czarnego płynu, zapewne jadu, pociekło po owiewce kabiny. Parecznik uderzał raz po raz, wydzielając z każdym ciosem coraz mniejsze ilości jadu.

- Przykro mi, koleś. - Wedge ruszył powoli naprzód. - Nie ma tu nic do jedzenia.

Droid astromechaniczny Wedge'a zacwierał z tyłu. Dźwięk ledwie dochodził przez owiewkę kabiny, ale był wyraźnie słyszalny przez system łączności X-winga. Wedge sprawdził tłumaczenie na konsolce łączności, żeby się upewnić, że dobrze rozumiał.

- Zgadza się, Wałek. Jeszcze jeden pocisk i będziemy musieli uzupełnić zapas.

Parecznik, reagując na głos jednostki R2 albo na ruchy jej obracającej się głowy, zaczął pełznąć po owiewce kabiny w kierunku droida. Wedge obserwował jego poczynania, dzieląc uwagę pomiędzy tunel, który miał przed sobą, i to, co działo się za jego plecami.

Stworzenie zatrzymało się w odległości pół metra od Wałka i uniosło ogon, przygotowując się do uderzenia.

Na przedniej części droida otworzył się niewielki panel. Wysunęła się z niego sonda i dotknęła parecznika. Wedge usłyszał cichy, brzęczący odgłos i zobaczył błękitny błysk ładunku elektrycznego, który poraził stawonoga. Ciałem parecznika wstrząsnęły drgawki i oszołomione stworzenie spadło z X-winga. Wałek schował sondę i zaniknął panel.

Wedge się uśmiechnął. Przy odrobinie szczęścia powinien to być najgroźniejszy przeciwnik, z jakim przyjdzie mu się dzisiaj zmierzyć.

Na skrzyżowaniu tuneli, tak szerokim że samo mogło uchodzić za pieczarę, Wedge posadził swojego X-winga obok dwóch innych pojazdów.

Jednym z nich był śmigacz towarowy o długiej platformie, załadowanej plastikowymi skrzyniami. W trakcie swojej kariery Wedge widział więcej takich skrzyń, niż mógłby policzyć. Każda z nich mieściła sześć lub osiem torped protonowych. Jedną ze skrzyń rozładowywał właśnie młody mężczyzna o rudawo-żółtych włosach, który uśmiechnął się i zamachał do Wedge'a; pomagał mu droid załadunkowy, wyższy o połowę od swojego ludzkiego partnera. Jego zwalista konstrukcja była zaprojektowana z myślą o dźwiganiu ciężarów i powolnych ruchach.

Obok spoczywał jedyny biorący udział w tej operacji myśliwiec przechwytyjący typu Eta-5. Przypominał nieco A-winga - miał elegancki klinowaty kształt, jednak z boków kadłuba odchodziły rozporoki, do których przymocowano zakrzywione do wewnątrz płyty baterii słonecznych, podobne do

tych w starym Eta-2. Myśliwiec był pomalowany na ciemnoniebieski kolor, ale nie miał oznaczeń planetarnych ani żadnych innych.

Opierała się o niego Rhysati Ynr, szczupła jasnowłosa kobieta, ubrana w czarną wersję munduru pilota A-winga. Gdy tylko Wedge otworzył kabinę, odepchnęła się od kadłuba i podeszła do X-winga.

- Obudziłeś się już, generale?

- Niechętnie.

- To cię rozbudzi. - Rhysati odwróciła się w stronę młodego człowieka zajmującego się uzbrajaniem jej pocisków. - Hej, młody, chodź tu i przedstaw się.

Nastolatek posłusznie przytruchtał do nich. Miał zwartą budowę, a na sobie jasnobrązowy kombinezon.

- Dzień dobry, panie generale. Jestem Drathan Forge.

Wedge pokręcił głową i uniósł brew.

- Forge. Siostrzeniec Inyri?

- Cioteczny wnuk.

- I pracujesz dla Landa?

- Tymczasowo. Głównie jako mechanik. Ale jestem dobrym pilotem. Złożyłem podanie o przyjęcie do akademii i zostałem warunkowo przyjęty. Muszę tylko poprawić stopnie przez najbliższy rok.

- No to powodzenia.

Droid załadunkowy wyprostował się i odwrócił swoją głowę w kształcie trójkąta w stronę Drathana.

- Dwanaście pocisków załadowanych i gotowych do użycia - zadźwięczał metalicznie jego głos.

- W porządku. - Młody człowiek wskazał na X-winga. - Przygotujmy sześć formatów protonowych dla tego tutaj. - Pożegnał Wedge'a niedbałym salutem i wrócił do pracy.

Wedge skupił z powrotem uwagę na Rhysati.

- Co u Nawary?

- Żałował, że nie może lecieć ze mną. Gdyby nie wyciągał akurat Jedi z tego prawnego bagna, na pewno czymś by tutaj latał.

Wedge wskazał na jej myśliwiec przechwytyjący.

- Wygląda na szybki.

- Nigdy takim nie latałeś?

Pokręcił głową.

- Ćwiczyłem trochę na symulatorze, ale nigdy nie siedziałem w prawdziwym. Moja córka Syal na nich latała.

- Chcesz się zamienić na resztę operacji?

Wedge zamrugał, zaskoczony.

- Co, tak w środku misji?

- No jasne. To nie wojsko, Wedge. Bardziej to przypomina wieczór kawalerski z ciężkim uzbrojeniem. Co nam Lando zrobi, jak się zamienimy?

Wedge wygramolił się z kabiny. Wiedział, że emerytowanemu oficerowi nie przystoi takie widowisko. Z drugiej jednak strony... nie musiał już świecić przykładem.

ROZDZIAŁ 25

Świątynia Jedi, Coruscant

Tahiri i Mirax prowadziły Seffa między sobą, trzymając go pod ramiona niczym pijanego kompana; nie był tęgi, a one były silnymi kobietami, więc problem stanowiła raczej jego niezgrabność niż waga. Przed nimi szła Tekli, a za nimi Winter.

Ciągnęły nieprzytomnego Jedi przez zaciemniony hangar dla śmigaczy, starając się zachować jak największy spokój i koncentrację; inni Jedi, zwłaszcza Mistrzowie, do których należał ten hangar, mogliby wyczuć ich wzburzenie. Nie natknęły się jednak na nikogo w korytarzu przed hangarem i nikt się nie zjawił, kiedy zmierzały do najbliższej turbowindy.

Gdy doszły do windy, usłyszały szum nadjeżdżającej kabiny. Tahiri i Mirax obróciły Seffa i razem z Winter i Tekli schowały się w ciemnym zakamarku, zanim drzwi turbowindy się otworzyły.

Tekli wyrzała na korytarz i odetchnęła z ulgą. Skinęła na swoje towarzyszki. Wyszły z ukrycia i zobaczyły, że przy windzie czeka na nich Jaina.

- Jakież problemy z twoim obserwatorem? - spytała Tahiri, gdy wsiadały do kabiny.

- Nie. Współczuł mi, że nie udało się dziś złapać żadnego przestępcy. - Jaina zamrugła, przybierając niewinny wyraz twarzy. - Wygląda na to, że moja nocna wycieczka zakończyła się kompletną klapą.

- Drugi poziom medyczny - zwróciła się do systemu sterowania turbowindą Tekli.

Dolny poziom medyczny był cichym, pełnym powagi miejscem o nagich ścianach i drzwiach bez okienek - całkiem podobnym, jak zauważyła Tahiri, do więzienia, w którym dopiero co była.

W głębi jednego z magazynów na artykuły medyczne znajdowały się drzwi z napisem: „Materiały radioaktywne. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Przy drzwiach umieszczono panel kontrolny. Tekli wstuknęła kod dostępu.

- Tylko Mistrzynie Cilghal i ja jesteśmy upoważnione do wejścia. Nawet Mistrz Hamner musi przyjść do nas. To jest mniejsza z dwóch komór przeznaczonych do składowania materiałów radioaktywnych. Przeniosłam stąd wszystko do głównej komory. - Drzwi się rozsunęły i cała grupa weszła do niewielkiego pomieszczenia; w ścianie po prawej stronie znajdowały się uchylne drzwi, grube niczym drzwi pancerne, a za nimi kolejne pomieszczenie. Na jego wyposażenie składało się ciężkie łóżko szpitalne i aparatura monitorująca.

W parę minut przypięły Seffa do łóżka i podłączyły do monitorów. Jaina odetchnęła wreszcie z

ulgą; zadanie zostało wykonane i teraz Jedi mogli zacząć czerpać korzyści z wiedzy, jaką posiadał Seff.

- Poradzisz sobie tutaj ze wszystkim? - zwróciła się do Tekli.

- Tak, tak.

- Chodźmy na główny poziom. Możecie się doprowadzić do ładu, jest tam pełno zapasowych ubrań, i wypić filiżankę kawy. Odpocząć trochę.

Mirax pokręciła głową.

- Muszę wracać do siebie. Nie wiadomo, kiedy wróci Corran.

Winter także zrobiła smutną minę.

- Niestety nie mogę.

Jaina westchnęła.

- Wypuszczę cię przez ten sam hangar, przez który się tu dostałaś. Bez obaw. Tahiri?

Tahiri nie wyglądała na przekonaną.

- No, nie wiem. Jest wielu Jedi, którzy nie wspominają mnie zbyt ciepło...

- Więc powinni wiedzieć, że łączą nas dobre stosunki. Damy im do myślenia. - Ton Jaina był stanowczy. - Chodź.

- No, dobrze.

Jaina i Tahiri, po sanisaunie i w czystych ubraniach, rozmawiały ściszymi głosami, sącząc świeży kawę. O tej porze wspólna jadalnia była niemal pusta. Rzędy prętów jarzeniowych rozmieszczonych wzdłuż ścian były już wyłączone i jedynie te na środku sufitu ciągle świeciły. Było to spokojne miejsce, zwłaszcza po wydarzeniach sprzed niecałej godziny. Tahiri rozglądała się dookoła tęsknym wzrokiem.

- Brakuje ci tego?

Tahiri przytaknęła.

- Więc wróć.

Tahiri pokręciła głową.

- Nie. Przynajmniej jeszcze nie teraz... Czyżbyś przejęła od Luke'a Skywalkera chęć ratowania wszystkich po kolei?

- Lepsze to niż dążenie Dartha Vadera do naprawy galaktyki poprzez niszczenie wszystkiego, co nie chce się podporządkować.

- Fakt. Jacen przejawiał tego wystarczająco dużo.

Do jadalni wszedł mężczyzna, zatrzymał się w cieniu przy głównym wejściu, po czym ruszył w ich stronę. Kiedy wyłonił się z cienia, Jaina stwierdziła, że to Dab.

Zamachał do nich, zbliżając się.

- Jedi Solo... Też nie mogłaś usnąć?

- Właśnie. Dab, pamiętasz Tahiri Veilę?

- No pewnie. - Podeszedł do ich stolika, wyciągając rękę do Tahiri. - Miło cię znów widzieć. Pewnie mnie nie pamiętasz. Z Borleias. Dab Hantaq.

Kątem oka Jaina dostrzegła nagły bezruch swojej towarzyszki. Odwróciła się w jej stronę i zobaczyła, że Tahiri zastygła z na wpół uniesioną filiżanką kawy. Oczy miała szeroko otwarte, a w nich wyraz takiego osłupienia, jakby właśnie postrzeliła się, czyszcząc blaster.

Nagle Jaina zdała sobie sprawę, dlaczego. Wzdrygnęła się w duchu.

- Tahiri, znałaś go jako Tarca - powiedziała łagodnym tonem. - Pamiętasz małego Tarca?

- Tarc - powtórzyła Tahiri. - Mały Tarc. Tak, oczywiście. - Jej głos brzmiał dziwnie mechanicznie.

Dab opuścił rękę.

- Dotrzymać wam towarzystwa?

Jaina pokręciła głową.

- Babskie pogaduchy. Wybacz.

- Rozumiem. Dobranoc paniom. - Dab odwrócił się i oddalił w poszukiwaniu wózka z kawą.

Tahiri powoli odstawiła filiżankę.

- On... on jest Anakinem.

Jaina pokiwała głową.

- Dlatego senator Shesh ścigała go przed laty. Chciała go wykorzystać ze względu na jego wygląd.

- Mogłaś mnie uprzedzić.

- Przyzwyczaiłam się do niego. Nawet o tym nie pomyślałam, kiedy kompletowałam ekipę Ciemnospójni. Zapomniałam. Przepraszam.

- Zapomniałaś? Miesiącami uzależniałam się od jego widoku, a potem przez kilka lat próbowałam się od tego uwolnić. A tu bach, nagle się zjawia. - Tahiri pobladła i drżała jakby z zimna. - I ty chcesz, żebym wróciła? Skoro on tu jest codziennie?

- Obserwatorzy nie zostaną tu na zawsze. Nawara Ven mówi, że Sąd Najwyższy skłania się do rewizji całego dekretu dotyczącego Jedi. Jeśli do tego dojdzie, na pewno uchylą większość jego postanowień, w tym obserwatorów...

- Nie zasługuję na tyle szczęścia. Wiem, jak będzie. - Twarz Tahiri przybrała ponury wyraz. - Ja wrócę, a oni przydzielą mi go jako obserwatora.

Pragnąc za wszelką cenę odwrócić uwagę Tahiri od jej nieżyjącego od dawna ukochanego, Jaina odtwarzała w pamięci wydarzenia ostatnich godzin.

- Twój miecz świetlny.

- Co?

- Zgubiłaś miecz świetlny w więzieniu.

Tahiri skinęła głową, zmieszana.

- Jeśli go znajdą...

- To co? - Tahiri z wyraźnym wysiłkiem odsunęła od siebie myśli o Dąbie. - Nie sądzę, żeby to był problem.

- Dlaczego?

- Prawdopodobnie przygniotły go tony kamienia. Może nigdy nie zostanie znaleziony. A jeśli nawet... cóż, jest nowy. Nie chciałam więcej używać swojego starego miecza Jedi. Ten dopiero co zbudowałam. Wzór rękojeści nie powinien być nigdzie zarejestrowany. Miałam na sobie rękawiczki, więc nie zostawiłam odcisków palców. Tak samo kiedy go składałam, więc nie ma żadnych odcisków wewnątrz.

- To dobrze.

- Ale Jag zgubił w tym samym czasie swój blaster...

- To też nie problem. Ten model był wykonany na zamówienie. Na tyle duży, żeby mógł go trzymać w swoich rękawicach. A jeśli nikt nie przesunie przełącznika na rękojeści, to wybuchnie, kiedy jest od niego oddalony przez określoną liczbę sekund.

- Naprawdę? Twój chłopak jest dziwny.

- Wiem.

Wzrok Tahiri powędrował do miejsca, gdzie Dab siedział samotnie przy długim stole, wpatrując się w maleńki ekranik swojej holokamery. Pewnie przeglądał ostatnie nagrania. Tahiri wstała.

- Muszę lecieć.

- Tahiri, nie powinnaś chodzić po ulicach w tym...

- Daj mi znać, kiedy zniknie stąd na zawsze. - Tahiri odwróciła się i wybiegła z jadalni.

Podziemny kompleks, Kessel

Misja trwała już parę godzin i jej organizatorzy mogli się nieco odprężyć.

Skupiska materiałów wybuchowych w całym olbrzymim kompleksie pieczar i tuneli wybuchały zgodnie z planem. Koyi Komad monitorowała przebieg misji z ruchomego stanowiska dowodzenia, pochodzącego z czasów imperialnych, a umieszczonego na orbicie planety. Lando i Tendra odremontowali je w tym celu. Donosiła, że wywołane eksplozjami wstrząsy robiły dokładnie to, co było w planie - występowały, a potem stopniowo słabły i znikwały, powodując jedynie zniszczenia, jakich można było się spodziewać po pojedynczych trzęsieniach gruntu. Ścisłe określona kolejność detonacji nie pozwalała zachodzącym na siebie wstrząsom wzmacniać się nawzajem, a sensory w Wielkim Uskoku Kessel, biegnącym wzdłuż osi planety, nie wykazywały żadnych nadmiernych ruchów ani niebezpiecznego nacisku.

„Sokół”, po wystrzeleniu ostatniego zmodyfikowanego pocisku w ostatniej pieczarze, stał na podłożu tunelu, zaledwie kilka kilometrów od szybu prowadzącego na powierzchnię.

Leia popatrzyła na Hana z zaciekawieniem.

- Możemy już lecieć.

- Owszem.

- Więc dlaczego nie lecimy?

- Ja wylecę jako ostatni. - Han wiedział, że sprawia wrażenie upartego albo nawet nadąsanego, nie zaś zdeterminowanego, ale nie dbał o to. Okazywał zbyt dużą nerwowość w podziemnym świecie Kessel, więc teraz chciał udowodnić sobie i planecie, że nie kieruje nim strach.

Leia obejrzała się przez ramię.

- Ścisłe rzecz biorąc, skoro Allana siedzi za nami, to ona wyleci jako ostatnia.

- I tak być powinno. - Głos Allany brzmiał stanowczo. - To ja wystrzeliłam ostatni pocisk.

Leia się uśmiechnęła.

- Masz rację, mała.

- Kontrola lotów do „Sokoła”, zgłoś się.

- Tu „Sokół”. - Han miał nadzieję usłyszeć komunikat, że wszystkie inne pojazdy już wyleciały i nie pozostało im nic innego, jak tylko trzymać się z dala od powierzchni planety do czasu, aż seria eksplozji dobiegnie końca.

- Zespół zaopatrzeniowy Epsilon się nie zgłasza. Prawdopodobnie spotkanie ze straszakiem. Jesteście najbliższą jednostką zdolną do przeprowadzenia akcji ratunkowej. Nasz ostatni śmigacz ratunkowy wyciąga właśnie pilota rozbitego poddźwiękowca. Możecie to sprawdzić?

- Jasne. Podaj współrzędne. - Han patrzył, jak na konsolcie nawigacyjnej pojawia się zestaw współrzędnych opartych na głównej *mapie* Kessel oraz przerywane linie wyznaczające schemat nawigacyjny na podstawie planu pieczar. - Już mam, dzięki.

Han włączył repulsory „Sokoła” i delikatnie podniósł frachtowiec ze skalistego podłoża tunelu.

Leia nachyliła się, żeby sprawdzić schemat nawigacyjny.

- Niedaleko. Musiał być już w drodze do wyjścia.

- A więc dopilnujmy, żeby tam dotarł.

Trasa poprowadziła ich przez pieczarę, której zniszczenie widzieli przed swoją wcześniejszą ucieczką z kompleksu. Większość żywych organizmów zabiła eksplozja; grota była słabo oświetlona przez nieliczne grzyby fosforyzujące, jakie pozostały na sklepieniu.

Po minięciu pieczary przelecieli najwyżej kilometr odchodzącym od niej tunelem, zanim zobaczyli członka zespołu Epsilon. Młody człowiek o rudawozłotych włosach biegł ku nim tak szybko, jak tylko pozwalały mu jego wyraźnie zmęczone nogi, i wymachiwał jak oszalały rękami. Był sam i nie miał przy sobie żadnego sprzętu.

Leia odpięła pasy.

- Pójdę po niego na rampę. - Wybiegła z kabiny, Han zaś posadził delikatnie „Sokoła” tak blisko biegnącego mężczyzny, jak tylko się dało. Gdy frachtowiec wylądował, Han usłyszał odgłos opuszczanej rampy. - Hej, Złota Sztabo, ustąp miejsca naszemu nowemu pasażerowi. Możesz dołączyć do Artoo na rufie.

- Tak jest. Jeśli muszę. - C-3PO odpiął pasy, przecisnął się niezdarne obok Allany i pospieszył na rufę.

- Łotr do „Sokoła”, zgłoś się.

- Tu „Sokół”, Wedge.

- Przyjęliście to zgłoszenie? Moja trasa powrotna prowadzi przez to miejsce, więc lecę w tym kierunku. Mogę zaczekać przy rozbitkach, aż tam dotrzecie.

- Nie, dzięki, jesteśmy już na miejscu. - Han usłyszał, jak podnosi się rampa. - Startujemy za jakieś dziesięć sekund.

- W porządku. Bez odbioru.

Rozległ się odgłos kroków na pokładzie i Leia wraz z ich nowym pasażerem weszła do kabiny. Han spojrzał na młodego człowieka. Był mokry od potu i dyszał tak ciężko, że prawie szlochał.

- Co ci się stało, chłopcze?

Młodzieniec opadł na fotel C-3PO. Piersz falowała mu rytmicznie.

- Biegłem.

- Gdzie twój partner?

- Zniszczony. Musimy uciekać.

Czując nagły niepokój, Han poderwał i obrócił „Sokoła”.

- Zniszczony przez co?

- Pajaka energożernego.

Hanowi odebrało na chwilę dech. Odpalił silniki i przyspieszył, kierując się w stronę wyjścia.

- Mam nadzieję, że to był jeden z tych nowych, czerwonych.

- Nie, był niebieski.

Han poczuł na plecach zimny dreszcz.

- Niedobrze. Powiedziałeś „zniszczony”, a nie „zabity”. Twój partner był droidem?

- Załadunkowym. Na ostatnim postoju usłyszeliśmy jakieś chrobotanie. Ruszyliśmy w stronę wyjścia, ale wpadliśmy na straszaka... dosłownie. Uszkodził nam śmigacz i światła oprócz kieszonkowych lamp jarzeniowych. Chrobotanie się przybliżyło i wtedy go zobaczyliśmy. - Han nie widział dreszczy, które wstrząsały młodzieńcem, ale nie musiał; słyhać to było w jego głosie. - Jayfor kazał mi uciekać, a sam ruszył na pajaka. Ostatnie, co widziałem, to jak pajak go całego owinął i jak ciemniej mu oczy.

- Taa... - Han nieco przyspieszył.

Tablica sensorów powiadomiła go o nowym kontakcie. Zerknął na tablicę i daleko w tyle zobaczył kropkę, która szybko ich goniła. Poczul nagłą obawę, że energożerne pająki mogą prześcignąć „Sokoła”, ale tablica sensorów zidentyfikowała ścigający ich obiekt jako Łotra.

- Wedge, tu Han. Pewnie już go minąłeś, ale gdzieś w twoim kierunku jest pająk energożerny. Zachowaj czujność.

- Nie widziałem go. Widziałem za to rozbitą ciężarówkę repulsorową i zniszczonego droida załadunkowego. To chyba ten sam, który był z Drathanem Forgem.

Han obejrzał się i odczytał nazwisko „Forge” na piersi kombinezonu chłopaka.

- Zgadza się, ale z chłopakiem wszystko w porządku. Po prostu miej oczy otwarte.

- Tak jest.

Leia skończyła przypinać się do fotela drugiego pilota.

- Jesteś spokrewniony z Inyri Forge?

- To moja cioteczna babka.

„Sokół” przemknął przez zrujnowaną pieczarę i wleciał do odchodzącego z niej tunelu. Gdy opuszczali grootę, Han dostrzegł na obrazie z tylnej holokamery, jak z drugiej strony wlatuje do niej pożyczony Eta-5 Wedge’a.

- Han, tu Wedge. Widzę twojego pająka.

- Gdzie?

- Na twoim...

Na iluminator kabiny spadła z góry owadzia noga. Wyglądała, jakby była z pustej w środku transpastali wypełnionej ciemnoniebieskim napojem gazowanym.

- ...kadłubie.

Han odruchowo podskoczył i gdyby nie pasy bezpieczeństwa, pewnie wypadłby z fotela. Allana wydała z siebie głośny pisk, który trwał i trwał. Drathan rzucił brzydkim słowem; Han, gdyby nie był bez reszty skupiony na niebieskiej nodze, wolałby, żeby Allana go nie słyszała.

Pająk musiał zeskoczyć na „Sokoła” ze stropu tunelu. Te stworzenia absorbowwały energię; pochłaniały wszystko, co aktywne sensory mogły przeciwko nim wykorzystać, i były niewykrywalne dla tego rodzaju urządzeń. Były to drapieżniki doskonałe... a teraz jeden z nich znajdował się w pobliżu jego rodziny.

Han niemal odrętwiał z szoku, ale wykorzystując lata doświadczeń, włączył deflektory energetyczne i omiół wzrokiem panel kontrolny uzbrojenia. Pocisków udarowych brak. Lasery - pełna moc... nie, dopływ mocy osłabł na chwilę, po czym wrócił do normalnego poziomu. Blaster przeciwpiechotny sprawny. Niczego jednak nie można było zastosować przeciwko pajakowi; górnego działka laserowego nie dało się obniżyć na tyle, żeby trafić w obiekt siedzący na kadłubie.

Allana cały czas krzyczała, chociaż Leia próbowała ją uciszyć, mając oczy utkwione w iluminatorze ponad nią, a rękę na mieczu świetlnym. Han miał ochotę krzyknąć: „To nic nie da, on go pochłonie, a potem nas wszystkich”, ale był zbyt zajęty. Deflektory nie działały, mimo że ich generatory świeciły na zielono.

Oczywiście, że nie działały. Pajak energożerny chłonił każdą cząstkę energii w swoim otoczeniu. A teraz jeszcze przygasły silniki - na niecałe pół sekundy, ale to wystarczyło, żeby Han poczuł, jak serce staje mu na dokładnie tyle samo czasu.

Pola ochronne nic nie dawały...

Nieprawda. Ciągłe pracowały - w przeciwnym razie pajak wyssałby już energię wprost z siedzących w kabinie pasażerów albo z silników, albo jedno i drugie. Han zerknął na Leię.

- Daj więcej mocy na osłony. Ile możesz.

Nachyliła się nad tablicą przyrządów.

- Powiedz, że masz poza tym jakiś plan.

- Jak będę miał, to ci powiem.

Allana wciąż krzyczała.

Pajęcza noga uniosła się, po czym spadła ponownie. Dołączyła do niej jeszcze jedna, zaopatrzona w groźnie wyglądające ostrze o ząbkowanej krawędzi.

Nawet poprzez zawrodozenie Allany dał się słyszeć głos C-3PO dobiegający z tylnej części frachtowca:

- Ależ proszę pana, nie jestem jeszcze dobrze przypięty...

Dotarli do skrzyżowania tuneli. Han skręcił ostro na bakburtę. Allana poleciała w bok, a pasy, którymi była przypięta do fotela, odebrały jej na chwilę dech. Han usłyszał kolejny krzyk z tyłu: „Ależzzzz...”, a po nim brzęk droida wpadającego na gródź z durastopu.

Kropka przedstawiająca myśliwiec przechwytyjący Wedge'a na tablicy sensorów była już blisko, a z konsoli łączności dobiegł jego głos:

- Han, mam go na celowniku.

Te słowa przyprawiły Hana o nowy rodzaj dreszczy. Strzał z bliźniaczych laserów myśliwca, gdyby chybił pająka i trafił w niechroniony przez osłony kadłub statku, mógłby bez trudu go przebić. A pająk siedział na kabinie.

Z drugiej strony... Wedge też o tym wiedział.

- Strzelaj.

Ściany tunelu wokół nich rozjarzyły się na zielono. Urządzenia diagnostyczne „Sokoła” nie odnotowały żadnych nowych uszkodzeń. Nogi energożernego pająka nie przestawały walić w kabinę, a sam pająk przechylił się bardziej do przodu, tak że jego fasetkowe oczy znalazły się na skraju iluminatora. Gapił się w dół, na żywe przysmaki wewnątrz kabiny. Allana znów zaczęła krzyczeć.

- Żadnego efektu. - Głos Wedge’a wyrażał w równym stopniu podziw, co irytację. - Pochłonął całą wiązkę. To jak strzelanie w próżnię skoczka koralowego.

- Świetnie. - Han zobaczył przed sobą snop światła, rozciągający się od podłoża do sklepienia tunelu. To słońce wpadało przez szyb wejściowy. - Lecimy w górę, Wedge.

- Lecę za tobą.

„Sokół” wykonał zwrot do pionu jak idealnie wyregulowany statek, który nie wszyscy w nim widzieli. Wysoko w górze Han dostrzegł krąg światła - ich punkt wyjścia. Ciosy energożernego pająka cały czas spadały na iluminator kabiny.

Han mógł wreszcie zobaczyć skutki ataków monstrualnego stworzenia na jego ukochany statek.

Nie było żadnych.

Na transpastali nie pojawiła się ani jedna rysa. Iluminatory się nie obluzowały.

Nawet bez działających pól ochronnych „Sokół” nie doznał żadnych uszkodzeń.

Han poczuł się tak, jakby ucisk na jego klatkę piersiową odpuścił niczym uwolniona nagle durastalowa sprężyna.

„Sokół Millennium” wyleciał na światło słoneczne, w kierunku blad różowego nieba. Han obrócił go wokół własnej osi i wyrównał lot.

Było inaczej niż trzy dekady wcześniej. Han Solo nie był już więźniem, uciekającym przed stworzeniem znacznie większym i znacznie bardziej niebezpiecznym od siebie. Siedząc za sterami „Sokoła”, sam był „Sokołem”. Kiedyś Han był jedynie drobną przekąską, teraz zaś ten przerażający pająk energożerny był jedynie drobną niedogodnością.

Dwie sekundy później myśliwiec przechwytyjący Wedge’a wystrzelił z wylotu szybu i natychmiast wyrównał lot. Wedge ustawił swój myśliwiec ponad „Sokołem” i trzymał się blisko, gotowy do podjęcia kolejnych prób zestrzelenia pająka. Tablica sensorów pokazywała, że inne myśliwce oraz

„Ślicznotka” zmierzają w ich stronę.

Han uśmiechnął się radośnie jak dziecko.

- Wedge, zrywaj się.

- Co?

- Zrywaj się. Sytuacja opanowana.

- Skoro tak mówisz... - Myśliwiec przechwytyjący wzbił się do góry, zostając jednocześnie w tyle. Najwyraźniej dla Wedge'a „zrywaj się” znaczyło „bądź w każdej chwili gotowy wrócić i otworzyć ogień”.

Han obejrzał się za siebie. Drathan Forge obejmował Allanę, osłaniając ją, chociaż oczy miał równie wielkie i przerażone jak ona - i tak samo utkwione w potworze nad nimi.

- Al... Amelio! - Han mówił teraz tak spokojnie i dobitnie, że nie tylko dziewczynka ucichła, ale też Leia popatrzyła na męża z zaciekawieniem. Drathan również oderwał wzrok od niepożądanego pasażera na górze.

- Tak? - odpowiedziała Allana.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją Han głosem, który nawet w jego własnych uszach zabrzmiał dziwnie spokojnie.

Pająk energożerny przechylił się jeszcze bardziej do przodu, opierając się potężnej sile wiatru, wytwarzanego przez szybki lot „Sokoła”. Otworzył zuwaczki, tryskając niebieskawym płynem, który zachlapał górną część iluminatora.

Han odwrócił się znów do przodu. Wprowadził „Sokoła” w szeroką, łagodną pętlę, kierując się z powrotem w stronę szybu.

- To czysta przyprawa, Amelio. Zauważ, jak się pieni w kontakcie ze światłem słonecznym. Ulega aktywacji i się zużywa.

- Jego nogi robią to samo. - Dziewczynka wciąż była przerażona, jednak analityczna obserwacja nieco ją uspokajała.

- Zgadza się. Gdyby za długo przebywał na słońcu, pewnie by zdechł. Leia, przygotuj się do odwrócenia kompensatorów inercyjnych. Niech wszyscy się przygotują na ostre hamowanie. - Podniósł głos. - Artoo, Threepio... was też to dotyczy.

- Co nas dotyczy, proszę pana?

Han sprowadził „Sokoła” do niecałych trzydziestu metrów nad powierzchnią planety. Odległość od szybu zmniejszyła się do kilometra, pół kilometra, jednej czwartej...

Han skinął na Leię, po czym odpalił repulsory i włączył ciąg wsteczny silników. Nagłe hamowanie cisnęło całą czwórką do przodu. Polecieli na pasy bezpieczeństwa z większą siłą, niż powinni, ponieważ odwrócenie kompensatorów inercyjnych przez Leię sprawiło, że zachowały się one odwrotnie, niż powinny. Zamiast zamortyzować proces wytracania prędkości, łagodząc skutki Δv , wzmocniły tylko te skutki.

Pajak energożerny sfrunął z kabiny niczym skrzydlaty owad i, kreśląc łuk, spadł na pylistą glebę. Poturlał się, wierzgając nogami i wzbijając potężną chmurę pyłu. Po chwili zatrzymał się i wstał, odwrócony w stronę „Sokoła”.

Nie wyszedł z tego bez szwanku; przynajmniej dwie z nóg zwisały bezużytecznie, wyraźnie złamane. Jednak niewątpliwie był zdolny do dalszej walki.

- „Sokół”, tu Łotr. Zostały mi jeszcze dwa pociski i mam go w zasięgu strzału.

Han dał znak Leii, żeby przełączyła kompensatory inercyjne na normalny tryb. Posłał „Sokoła” powolnym lotem w górę. Statek leciał do tyłu, przodem zwrócony wciąż do pajaka.

- Nie trzeba, stary. Zostaw go.

- Zrozumiałem.

Pajak energożerny przeszedł parę metrów. Bąbelki pod jego szklistą skórą miały teraz jasnoblękitną, aż kłującą w oczy barwę. Spojrzał na „Sokoła” i zakołysał się w przód i w tył, przymierzając się najwyraźniej do skoku. Musiał jednak uznać, że odległość jest zbyt duża.

Odwrócił się, spojrzął jeszcze raz za siebie i przepelzył dwieście metrów do krawędzi szybu. Potem zeskoczył w dół i zniknął w ciemnościach.

- Nie zabiłeś go. - Głos Allany zdradzał zaskoczenie.

Han poczuł ogromne zmęczenie i nieoczekiwaną ulgę.

- Zgadza się.

- Dlaczego?

- Był po prostu głodny, skarbie. Owszem, nie byłoby dobrze, gdyby nas dorwał, boby nas zabił... ale pajak nie jest zły. Taka jest po prostu jego natura. - Obrócił „Sokoła”, kierując się w stronę punktu zbornego operacji.

- Już go nie nienawidzisz?

- Chyba nie. I Kessel też nie. Chodź, usiądź mi na kolanach. Możesz trzymać stery i pomóc mi przy lądowaniu.

ROZDZIAŁ 26

Świątynia Jedi, Coruscant

Atak na więzienie był nazajutrz jedną z najważniejszych informacji w holowiadomościach.

Nagrania z holokamer monitoringu, umieszczonych w więzieniu i wokół budynku, pozostawiały wiele niejasności. Jeden z intruzów, przebrany za robotnika, został zidentyfikowany jako Jedi Seff Hellin. Dwóch ubranych na czarno, zamaskowanych osobników pozostało nierozpoznanych. Cała trójka zdołała przeniknąć na dolne poziomy więzienia, jednak kwestia, czy działali razem, czy też rywalizowali ze sobą, pozostawała nierozstrzygnięta.

Ich celem było niewątpliwie oswobodzenie Jedi Valina Horna. Zdołali wejść i wyjść z więzienia, nie odbierając życia ani nie wyrządzając trwałej szkody żadnemu ze strażników pełniących służbę, ale nie udało im się uwolnić Horna. Po opuszczeniu więzienia Seff Hellin, zidentyfikowany już jako Jedi, został pojmany przez oddział najemników podlegający kancelarii przywódczyni Galaktycznego Sojuszu. Błyskawicznie jednak odbiły go kolejne dwie współpracownice, z których jedna prawdopodobnie była Jedi, i uciekły razem z nim. Za nimi ruszył pościg. Ostatnim widokiem, jaki ujrzeli funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, byli czarno ubrani intruzi, zbliżający się skradzionym śmigaczem do dwóch współpracowniczek Hellina.

Tak wydarzenia te widziała prasa. Dla złażnionych informacji dziennikarzy było to niewiele. A w wywiadach udzielanych na schodach Świątyni Jedi Mistrz Kenth Hamner, demonstrując godność i opanowanie, zaprzeczał, jakoby Świątynia Jedi miała jakikolwiek udział w tych wydarzeniach.

Następnego dnia kapitan Oric Harfard, odpowiadający teraz za kontakty na linii Służba Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu - Zakon Jedi, zjawił się w Świątyni. Mistrz Hamner powitał go przy głównym wejściu. Rumiany Harfard nie czekał ze swoimi pytaniami i skargami, aż znajdą się w zaciszu gabinetu Hamnera; Jedi w głównym holu, wśród których była i Jaina, słyszeli ich rozmowę, gdy obaj mężczyźni przechodzili obok nich.

- Gdzie jest Jedi Hellin?

Mistrz Hamner rzucił kapitanowi chłodne, obojętne spojrzenie.

- Nie wiem. Naprawdę.

- Dlaczego nie poinformowaliście nas, że Jedi Hellin wymknął się spod kontroli i że planuje próbę odbicia Jedi Horna?

- Poinformowaliśmy was, że „wymknął się spod kontroli”. -Ton Hamnera był bezgranicznie cierpliwy, jakby odpowiadał po raz trzydziesty na to samo pytanie zadawane przez to samo nierozgarnięte dziecko. - Informowaliśmy was, przekazując wam listę aktywnych Jedi, że nie utrzymuje

kontaktem ze Świątynią i realizuje własne cele, czyli „wymknął się spod kontroli”. Nie znamy jego planów.

Minęli grupkę Jedi, wśród których był Corran Horn. Jaina wzdrygnęła się na widok Corrana; był szczuplejszy niż kiedykolwiek i miał nieobecny, posępny wyraz twarzy. Ale kiedy Harfard przechodził obok niego, Jaina dostrzegła zmianę w twarzy Corrana. W jego oczach błysnął gniew. Jaina wyczuła ten gniew w Mocy; uderzył ją jak cios w twarz. Czując jego siłę, Jaina nie zdziwiłaby się, gdyby Corran zapalił swój miecz świetlny i zatłukł kapitana. Wszyscy Jedi w holu odwrócili się w jego stronę, a Mistrz Hamner rzucił mu spojrzenie wyrażające niepokój i przestrożę.

Corran jednak nie zaatakował, a Harfard pozostał nieświadomy jego emocji - lub prawie nieświadomy; mijając Corrana potarł nerwowo kark, ale mówił dalej:

- Kim była Jedi, która odbiła go z rąk Dhidala Nyza?

- Nie znamy jej tożsamości. Nie wiemy, czy to była Jedi.

- Posługiwała się mieczem świetlnym!

- Podobnie jak Zilaash Kuh, która pracuje dla was.

- Miejsce pobytu Kuh wczorajszej nocy jest nam dobrze znane.

- Chodzi mi o to, że nie każdy z mieczem świetlnym to Jedi. Nagrania, które widziałem, nie dowodzą nawet, że poszukiwana przez was osoba jest człowiekiem ani że jest kobietą. Wystarczy szczupły mężczyzna i odpowiednio wypchane ubranie...

Doszli do turbowindy i zaczekali, aż nadjedzie kabina. Harfard pokręcił głową, zły i sfrustrowany.

- Pożałuje pan, że nie był bardziej skłonny do współpracy. - Ściszył nagle głos, tak że Jaina musiała wyęczać słuch, żeby go zrozumieć. - Następnym krokiem będą urządzenia namierzające. Wszczepiane wszystkim Jedi.

Mistrz Hamner wyprostował się i wypowiedział kilka słów bardzo, bardzo cicho. Kapitan Harfard zeszywniał. Potem drzwi turbowindy się otworzyły i obaj mężczyźni weszli do środka. Sekundę później już ich nie było.

- Ciekawe, co powiedział Mistrz - szepnęła Jaina do Kolir, bothańskiej Rycerz Jedi.

- Powiedział: „Z chęcią pokazałbym panu, gdzie takie urządzenie można by wszczepić” - odpowiedział ktoś tuż za jej plecami.

Jaina się odwróciła. To był Dab. Trzymał swoją miniaturową holokamerę przy twarzy, wpatrując się w jej maleńki ekranik. Jaina podejrzewała, że Dab usłyszał słowa Mistrza przez mikrofon urządzenia.

- Dobra odpowiedź. Rzeczowa, choć obelżywa.

Dab uśmiechnął się szeroko i opuścił holokamerę. Zniżył głos, tak żeby tylko Jaina mogła go usłyszeć:

- Wiesz, nie jestem głupi.

- Nigdy nie twierdziłam, że jesteś.

- Szukają tajemniczej kobiety Jedi. A my byliśmy wczoraj w nocy niecałe pół kilometra od więzienia, ty zaś zniknęłaś mi z oczu na... no cóż, dość długo... Gdybym wspomniał o tym kapitanowi, kiedy przechodził, pewnie nie miałby wątpliwości, kim była ta tajemnicza kobieta.

Jego słowa sprawiły, że Jaina poczuła na plecach zimny dreszcz.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

Dab spojrzał na nią.

- Moim zadaniem jest mówić władzom to, co wiem na temat Jedi, nie to, co podejrzewam. Moja praca jako dokumentalisty polega na pokazywaniu prawdy i demaskowaniu kłamstw. Gdybym stwierdził, że stanowisko moich przełożonych - że Jedi trzeba kontrolować dla dobra społeczeństwa i wszystkie działania rządu zmierzające do tego są usprawiedliwione - jest niesłuszne, stawiałoby mnie to w dosyć niezręcznym położeniu. - Wzruszył ramionami. - Więc wolę nie spekulować. Staram się odgadnąć, co jest właściwe, i tak właśnie postępować.

- Zupełnie jak Jedi.

- Być może.

- Dziękuję, że nie spekulujesz, Dab.

- Opowiedz mi o Tahiri Veili. Kiedy was wczoraj zostawiłem, mówiła coś o mnie?

Dopiero po chwili Jaina zrozumiała intencje Daba. Na sekundę opadła jej szczęka.

- Dab, musisz trzymać się z dala od Tahiri.

- Dlaczego?

- Ponieważ wyglądasz... wyglądasz jak...

- Wyglądam jak twój brat Anakin, a oni byli ze sobą tuż przed jego śmiercią i od tego czasu ona nie może dojść do siebie. Nic dziwnego. Młodzieńcza miłość, okropna tragedia. Słyszałem te historie. Ale ja nie jestem Anakinem Solo. Nie uważam, że muszę dźwigać brzemię wszystkiego, co on zrobił.

- Nie, nie musisz. Ale Tahiri...

- Nie skrzywdzę Tahiri.

- Owszem, skrzywdzisz.

- Podobała mi się, już kiedy spotkałem ją na Borleias. Ona miała szesnaście lat i nigdy nie zwróciłaby uwagi na kogoś młodszego od niej o cztery lata, ale ja zdecydowanie zwróciłem na nią uwagę.

Jaina stłumiła w sobie chęć uduszenia go.

- No właśnie. I teraz, kiedy otrząsnęła się z emocjonalnej zawieruchy związanej z Anakinem, ty zjawiasz się, węsząc dokoła, i uważasz, że wszystko będzie dobrze. Przypadkowo czy nie, zjawiłeś się tutaj, kiedy ostatnią rzeczą, jakiej potrzeba Tahiri, jest przypominanie jej o Anakinie.

- Więc na wszelki wypadek, żeby nikt nigdy nie poczuł ukłucia bólu na mój widok, powinienem przeprowadzić się na Dantooine i zamieszkać w jaskini.

- Mógłbyś się też przeprowadzić na Mustafara i wskoczyć do wulkanu. - Jaina odwróciła się i ruszyła w stronę turbowindy. Poza wizytami na poziomach mieszkalnych, które wymagały specjalnego upoważnienia, obserwatorzy nie mieli wstępu poniżej poziomu Wielkiego Holu, zatem Dab nie mógł jej towarzyszyć. Oddalając się, usłyszała jego pełne irytacji westchnienie.

Udała się na dolny poziom medyczny, do pomieszczenia, w którym był trzymany Seff. Zapukała do drzwi w nadziei, że Tekli jest w środku i ją wpuści. Po chwili drzwi się otworzyły... i ukazała się w nich Mistrzynie Cilghal.

Jaina zamarła.

- Eee... Mistrzynie?

- Dobrze powiedziane. - Kalamariańska Jedi cofnęła się o krok, żeby Jaina mogła ją minąć. - Wejdz. Lepiej, żeby te drzwi nie były zbyt długo otwarte.

Zaskoczona Jaina weszła do środka, a Cilghal zamknęła za nią drzwi. Jaina się rozejrzała. Przez portal prowadzący do wewnętrznej komnaty wszystko wyglądało tak, jak powinno: Seff przywiązany do łóżka, urządzenia monitorujące włączone... tyle że zamiast Tekli była tu Cilghal. Jaina wzięła głęboki oddech.

- Skąd się, yyy...

- Myślisz, że jestem głupia?

- Ciągle mnie ktoś dzisiaj o to pyta.

Cilghal podeszła do łóżka Seffa i zaczęła analizować odczyty na monitorach urządzeń mierzących jego fale mózgowie.

Jaina poszła za nią.

- Oczywiście, że nie jesteś głupia.

- Seff Hellin próbuje uwolnić Valina Horna. Potrafimy właściwie ocenić jego zamiary i relacje z innymi uczestnikami wtargnięcia, nawet jeśli władze tego nie potrafią... Seff trafia w ręce Jedi. Gdzie miałyby się znaleźć, jeśli nie w Świątyni? Miło z waszej strony, że utrzymujecie Mistrza Hamnera w niewiedzy.

- Staraliśmy się zachować to w tajemnicy przed wszystkimi Mistrzami.

- Również miło, ale nierozsądnie. Potrzebujecie mnie zarówno ze względu na moją wiedzę medyczną, jak i dlatego, że jako jedyna spośród Jedi utrzymuję regularne kontakty z Wielkim Mistrzem.

Ta rewelacja wprawiła Jainę w osłupienie.

- Rozmawiałaś z nim niedawno?

- Owszem. Jest na Dorinie, uczy się techniki zakłócającej pracę skanerów, którą prezentował Valin. Ostatnio nie miałam od niego żadnych wiadomości.

- Dużo ryzykujesz.

- Często nazywa się nas wojowniczym zakonem, ale czy wiesz, jaka jest zasadnicza różnica między wojskiem a Zakonem Jedi? I proszę, oszczędź mi swojego typowego dla Solo sarkazmu.

- Jest wiele różnic. Mogę się tylko domyślać, o którą ci chodzi.

- Żołnierze mają wykonywać rozkazy, nawet jeśli uważają, że te rozkazy nie są słuszne. Jedi mają robić to, co jest słuszne, nawet jeśli takie działanie byłoby sprzeczne z rozkazami.

- No, tak. Masz rację.

Cilghal odwróciła się z powrotem w stronę JAINY.

- Dowiedzieć się, co dolega Valinowi i Seffowi, pomóc Wielkiemu Mistrzowi... to jest słuszne.

Jaina się zawstydziała.

- Przepraszam, że nie włączyliśmy cię do tego od początku.

- Nie szkodzi. Włącz mnie teraz. Muszę wiedzieć, gdzie jest twoja matka. Twój rodzic jako pierwszy miał styczność z Seffem w jego obecnym zaburzonym stanie. Byłoby dobrze, gdyby przylecieli zobaczyć go teraz i ocenili, czy jego demencja postępuje.

- Są na Kessel. Przekażę ci bezpośrednie dane hololączności, żebyś mogła skontaktować się z

„Sokołem”.

Cilghal wskazała na monitor.

- Już teraz mamy ciekawe wyniki. Seff nie potrafi zakłócać pracy elektroencefalogramu tak jak Valin. Te części mózgu Seffa, które są aktywne, kiedy śni, wykazywały też aktywność przez znaczący okres w ciągu dnia. Wskazują na to te modele stresu.

- To znaczy, że co? Lunatykuje?

Cilghal pokręciła głową.

- Nie, ale znajduje się w stanie trochę przypominającym sen. Może to być pierwszą wskazówką, która pomoże nam ustalić, jak przywrócić jego i Valina do normalnego stanu. A więc... dobra robota.

- Dziękuję, Mistrzynie Cilghal.

Pieczary Ukrytego, Dorin

Mijały dni od audiencji u Ukrytego, a następnej nie było. Luke i Ben dzielili swój czas pomiędzy rozliczne zajęcia: drażnienie komnaty, która zgodnie z zamierzeniem Baran Do miała być ich stałą kwaterą, zwiedzanie pieczar oraz rozmowy z innymi mieszkańcami tego odludnego środowiska.

Ben tracił cierpliwość. Uderzając kilofem w wyjątkowo oporny fragment skały, wyobrażał sobie, że to twarz Ukrytego. Ta fantazja pozwalała mu czerpać z pracy pewną satysfakcję.

- Tato, musimy się stąd wydostać.

Luke, który wrzucał kamienne odłamki łopatą do niewielkiego wózka, uśmiechnął się, prezentując ten enigmatyczny i irytujący wyraz twarzy, który mówił: „Jesteś taki młody”.

- Czy to jest naszym celem?

- Oczywiście, że tak! Musimy się stąd wydostać, żeby kontynuować swoją misję.

- Ale czy to jest nasz najbliższy cel?

- Pewnie, dlaczego nie?

- Ben, jaka jest nasza rola jako Jedi?

Ben westchnął i opuścił kilof. Wiedział, że to będzie jedna z „tych” rozmów.

- No więc... zachowywać równowagę w Mocy i pomagać innym pozostać w równowadze z Mocą. Wykrywać krzywdy i naprawiać je. Służyć jako modele prezentujące atrakcyjne kolekcje butów.

- Wróćmy do poprzedniego punktu. Wykrywanie krzywd i naprawianie ich. Czy tutaj dzieje się jakaś krzywda?

- Jak najbardziej. Porwano ludzi. I możemy to naprawić, uciekając.

- Czy to jedyna krzywda?

Ben uniósł na chwilę maskę do oddychania, otarł z twarzy pot rękawem przydługiej keldoriańskiej szaty i opuścił z powrotem maskę. Odetchnął, wydalając z maski bogatą w hel atmosferę Dorina, po czym zrobił jeszcze jeden wdech, zanim odpowiedział:

- Chyba nie. Ci Baran Do wyrządzają też krzywdę samym sobie. Włazą za jakimś paranoikiem do tej dziury, udają martwych...

- No właśnie. Moc to energia życia. Ci Kel Dorowie, udając martwych, odrzucają życie. Mimowolnie stają się martwi. Jak dużo szczęścia tu widziałeś? Ile entuzjazmu?

- Powiedziałbym, że to zdecydowanie ujemne wielkości. Dla nich liczą się tylko obowiązki, nie szczęście.

Luke wrzucił ostatni większy kamień do wózka.

- A więc jeśli teraz uciekniemy, co się z nimi stanie?

Ben opadł ciężko na podłogę, zrezygnowany.

- Dalej będą wieść to swoje nędzne życie i nic się nie zmieni.

- Zgadza się.

- Sami są sobie winni.

- Powiedziane z całym współczuciem i altruizmem nastolatka, który wolałby robić coś innego.

Ben uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Masz całkowitą rację.

W wolnym czasie Ben przystąpił do zgłębiania tajemnic pieczary.

Najpierw zajął się kwestią mechanizmu, którym rzekomo dysponował Ukryty, a który mógł spowodować zasypanie tunelu prowadzącego na powierzchnię. Powiedziano im, że Ukryty może go uruchomić poprzez Moc lub fizyczne działanie. Ben postanowił odnaleźć przyrząd służący do tego.

Kiedy największa sala opustoszała, przeszukał tron Ukrytego i podwyższenie, na którym stał.

Wystarczyło mu parę chwil, żeby znaleźć to, czego szukał. Tron, chociaż tak wyglądał, nie był wcale wyrzeźbiony z pojedynczego bloku białego kamienia; po bliższych oględzinach okazało się, że jest złożony z kilku części, tak dobrze do siebie dopasowanych, że tylko z odległości paru centymetrów można było dostrzec łączenie. Prawy podłokietnik unosił się na zawiasach, a pod nim znajdował się pojedynczy guzik - okrągły, czarny, umieszczony w czerwonym zagłębieniu. To musiało być to.

Ben zmarszczył brwi na widok swojego odkrycia. Czy umysł paranoika zadowoliliby się jednym, łatwym do uszkodzenia guzikiem dla realizacji swojego ostatecznego dzieła?

Opuścił z powrotem podłokietnik i usiadł na podwyższeniu, obok tronu. Wolał nie siadać na samym tronie; Ukryty, jako użytkownik Mocy, mógłby łatwiej wyczuć, że tu był, gdyby Ben zajął siedzisko będące symbolem jego władzy.

Ben się odprężył, pozwalając, żeby Moc przez niego przepływała. Myślał tylko o znajdującym się obok guziku, poszukując wszystkiego, co mogło mieć z nim jakiś związek - obrazów, wizji przyszłości...

Do góry.

Ben spojrzał w górę. Na nieregularnym kamiennym suficie cztery metry wyżej zobaczył jedynie cienie, ale coś go tam przyciągało. Podniósł się, stanął na podłokietniku tronu, który dopiero co zamknął, i odbił się w górę, pomagając sobie Mocą.

Palcami chwycił krawędzie otworu, wielkości mniej więcej ludzkiej głowy, wydrążonego w kamieniu dokładnie nad tronem. Zawisł tak na kilka chwil, czekając, aż jego oczy przywykną do półmroku. Wreszcie to zobaczył - wypolerowany durastalowy walec, wystający ze skały dwadzieścia centymetrów ponad nim.

Ben skupił się na walcu, starając się zrozumieć dzięki Mocą, jak on działa. Wyczuwał jego długość - jeszcze niemal cały metr ukryty był w kamieniu - i znajdującą się nad nim maszynę: proste mechaniczne części wykonane z trwałych metali.

Sprawa była całkiem łatwa. Wepchnąć walec do środka, niczym tłok, a jego zetknięcie z czymś w górze prześle sygnał, który zdetonuje ładunki w tunelu. Ben wątpił, czy nie widząc urządzenia, zdołałby je uszkodzić. W zamyśleniu zeskoczył z powrotem na podwyższenie.

W sali, gdzie regularnie trenował z Charą sztuki walki, znalazł w suficie takie samo urządzenie. A w sypialni, gdzie spał razem z Lukiem i czterema Kel Dorami, kolejne. Następnego dnia Ben ustalił, że w każdym większym pomieszczeniu znajduje się po jednym takim przyrządzie. Najwyraźniej Ukrytemu zależało, żeby zasypać wszystkie pieczary, gdyby czuł taką potrzebę.

Później tego samego dnia Luke przyszedł na trening sztuk walki. Niewielu Kel Dorów w nim uczestniczyło. Pojawił się Chara; zajęcia prowadziła Ithia, która była przy kontenerze Bena, kiedy dotarli do pieczar. Jeden Kel Dor, młodszy od innych, siedział tylko i patrzył.

Ben walczył przez kilka minut na kije z Charą. Chara miał wciąż znacznie większą wprawę w

posługiwaniu się tą bronią, ale Ben bronił się dłużej i zadał więcej dobrych ciosów, niż kiedy mierzył się po raz pierwszy z Charsae Saalem.

Następnie Ithia stanęła w szranki z Charą. Nie ulegało wątpliwości, że to przeciwnicy znający się od wielu lat, ponieważ Ithia natychmiast dopasowała swój styl walki do Chary. Jej styl był bardziej płynny i oparty na unikach, jego bardziej agresywny i bezpośredni; kontrast był wyraźny i Ben z przyjemnością przyglądał się ich poczynaniom.

- Jestem Luke Skywalker - zwrócił się Luke do młodego Kel Dora obserwującego sparing.

Młodzieniec spojrzał na niego, skrzepowany.

- Jestem Wyss.

- Jesteś młodszy niż większość Kel Dorów tutaj.

Wyss pokiwał głową, kierując ponownie uwagę na Ithię i Charę. Bezwiednie odsunął się od Luke'a w nadziei, że mężczyzna da mu po prostu spokój.

- Będziesz brał udział w treningu?

Wyss pokręcił głową.

- Nie jestem mędrcom. Jestem sługą.

- Ale mógłbyś się czegoś nauczyć. Wyraźnie cię to interesuje.

- „Jaki za życia, taki po śmierci”.

To stwierdzenie, bez wątpienia cytując wyrażający filozofię, którą Wyss, sądząc po tonie głosu, raczej tolerował niż wyznawał, przykuło uwagę Bena. Odwrócił się w stronę ojca i Kel Dora.

Luke zmarszczył brwi.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że po śmierci należy zadowolić się zachowaniem umiejętności, które posiadało się za życia, i nie starać się zdobywać nowych.

- Taki jest tutaj zwyczaj?

Wyss ponownie pokiwał głową.

Luke odwrócił się od chłopaka, najwyraźniej rozważając to, co właśnie usłyszał. Ben skupił się ponownie na treningu.

Ostatecznie Chara wygrał wszystkie trzy pojedynki z Ithią. Kiedy skończyli, Ithia się roześmiała.

- Wyszedłam z wprawy, Charsae... Charo.

Chara odpowiedział grymasem, który wśród Kel Dorów musiał uchodzić za życzliwy uśmiech.

- Chyba tak. Dawniej wygrałabyś przynajmniej dwie z tych walk. - Spojrzał na Luke'a. - Masz ochotę na sparing?

Luke pokręcił głową.

- Nie dzisiaj. Jestem zbyt obolały od machania łopata. Może jutro.

- Nie mogę się doczekać. - Po chwili Chara i Ithia wyszli, kierując się w stronę sanisauny, a Wyss poszedł za nimi, zostawiając Luke'a i Bena samych.

Ben spojrzał na ojca podejrzliwie.

- Zbyt obolały od machania łopata?

- Być może „zbyt znużony machaniem łopata” byłoby trafniejsze. Ben, właśnie dostaliśmy odpowiedzi, których potrzebowaliśmy.

- Naprawdę? Od tego sługi, Wyssą?

- On udzielił jednej, a Ithia drugiej. - Luke wstał. - Muszę przekazać wiadomość Ukrytemu. Chciałbym, żeby wszyscy Kel Dorowie żyjący w tych pieczarach byli obecni na ceremonii nadania nam nowych imion.

Ben również wstał.

- Będziemy mogli sobie wybrać nowe imiona?

- Nie.

- Och, szkoda. Tak się cieszyłem, że będę Iskierką.

- To brzmi jak imię dla małpojaszczurki.

- A ty mógłbyś się nazywać Wielki Mistrz Whango Mittphool.

- Nie w tym życiu.

ROZDZIAŁ 27

Zgromadzili się w sali tronowej Ukrytego - cztery tuziny Kel Dorów i dwóch ludzi. Kiedy weszli ostatni z Kel Dorów - słudzy, którzy obsługiwali odlewnie - rozmowy ucichły i wszyscy Kel Dorowie odwrócili się w stronę siedzącego na tronie Ukrytego.

Ten przywołał Skywalkerów ruchem ręki. Kiedy podeszli do niego, uśmiechnął się dobrotliwie.

- Z radością witam was w tym dniu. Rozumiem, że postanowiliście wybrać sobie nowe imiona, żeby lepiej odnaleźć się wśród nas i zaakceptować swoją sytuację.

Luke wyglądał na zaskoczonego.

- Wybacz, o, wielki. Nastąpiło jakieś nieporozumienie. Rzeczywiście prosiłem o ceremonię nadania imion. Określiłem ją jako „nasza” ceremonia, ale nie chodziło mi o to, że Ben i ja przyjmujemy nowe imiona. Liczę, że będziemy mogli nadać nowe imiona niektórym... albo wszystkim z was.

Rozległy się okrzyki zaskoczenia i dezaprobaty. Ben zachował kamienną twarz, ale w środku chichotał. Lubił wywoływać zamieszanie od czasu do czasu, jednak patrzenie, jak robi to jego ojciec, sprawiało mu równie wielką frajdę.

Twarz Ukrytego spochmurniała.

- Marnujecie mój czas.

Luke wzruszył ramionami.

- Czyż zmarli nie mają go w nadmiarze? Musisz przyznać, nawet jeśli moje słowa cię drażnią, że to najciekawsze wydarzenie, jakie przytrafi wam się w ciągu całego dnia.

Ukryty rozsiadł się na tronie, wcale nierozbawiony.

- A komu chcielibyście nadać nowe imię jako pierwszemu?

- Pomyślałem, o wielki, że moglibyśmy zacząć od Chary. Przywrócić mu imię Charsae Saal. Jemu zmieniono imię jako ostatniemu. Moglibyśmy teraz przyjąć odwrotną kolejność, od najmłodszych stażem zmarłych do najstarszych.

Ukryty zgarbił się lekko, jakby zniechęcony.

- Dlaczego to robicie?

Luke porzucił wszelkie pozory pogodnego nastroju. Wyprostował się i zmierzył Ukrytego złowrogim spojrzeniem.

- Ponieważ popełniasz błąd. Gdybyś krzywdził w ten sposób tylko siebie, to jeszcze nie byłoby takie złe. Ale ty wyrządzasz krzywdę im wszystkim. - Objął gestem zgromadzonych Kel Dorów.

- Przyjąłem ich ofiarę jako dar dla przyszłych pokoleń. Wiedzieli, co robią, kiedy składali przysięgę i przybierali nowe imiona. Nie ma w tym niczyjej krzywdy.

- Znowu się mylisz. - Luke wskoczył na podwyższenie, na którym stał tron Ukrytego, wywołując tym stłumione okrzyki oburzenia niektórych z Baran Do. Zaczął chodzić tam i z powrotem przed Ukrytym, zwracając się równocześnie do wszystkich Kel Dorów stojących przed podwyższeniem. - Odpowiedzmy sobie na kilka prostych pytań. Mędrcy Baran Do są grupą, która bada i wykorzystuje Moc. Zgadza się?

Kel Dorowie spoglądali to na Luke'a, to na Ukrytego. Ukryty zawahał się, a w końcu pokiwał głową.

- Tak - powiedział jeden z Baran Do stojących z przodu.

- A Moc to energia życiowa.

- Tak - przyznał inny z Kel Dorów.

Luke rzucił Ukrytemu karcące spojrzenie, mijając go.

- Życie to ryzyko. Życie to energia, witalność. A wy odrzuciliście to wszystko. Odrzucając to, odrzucacie Moc. Odrzucając Moc, odbieracie sobie prawo do nauczania żyjących jej tajników. Sprowadziliście do tych pieczar tylko wasze ciała i nawet nie macie na tyle przyzwoitości, żeby zgnić jak normalne zwłoki.

Wielu spośród Kel Dorów wyglądało na urażonych. Między innymi Chara, który przecisnął się na czoło widowni i podszedł do podwyższenia.

- Teraz po prostu nas obrażasz.

- A to cię złości, ponieważ wciąż jesteś wśród żywych. - Luke popatrzył na niego. - Zmarli się nie obrażają, Charsae Saalu.

- Nazywam się Chara.

Luke zeskoczył na dół i ominął Charę. Podszedł do Ithii.

- Oto kobieta, która kiedyś regularnie pokonywała cię w walce, Charsae Saalu. Teraz już ci nie dorównuje. Co się stało? Czyżby osłabła z wiekiem?

Chara wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że nie. Tutaj nie trenuje już tyle co kiedyś.

- Dlaczego?

- Nie ma takiej potrzeby.

- Oczywiście, że nie ma potrzeby. - Luke wszedł w tłum; Kel Dorowie rozstąpili się, żeby go przepuścić. - Uważanie się za zmarłych, świadomość, że nie macie żadnej przyszłości, wypłukuje z was wszelką energię i nadzieję. Wysysa z was życie. Osłabia was w Mocy. Jak w ogóle moglibyście czuć jakąkolwiek potrzebę?

Luke zatrzymał się przed Wyssem.

- A oto mamy chłopaka, który porzucił życie na powierzchni, żeby służyć wam tutaj. I co otrzymuje w zamian poza jedzeniem, wodą i możliwością służby? Niewiele. Żadnej szansy na naukę, samodoskonalenie, rozwój. Rozwój jest dla żywych. Tutaj jest Jaki za życia, taki po śmierci”.

- Debatowaliśmy nad filozofią, o której mówisz - odezwał się jeden z Mistrzów imieniem Burra, jeszcze bardziej pomarszczony niż Ukryty.

Luke rzucił Burrze pogodny, choć kpiący uśmiech.

- Brawo! Debata wydaje się dobrym zajęciem dla zmarłych. Mogłaby ożywić cmentarze. I jakim wynikiem zakończyło się głosowanie?

Burra wyglądał na zmieszanego.

- My tutaj nie głosujemy.

- Ponieważ o wszystkim decyduje wasz władca umarłych.

Burra zawahał się, po czym pokiwał głową.

- Czy spośród tych z was, którzy brali udział w debacie, większość była za tym, żeby pozwolić zmarłym uczyć się nowych rzeczy?

- Dostyc tego. - Ukryty wstał. - Zebranie skończone. Wszyscy wracają do swoich obowiązków.

- Macie obowiązki wobec żywych - odparował Luke - które porzuciliście. Możecie porzucić je jeszcze na pięć minut. - Wykonał gest i pancerne drzwi się zamknęły. Kel Dorowie, którzy zmierzali już do wyjścia, zawahali się, zmieszani, po czym zawrócili w stronę tronu. - Chcecie ocalić nauki Baran Do, prawda? - ciągnął Luke. - Szczytny cel. Chcecie być przygotowani na wypadek kolejnej czystki. Słusznie. Koro Ziilu, czy wiesz, jak Jedi przetrwali ostatnią czystkę?

- Już się tak nie nazywam.

- Wiesz?

- Szczęśliwie dwóch Jedi przeżyło. Twoi Mistrzowie: Obi-Wan Kenobi i Yoda.

- Nie. - Luke pokręcił głową. - Oczywiście, oni przeżyli tamte wydarzenia. Ale w galaktyce byli jeszcze inni Jedi i eks-Jedi. Były zasoby, takie jak Holocron Jedi. Jedi przetrwali, ponieważ byli rozproszeni, ich wiedza była rozsiana po całej galaktyce. Wy, Baran Do, chcecie przetrwać poprzez koncentrację. Rzadko kiedy któryś z was w ogóle opuszcza Dorina, a wasz plan awaryjny, ten zespół jaskiń, dzieli od zagłady zaledwie jedna bomba toksyczna lub trzęsienie gruntu. Popieram wasz cel... ale sposób jego realizacji jest skazany na niepowodzenie.

Wśród Kel Dorów rozległ się szmer. Ben odniósł wrażenie, że nie są to rozmowy osób, które nagle przejrzały na oczy, ale głosy ludu, który już wiele razy wyrażał te obiekcje po cichu i daremnie wobec sprzeciwu swojego władcy.

- A to i tak byłaby dla was dobra śmierć - ciągnął Luke. - Szybka i zdecydowana. Bardziej prawdopodobne jest to, że większość z was po prostu zwiędnie. Tak jak Ithia. - Luke obrócił się, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z jak największą liczbą Kel Dorów. - Kto z was jest najlepszym wojownikiem?

- Ithia - powiedział ktoś.

- Chara - dodało dwoje lub troje, wśród nich Ithia.

Luke pokiwał głową.

- A więc Charsae Saal, ponieważ ma dziesiątki lat doświadczenia. I ponieważ przybył tu dopiero niedawno, więc nie jest jeszcze apatycznym, pozbawionym życia odbiciem samego siebie. Ale i tak gaśnie już od lat. Przez cały ten czas przygotowywał się na śmierć. Założę się, że jest już cieniem samego siebie. I że mój syn, który ustępuje mu doświadczeniem o wiele, wiele lat, zdoła go pokonać.

Ben zamarł, za wszelką cenę starając się nie wyglądać jak leśne stworzenie, przyłapanie w reflektory nadlatującego śmigacza. Czując na sobie spojrzenia licznych Kel Dorów, przybrał gniewny wyraz twarzy i pozę twardziela.

- A o co chcesz się założyć? - Ukryty siedział znów na tronie. Głos miał chłodny.

- Jeśli Ben przegra, nie poruszę więcej tego tematu, dopóki będę mieszkał w tych pieczarach.

- Dobrze. - Ukryty skinął na Charę. - Do dzieła.

Chara pokiwał stanowczo głową.

- Tak jest, Mistrzu.

Kel Dorowie wycofali się ze środka sali, pozostawiając w otoczonym kolumnami kręgu jedynie Charę, Bena i Luke'a.

Ben odwrócił się do ojca.

- Znowu mi to robisz - wyszeptał.

- Rzeczywiście. Jestem okropnym ojcem. - Luke uśmiechnął się krzepiąco. - Poradzisz sobie.

- A jeśli przegram?

- Po pierwsze, i tak pokażesz im wszystkim, co znaczy być żywym. Po drugie, obiecałem, że ja nie będę poruszał tego tematu... O tobie nie wspominałem.

- Ej, naprawdę jesteś przebiegły.

- Poza tym nie przegrasz. W przeciwieństwie do nich masz o co walczyć.

Ben oddał Luke'owi swój miecz świetlny.

Luke spojrzał na broń.

- Jesteś pewien?

- Nie przekonam nikogo o wartości życia, przecinając go na pół. Wygram albo przegram, ale bez miecza świetlnego.

Luke pokiwał głową i cofnął się poza krąg filarów.

Ithia podała Benowi półtorametrowy kij z twardego drewna -czarny, sękaty i wypolerowany. Potem ona także się wycofała.

Ben i Chara stanęli naprzeciwko siebie, na dwóch krańcach otwartej przestrzeni.

Luke oparł się o najbliższy filar, próbując wyglądać na odprężonego, jednak czuł się nie bardziej pewny siebie niż w czasie walki, jaką Ben stoczył pierwszego dnia ich pobytu na Dorinie.

Ben stał na wprost swojego przeciwnika, z neutralnym wyrazem twarzy, jaki przybierał zawsze, gdy nie chciał, żeby ktoś odgadł, co myśli albo czuje. Chara miał wzrok utkwiony w Ukrytym.

Ukryty spojrzał na obydwu przeciwników, skrzywił się z niezadowoleniem, po czym ogłosił:

- Start!

Ben i Chara ruszyli ku sobie. Kiedy zbliżyli się na odległość około półtora metra, zaczęli się nawzajem okręzać.

Chara zaatakował, celując dolnym końcem kija w pachwinę Bena. Chłopak zareagował prawie za późno i niezdarnie sparował uderzenie. Chara błyskawicznie odpowiedział, mierząc drugim końcem broni w obojczyk Bena. Ben zablokował także ten cios, ustawiając swój kij o centymetry od swojej skóry. Siła ciosu sprawiła jednak, że własna broń wbiła mu się w ciało, wytrącając go z równowagi. Kiedy zrobił chwiejny krok do tyłu, Chara zamachnął się kijem i trafił przeciwnika w kostkę,

posyłając go na kamienną posadzkę.

Ben przetoczył się przez plecy i skoczył na równe nogi. Przez chwilę podskakiwał na palcach jak bokser palący się do walki. Luke domyślił się, że sprawdza swoją kostkę, oceniając, jak mocno została trafiona.

W tych podskokach było jednak coś więcej niż tylko energia. Luke czuł, że chłopak jest wściekły - zły na siebie, że upadł jako pierwszy, zły na ojca, przez którego znalazł się w tej sytuacji, zły na Kel Dorów, że wywierali nacisk na Luke'a. Luke powstrzymał się od wysyłania uspokajających myśli poprzez Moc. To była walka Bena, a liczni Mędrcy Baran Do, obecni w sali, mogli wykryć każdą ingerencję ze strony Luke'a.

Ben i Chara zwarli się w kolejnej wymianie ciosów. Tym razem chłopiec zdołał zadrasnąć biceps Chary, zanim bardziej doświadczony wojownik go dosięgnął. Riposta Chary trafiła w nastawiony kij Bena, jednak była wystarczająco silna, by zwalić go z nóg.

Ben znów potoczył się do tyłu, ale tym razem Chara wykonał gest, wywierając nacisk poprzez Moc. Ben stracił panowanie nad swoim ciałem i poleciał na jeden z filarów. Uderzył plecami i głową o kamień tak mocno, że Luke aż się wzdrygnął.

Ben potrząsnął głową, zamroczony. Gdy jednak Chara ruszył na niego z kijem wycelowanym jak dzida, oczy Bena odzyskały ostrość spojrzenia.

Młody Jedi poderwał się spod filaru, pomagając sobie Mocą, która pozwoliła mu sunąć gładko do przodu, jakby miał pod sobą naoliwioną nawierzchnię, a nie chropowaty kamień. Pchnięcie Chary trafiło w filar, w miejsce, gdzie chwilę wcześniej znajdowała się głowa Bena. Ben wymierzył Charze kopniaka w brzuch, zwalając Kel Dora z nóg.

Potem chłopiec wyprostował się, na pierwszy rzut oka niespowolniony; Chara poderwał się ułamek sekundy później. Luke miał ochotę wiwatować. Wyczuwał emocje syna, wiedział, że Ben panuje nad sytuacją, że jest pobudzony, lecz skoncentrowany. Mógł wygrać albo przegrać, ale walczył jak Jedi, a nie jak rozwścieczony nastolatek.

Teraz walka rozgorzała na dobre. Przeciwnicy wymachiwali kijami tak szybko, że nieprzyzwyczajeni obserwatorzy nie byli w stanie śledzić ich ruchów. Ich rytm przypominał taniec. To jeden, to drugi przejmował inicjatywę, spychając przeciwnika do obrony. Chara ponownie uderzył Bena w kostkę, nadwerężając ją jeszcze bardziej, i Ben zaczął utykać. Kiedy Chara znów spróbował zaatakować to samo miejsce, Ben przeskoczył nad jego kijem i, prostując rękę, trafił Charę końcem własnej broni w ciemność, powalając Kel Dora.

- Chara! - krzyknęła jedna z Baran Do dla dodania mu otuchy.

- Chara, *kayamash!* - wrzasnął ktoś inny.

Luke nie starał się już nawet ukryć uśmiechu. W końcu się to stało - ci martwi od dawna Kel Dorowie czuli, jak krew krąży im w żyłach, czuli przyływ adrenaliny. Nagle stali się kibicami

dopingującymi swojego faworyta.

Ben także to poczuł. Rozejrzał się, najwyraźniej uświadamiając sobie, że jest outsiderem mierzącym się z ulubieńcem tłumów. Jednak w ogóle się tym nie zraził; Luke zaś poczuł, jak sens tego wszystkiego układa się w głowie Bena w całość. Chłopak miał teraz wszystko: emocje, koncentrację i cel. Skupił ponownie swoją uwagę na Charze.

Kel Dor szybko się podniósł, jednak był wyraźnie zamroczony. Ben, utykając, ruszył znów na niego, przymierzając się do zadania decydującego ciosu.

Uwagę Luke'a przykuł Ukryty. Keldoriański władca nachylił się do przodu, szepcząc w skupieniu do młodej służki. Skinął głową, ponaglając ją do działania. Kel Dorianka ruszyła w stronę głównego wyjścia, obchodząc bokiem tłum. Pancerne drzwi otworzyły się przed nią. Luke wyczuł nadciągające niebezpieczeństwo, jednak nie mógł porzucić tych wydarzeń, żeby pójść za dziewczyną.

Ben i Chara z zawrotną prędkością wymieniali ciosy i parady, finty i zwody. Zataczali koła, nacierali, blokowali i robili uniki przy wtórze stukających o siebie kijów.

Ben otrzymał cios z boku w lewe kolano. Jego riposta trafiła Charę w żebra. Chara przygwoździł go do filaru. Ben odepchnął Kel Dora, zamarkował cios kijem i kopnął Charę z półobrotu w sam środek klatki piersiowej, na tyle mocno, że dał się słyszeć wyraźny trzask. Chara znów padł na kamienną posadzkę i powoli zaczął się z niej podnosić.

Wciąż było słychać okrzyki: „Chara... Chara... Chara...”, jednak wyraźnie mniej zdecydowane, jakby krzyżący nie byli pewni, czy powinni zachęcać swojego faworyta do przyjmowania kolejnych batów.

Luke wyczuł w Mocy zmianę. Ben, chociaż obolały od ciosów, pozostawał skoncentrowany i czujny. Chara tracił wolę walki.

Zwarli się ponownie. Ben pozwolił przeciwnikowi przeniknąć przez swoją gardę i zahaczyć kijem o jego broń. Nie był to, jak się w pierwszej chwili wydawało, błąd wynikający z niedoświadczenia. Chara szarpnął, chcąc rozbroić chłopca, jednak Jedi nie stawiał oporu. Kij Bena pofrunął w powietrze, ale Chara stracił równowagę i poleciał do tyłu. Ben skoczył za nim, zasypując go gradem bokerskich ciosów w klatkę piersiową i brzuch. Kiedy Kel Dor próbował powstrzymać atak, unosząc swój kij, Ben uderzył w samą broń, łamiąc ją na pół. Cios otwartą dłonią poszedł dalej i wylądował na podbródku przeciwnika.

Chara upadł. Tym razem nie od razu próbował się podnieść.

Tłum ucichł. Tylko kilku Kel Dorów wydało jęk zawodu.

Ben pokuśtykał po swoją broń. Podniósł ją i, niewzruszony, odwrócił się twarzą do Ukrytego. Ithia podeszła do Chary, który wreszcie zaczął się ruszać i próbował się podnieść; Kel Dorka uklękła przy nim i pomogła mu usiąść, ale nie pozwoliła wstać.

Ukryty wpatrywał się w Bena. Jego twarz wyrażała niezadowolenie, Luke jednak podejrzewał, że Kel Dor odczuwa w istocie pewną dozę ponurej satysfakcji.

- Wygrałeś. - Głos Ukrytego był bezbarwny, niemal pozbawiony emocji. - Twój ojciec może wygłaszać te swoje nudne zarzuty do ostatniego tchu. Ale i tak myli się w sprawie tego, co tu robimy. W sprawie życia, które jest w nas.

- Nie, Mistrzu - odezwał się Chara zbolalym głosem. - On może mieć rację.

Ukryty spiorunował go wzrokiem.

- Ty też?

Chara spróbował wstać. Ithia poniechała daremnych prób unieruchomienia go i pomogła mu się podnieść.

- Mistrzu - powiedział Chara. - Przewyższam tego chłopaka pod względem umiejętności. Jestem też silniejszy w Mocy. A jednak to on wygrał. Wygrał dzięki woli zwycięstwa. Dzięki wierze, dzięki determinacji. Przegrałem, bo mnie tego zabrakło.

- Może i tak. - Głos Ukrytego brzmiał pogardliwie. - Ale to dlatego, że słuchałeś jego. - Wskazał na Luke'a. - To on zamącił ci w głowie, odwrócił twoją uwagę od celu. Kiedy zniknie, powrócisz na właściwą ścieżkę.

Luke wystąpił z tłumu i stanął obok syna.

- Zniknie? A więc możemy odejść?

Ukryty pokręcił głową.

- Nikt stąd nie odchodzi. Już wam to mówiłem. Więc i wy nie odejdziecie. Ale wkrótce wszystko wróci do normy. - Wziął głęboki oddech i, przybierając smutną minę, popatrzył po swoim ludzie. - Przykro mi, ale Skywalkerowie są zdecydowanie zbyt niebezpieczni, żeby żyć pośród nas, ale wiedzą za dużo, żeby ich wypuścić.

Luke oddał Benowi jego miecz świetlny.

- Więc zamierzacie nas zabić - powiedział.

Burra, stary Kel Dor, pokręcił gwałtownie głową.

- My tak nie postępujemy, Mistrzu.

- Nie zrobię tego - dodała Ithia. Inni ich poparli.

Ukryty spojrzał gniewnie na Luke'a.

- Widzisz, coście narobili? Dopóki się tu nie zjawiliście, byli zadowoleni. Najważniejsze było dla nas posłuszeństwo wobec naszego celu, naszego przeznaczenia. A wy doprowadziliście do tego, że zaczęli...

- Życ? - spytał lekko zdziwionym tonem Luke.

Ukryty mierzył go przez chwilę wzrokiem, po czym skierował swoją uwagę na Kel Dorów.

- Oczywiście, że ich nie zamordujemy. My tak nie postępujemy. - Wśród jego popleczników rozległy się westchnienia ulgi. - Poinformowałem tych na górze, że Skywalkerowie zginęli w wyniku zawalenia grotty, którą wykopywali. Wiedzą teraz, że mają nie przysyłać więcej kanistrów z tlenem i azotem.

Nie zabijemy Skywalkerów... ale za dzień albo dwa, kiedy ich kanistry się wyczerpią, zrobi to atmosfera Dorina.

ROZDZIAŁ 28

Wśród tłumu rozległ się kolejny pomruk.

- Mistrzu, nie! - zawołał Burra.

Ale Ukryty otrzepał ręce, jakby chciał się pozbyć wymagowanego brudu.

- Koniec dyskusji. Żadne protesty w tej sprawie nie będą tolerowane i na nic się zdadzą. Zmieniłem kody szyfrujące wiadomości. Gdyby ktokolwiek z was okazał się na tyle głupi, żeby próbować bez upoważnienia wysłać wiadomość na górę, jej treść będzie niezrozumiała. - Spojrzał na Luke'a i Bena. - Teraz w końcu, tak jak my, musicie się pogodzić ze śmiercią.

Ithia wystąpiła naprzód. Jej głos brzmiał łagodnie, błagalnie.

- Mistrzu, proszę. Zmień decyzję. Chciałabym także, żebyś rozważył coś, co dręczy mnie już od lat. Próbowałam porozmawiać z tobą o tym wiele razy, a ty nie chciałeś nic słyszeć.

- To znaczy?

- Nasz cel tutaj... - Zamilkła na chwilę, jakby szukała odpowiednich słów. - Nasze życie tutaj ma sens tylko wtedy, jeśli dojdzie do najgorszego: jeśli Baran Do żyjący na powierzchni zostaną unicestwieni i trzeba będzie odbudować zakon. Jeśli to nigdy nie nastąpi, nasze życie pójdzie na marne.

- Dlatego właśnie godzimy się na śmierć, zanim przenosimy się tutaj. - Ukryty wydawał się zirytowany. Nic nie wskazywało, żeby słowa Ithii cokolwiek dla niego znaczyły.

- Mistrzu... - Na twarzy Ithii pojawił się wyraz wielkiego smutku. - Nie masz racji. To, co chcesz zrobić ze Skywalkerami, jest złe. I chyba pora, żebyś wreszcie zrozumiał i przyznał, że ten eksperyment się nie udał.

- To nie jest żaden eksperyment. - Ukryty nagle wstał, a jego głos przeszedł w przenikliwy krzyk. Gniew władcy był tak potężny, że wszyscy obecni oprócz Luke'a i Bena zrobili krok do tyłu. - To nasza droga i będziemy nią podążać. Pora, żebyście zamilkli i byli posłuszni.

- Jak zmarli. - Ithia pokręciła smutno głową. - Nic z tego, Mistrzu.

Ukryty postąpił chwilę na swoim podwyższeniu, ciężko dysząc, a potem zszedł na kamienną podłogę.

- Rozumiem. Nie mogę pozwolić, żeby ci ludzie pozostali między nami choćby tyle czasu, ile musi minąć, żeby się udusili. Ich wpływ jest zbyt silny. - Uniósł dłonie. Między palcami zamigotały elektryczne iskry. - Pokażę wam życie. Pokażę wam Moc.

- Ben - szepnął Luke. - Cofnij się.

Wszystko stało się równocześnie: Ukryty wykonał gest w kierunku Luke'a, Ben odskoczył, a z dłoni Ukrytego wyleciały błyskawice. Nie fioletowe błyskawice Imperatora Palpatine'a, które omal nie odebrały Luke'owi życia blisko czterdzieści lat wcześniej; te były olśniewająco białe.

Luke zdążył włączyć i unieść swój miecz świetlny. Błyskawice zaskwierczały na jego jarzącej się klindze. Siła ataku, napędzana energią i gniewem Ukrytego, zwała Luke'a z nóg i odrzuciła do tyłu. Uderzył o filar i poczuł gwałtowny ból w plecach i potylicy.

Jednak błyskawice go nie dosięgły. Klinga je powstrzymała. Pomagając sobie Mocą, Luke zebrał siły i zrobił krok naprzód.

Ukryty odrzucił głowę do tyłu. Nie był to tylko gniewny gest; Luke odczuł ten ruch jako zawirowanie w Mocy. Zaraz zerwał się wiatr, który zaczął hulać wokół sali, nabierając siły i szybkości. Szarpał szaty Kel Dorów stojących pod ścianami. W miejscu, gdzie stał tron, odbijał się od ściany i spadał na Luke'a, próbując odepchnąć go do tyłu.

Luke zacisnął zęby i zapał się; potem, zmagając się z siłą wiatru i jednocześnie błyskawic, zrobił kolejny krok naprzód.

Ukryty otworzył szeroko oczy i zaczął kręcić głową. Podmuchał powietrza wokół Luke'a przybrał na sile. Rozwiewał mu szaty, które łopotały na wietrze.

Skywalker znów zrobił krok naprzód. Był to powolny marsz, bo też potęga Ukrytego była wielka, jednak Luke stał teraz pewnie na nogach i wierzył we własne siły.

Kątem oka zobaczył, że Kel Dorowie się cofają, a część z nich wymyka się przez pancerne drzwi. Ben poganiał ich ruchem ręki.

Twarz Ukrytego poczerwieniała i wykrzywiła się z wściekłości. Pstryknął palcami i błyskawice ustały. Wolnymi teraz rękami zaczął wykonywać koliste gesty. Luke poczuł, że wiatr coraz bardziej się wzmaga. Główny podmuch wciąż okrężał salę, by za każdym razem uderzyć w niego, jednak odrębny prąd wirował teraz w wąskim kręgu tuż przed Ukrytym. Luke widział, jak ten zbłąkany strumień powietrza pochłania pył z podłogi i ścian, przybierając formę miniaturowego tornada o szerokości paru centymetrów u podstawy i dwóch metrów pod sufitem. Wił się niczym śmiertelnie ranny wąż.

Ukryty ruchem ręki posłał tę trąbę powietrzną prosto na Luke'a.

Mistrz Jedi rzucił się na nią, wywierając nacisk Mocą, który przypominał fizyczny cios. Poczuł, jak wiatr wzmaga się na krótką chwilę, a potem jego telekinetyczny atak odrzuca wir, który pomknął w bok i wpadł na filar po lewej stronie Luke'a.

Luke zrobił kolejny krok naprzód. Pokonał już ponad połowę dystansu, jaki dzielił go od Ukrytego. Wyłączył swój miecz świetlny. Mógł go szybko zapalić z powrotem, gdyby Ukryty znów użył błyskawic.

Tornado przesuwało się od filaru do filaru, jakby przeskakując z jednego na drugi. Kiedy znalazło

się dokładnie za Luke'em, zatrzymało się. Luke wyteńczył zmysły, zarówno te fizyczne, jak i zmysł Mocy, uważając na jego ruchy. Trąba uderzyła w filar i dało się słyszeć, jak permabetonowe obramowanie na jego szczycie zaczyna pękać.

Podstawa także pękła i filar poleciał w stronę Luke'a. Mistrz Jedi usłyszał ostrzegawczy krzyk Bena. Wyciągnął lewą rękę do tyłu, wywierając taki sam nacisk, jaki chwilę wcześniej zastosował przeciwko trąbie powietrznej, i filar zawisł nieruchomo w powietrzu. Wykonał jeszcze jeden gest i filar runął na pustą podłogę.

A Luke zrobił kolejny krok naprzód.

Wściekły ryk Ukrytego przypominał wycie wiatru. Kamienny tron za jego plecami zakołysał się, stukając o podwyższenie.

Luke wykonał zamaszysty gest, wyrzucając trzymaną za plecami rękę do przodu, a wraz z nią pofrunął przewrócony filar. Tron wystrzelił w jego stronę, a filar zderzył się z nim w powietrzu i roztrzaskał kamienne siedzenie na tuzin kawałków, niektóre gładko ciosane, inne pełne kantów.

Luke pozwolił, żeby filar spadł na podłogę i ruchem ręki posłał go w stronę Ukrytego, który przeskoczył nad toczącą się kolumną.

Gdy Ukryty wyskoczył w górę, Mistrz Jedi był już w ruchu. Kel Dor był zdekoncentrowany, jego panowanie nad wiatrem osłabło i Luke zdołał zrobić trzy kroki do przodu, zanim Ukryty pokonał turlającą się przeszkodę. Kiedy Mistrz Baran Do wylądował, Luke zaatakował go kopniakiem z półobrotu, który trafił Kel Dora w brzuch i odrzucił do tyłu. Ukryty wpadł na drewnianą ściankę podwyższenia.

O dziwo, zdołał się podnieść po tym uderzeniu. Uniósł ręce, przygotowując się do kolejnego ataku... i upadł na twarz.

Wiatr ustał. Toczący się filar wpadł na inny, który wciąż stał, i zatrzymał się. Wszystkie odgłosy ucichły poza ciężkim, przyspieszonym oddechem Ukrytego.

W sali było jeszcze kilku Kel Dorów, którzy teraz ruszyli do przodu.

Ithia podbiegła do Ukrytego i uklękła przy nim. Chara bez pośpiechu dołączył do niej. Jakiś czas przyglądali się Ukrytemu, po czym odwrócili go na plecy. Ithia usiadła obok podwyższenia i podciągnęła przywódcę, tak żeby mógł usiąść, oparty o nią.

Popatrzyła na obecnych.

- Jest wycieńczony - powiedziała. - Dojdzie do siebie.

Ukryty coś powiedział, ale głos miał słaby jak szept. Wysilił się bardziej, żeby go usłyszano:

- Zrobię tak, jak mówisz.

Ithia poczuła wyraźną ulgę.

- Uwolnisz Skywalkerów?

- Pozwolę sługom się uczyć. Wyznaczę komisję doradców, która będzie wydawać opinie na temat naszego celu... i morale. - Ukryty przez chwilę z trudem łapał powietrze. - Powiem tym na górze, że wcześniejsza wiadomość była pomyłką. Mogą znów zacząć przysyłać kanistry z powietrzem dla ludzi. A za rok albo dwa na nowo przeanalizujemy ich sytuację...

- Rok albo dwa? - Głos Bena był pełen oburzenia. - Nie rozumiesz, że przegrałeś? Nie będziesz już podejmował takich decyzji.

- On ma rację, Mistrzu. - Głos Ithii był łagodniejszy niż Bena, ale równie nieprzejednany. - Pora, żeby odeszli.

Ukryty pokręcił z wysiłkiem głową.

- Na razie to ja decyduję. Nikt stąd nie odejdzie.

- Jesteś zbyt szalony, żeby się czegokolwiek nauczyć. - Ben wskazał ręką na sufit nad podwyższeniem.

Luke, ciężko dysząc z wysiłku, usłyszał wyraźny metaliczny odgłos; zabrzmiało to, jakby coś w suficie zostało wepchnięte na swoje miejsce.

W oddali rozległ się huk, a ściany i filary komnaty lekko zadrżały.

Ukryty usiadł prosto, odsuwając się od Ithii. Otworzył szeroko oczy i popatrzył na Bena.

- Coś ty zrobił?

- To samo, co ty nam. - Głos i wyraz twarzy Bena wyrażały pogardę. Utykając, podszedł bliżej do Ukrytego. - Odebrałem ci możliwość wyboru. Odpaliłem twoje bomby i zasypałem tunel. Już go nie ma. Jeśli chcesz go odkopać, przygotuj się na kilkaset lat machania kilofem i łopatą.

- Zgubiliście tylko siebie. - Ukryty wydawał się bardziej zaniepokojony niż wściekły. - Teraz powietrze dla was nie dotrze, a my przeżyjemy.

- Nie kłam. Mam dość kłamstw. Całe to twoje śmieszne królestwo jest oparte na kłamstwie, a to tylko jedna z krzywd, jakie wyrządzasz wszystkim, którzy ci służą. To żałosne.

Ukryty poruszył ustami, ale nic nie powiedział.

- Jakie kłamstwa? - spytał Chara, który usiadł na brzegu podwyższenia, trzymając się za żebra.

Ben westchnął.

- No cóż, zacznijmy od tak zwanej samowystarczalności. Owszem, macie hydroponikę. Zapewnia wam piękne, świeże warzywa. Wspaniale. Ale gdyby zaspokajały wszystkie wasze potrzeby, nie mielibyście magazynów pełnych jedzenia z góry. Król Paranoi...

- Ben, okaż szacunek. - Głos Luke'a był łagodny, ale dała się w nim słyszeć nuta ostrzeżenia.

- Tak jest. - Ben wziął kilka głębokich oddechów dla uspokojenia. - Koro Ziil nie ryzykowałby, że dostawy jedzenia zostaną wykryte albo że ktoś trafi ich śladem tutaj, gdyby ta żywność nie była absolutnie niezbędna. A zatem, wysadzając tunel, skazałem na zagładę nas wszystkich. My się udusimy, wy umrzecie z głodu. Tyle że to nie koniec kłamstw. Oto kolejne. Patrzcie! - Wskazał na wyjście. Większość Kel Dorów powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, a po chwili znów popatrzyli na niego, zdezorientowani. - Drzwi pancerne - wyjaśnił Ben, jakby tłumaczył coś niezbyt pojętej grupie młodzików. - To nieprawda, że te wielkie drzwi zostały wykonane tutaj. Wasze odlewnie świetnie sobie radzą z utylizacją metalowych kontenerów i wytwarzaniem metalowych części, ale są zbyt małe, żeby produkować drzwi pancerne. Te elementy muszą pochodzić z zakładów przemysłowych. I są zbyt duże, żeby zmieściły się w waszym wąskim tunelu. Więc skąd się wzięły? Oto kłamstwo numer trzy, naprawdę wielkie. To kłamstwo mówi, że tunel, którego używaliście do transportu, dwieście kilometrów kompletnej monotonii, jest potrzebny. Nieprawda. No i kłamstwo numer cztery. Kłamstwo, że jeśli zdarzy się coś złego i Baran Do na górze wyginą, wy zaczekacie, aż opadnie kurz, a potem zaczniecie kształcić nowych mędrców za pomocą telepatii. Nieprawda. Taka technika nie istnieje. W przeciwnym razie Ukryty przekazywałby swoje rozkazy na powierzchnię za pomocą telepatii, a nie komunikatora. Te drzwi pancerne zostały tu przewiezione większymi tunelami, pierwszymi tunelami, jakie tu prowadziły, a gdyby zdarzyło się coś złego, mieliście wrócić tymi tunelami na powierzchnię i zacząć szerzyć swoje nauki. Oto kłamstwa, w których większość z was żyła od nie wiem ilu lat. Zapewne tylko Ukryty i pierwsze pokolenie martwych mędrców Baran Do wie, gdzie znajduje się duży tunel. Ale gdzieś jest i teraz go potrzebujecie. - Ben spojrzał wyzywająco na Ukrytego.

Ukryty jeszcze raz spróbował wstać. Ithia chciała go przytrzymać, jednak w końcu ustąpiła i stary Kel Dor zdołał się podnieść. Stał przed Benem, nieugięty, nieubłagany.

- A zatem zabiliście nas wszystkich, nie tylko siebie. Nie zdradzę tajemnic tego miejsca. Ani ja, ani nikt inny.

Ben wpatrywał się w niego, niezrażony.

- A więc twoja duma jest ważniejsza niż twoja misja, tak? Tutaj jesteś władcą, a na górze byłbyś tylko jeszcze jednym emerytowanym Mistrzem... i dlatego prawie pięćdziesięciu twoich uczniów musi zginąć.

Ukryty popatrzył na niego gniewnie, ale nie odpowiedział.

Zrobił to Burra. Wystąpił naprzód ze smutną miną.

- Tunel jest tuż nad garderobą.

Ukryty spojrział na niego wymownie, z wyrazem zawodu w oczach.

- Burra, tylko nie ty.

- Sufit jest tam wykonany z syntetycznego kamienia, umiejętnie dopasowanego do naturalnego kamienia naokoło. Kilka uderzeń dłutem powinno odsłonić właz. Nad nim znajduje się turbowinda. Jej generator będzie wymagał konserwacji przed uruchomieniem.

Ukryty wpatrywał się w niego bez słowa. Potem powolnym, niepewnym krokiem ruszył w stronę wyjścia z sali.

Wyss podszedł i wziął go pod ramię.

Było tak, jak powiedział Burra. Kilka minut pracy narzędziami górniczymi wystarczyło, żeby usunąć warstwę syntetycznego kamienia i odsłonić wbudowany w sufit właz i panel kontrolny obok niego. Na panelu znajdował się tylko jeden mechaniczny przełącznik, bez żadnych lampek ani odczytów informujących, czy działa, jednak Burra nie miał wątpliwości.

- Aktywuje ładunek elektryczny, który otwiera właz.

I tak też się stało. Po pstryknięciu przełącznika właz się rozsunał i stęchłe powietrze, zamknięte tam od jakichś sześćdziesięciu lat, wdarło się do pieczar zarodka Baran Do.

Czekając, aż Burra i inni doprowadzą generator do stanu używalności, Luke odciągnął Bena na bok.

- Zadziałałeś, hm... samodzielnie.

- On by się nie zmienił, tato. Mogliśmy jedynie sprawić, żeby pozostali zwrócili się przeciwko niemu i wyciągnęli z niego informacje. Czy to byłoby lepsze wyjście?

- Nie. To byłoby dla nich wstrząsem. Ale Ukryty mógłby zmienić zdanie, gdyby się z tym przespał. Odebrałeś mu tę szansę.

- To prawda. Ale w ten sposób załatwiłem sprawę. Nikt nie zginął. Wyszło na jaw tylko trochę nieprzyjemnej prawdy, którą wszyscy musieli poznać. Tato, czasem nie należy czekać jeszcze jeden dzień. Czasem trzeba odciąć facetowi rękę.

- Owszem, jeśli Moc tak ci podpowiada. Czy Moc kazała ci to zrobić?

- Nie... nie wiem. - Ben wreszcie przybrał skruszoną minę. - Czy postąpiłem źle?

- Nie wiem.

- O, świetnie. W końcu jakaś użyteczna odpowiedź.

Luke uśmiechnął się szeroko.

- Tato, ty też poskładałeś to wszystko do kupy, prawda? Wielkość tunelu, drzwi pancerne, telepatia...

- Tak.

- Więc to, co zrobiłem, wcale cię nie zaszokowało. Wiedziałeś, że nie zasypią nas tu na zawsze.

- Tak. I nawet jeśli postąpiłeś źle, to na pewno nie bardzo źle. Dodając do tego wszystko, co zrobiłeś dobrze w czasie naszego pobytu tutaj, i tak jesteś zdecydowanie do przodu. - Luke wyciągnął rękę i czule zmierzwił Benowi włosy.

- Tato, uważaj!

ROZDZIAŁ 29

Turbowinda powiozła Skywalkerów i pierwszą, badawczą grupę Baran Do kilometr w górę. Zatrzymała się w dużej komnacie, zastawionej przykrytymi jakimś materiałem śmigaczami, z których większość miała siedemdziesiąt albo więcej lat. Znajdowała się tam również rampa prowadząca do wjazdu na poziomie gruntu. Mechanizm przy tym wjeździe również działał i wkrótce stali na szczycie rampy, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo nad Dorinem i czarne oczy okolicznych czarnych dziur po obu stronach.

System nawigacji satelitarnej w datapadzie Bena wskazywał, że znajdują się około trzydziestu kilometrów na zachód od Dor'shanu. Z błogosławieństwem Ithii odsłonił jeden śmigacz, rzucili okiem na silnik i styki, żeby się upewnić, że są sprawne, i uruchomili pojazd. Po kilku minutach zbliżali się do peryferii Dor'shanu.

- Zostaniemy, żeby im pomóc? - spytał Ben.

Luke pokręcił głową.

- Możemy zostać dzień albo dwa i po prostu odpocząć, ale oni nie potrzebują pomocy. Mistrzynie Tila Mong poradzi sobie ze wszystkim wśród żywych, a Charsae Saal i Ithia wśród byłych zmarłych. Zresztą wątpię, żeby chcieli teraz naszej pomocy. Podejrzewam, że woleliby nas nie widzieć przez jakiś czas.

- Pewnie masz rację. A co będzie z Ukrytym?

Luke rozmyślał już nad tym, szukając odpowiedzi pośród swoich uczuć, intuicji i wiedzy na temat sposobów funkcjonowania podobnych społeczności użytkowników Mocy.

- Cóż, pewnie jedno z dwojga. Jeśli mu się poprawi, jeśli znajdzie nowy kierunek w swoim pierwotnym celu, mógłby zająć się rozpowszechnianiem archiwów swojego Zakonu albo organizowaniem grup Baran Do, które wyruszą w galaktykę, podobnie jak kiedyś Mistrz Plo Koon. A jeśli nie, jeśli mu się nie poprawi... no cóż, prawdopodobnie zostanie w tych pieczarach i będzie ich pilnował jako kryjówek Baran Do. Tyle że teraz będzie ona nieco mniej bezpieczna niż do tej pory.

- Chciałbym móc cieszyć się jego szczęściem.

- Ciesz się szczęściem innych.

- Hej, mam dla ciebie niespodziankę. Ćwiczyłem to, kiedy nie było cię w pobliżu.

Luke rzucił synowi podejrzliwe spojrzenie.

- No to jazda.

Ben zdjął swoją maskę do oddychania i zaciągnął się mocno bogatą w hel atmosferą Dorina.

- „Gdzie kiedyś rosła łąka, tam dzisiaj biegnie droga, a słońce kryją mury” - zaśpiewał głosem wysokim i groteskowym jak u animowanego Ewoka z programu dla dzieci.

- Ben, przestań.

- „Gdzie kiedyś kwitła zieleń traw, tam dziś świat szarobury”.

- Nie znoszę tej piosenki nawet w normalnych okolicznościach.

- „Mój dom z dzieciennych lat pogрузił się w ciemności”...

- Poczekam, aż zemdlejesz.

- „I tęskni serce me do tamtych dni beztroski i radości”.

- Zaraz cię rozboli gardło.

Kopalnie Calrissiana-Nunba

Minęło kilka dni od ekspedycji pilotów do pieczar Kessel i jeden dzień, odkąd ostatnia z pieczar, które nie zostały wcześniej zdetonowane, uległa samozniszczeniu. Sytuacja była teraz zupełnie inna.

Trzęsienia gruntu ustały. Sejsmolodzy Landa stwierdzili, że skutki, jakie walące się pieczary wywoływały na powierzchni planety, na razie ustąpiły. Pracownicy kopalni i pozostali mieszkańcy Kessel powracali stopniowo z księżycy garnizonowego.

Straszaki zniknęły. Wyglądało na to, że ich byt zależał od działania tajemniczej maszyny ukrytej w tych grotach.

Lando i Tendra przedstawili raport z przebiegu zdarzeń rządowi Galaktycznego Sojuszu i zostali surowo skarceni za działanie bez konsultacji z władzami. Firma Landa dostała kategoryczny zakaz wysadzania czegokolwiek na Kessel, dopóki rządowi naukowcy nie przeprowadzą dokładnych badań podziemnego świata planety. Han wiedział, że minie cała wieczność, zanim dojdą choćby do wstępnych wniosków.

Na razie jednak nikt się nie martwił wymarłymi straszakami, odradzającymi się podziemnymi ekosystemami czy nakazami rządu. Dzisiaj stołówkę w głównym budynku, rzadko używane w ostatnich tygodniach pomieszczenie, wypełniał radosny nastrój.

Przy stolikach siedzieli piloci biorący udział w trzech etapach operacji, sejsmolodzy, mechanicy, powracający górnicy, świeżo przybyła ekipa archeologów, współmałżonkowie i dzieci. Panował tu gwar ożywionych, pogodnych rozmów, które przez tak wiele lat, a zwłaszcza w ostatnich tygodniach były na Kessel rzadkością.

Przy pierwszym stoliku siedzieli Calrissianowie, rodzina Solo, Nien Nunb i kilkoro ich przyjaciół.

Tendra uniosła szklankę.

- Za koniec trzęsień gruntu... na zawsze.

Pozostali także unieśli szklanki i się napili. Leia, z wypiekami na twarzy, odstawiła swojego drinka i odwróciła się w stronę Landa.

- To tylko życzenie czy naprawdę tak będzie?

- Naprawdę. - Zdecydowanie mocniej zaprawiony niż Leia, Lando nachylił się ku niej i omal nie stracił równowagi; oparł się o stół i usiadł znów prosto. - Kolejne pieczary, które zostały osłabione przez ładunki, mogą się zawalić, ale szanse, że będą w jakikolwiek sposób oddziaływać na siebie nawzajem, są praktycznie zerowe. A Wielki Uskok Kessel pozostaje stabilny.

Han wzruszył nonszalancko ramionami.

- Stabilny czy nie, to już wasz problem. Twój, Tendry i Niena Nunba.

- Zgadza się, stary druhu. Nasz problem. I będziemy go zgłębiać w następnej kolejności, nawiasem mówiąc. Chcesz zarobić trochę łatwej forsy?

- Nieee. - Han objął Leię ramieniem. - Musimy wracać na Coruscant. Próbujemy się ustatkować. Wychować dziecko. - Nie dodał: „I chcemy to robić na świecie, gdzie nie czyha na to dziecko jakieś przerażające widmo z kosmosu”. Allana nie miała żadnych więcej kontaktów z tajemniczą zjawą, jednak sama myśl o niej sprawiała, że dziewczynka była roztrzęsiona i nie mogła spać.

Lando nie dawał za wygraną.

- Kto wie co tam znajdziesz? Pajaki wielkości fregaty? Gigantyczne pręty jarzeniowe zdolne oświetlić cały układ słoneczny? Starożytnych Sithów zakonserwowanych od tysięcy lat w blokach kryształu?

Han pokręcił głową; nie czuł się nieswojo, po prostu nie był zainteresowany.

- To wszystko należy do ciebie.

- No cóż. - Lando uniosł szklankę i skinął w stronę starych i nowych przyjaciół. - Mój ostatni drink tego wieczoru i ostatni toast. - Przybrał nagle poważniejszy ton. - Kessel to skromny świat, który nie ma wielu atutów. To świadczy o waszej wielkoduszości, że wszyscy przylecieliście tu, żeby go ratować. Zasłużyliście na mój szacunek i moją wdzięczność.

- I na twoją gościnność - dodał Wedge.

- I moją gościnność. Wasze zdrowie. - Lando wypił i odstawił pustą szklankę. Wstał i podał rękę Tendrze. - Będę was żegnał po kolei, w miarę jak będziecie odlatywać w ciągu najbliższych paru dni. Z tymi, którzy odlatują jutro, zapłaczymy razem nad swoim kaczem. - Calrissianowie oddalili się z uśmiechem na ustach.

Han wziął głęboki oddech i z zadowoleniem wypuścił powoli powietrze, po czym odwrócił się w stronę Leii.

- Do domu?

- Do domu.

Port kosmiczny w Dor'shanie, Dorin

Ben i Luke, w świeżych ubraniach, siedzieli w niewielkim przedziale wypoczynkowym „Cienia Jade”, oddychając atmosferą jak na Coruscant, którą zapewniał system podtrzymywania życia jachtu. Wolni chwilowo od obowiązków, mogli sobie pozwolić na odrobinę relaksu. Ben wyciągnął się na fotelu z opuszczanym oparciem, Luke zaś przeglądał nagrania holowiadomości i komunikaty z ostatnich kilkunastu dni.

- Co nowego w galaktyce, tato?

- Mam kilkanaście wiadomości od Cilghal. Trochę ją zaniepokoiło, że nie odpowiadałem... Poprosiłem ją, żeby przyjrzała się raportom na temat skupisk Mocy, o których Jacen mógł usłyszeć w czasie swojego pobytu tutaj... oprócz Dagobah i tego miejsca, które znajduje się w fundamentach Świątyni Jedi.

O tych już wiem. Chodzi mi o inne.

- Skupiska Mocy. Pasjonujące.

- Złapali Seffa Hellina. Jaina i jacyś jej wspólnicy.

- To ten szalony Jedi, o którym mówiła ciocia Leia?

- Ten sam.

- To dobrze.

- Cilghal donosi o jakichś anomaliach w wynikach badania jego mózgu. To może być punkt zaczepienia dla niej. I... o, świetnie.

- Co takiego?

Luke odwrócił monitor, tak żeby jego syn lepiej widział. Na ekranie było widać starszego reportera, Wolama Tsera, który mówił z właściwą sobie powagą; następnie pokazano Nawarę Vena, stojącego w eleganckim stroju na schodach przed gmachem Sądu Galaktycznych w otoczeniu przedstawicieli prasy. Luke podkreślił fonię, tak że dał się słyszeć głos Tsera:

- ...pozew wniesiony przez mecenasa Nawarę Vena. Decyzja Sądu Najwyższego praktycznie znosi

dekret przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, uchylając wiele z restrykcji nałożonych w ostatnich tygodniach na Zakon Jedi. - Nawara Ven uniósł pięść w triumfalnym geście i krzyknął bezgłośnie w odpowiedzi na czyjeś pytanie; na ekranie ukazał się ponownie Wolam Tser. - Przywódczyni Sojuszu Natasi Daala nie skomentowała jak dotąd orzeczenia sądu. Prywatnie wielu z przydzielonych Jedi obserwatorów, których misja zakończyła się nagle dzisiejszego popołudnia wraz z wydaniem orzeczenia, wyraża niezadowolenie, twierdząc, że ze względu na skłonność Jedi do samowoli oraz lekceważenia prawa rola obserwatorów jest niezwykle istotna. Mistrz Jedi Kenth Hamner, zapytany o... - Luke ponownie ściszył dźwięk.

Ben uniósł pięść, naśladując gest Nawary Vena.

- Punkt dla nas. - Zobaczył, że jego ojciec bierze głęboki oddech, i dodał pospiesznie: - Tak, wiem. Licho nie śpi. Ukryty mógł mieć trochę racji. Nie możemy się poczuć zbyt pewnie. Tato, proszę, tylko dzisiaj...

Luke się uśmiechnął.

- Tylko dzisiaj: żadnych upomnień, żadnych rad.

- Dzięki. Więc dokąd teraz lecimy?

- Zobaczymy, co nam powie Cilghal. Na razie odpoczywamy.

Ben założył ręce za głowę i zamknął oczy. Nie miał nic przeciwko temu.

I chociaż od domu dzieliły go niezliczone lata świetlne, chociaż minęło zaledwie parę tygodni z dziesięcioletniego okresu wygania jego ojca, chociaż był obolały od pracy fizycznej i poobijany przez trenera sztuk walki, stwierdził, że mogło być o wiele gorzej.

Dobrze jest żyć.

PODZIĘKOWANIA

Podziękowania kieruję do:

Troya Denninga i Christie Golden, moich partnerów z trójki pisarskiej;

Shelly Shapiro, Sue Rostoni, Keitha Claytona i Lelanda Chee, najlepszych dostarczycieli kół ratunkowych w kryzysowych sytuacjach; oraz mojego agenta, Russella Galena.

Spis Treści

BOHATEROWIE POWIEŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

PODZIĘKOWANIA